

ANNA

KANTOCH

LATO

UTRACONYCH

MARGINESY

ANNA
KANTOCH
LATO
UTRACONYCH

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Epilog

Wydawca i redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA
Redakcja KAROLINA MACIOS
Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, JAN JAROSZUK
Projekt okładki i stron tytułowych MICHAŁ PAWŁOWSKI
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Copyright © by Anna Kańtoch
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2021

Warszawa 2021
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-66863-11-8

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.
ul. Mierosławskiego 11A
01-527 Warszawa
tel. 48 22 663 25 19
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl
www.marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

PROLOG

3 listopada 1998 roku

„Chłopak wyglądał dziwnie”. To właśnie Rafał Ostrowski, pracownik przydrożnego baru Pod Jodłami, powiedział później przesłuchującym go policjantom.

„Wyglądał dziwnie, a ja od razu się zorientowałem, że coś z nim nie tak”.

Nie była to do końca prawda. Najpierw Ostrowski poczuł tylko ukłucie niepokoju, zbyt lekkie, by się nad nim zastanawiać. Zresztą wydawał akurat skomplikowane zamówienie (dwie porcje żurku, w tym jedna z dodatkową kiełbasą, trzy cheeseburgery, frytki o różnym stopniu posolenia, mnóstwo coli, jeszcze więcej piwa) i nie miał do tego głowy. Dochodziła dziewiąta wieczorem, ale w barze przy trasie wylotowej z Żywca nawet o tej porze było sporo osób. Dwóch kierowców ciężarówek, grupa hałaśliwej młodzieży, która po odebraniu swojego jedzenia przepychała się właśnie przy jednym ze stolików, i oczywiście ten chłopak od dobrych dziesięciu minut wgapiający się w wiszące nad ladą prościutkie menu.

Teraz, gdy Ostrowski mógł przyjrzeć mu się uważnie, niepokój przybrał na sile.

Dzieciak wyglądał na jakieś piętnaście, szesnaście lat – trochę zbyt młody, by przebywać w barze samotnie o tej porze, zwłaszcza że musiał przecież przyjść tu pieszo, wędrując poboczem drogi w ten paskudny, ciemny i zimny listopadowy wieczór. Włosy miał jasne i ścięte metodą, którą za szkolnych czasów Ostrowskiego nazywano „od garnka”, na policzku rozlewał się podchodzący już pod oko siniak, a lewą rękę trzymał pod przezroczystą foliową peleryną, tak jakby była złamana albo co najmniej zwichnięta. Brudne od błota buty, żałoba za paznokciami prawej dłoni, zgarbiona sylwetka i niepewny wzrok... Ostrowski rejestrował coraz więcej szczegółów, nieuchronnie dochodząc do wniosku, że gówniarz po awanturze z rodzicami nawiał z domu. Dlaczego jednak uciekinier zamiast dzinsów i bluzy z kapturem, czyli standardowego mundurka współczesnej młodzieży, nosił zaprasowane w kancik spodnie i granatowy blezer, spod którego

wyzierała koszula z białym kołnierzykiem, tego Ostrowski już nie wiedział. Ostatni raz widział tak ubranego nastolatka jeszcze na początku lat osiemdziesiątych, gdy wszystko było na kartki, żona wciąż go kochała, a jedyny syn, teraz narkoman spędzający czas na dworcu w Katowicach, chodził do pierwszej klasy liceum.

Chłopak wyglądał dziwnie. Właściwie to wyglądał jak jeden wielki chodzący kłopot, a co jak co, ale kłopotów Ostrowski ostatnio starał się unikać. Pół roku wcześniej zgodził się zeznawać w sprawie kobiety zgwałconej na tyłach baru i do dziś tego żałował. Zamiast pracować, łąził po sądach, a kumple gwałciciela dopadli go pewnego wieczoru i skopali tak, że dwa tygodnie przeleżał w szpitalu. Nie, Ostrowski dostał już nauczkę i nie zamierzał więcej zgrywać samarytanina. Dlatego zajął się wycieraniem blatu, ignorując chłopaka. Wolał, by młody sobie poszedł albo by ktoś inny zwrócił na niego uwagę i mu pomógł – bo to, że dzieciak potrzebuje pomocy, nie ulegało wątpliwości.

Problem w tym, że w barze byli teraz już tylko oni dwaj oraz grupa podpitych młodych ludzi, którzy traktowali chłopaka jak powietrze. Jeden z nich potracił go nawet w drodze do toalety. Nie przeprosił, po prostu szedł dalej, jakby wpadł na krzesło, a młody odsunął się i skulił jeszcze bardziej.

Ostrowski odwrócił wzrok. Idź stąd, powtarzał w duchu. Po prostu stąd idź.

Młodzi ludzie hałasowali przy stoliku, zagłuszając monotonne bębnienie uderzającego o szyby deszczu, a Ostrowskiemu przyszło do głowy pytanie, czy ktokolwiek z nich jest wystarczająco trzeźwy, żeby prowadzić. Nieważne zresztą. To też nie był jego problem.

Chłopak przy barze poruszył się, niepewnie przestępując z nogi na nogę, i w tym momencie Ostrowski popełnił błąd. Uniósł głowę, ich oczy się spotkały i zachęcony młody podszedł bliżej.

- Chcę zjeść hamburgera – powiedział.
- Nie wydajemy o tej porze posiłków – burknął Ostrowski.
- Amerykańskiego hamburgera. Jak w reklamie.
- Słuchaj, młody, to nie McDonald, jasne? Tutaj kończymy pracę o dziewiątej. – Nie była to prawda, ale Ostrowski mógłby się założyć, że chłopak nie zadał sobie trudu przeczytania wiszącej na drzwiach tabliczki.

Dzieciak wyglądał, jakby miał się rozplakać. Grzebał przez chwilę sprawną ręką w kieszeniach spodni, a potem rzucił na blat garść wymiętych banknotów.

– Mam pieniądze – oznajmił z dziwną mieszaniną hardości i lęku.

Ostrowski popatrzył na znajome twarze: kilka stów z Waryńskim, Kościuszko na pięćsetce i Kopernik na tysiącu. Chryste Panie.

– Jaja sobie robisz? – warknął, teraz już mocno rozeźlony.

Chłopak zamrugał.

– C...co?

To nie jest dowcip, pomyślał Ostrowski. Otaczały go ciepłe kuchenne wyziewy: woń żurku i tłuszczu, w którym smażyły się frytki, kiełbasy z cebulką oraz piwa, a mimo to nagle poczuł pełznący po plecach chłód, jakby znalazł się na zewnątrz, w zacinającym zimnym deszczu.

– Te pieniądze nie są ważne – oznajmił, starając się, żeby jego głos brzmiał spokojnie. – Słyszałeś o czymś takim jak denominacja?

Chłopak jeszcze raz przestąpił z nogi na nogę. Nie odzywał się, ale też najwyraźniej nie miał zamiaru sobie iść. Jego czoło przecinała pionowa bruzda.

Ostrowski pochylił się i zniżył głos.

– Dobra, młody – powiedział, zdobywając się na maksimum dobrej woli. – Zafunduję ci tego hamburgera, jeśli obiecasz, że zjesz, a potem stąd znikniesz. Umowa stoi?

Chłopak powoli skinął głową. A później zbliżył usta do ucha Ostrowskiego i szepnął kilkanaście słów, po których barman zrozumiał, że jego dobra wola nie ma żadnego znaczenia. Unikał kłopotów, ale oto kłopoty znowu znalazły jego.

Poprosił młodego, żeby zaczekał, a sam poszedł na zaplecze wykręcić znajomy numer.

*

Sierżant Andrzej Nowak zawsze lubił dzieci. Sam wychował trójkę, a pracując jako dzielnicowy, Bóg wie ilu pomógł wyjść na ludzi. Dlatego dał temu chłopakowi dwie minuty, żeby dokończył hamburgera. Dwie minuty, myślał, niczego nie zmienia, a młody przynajmniej będzie miał jakieś miłe wspomnienie, bo sądząc po tempie, w jakim zniknął posiłek, ta obrzydliwa buła z mięsem naprawdę mu smakowała.

Czekał więc cierpliwie, podczas gdy o szyby uderzały fale jesiennego deszczu. Bar był już teoretycznie zamknięty i Rafał Ostrowski, ten dziwny barman, który od razu oznajmił, że cokolwiek by się działo, on nie zamierza zeznawać, wycierał właśnie ostatni kufel. Nowak miał wrażenie, że skądś zna jego twarz, ale chwilowo się nad tym nie zastanawiał. Skupił uwagę na chłopaku. Młody beknął cicho, zasłaniając usta, i wytarł ręce w papierową serwetkę.

– Masz jeszcze sos na brodzie – odpowiedział mu sierżant. Dzieciak wymruczał coś, co brzmiało jak przeprosiny, i sięgnął po drugą serwetkę.

– Teraz mnie pan aresztuje? – zapytał, mnąc ją w kulkę i rzucając na zatłuszczony talerz. Sprawiał wrażenie zawstydzonego bardziej popisem obżarstwa niż wcześniejszym wyznaniem.

– Teraz, synu, znajdziemy twoją matkę. A wcześniej jeszcze powiesz mi, jak ci na imię, żebym wiedział, jak się do ciebie zwracać.

Chłopak milczał. Sierżant zastanawiał się już, czy dzieciak nie jest przypadkiem opóźniony, ale chyba nie. W każdym razie oczy miał bystre. Czujne i bystre.

– No więc?

– Jestem Piotrek, ale...

– Ale co? Masz jakąś ksywkę?

Pokręcił głową.

– Kiedyś chyba nazywałem się inaczej. Nie pamiętam jak.

Nowak westchnął.

– Dobra, zostawmy to na razie. Gdzie mieszkasz?

– W Podkowach.

– To jakaś wieś niedaleko?

– Tak, wieś. Chyba. Niedaleko, ale nie wiem dokładnie gdzie.

– Synu, czy ty w ogóle jesteś czegośkolwiek pewien? Na przykład że twoja matka naprawdę nie żyje?

– Tak, mówiłem już panu. Zabiłem ją.

– I nie ćpałeś przedtem niczego?

– Nie, ja... Nie.

– A potem?

– Też nie.

– W porządku. – Nowak odwrócił się w stronę barmana, którego oczy połyskiwały w szparze drzwi prowadzących na zaplecze. – Wie pan, gdzie tu jest wieś Podkowy?

– Nie mam pojęcia.

Świetnie, pomyślał Nowak ze znużeniem. Zapowiadał się rewelacyjny wieczór.

– Dobra, synu, zbieraj się. Poprowadzisz mnie. Chyba że chcesz wcześniej pojechać do lekarza? Masz złamaną rękę?

– Nie, tylko zwichniętą. Nie boli aż tak bardzo.

– W takim razie możemy jechać. Skoro trafiłeś tutaj, to trafisz też z powrotem do domu.

*

Godzinę później sierżant tracił resztki nadziei. Oblewany lodowatymi strugami polonez podskakiwał na wertepach, a wycieraczkę ledwo nadążały z usuwaniem wody. Nowak mógłby się założyć, że zaliczył już każdą większą kałużę w promieniu dwudziestu kilometrów, sporo z nich po kilka razy. Światła samochodu wyławiały z rozedrganego deszczem mroku tabliczki z nazwami miejscowości: Buczkowice, Rybarzowice, Godziszka. Żadnych Podków. Nowak, który większość życia spędził w okolicy Kotliny Żywieckiej, nigdy nie słyszał o takiej miejscowości, a wypytywani przez radio koledzy z posterunku nie potrafili znaleźć jej na mapie.

– Słuchaj, synu – zaczął, gdy po raz kolejny minęli tabliczkę z napisem „Rybarzowice” – jeśli to ma być jakiś głupi dowcip...

– To nie dowcip. Ja naprawdę nie pamiętam, którąś szedłem.

– Musisz przecież coś wiedzieć. Jak jechałeś z mamą do Żywca, to którąś? Co mijaliście?

– Nigdy nie jeździłem do Żywca.

– A do Bielska? Albo Katowic? Gdzie chodziłeś do szkoły?

Piotrek nie odpowiedział. Nowak przypomniał sobie własne dzieciństwo, czasy, gdy z kumplami szalał na rowerach. Znał wtedy każdy kąt od Jeziora Żywieckiego aż po Straconkę, a do rodzinnej wsi mógłby trafić z zawiązanymi oczami. Ile wtedy

miął lat? Trzynaście, czternaście? A ten chłopak przecież był starszy, więc jakim cudem zgubił się tak blisko domu? Twierdził, że wyszedł, kiedy w telewizji zaczynały się *Wiadomości*, czyli o dziewiętnastej trzydzieści, natomiast w barze znalazł się przed dwudziestą pierwszą. W półtorej godziny można przejść około dziesięciu kilometrów, a biorąc poprawkę na deszcz i ciemność, pewnie nawet mniej. Zbyt krótki dystans, by usprawiedliwiać tak całkowitą dezorientację. Coś tu nie grało i nie chodziło wcale o dowcip. Nowak widział już w życiu mnóstwo wygłupiających się szczeniaków i wiedział, że ten akurat jest śmiertelnie poważny. A jeśli grał, to, cholera, zasługiwał na Oscara.

Kurwa mać, pomyślał z rosnącą frustracją. Coś się wydarzyło, coś bardzo złego – niekoniecznie morderstwo, może po prostu poważny wypadek – a on, kręcąc się bez celu jak gówno w przereźbli, w żaden sposób nie mógł pomóc.

– Proszę pana? – chłopak odezwał się nieśmiało.

– Tak?

– Ten cmentarz...

– Co z nim? – Nowak dopiero teraz zwrócił uwagę na pełgające w mroku ciepłe ogniki. Młody miał rację, to musiał być cmentarz. Kilku świeczkom, tym najbardziej osłoniętym, udało się przetrwać od Wszystkich Świętych.

– Mijałem go. Tak mi się wydaje.

Nowak zwolnił, starając się nie dopuszczać do siebie nadziei. Piotrkowi już kilka razy zdawało się, że poznaje okolicę.

– Po prawej czy lewej stronie?

Chłopak zastanowił się.

– Po lewej.

Tym razem nie dodał „chyba”. Sierżant uznał to za dobry znak.

– Czyli musimy zawrócić.

Koła zabuksowały w błocie. Tył stuknął w coś lekko, mokre liście zamiotły jedną z bocznych szyb, o dach drapnęła gałąź.

Samochód pełzł powoli przez rozpluskaną ciemność.

– Tędy. Nie, chyba jednak tędy – komenderował chłopak, a Nowak jechał, zaciskając zęby.

Stanęli w końcu przed rozwidleniem, przy kapliczce, w której smętny drewniany Chrystus mókł, trzymając w dłoniach jeszcze bardziej smętny bukiet sztucznych kwiatów. Jedna droga w prawo, druga w lewo. Obie sprawiały wrażenie trasy raczej dla traktorów czy samochodów terenowych niż dla zwykłego poloneza, ale może tak się tylko wydawało, bo w mętym żółtoszarym świetle samochodowych reflektorów trudno być czegokolwiek pewnym.

Może.

Spojrzał na Piotrka, a ten pokręcił głową. Po jego policzkach spływały duże dziecięce łzy.

– Nie pamiętam... Mijałem tę kapliczkę, ale nie wiem, czy przyszedłem z prawej, czy z lewej strony. W każdym razie...

– No? – sierżant warknął i młody wcisnął się głębiej w fotel, jakby chciał w nim zniknąć.

– Jesteśmy gdzieś niedaleko, naprawdę...

– Poczekaj tutaj. – Wyjął ze schowka latarkę, a po chwili namysłu też zachomikowanym na czarną godzinę snickersa i rzucił go chłopakowi.

Lodowata fala uderzyła Nowaka, gdy tylko otworzył drzwi. Wsiadł i wyprostował się, z trudem przewyciężając instynkt, który nakazywał kulić się i osłaniać głowę. Na zboczu po prawej połyskiwały dwa światełka, jedno bliżej, drugie dalej. Walcząc z wiatrem ciskającym mu w twarz strugi deszczu, ruszył w stronę tego pierwszego. Wąska ścieżka wiodła do furtki, za nią w mroku majaczył zarys domu. Sierżant zawahał się, sięgając do klamki. W ciemnościach słyszał wściekłe ujadanie psa, ale też szczęk łańcucha, pchnął więc furtkę i wszedł do ogrodu.

Po kilkunastu sekundach dobijania się do drzwi otworzył mu lekko pijany mężczyzna. Z wnętrza domu dobiegało pobrzękiwanie kieliszków i śmiech, ktoś ładnym nawet głosem śpiewał „A kto z nami nie wypije...”. Pachniało świeżo upieczonym ciastem i Nowak dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest głodny.

Przedstawił się i pokazał legitymację. Gospodarz wybałuszył oczy.

– Do nas? Przecie...

– Nie do was. Wie pan może, gdzie tu jest wieś Podkowy?

– Podkowy? – Facet z trudem zbierał myśli, był jednak wystarczająco trzeźwy, żeby w końcu się udało. – Droga pan pójdiesz, od kapliczki w lewo. I w górę.

Tylko że to nie żadna wieś, a przysiółek. Trzy chałupy, w dwóch już nikt nie mieszka...

– A w trzeciej?

– No, taka kobita tam żyje.

– Nie ma przypadkiem nastoletniego syna?

– Syna? Skąd, w życiu. Sama jak palec jest.

– Daleko to?

– Z dziesięć minut. Pieszko, bo samochodem to pan tam nie wjedziesz.

– Dobrze, dziękuję. – Nowak chciał zabrać faceta ze sobą jako przewodnika, ale żał mu było odrywać człowieka od rodzinnej imprezy.

Jakoś trafię, pomyślał, kiedy zamykały się za nim drzwi, za którymi zostały ostatnie nuty *Sto lat* i zapach ciasta.

*

Trafił, choć zajęło mu to nie dziesięć, a prawie dwadzieścia minut. Nie było tu wprawdzie tabliczki z nazwą miejscowości – nie każdy przysiółek taką miał – ale trzy domy stojące przy górskiej drodze nie budziły w nim wątpliwości. Nowak wybrał ten, który sprawiał wrażenie najmniej zaniedbanego, i po raz drugi tego wieczoru pchnął skrzypiącą furtkę. Światło latarki wyłowiło z ciemności zapuszczony ogród i stertę drewna pod ścianą. Ulewa zamieniła się w lekką mżawkę, za to zerwał się wiatr i sierżant dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest przemarznięty. Mokre spodnie – ostatnio nieco zbyt ciasne w pasie – kleiły mu się do łydek, w butach chlupotała woda, a za kołnierz mundurowej kurtki spływała właśnie lodowata strużka. Wzdrygnął się, łapiąc jednocześnie oddech; wydychane gwałtownie powietrze pozostawiało świetlistą mgiełkę. Ostatnio miał coraz gorszą kondycję, choć jak na prawie pięćdziesięciolatka i tak wciąż niezłą.

Pomyślał o chłopaku siedzącym grzecznie w aucie – o ile rzeczywiście siedział grzecznie – a przede wszystkim o tym, co czekało na niego za drzwiami tego domu. Za pomocą latarki znalazł dzwonek i wcisnął go do oporu, a kiedy niczego nie usłyszał, uderzył kilka razy w malowane na biało drewno. Klamkę nacisnął trzy sekundy później – zbyt mało czasu, żeby ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, jeśli był w środku, ale formalności stało się zadość.

Tak jak się spodziewał, drzwi okazały się otwarte.

Pchnął je i przekroczył próg. Podświadomie oczekiwał stęchłego zapaszku, charakterystycznego dla starych wiejskich chałup, w środku jednak pachniało przyjemnie środkami czystości i jedzeniem. Dla ścisłości: plackami ziemniaczanymi, które Nowak bardzo lubił.

Zapalił światło i wszedł głębiej.

– Halo, jest tu ktoś? Policja!

Nikt nie odpowiedział. Pod nogami przemknął mu szary kształt i sierżant podskoczył nerwowo. Szczur, zdążył pomyśleć, zanim zobaczył, że w pomieszczeniu po lewej schował się tylko mały, chudy kot. Jego łapki pozostawiły na gumowej wykładzinie czerwone ślady. To mogła być farba, ale Nowak szczególnie w to wierzył, poszedł więc tam, skąd przybiegło zwierzę.

Dalej, przy prowadzących na piętro schodach, leżał trup.

Sierżant obejrzał go sobie dokładnie, zachowując bezpieczną odległość. Nie musiał podchodzić bliżej, by wiedzieć, że ofiara nie żyje. Nikt nie zdołałby przeżyć z tak wykręconą głową.

Kobieta w średnim wieku, zapewne gospodyni. Ta, która mieszkała tu samotnie.

Którą siedzący w aucie chłopak nazywał matką. A Piotrek nie umiał trafić do domu i kiedyś prawdopodobnie nosił inne imię.

Nowak wycofał się powoli, doskonale świadom, że to nie jest już sprawa zwykłego wypadku czy nawet zabójstwa popełnionego przez niestabilnego emocjonalnie nastolatka. Miał do czynienia z czymś znacznie bardziej skomplikowanym i mrocznym. Tak mrocznym jak ukryte pod schodami, otwarte drzwi do piwnicy. Nie zszedł do niej, bo i po co miałby to robić? Wiedział, co tam znajdzie, i uznał, że inni powinni się tym martwić.

26 sierpnia 1999 roku

Leszek Kuleba nie brał autostopowiczów. Taką miał zasadę w życiu, które upływało mu na podróżach po niedawno powstałym województwie śląskim. Tamtego sierpniowego dnia zatrzymał się jednak obok blondynki stojącej na poboczu wiejskiej drogi. Gdyby go zapytać, czemu to zrobił, nie potrafiłby podać dobrego powodu. Może dlatego, że machała do niego nie nastolatka w szortach i odsłaniającej brzuch koszulce, tylko kobieta ubrana jak katechetka: w spódnicy do połowy łydki, rajstopach i nieco zbyt ciepłej jak na tę porę roku bluzce z długim rękawem. A może zwyczajnie przeważała malująca się na twarzy nieznajomej desperacja. Tak czy inaczej, Kuleba zahamował i opuścił szybę po stronie pasażera.

– Dziękuję – wysapała blondynka, gdy podbiegła do auta. – Dzięki Bogu, już myślałam, że nikt się nie zatrzyma. Samochód mi się zepsuł i teraz idę pieszo... Proszę, czy mógłby mnie pan podrzucić chociaż kawałek w stronę Rudnika?

– Niech pani wsiada.

– Dziękuję – powtórzyła, a kiedy wsuwała się na siedzenie, Kuleba zauważył połyskujący na jej szyi łańcuszek z małym złotym krzyżykiem. Może naprawdę była katechetką? Ta myśl mu się spodobała. Zawsze uważał, że ludzie głęboko wierzący powinni trzymać się razem. Należeli w końcu do wymierającego gatunku, jak dinozaury w świecie, który coraz szybciej dążył do zagłady.

– Możemy wrócić do pani samochodu i sprawdzić, co się z nim stało – zaproponował. – Gdzie go pani zostawiła?

– Jakies dwa kilometry stąd, pod znakiem z ograniczeniem prędkości. Ale to nie ma sensu. Szybciej będzie, jak wysiądę w Rudniku i pójdę dalej pieszo. Bo pan jedzie do Rudnika, prawda?

– Jadę. Jestem przedstawicielem handlowym. Branża farmaceutyczna. W województwie śląskim mamy już prawie dwa tysiące klientów. – Zabrzmiało to głupio, jakby się chwalił. Albo próbował coś sprzedać. Cholera, ta blondyneczka

była naprawdę ładna. Dobrze po trzydziestce, może nawet tuż przed czterdziestką, ale Kuleba też przecież nie należał do młodzieniaszków, miał początki łysiny i ponad piętnaście kilo nadwagi. – A pani dokąd właściwie? – zmienił temat, zastanawiając się, czy dałaby się namówić na kawę. Znał w Rudniku miłą kawiarenkę, czasem zatrzymywał się tam na espresso i jagodziankę.

– Do Pogańskiego Młyna.

– To wieś?

– Nie, to nazwa leśniczówki.

– Leśniczówki? – powtórzył, świadom, że nie popisuje się inteligencją. – Nie wiedziałem, że tu jest jakaś leśniczówka.

– Za Rudnikiem trzeba skręcić w las i przejechać parę kilometrów. Leśniczówka nie w sensie domku leśniczego, tylko miejsca, gdzie spotykają się myśliwi – wyjaśniła. Było coś w jej głosie, jakieś napięcie, może nawet strach.

Kuleba zerknął na dłonie pasażerki, szukając obrączki – nie znalazł, zauważył za to, że szczupłe, blade palce szarpią miarowo materiał spódnicy. Z trudem odwrócił od nich wzrok i skupił się na drodze. Mijali właśnie jedną ze smętnych popegeerowskich wsi: kilka odrapanych, ledwo stojących domów, krzywe płoty, wyleniały parchaty pies w rowie i sklepik z zatartym szyldem, pod którym kiwał się pijaczek z butelką piwa. Swojski obrazek dziwnie kontrastujący z siedzącą obok niespokojną kobietą.

– Pani poluje? – zapytał po to tylko, żeby przerwać niezręczne milczenie.

Roześmiała się zduszonym, niepewnym śmiechem.

– Nie, moja siostra z rodziną spędza tam urlop.

– A pani jedzie ich odwiedzić?

– Tak, jadę ich odwiedzić.

Odwróciła się w stronę okna. Kuleba nie chciał jej zmuszać do wymyślania dalszych kłamstw, dlatego rozsądnie zamknął usta i znowu zapadła pełna napięcia cisza.

Samochód podskoczył na wertepach. Wpadający przez okna zapach schnącego na łące siana ustąpił miejsca znacznie mniej przyjemnej woni obory. Minęli pierwsze zabudowania Rudnika i blondynka poruszyła się niespokojnie na siedzeniu.

– Gdybym mogła wysiąść gdzieś w centrum... – powiedziała nieśmiało. – Koło kościoła byłoby dobrze...

– Wie pani co – Kuleba, który zaczął już hamować, z powrotem wdepnął pedał gazu – zawiozę panią do tej leśniczówki, jeśli tylko pokaże mi pani drogę.

Podjął tę decyzję pod wpływem impulsu, ignorując ostrzegawczy brzęczyk w głowie. Instykt podpowiadał mu, że najlepiej zrobiłby, wysadzając tę kobietę tam, gdzie chciała, i jadąc dalej. Zapomniałby o niej, tak jak ona szybko zapomniaby o nim, bo przecież nic ich nie łączyło.

Zamiast tego wysłuchał gorących podziękowań, a kiedy krzyknęła „Tutaj!”, skręcił gwałtownie w las. Samochodem zatrzęsło i Kuleba musiał zwolnić. Urwę sobie zawieszenie – to była pierwsza myśl. Zaraz za nią przyszła druga – spóźnię się na spotkanie.

Czasem jednak człowiek robi głupstwa i nic nie może na to poradzić.

Zresztą dlaczego właściwie nie miałyby tego głupstwa zrobić? W pracy osiągnął już na tyle dobrą pozycję, że nie groziło mu zwolnienie, nawet gdyby zjawił się na spotkaniu pół godziny później, uwalany błotem z lasu. A ta kobieta z każdą chwilą podobała mu się coraz bardziej.

– Nazywam się Kuleba – powiedział, bo to przynajmniej wydawało się bezpiecznym tematem. – Leszek Kuleba.

– Róża Jaworska – odparła odruchowo.

– Ładne imię. Zawsze podobały mi się imiona od kwiatów.

– Moja siostra nazywa się Kalina.

– Też ładnie. Pani rodzina musi lubić naturę. Dlatego spędzają urlop w lesie, tak?

Róża, która jeszcze przed chwilą wydawała się odrobinę bardziej odprężona, teraz znowu zacisnęła usta i odwróciła się w stronę okna.

Co ja znowu powiedziałem? – zastanawiał się Kuleba desperacko. – W końcu co jest bezpieczniejszego od rozmowy o kwiatkach? Może powinniśmy pogadać o pogodzie?

Płowy kształt wyskakujący z krzaków na drogę przerwał jego rozmyślenia. Kuleba wdepnął gwałtownie hamulec, samochodem zarzuciło, a spod kół bryznęła błotnista woda z kałuży.

– Kurwa mać – zaklął, a Róża, lecąc do przodu, zawtórowała mu znacznie bardziej bogobojnym „Jezus Maria!”.

Sarna w kilku wdzięcznych skokach przemknęła przed maską samochodu i zniknęła między drzewami.

– Nic się pani nie stało? – spytał, odwracając się w stronę pasażerki, która masowała czoło. – Przepraszam, ale...

– Nic mi nie jest. To moja wina, powinnam była zapiąć pas. Będę miała guza, i tyle.

– Przepraszam – powtórzył, niepewny, za co właściwie przeprosza. Bo zaklął (był pewien, że Róża nie używała takich słów jak „kurwa”, on zresztą też będzie musiał się z tego wypowiadać), bo nabiła sobie przez niego guza, bo nie potrafił nawet zabawić jej zwyczajną rozmową, a nadzieja, że kobieta da się zaprosić na kawę, bladła z każdą chwilą?

– Proszę, niech pan jedzie. To już niedaleko.

– Leci pani krew, może...

– Niech pan jedzie!

Pojechał, bo w końcu co innego miał zrobić. Róża wygrzebała z torebki chusteczkę i wytarła spływającą z czoła czerwoną strużkę, a Kuleba po raz kolejny pomyślał, że byłoby lepiej, gdyby zostawił tę kobietę pod kościołem. Dałby sporo, żeby w chłodnym, klimatyzowanym wnętrzu apteki opowiadać teraz o zaletach leków na jesienną falę przeziębień.

– To tutaj – odezwała się. Niepotrzebnie, bo przysadzisty, otynkowany na białą budynek w środku lasu po prostu musiał być leśniczówką.

Kuleba zatrzymał się obok wypalonego w trawie kręgu, nad którym stał masywny trójnogi grill. Na zarośniętej rabatce z przekwitającymi kwiatami brzęczały owady, ale poza tym ciszy letniego dnia nie mącił żaden dźwięk. Ależ tu pięknie, tak spokojnie, pomyślał. Niemal zbyt pięknie, zbyt spokojnie. Cisza usiadła mu na piersi i ciążyła niczym kamień, powietrze było gęste jak przed burzą.

Zawiał wiatr i po prowadzącej do białego domu ścieżce potoczył się z chrzęstem suchy liść, pierwszy znak nadciągającej jesieni.

Róża nie wysiadła, choć jeszcze niedawno tak bardzo się spieszyła. Opuściła głowę, włosy przesłoniły jej twarz i Kuleba przez chwilę sądził, że kobieta płacze albo po prostu się modli, ale kiedy się odezwała, głos miała zaskakująco spokojny.

– Bóg rozpozna swoich – powiedziała i położyła dłoń na klamce. – Dziękuję, że mnie pan podwiózł.

– Proszę zaczekać. – To nie był dobry moment, wiedział jednak, że lepszego nie będzie. Nie zastanawiał się nad jej dziwnymi słowami ani nad tym, że z leśniczówki nikt nie wyszedł, choć przecież jeśli ktoś tam był, musiał usłyszeć podjeżdżający samochód. Wszystko to przyszło mu do głowy znacznie później, kiedy analizował minuta po minucie wydarzenia tego dnia. – Może zechciałaby pani napić się ze mną kawy? Będę w okolicy jeszcze jutro i pojutrze, moglibyśmy się spotkać i...

Róża milczała. Idiota, pomyślał, co ty sobie wyobrażałeś, oczywiście, że taka kobieta...

Wtedy się do niego uśmiechnęła. Nerwowo, z wyraźnym znużeniem, ale jednak uśmiechnęła.

– Mam lepszy pomysł. Może po prostu wejdzie pan ze mną do środka i napijemy się kawy tutaj?

*

27 sierpnia 1999 roku

Kiedy telefon zaterkotał przy moim uchu, odruchowo wyciągnęłam rękę nie po słuchawkę, tylko na drugą stronę łóżka, tam gdzie powinien leżeć Karlik. Pościel była zimna i to otrzeźwiło mnie skuteczniej niż dzwonek.

Odebrałam. Słuchając podekscytowanego głosu Wojtka Chodury, wciąż dotykałam sztywnego, chłodnego prześcieradła. Jeszcze dwa tygodnie temu podczas takiej rozmowy trzymałabym dłoń na ramieniu mamroczącego pytania męża. Taki uspokajający gest: nic się nie dzieje, śpij dalej.

Nasz mały rytuał.

Odłożyłam słuchawkę i siedziałam przez chwilę na łóżku w szarym świetle zakradającego się przez okno brzasku. Piąta rano, godzina samotnych wilków i samobójców. Godzina, o której zmęczeniu, ciężko pracujący oficerowie policji wyrywani są ze snu i zawsze, absolutnie zawsze taki telefon oznacza poważną sprawę. Coś, co później śni się po nocach.

Walczyłam z falą bólu odbierającego mi oddech. Nienawidzę przebudzeń, tego momentu, gdy znowu dociera do mnie świadomość, co się stało. Jakbym za każdym razem przeżywała to na nowo. Sen jest błogosławieństwem, bo odbiera wspomnienia, ale za tych parę godzin niepamięci płaci się każdego ranka.

Zmusiłam się, żeby wstać i pójść do łazienki. Wiedziałam, że w ciągu dnia, kiedy zajmę się pracą, będzie lepiej, teraz jednak w niczym mi to nie pomagało.

Umyta i ubrana powędrowałam do kuchni, gdzie zastałam mojego syna w bokserkach i spranej koszulce z nazwą jakiegoś metalowego zespołu.

– Usłyszałem telefon i nastawiłem wodę na kawę – powiedział.

– Dziękuję – wymruczałam. – Wcześniej wstałeś.

Gdy spojrzał zdziwiony czerwonymi z niewyspania oczami, zrozumiałam swój błąd.

– Jeszcze się nie kładłeś...

Ziewnął rozpaczliwie, drapiąc się po brzuchu.

– Zaraz idę spać – oznajmił. – Mam dzisiaj rozmowę o pracę.

Prawdopodobnie powinnam zachować się w tym momencie jak odpowiedzialna matka i powiedzieć mu, że w takim razie granie przez całą noc na komputerze to kiepski pomysł. Nie zrobiłam tego. Nie jestem odpowiedzialną matką, a prawda wyglądała tak, że lubiłam mieć Adama w domu choćby po to, by rano miał kto mi zrobić kawę. Przerażała mnie myśl, że kiedy mój zdolny, choć leniwy syn wreszcie znajdzie pracę, wyprowadzi się i zostanie sama.

– Coś ciekawego? – zapytał, siadając naprzeciwko mnie przy stoliku. On też miał filiżankę kawy. Nie powinien jej pić przed snem, jeśli w ogóle zamierzał się dziś położyć, ale tego również mu nie powiedziałam.

– Zależy od twojej definicji, co jest ciekawe.

– Morderstwo?

Skinęłam głową.

– Opowiesz, jak wrócisz?

– Nie.

– Świnia. – Trącił mnie lekko bosą stopą, uśmiechając się przy tym. Odruchowo odpowiedziałam uśmiechem, prawie szczerym, aż zaboląły mnie odwykłe od takich ekstrawagancji mięśnie twarzy.

– Muszę iść – oznajmiłam, kiedy z zewnątrz dobiegł odgłos hamującego samochodu. – Powodzenia.

– Co?

– W rozmowie o pracę.

– A, to. – Nie wydawało się, żeby ta sprawa jakoś szczególnie zaprzętała myśli mojego syna. – Dzięki. Pewnie nie wiesz, kiedy wrócisz?

– Nie mam pojęcia.

– Zrobię obiad.

Skinęłam głową. Nie nastawiałam się szczególnie na to, że po powrocie zastanę posiłek, ale przecież mogła mnie spotkać niespodzianka. Adam bywał pod wieloma względami nieprzewidywalny.

W samochodzie czekał starszy aspirant Wojciech Chodura. Prawie dwa metry umięsnionego ciała i nieco nerwowy, niepewny uśmiech. Mimo wczesnej pory mój partner wydawał się nieprzyzwoicie wręcz pełen zapału. Kiedyś, dawno temu, też bym tak wyglądała, ale teraz przekroczyłam już pięćdziesiątkę i rano potrzebowałam dobre pół godziny na rozruch.

– Wskakuj – powiedział, otwierając drzwi. – Opowiem ci wszystko po drodze.

*

Słońce jeszcze nie wstało, ale chmury na wschodzie nabrały już purpurowej barwy, jakby podświetlał je szalejący za linią horyzontu pożar. Powietrze wciąż było chłodne i świeże, a ulice puste, obmyte niedawnym deszczem. Jako dziecko lubiłam tę pachnącą mokrym kurzem świetlistą szarość, z której powoli wyłaniały się kolory. Miałam wtedy wrażenie, że uczestniczę w misterium dla wybranych. Świat o świcie był niezapisaną kartką, oceanem budzących podniecenie możliwości, miał smak kawy zbożowej z mlekiem, przygody i dalekiej podróży. O świcie wyjeżdżałam na kolonie, a w latach nastoletnich o tej porze wymykałam się na spotkania z mieszkającym po sąsiedzku chłopakiem. Teraz świt kojarzył mi się już tylko z rozmazaną na chodniku krwią, ciałem wiszącego na drzewie człowieka, odcinającym się czernią od jaśniejącego nieba, i skacowanymi gębami o przekrwionych oczach. Mimo to doceniałam piękno wstającego dnia. Tylko przez chwilę, bo zaraz skupiłam się na słowach Wojtka.

– Mamy cztery trupy – mówił. – W czymś, co się nazywa Pogański Młyn. Taka leśniczówka koło Rudnika. Miejscowy gliniarz mówił mi, gdzie skręcić, mam nadzieję, że trafię...

– Kto ich znalazł?

– Jakaś krewna rodziny i jej facet.

– O której?

– Wczoraj koło trzeciej po południu.

– Nie spieszyle się z powiadomianiem Katowic – mruknęłam, ale Chodura pokręcił głową.

– Było zamieszanie. Ta krewna dostała zawału czy coś w tym rodzaju i musieli ją pilnie wieźć do szpitala. A potem okazało się, że jedna z ofiar w leśniczówce też żyje i mieli problem, czy wysłać drugą karetkę, czy może ta, która już odjechała, ma zawrócić.

– I co? – zapytałam, przez chwilę bardziej zainteresowana całym tym dramatem niż poczwórną zbrodnią.

– Podobno karetka zawróciła, bo drugą musieliby wysłać z Bielska, a nie bardzo był na to czas. – Wojtek wzruszył ramionami.

Minęliśmy Tychy, wstające słońce przeświecało czerwienią pomiędzy brzoźami, których białe pnie przemykały po prawej stronie. Na drodze pojawiało się coraz więcej samochodów, na poboczu ustawiła się już z koszem grzybów starsza kobieta w chustce. Otworzyłam okno i wyjęłam z kieszeni paczkę papierosów. Poczęstowałam Wojtka, ale on pokręcił żałośnie głową.

– Staram się ograniczać – wyjaśnił.

– Ilona dba o twoje zdrowie?

– Tak – roześmiał się lekko. – To chyba jej jedyna wada. Gdyby pół roku temu ktoś mi powiedział, że znajdę taką kobietę... To znaczy... – Urwał, zakłopotany, a ja litościwie wróciłam do poprzedniego tematu.

– Czyli jedna z tych czterech ofiar w leśniczówce przeżyła, tak? – upewniłam się, chowając paczkę. Moja córka już od dawna suszyła mi głowę, że powinnam rzucić.

– Pięciu – poprawił mnie. – Było pięć ofiar: jedna jeszcze żyła, więc odwieźli ją do szpitala. Nie wiem, w jakim stanie jest teraz.

Jeśli żyje i da się z nią porozmawiać, ta sprawa może być prostsza, niż zakładałam. Poczułam absurdalne ukłucie rozczarowania. Potrzebowałam tego śledztwa, potrzebowałam pracy od świtu do nocy. Żeby zapomnieć.

*

Na miejscu byli już członkowie ekipy technicznej, lekarz, prokurator i kilku miejscowych gliniarzy. Zobaczyłam także dwóch dziennikarzy, tych najbardziej cierpliwych, a może cierpiących na bezsenność. Kręcili się pod lasem w oczekiwaniu na właściwy moment. Czując się trochę jak dziecko, które przybywa spóźnione na przyjęcie, podeszłam do Jurka Krzaka, naszego prokuratora.

– Co tu mamy? – zapytałam.

– Cztery ofiary: dwoje dorosłych i dwójka dzieci. Piątą udało się uratować. – Skinął głową w kierunku stojącego pod drzewem tęgiego gliniarza. – Powinnaś najpierw pogadać z nim, on był tu pierwszy.

– W porządku.

Gliniarz, kołysząc solidnym brzuszyskiem, dreptał już w moją stronę przez trawnik. Wyszłam mu naprzeciw.

– Starszy posterunkowy Zdzisław Marczewski – przedstawił się. – Pani przyjechała z Katowic, tak?

– Komisarz Krystyna Lesińska. Z Katowic, owszem.

Przetarł spocone czoło chustką.

– Chce pani najpierw wejść do środka czy mam opowiedzieć, co tu się działo?

– Niech pan opowie.

Schował chustkę do kieszeni i wyjął notes w wytartej oprawie. Ktoś koślawymi dziecięcymi literami wydrapał na niej napis ZESZYT TATÓSIA. Nie powiem, rozbawiło mnie to odrobinę i zarazem usposobiło przychylnie do tego człowieka.

– Koło piętnastej przyjechała Róża Jaworska, siostra jednej z ofiar, razem z mężczyzną, który ją podwoził. Facet nazywa się Lech Kuleba i handluje lekami. Nie jest w żaden sposób spokrewniony z Jaworską ani z nikim z jej rodziny. A przynajmniej tak twierdzi.

– I ona tak po prostu złapała go na stopa? W środku lasu?

– Tak mówił. On, znaczy, bo ona nie bardzo była w stanie. Ale pani to już go dokładniej sama przepyta. Spisałem jego dane i puściłem gościa do domu, bo co miał tu siedzieć. Źle zrobiłem?

– Dobrze pan zrobił. Co dalej?

– Dalej to weszli oboje do domu...

– Oboje?

– No, ona go zaprosiła na kawę. Niby za to, że ją taki kawał drogi wiózł. Wtedy znaleźli te trupy i ona dostała jakiegoś ataku. Na szczęście on miał komórkę, ale trochę czasu zeszło, zanim złapał w tym lesie zasięg i zadzwonił na pogotowie, a potem do nas. Posterunkowy Lichoń zjawił się, jak tę babkę właśnie zabierali, zajrzał do leśniczówki, obszedł teren, no i...

– Okazało się, że jedna z ofiar żyje – dokończyłam, a Marczewski potaknął.

– Chłopak, na oko tak z piętnaście, szesnaście lat. Zabrali go do szpitala w Żywcu.

– Niech pan wyśle tam jednego ze swoich ludzi, żeby usiadł przed salą, w której leży dzieciak, i nie wpuszczał nikogo oprócz lekarzy i pielęgniarek. Tak na wszelki wypadek.

Skinął głową.

– A pozostali? – zapytałam.

Przełknął ślinę, jego twarz poszarzała. Zrozumiałam, że cokolwiek posterunkowy tam zobaczył, zostanie z nim już do końca życia.

– Mężczyzna koło trzydziestki i kobieta w podobnym wieku. Poza tym... dzieci, dwie dziewczynki. – Ostatnie słowo wymamrotał, bardzo starając się nie patrzeć na trzymany w dłoniach służbowy notatnik. Pewnie się wściekł, kiedy jego córka – byłam prawie pewna, że to córka – ukradła mu go i dla zabawy wydrapała ten napis. Może nawet złoił jej za to skórę. A teraz na samą myśl, że tam, w środku, mogłoby leżeć jego dziecko, miękły mu nogi.

– Wszyscy na pewno nie żyją?

– Sprawdziliśmy to najpierw my, a potem jeszcze lekarz. Dokładnie, bo po tym chłopaku... Myśleliśmy, że może chociaż któraś z dziewczynek... Ale nie, obie są martwe, co najmniej od kilkunastu godzin.

Podeszłam do drzwi leśniczówki, gdzie czekał Chodura w rękawiczkach i ochraniaczach na butach. Podał mi zestaw i weszliśmy – ja pierwsza, ostrożnie stawiając kroki, żeby nie zdeptać oznaczonych żółtymi tabliczkami śladów krwi, Wojtek za mną, dysząc mi nerwowo w tył głowy.

Pierwsze zwłoki znaleźliśmy już w korytarzu, dwa metry od drzwi. Mężczyzna leżał na plecach z rozrzuconymi rękami, szeroko otwarte oczy wpatrywały się w sufit. Wokół rozlewała się kałuża zakrzepłej krwi. Miał na sobie spodnie z miękkiego materiału, koszulkę polo i buty, które nijak nie wyglądały jak coś, co człowiek założyłby na wycieczkę do lasu. I był przystojny. Nigdy wcześniej nie pomyślałam tak o żadnej ofierze. Przywykłam do oglądania zupełnie innych martwych twarzy: ze starymi i nowymi śladami przemocy, obrzękłych od alkoholu i zniszczonych przez czas. Ten facet nawet po śmierci przypominał młodego Roberta Redforda.

– Jesteście pewni, że nie mamy tu jakiejś gwiazdy *Klanu*? – zapytałam. – Bo w takim razie trzeba się poważnie zastanowić, co powiedzieć tym dziennikarzom na zewnątrz.

To miał być dowcip, taki dla rozładowania atmosfery, ale Wojtek wymamrotał tylko „Yyy... chyba nie”, więc dałam spokój.

Przeszliśmy nad zwłokami – ekipa techniczna ustawiła dwa plastikowe stopnie, dzięki którym dało się to zrobić w miarę sprawnie, i poszliśmy dalej. W niewielkim saloniku leżała kobieta. W zasadzie wiedziałam już, czego się spodziewać, ale i tak mało brakowało, a wyrwałoby mi się ciche „O kurwa”. Na widok jej długich, jasnych, wypielęgnowanych włosów, różowego topu i getrów opinających zgrabne ciało przez moment miałam absurdalne wrażenie, że znalazłam się na planie amerykańskiego horroru o mordowanych siekierą cheerleaderkach.

Nożem, poprawiłam się od razu w myślach. Ta kobieta zginęła nie od siekiery, tylko od noża. Na stole obok najnowszego numeru „Twojego Stylu” zobaczyłam brzydki fajansowy kubek z wystygłą kawą, na ścianie wisiało jelenie poroże (w każdym innym miejscu uznałabym, że to plastikowa podróbka, ale tutaj pewnie było prawdziwe), przed wygasłym kominkiem rozciągała się poznaczona rozbryzgami krwi skóra dzika, a za stolikiem stała czerwonopomarańczowa kanapa. Kiedy mój syn chodził do przedszkola, miał wóz strażacki w tym samym odcieniu.

Usiłowałam wyobrazić sobie tę blondynkę pijącą kawę z fajansowego kubka na czerwonopomarańczowej kanapie i z jelenim porożem za plecami, ale wyobraźnia odmówiła mi posłuszeństwa.

W łazience niczego ciekawego nie znaleźliśmy. Niewiele większą wnękę kuchenną z pordzewiałym zlewem i stojącym nad nim rzędem poobijanych kubków, jeszcze brzydszych niż ten w salonie, obejrzałam w progu, nawet nie wchodziłam do środka. Spieszyło mi się na piętro. Wiódł tam szlak ułożony z krwawych odcisków stóp, tak wyraźnych, że wyglądały jak z komiksu. Ktokolwiek urządził tę rzeźnię, nie kłopotał się zacieraniem śladów.

Na piętrze znajdowały się tylko dwa pomieszczenia: sypialnia rodziców, w której panował nienaganny porządek, i pokój dzieci. Spodziewałam się zastać tam obie dziewczynki, ale była tylko jedna: pięcio- albo sześćioletnia, równie jasnowłosa jak jej rodzice. Spodziewałam się też krwawej łaźni – przygotowałam się na ten widok, zbierając wszystkie moje siły, lata porannych pobudek, idiotycznych żartów rzucanych nad stygnącymi zwłokami i koszmarnych widoków. Niepotrzebnie, bo dziewczynka leżała w łóżeczku spokojnie, jak śpiący aniołek, z podciągniętą pod brodę kołderką. Nie musiałam jej nawet odsłaniać, by wiedzieć, że na ciele dziecka nie będzie żadnych ran, patolog za to prawdopodobnie znajdzie na jej twarzy włókna z leżącej obok łóżka ozdobnej poduszki.

Na nocnym stoliku stała buteleczka dziecięcego syropu na kaszel, obok leżały termometr i książka. *Kubuś Puchatek*. Jeśli mała czytała to samodzielnie, musiała być nad wiek rozwiniętym dzieckiem.

Mój partner wydał z siebie chrapliwy, prawie zwierzęcy dźwięk. Odwróciłam się. Wojtek zrobił ruch, jakby miał zamiar rzucić się w stronę dziewczynki i spróbować sztucznego oddychania. Złapałam go za ramię.

– Ona nie żyje – powiedziałam łagodnie.

– C...co? – Miał nieprzytomne oczy człowieka budzącego się z głębokiego snu.

– Możesz jej dotknąć. Przekonasz się, że jest zimna i sztywna.

Sama nie zamierzałam tego robić, ufałam pod tym względem lekarzowi. Zresztą dziecko tylko na pierwszy rzut oka sprawiało wrażenie śpiącego. Jeśli człowiek wiedział, na co patrzeć – a ja przecież wiedziałam – widać było wyraźnie, że jest martwe.

Wojtek Chodura wyciągnął rękę, a potem ją cofnął. On też w gruncie rzeczy zdawał sobie sprawę, że małej już nic nie pomoże.

– Gdzie druga? – zapytałam. – Jest tu jeszcze jakieś pomieszczenie?

– Z tyłu domu – mruknął. – Ostatnie zwłoki są z tyłu.

– Na zewnątrz?

Skinął głową, a ja poczułam przyływ irytacji. Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? Marczewski mógł sądzić, że dowiem się tego od Wojtka albo od prokuratora, a Wojtek, że od Marczewskiego. Takie pomyłki się zdarzały, to nic nie znaczyło, a jednak wciąż byłam zdenerwowana. Miałam wrażenie, że biegnę zdyszana za tymi wszystkimi ludźmi, którzy znaleźli się tu przede mną, i przez krótką złą chwilę zastanawiałam się, czy kiedykolwiek dam radę ich dogonić. Może powinnam jednak pójść na ten urlop albo przynajmniej zostać na razie przy mniej skomplikowanych sprawach...

Odetchnęłam, biorąc się w garść.

– Chodźmy – powiedziałam.

*

Na tyłach leśniczówki spory kawałek terenu otaczała policyjna taśma. Przeszliśmy pod nią. W bujnej trawie stał żółty namiot, niedaleko szemrał strumyk. Przebudzone ptaki darły się w gałęziach zdziczałych jabłoni, słońce świeciło coraz mocniej, rozpraszając poranną mgłę. W powietrzu unosił się świeży zapach ziół, których nie potrafiłam zidentyfikować.

I krwi.

Dziewczynka leżała niecałe pięć metrów od namiotu. Na brzuchu, z jedną ręką podłożoną pod policzek, a drugą wyciągniętą, jak porzucona szmaciana lalka. W różowych kaloszkach z wizerunkiem Małej Syrenki i różowych dresowych spodniach. Koloru koszulki nie dało się rozpoznać. Niegdyś też mogła być różowa, teraz miała barwę ciemnej purpury, tak samo jak większość długich jasnych włosów. W rozdarcjach materiału widziałam głębokie rany otwierające się w ciele dziecka niczym szereg krzyczących ust. Jeden z ciosów trafił w kark, omal nie ucinając dziewczynce głowy.

– Boże – powiedział Wojtek, ale o dziwo wydawał się znacznie spokojniejszy. Może dlatego, że to dziecko z pewnością już nie żyło. A może zdążył się

przygotować na ten widok.

Ruchem dłoni przywołałam czekającego za taśmą Marczewskiego. Podszedł niepewnie, starając się nie patrzeć w stronę ciała.

– Gdzie znaleźliście chłopaka? – zapytałam.

– Przy namiocie. On tam chyba spał. To znaczy w środku są rzeczy, które wyglądają na jego. Jakieś bluzy, koszulki z nazwami zespołów. Takie tam.

– Ale chłopak był na zewnątrz?

– Tak. Siedział oparty plecami o namiot. Jak pani podejdzie bliżej, to zobaczy ślady krwi na trawie.

– Też został zaatakowany nożem?

– Chyba, chociaż nie przyglądałem się za bardzo. Chcieliśmy go stąd jak najszybciej zabrać.

– Był przytomny?

– Nie. Mówiliśmy do niego, ale zupełnie nie kontaktował.

– W porządku. Coś jeszcze powinnam wiedzieć?

– Znaleźliśmy coś, co mogło być narzędziem zbrodni. Pani pójdzie za mną.

Nie musieliśmy iść daleko. Tuż przy linii lasu, w kępie wysokich pokrzyw, leżało bardzo długie ostrze, osadzone na nieco krótszym trzonku. Nigdy w życiu nie widziałam takiego noża. Wyglądał bardziej jak bagnet niż coś, czego można używać w kuchni.

Marczewski musiał dostrzec moje zakłopotanie, bo pospieszył z wyjaśnieniem.

– To do grilla. W komplecie jest jeszcze widelec, też duży. Wszystkie takie rzeczy zwykle leżą tam, pod wiatą. – Wskazał zbudowany z sosnowych bali daszek, obok którego znajdowało się miejsce na ognisko.

– Pan tu bywał już wcześniej?

– Tak, całkiem często. Poluję, tak samo jak mój brat.

– Ci ludzie to też myśliwi?

– Nie wiem, chyba nie. W każdym razie ja ich nie znam. Ale nasz prezes czasem udostępnia tę leśniczówkę znajomym tak po prostu, na wakacje. Jego pani musi pytać.

– A samochód?

– Co?

– Przecież ta rodzina nie przysłała tu pieszo. Musieli czymś przyjechać.

– A! Mieli volvo, stoi tam, za krzakami.

Spojrzałam we wskazanym kierunku. Promień słońca odbił się od srebrnego metalu, ujawniając ukrytą w gęstych liściach karoserię.

– Niech pan powie technikom, że mogą zabezpieczyć ten nóż czy co to jest. Ciała też można już zabrać. – Grzało coraz mocniej, jeszcze godzina–dwie, a zwłoki zaczną cuchnąć.

Podeszłam do samochodu. Jeden z dziennikarzy, uznawszy zapewne, że po wizycie w leśniczówce jestem gotowa, by podzielić się z nim wiedzą, ruszył w moją stronę. Mokra od rosy trawa zostawiała na jego nogawkach wilgotne ślady, buty miał ubłocone i wyglądał na kogoś, kto pilnie potrzebuje kawy i śniadania.

– Czy może pani skomentować sytuację? Ile martwych osób jest w środku?

– Przykro mi, ale nie mogę w tej chwili odpowiedzieć na żadne pytanie. Pracujemy nad sprawą.

– Czy to prawda, że jest tam cała zamordowana rodzina? W tym dzieci?

– Przykro mi, ale nie mogę w tej chwili odpowiedzieć – powtórzyłam jak automat, w duchu błogosławiąc nieskoszoną trawę, która przysłoniła zwłoki drugiej dziewczynki. – Komenda policji w Katowicach wyda oświadczenie, kiedy tylko będziemy znali więcej szczegółów.

Cyknął mi fotkę prawdopodobnie w chwili, gdy miałam wyjątkowo głupią minę, i odszedł do czekającego pod drzewem kolegi. Ja odwróciłam się w stronę samochodu – nowego i zadbanego, jeśli nie liczyć ptasiej kupy na masce z przodu. Drzwi okazały się zamknięte, ale szyba od strony kierowcy była lekko opuszczona. Właściciel tego auta albo bywał zapominalski, albo uznał, że w takiej głuszy nie musi obawiać się złodziei.

Założyłam z powrotem rękawiczki, wsunęłam rękę przez szparę i otworzyłam volvo od środka. W schowku przy kierownicy znalazłam dowód rejestracyjny i prawo jazdy wystawione na nazwisko Krystiana Aleksandrowicza zamieszkałego w Katowicach.

– Przynajmniej teraz wiemy, że to nie gwiazda Klanu – powiedział Wojtek, zaglądając mi przez ramię. – Ilona lubi ten serial – dodał usprawiedliwiająco – dlatego znam nazwiska głównych aktorów.

Nie po raz pierwszy, wspominając żonę, zakłopotał się lekko, jakby w opowiadaniu o małżeńskim szczęściu było coś niewłaściwego. Westchnęłam. Kiedyś będę musiała przeprowadzić tę rozmowę, ale nie tutaj i nie teraz.

– Spróbujemy odtworzyć, co mogło się stać – zaproponowałam, wyjmując z torebki paczkę marlboro. Tym razem Wojtek przyjął poczęstunek. – Rodzina Aleksandrowiczów przyjeżdża na urlop do Pogańskiego Młyna. Jest ich pięcioro: ojciec, matka, starszy syn i dwie młodsze dziewczynki. – Nastolatek wydawał się trochę za stary jak na dziecko pary koło trzydziestki, jednak ten problem odłożyłam na później. – Rodzice zajmują jeden pokój, a dziewczynki drugi. Chłopak śpi w namiocie. Może się buntuje i chce być niezależny, może to ma być rodzaj przygody. Spędzają tu jakiś czas. Jedna z dziewczynek łapie przeziębienie, ale nie na tyle poważne, żeby rodzina myślała o powrocie do domu: ot, mała leży po prostu w łóżku z książką i syropkiem. Druga córka bawi się na zewnątrz, a chłopak robi to, co robią chłopcy w jego wieku: włóczy się po lesie, słucha w namiocie muzyki albo ogląda pornosy. Morderca przychodzi... O której?

– Lekarz mówił, że nie żyją od kilkunastu godzin, może trochę dłużej – bąknął Wojtek.

– Tak, ale co to znaczy? Zginęli koło południa? Wcześniej, później?

– Wcześniej – zdecydował.

– Dlaczego?

– Dziewczynka, ta na zewnątrz, ma na sobie długie spodnie, a wczoraj był upał i bliżej południa matka pewnie przebrałaby ją w szorty albo letnią sukienkę. Poza tym ta kobieta... jest w stroju jak do aerobiku. Ćwiczyła, czyli musiało być raczej rano. Ilona... – Urwał, a ja pomyślałam, że będę musiała kiedyś palnąć go w ten durny łeb.

– Brzmi rozsądnie. Czyli morderca przychodzi rano, kiedy jest jeszcze dosyć chłodno. Nie ma zamiaru nikogo zabijać, bo nie przynosi ze sobą broni. Po prostu łapie nóż, który znajduje obok grilla, i atakuje... Kogo najpierw?

Wojtek poruszył się niespokojnie. Strużki dymu wiły się powoli w przejrzystym powietrzu. Ostatnie krople rosy drżały lekko na pajęczynie rozpiętej między przekwitającymi różami. Słońce zapalało w nich błyski, delikatne podmuchy wiatru niosły ze sobą zapach butwiejących liści i popiołu z ogniska. Woń jesieni.

– Chyba dzieci na zewnątrz.

– Czemu tak myślisz?

– Dziewczynka mogła spanikować, ale chłopak był starszy. Zauważyłby, że coś się dzieje w leśniczówce, usłyszałby krzyki i albo starałby się pomóc, albo uciekłby z siostrą do lasu. A oboje zostali znaleźieni blisko domu.

Skinęłam głową, choć nie do końca przekonywał mnie ten wywód.

– Co dalej?

– Ojciec wychodzi mordercy naprzeciw i zostaje zabity w korytarzu. Matka w salonie. Może próbowała się ukryć albo ćwiczyła przy głośnej muzyce i nie usłyszała krzyków. Potem ostatnia osoba, czyli dziewczynka na piętrze...

– Jej nie zabił nożem. Czemu?

Wojtek zastanowił się.

– Nie widział potrzeby. Mała leżała spokojnie, nie uciekała. Może nawet spała.

To ostatnie miało sens. Możliwe, że matka podała choremu, marudzącemu dziecku jakiś łagodny środek nasenny. Cała reszta sensu nie miała: była zbyt duża różnica pomiędzy wściekłością, z jaką została zaatakowana pierwsza dziewczynka, a spokojną, niemal litościwą śmiercią, jaka spotkała drugą. Mogłam to powiedzieć Wojtkowi, skupiałam się jednak na kwestii znacznie prostszej i bardziej oczywistej.

– Jak myślisz, czemu oni tu przyjechali?

Gapił się na mnie, nie rozumiejąc.

– No, na wakacje. Sama tak powiedziałaś.

– Tak, ale dlaczego taka rodzina miałaby wybrać na urlop akurat to miejsce? – Westchnęłam, bo najwyraźniej nadal do niego nie docierało. – Oni są bogaci. Ten wóz musiał kosztować trzysta, czterysta tysięcy. A widziałeś ich ciuchy? Idę o zakład, że ani matka, ani ojciec nie byli fanami łażenia po krzakach. Mógłbyś ich spotkać na wczasach w eleganckim zagranicznym ośrodku, a nie w głuszy na zadupiu. A nawet gdyby przyszła im fantazja, żeby się wybrać do lasu, znaleźliby mnóstwo znacznie lepszych miejsc, w których mieliby plac zabaw dla dzieci, ciepłe śniadanie rano i darmowe drinki wieczorem.

– Nie wiem... – Wojtek pokręcił niepewnie głową, ale zaraz się ożywił. – A może to właśnie był motyw? No wiesz, ktoś z miejscowych zauważył, że tacy bogacze siedzą w leśniczówce, i postanowił wykorzystać okazję?

– To nie było morderstwo rabunkowe. Pierścionki na palcach kobiety wyglądają na drogie i nikt nie ruszył samochodu, chociaż zostawili otwarte okno. Poza tym gdyby wiejscy bandyci chcieli ich zabić i obrabować, przyszliby z własną bronią, a nie liczyli, że znajdą coś na miejscu.

– No to nie mam pojęcia. – Patrzył, jak przez trawnik niosą ciała. Dwa duże i dwa małe, jedno za drugim.

Ja też patrzyłam, choć chciałam odwrócić wzrok, spojrzeć raz jeszcze na pajęczynę z kroplami wody, las i kępę pokrzyw z krążącym nad nią tłustym trzmielcem. Cokolwiek. Dziennikarze zrobili kilka zdjęć, ale nawet oni wyglądali, jakby myśleli w tej chwili o zmianie pracy.

– Co teraz? – zapytał Wojtek, przydeptując niedopałek papierosa. Podniósł go zaraz, zawinął w papierową chusteczkę i wsadził do kieszeni. Technicy mieli i tak wystarczająco dużo roboty bez wykluczania ze śledztwa nas dwojga.

– Teraz pojedziemy do szpitala pogadać z chłopakiem i kobietą, która znalazła ciała. O ile oczywiście żyją i będą w stanie z nami rozmawiać.

Mówiłam o obojgu, ale tak naprawdę chodziło mi głównie o chłopca. To on był kluczem do całego tego koszmaru.

*

Najpierw jednak musiałam zrobić kilka rzeczy. Podzieliłam zadania pomiędzy miejscowych gliniarzy a grupę pomocniczą, która tymczasem dojechała z Katowic. Jednym kazałam przeszukać dokładnie Pogański Młyn oraz teren dookoła – teraz, kiedy technicy skończyli swoją pracę, mogli to robić swobodnie – i przy okazji spisać wszystko, co przywieźli ze sobą Aleksandrowiczowie. Praca nudna i monotonna, ale może uda się trafić na coś interesującego. Innym poleciłam zrobić wywiad w najbliższej wiosce. Gdzie rodzina jeździła na zakupy, z kim się kontaktowała, czy miała tu znajomych, jak często i przy jakich okazjach była tam widywana. Kiedy wreszcie pod lasem znalazłam zasięg, wybrałam na komórkę numer Lecha Kuleby. Telefon dzwonił i dzwonił, a ja zaczęłam już dochodzić do wniosku, że facet mimo wyraźnego polecenia, by nie ruszał się z domu, gdzieś sobie poszedł, kiedy w słuchawce odezwało się zaspane „Halo?”.

Oznajmiłam, że w ciągu najbliższej godziny zjawi się u niego policjant, żeby zdjąć odciski palców i zabrać buty, które Kuleba miał na sobie, gdy wszedł do

leśniczówki. Potem umówiliśmy się na spotkanie: jakoś między dziewiątą a dwunastą, bo nie miałam pojęcia, kiedy uda mi się pogadać z kobietą i chłopakiem ani ile mi te rozmowy zajmą, a Kuleba mieszkał w Żywcu. Facet przyjmował wszystko z pokorą kogoś, kto wciąż nie wyszedł z szoku. Gdybym kazała mu zjawić się za pięć minut w katowickiej komendzie, pewnie odruchowo też by się zgodził. Pod koniec rozmowy jednak udało mu się mnie zaskoczyć.

– Jak się czuje Róża? – zapytał.

A więc byli już po imieniu. Interesujące.

Powiedziałam coś wykrętnego i jednocześnie uspokajającego – a przynajmniej miałam nadzieję, że zabrzmiało to uspokajająco.

– Martwię się o nią – wymamrotał w słuchawkę. – Myśli pani, że mógłbym ją odwiedzić w szpitalu?

– Nie w najbliższym czasie – odparłam dyplomatycznie. Wiedziałam, że Róża Jaworska będzie potrzebowała teraz każdego wsparcia, jakie tylko zdoła dostać, ale nie chciałam, by dwoje z trojga głównych świadków gawędziło sobie, zanim porządnie ich nie przemagluję. Kiedy się rozłączyłam, podszedł do mnie Wojtek.

– Dodzwoniłem się do prezesa lokalnego koła łowieckiego – powiedział. – Facet twierdzi, że udostępnił leśniczówkę Aleksandrowiczowi na dwa tygodnie od siedemnastego do trzydziestego sierpnia.

– Skąd go znał?

– Właściwie to nie znał. Znaczący Franciszek Urbanek jest biznesmenem i Aleksandrowicz też, więc widywali się czasem przy oficjalnych okazjach, ale nie robili razem interesów ani się nie przyjaźnili. Po prostu kojarzyli się nawzajem z twarzy i mówili sobie „dzień dobry”. Urbanek zdziwił się, kiedy Aleksandrowicz zadzwonił w maju do jego firmy i zapytał, czy w drugiej połowie sierpnia leśniczówka będzie wolna. Nie była, mieli tam spędzać czas krewni Urbanka, ale Aleksandrowicz chciał zapłacić tyle, że prezesowi opłacało się przekonać tych krewnych, żeby znaleźli sobie inne miejsce na wczasy.

– I to właśnie go tak zdziwiło? Że ktoś chce zapłacić kupę kasy za urlop na łonie natury?

– Że tak bardzo mu na tym zależało – uściślił Wojtek. – Urbanek sądził, że może Aleksandrowicz nagle złapał myśliwskiego bakcyła i stąd ten wyjazd, dlatego chciał wziąć faceta na polowanie i generalnie pokazać co i jak. Tylko że

Aleksandrowicza strzelanie do zwierząt nie interesowało. Kiedy już wiedział, że dostanie te dwa tygodnie w leśniczówce, nie zamierzał słuchać ani o podchodzeniu dzików, ani o urokach miejscowej przyrody. Po prostu podziękował, zapytał o numer konta, na który ma przelać pieniądze, i tyle.

To potwierdzało moje pierwsze wrażenie. Aleksandrowiczowie nie przyjechali tutaj, ponieważ byli miłośnikami podglądania ptaków czy szukania tropów dzikich zwierząt.

Ponownie wyjęłam komórkę i wybrałam numer do szpitala. Czekając na połączenie, usiadłam na pniu ściętego drzewa i rozglądałam się wokół. Teraz, kiedy ciała zostały zabrane, zapanowała luźniejsza atmosfera, jakby wcześniej martwa rodzina obserwowała uważnie każdy nasz krok. Jeden z policjantów przeczesujących teren pod lasem powiedział coś do drugiego i obaj się roześmieli. Marczewski, siedząc przy grillu, jadł wielką dmuchaną bułkę z kiełbasą – nawet z tej odległości dolatywał do mnie przyjemny jałowcowy zapach.

Chwilę trwało, nim udało mi się skontaktować z lekarzem, który operował syna Aleksandrowiczów. Po usunięciu śledziony chłopak żył i nawet był we względnie dobrym stanie. Obydwa ciosy szczęśliwie nie uszkodziły ważniejszych organów, choć mało brakowało, a wykrwawiłby się na śmierć. Poprosiłam o przełączenie do lekarza opiekującego się Różą Jaworską, na co doktor Zarzeczny tylko się roześmiał.

– Jestem chirurgiem, nie internistą, ale o Jaworskiej też mogę pani opowiedzieć. Tu już cały szpital wie, że z jednego zdarzenia przywieźli dwie ofiary i jak one się czują. U Jaworskiej podejrzewano zawał, ostatecznie jednak okazało się, że to tylko atak paniki. Obecnie kobieta jest w całkiem dobrym stanie.

– W porządku, będziemy tam za pół godziny.

Rozejrzałam się za Wojtkiem, ale on czekał już przy samochodzie. Dobry chłopak.

Zbliżaliśmy się powoli do szpitala, kiedy łamiąc przepisy, skręciłam nagle i przecięłam ciągłą linię. Wojtek spojrzał na mnie zdziwiony.

– Najpierw chcę pogadać z tym biznesmenem – wyjaśniłam. – Potem dopiero z Jaworską.

– A jakie to ma znaczenie?

– Prawdopodobnie żadne – przyznałam. – Ale powiedzmy, że mam przecucie.

Kuleba mieszkał na Osiedlu Młodych w bloku z wielkiej płyty. Już na klatce schodowej poczuliśmy zapach świeżo upieczonego ciasta, a kiedy gospodarz otworzył drzwi, smakowita, ciepła woń buchnęła nam prosto w twarz.

– Upiekłem szarlotkę – oznajmił. – Gotowanie i pieczenie zawsze mnie uspokajało. Mam nadzieję, że nie macie państwo nic przeciwko, jeśli was poczęstuję.

Zdziwiłam się, ale nie jakoś szczególnie. Widywałam już dziwniejsze rzeczy niż facet w średnim wieku częstujący policjantów osobiście upieczonym ciastem. Chodura za to wyglądał na zdezorientowanego i nawet podejrzliwego, jakby zamierzał aresztować gospodarza za próbę otrucia.

Usiedliśmy przy stoliku w minimalistycznie urządzonym, ale wysprzątanym i całkiem przytulnym pokoju. Próbowałam być profesjonalna, odmówiłam więc, gdy Kuleba podsunął nam talerz z szarlotką. Wojtek najwyraźniej przełamał opory, bo sięgnął po jeden kawałek, a potem drugi i trzeci. Cóż, to tyle, jeśli chodzi o profesjonalizm.

Kuleba skubał swoją porcję, popijając ją kawą. Miał pulchną figurę i sympatyczną, nijaką twarz z gatunku tych, których nigdy się nie zapamiętuje. Gdyby był aktorem, grywałby pewnie łagodnych bibliotekarzy albo seryjnych morderców – do wyboru.

– Wciąż widzę tych ludzi – powiedział, nie patrząc nam w oczy. – Kiedy wróciłem do domu, musiałem wziąć tabletkę, bo inaczej bym nie zasnął, a dzisiaj

odwołałem wszystkie spotkania. Pracuję dla firmy... Nieważne zresztą, państwa to pewnie nie interesuje.

– Proszę opowiedzieć o wczorajszym dniu. Gdzie i o której spotkał pan Różę Jaworską?

– Była czternasta trzydzieści, jechałem właśnie na spotkanie z klientem. Róża stała na poboczu i machała do mnie. Zazwyczaj nie biorę autostopowiczów, ale ona... Wyglądała, jakby naprawdę potrzebowała pomocy, a poza tym sprawiała wrażenie porządnej kobiety, dlatego się zatrzymałem. Powiedziała, że jedzie odwiedzić rodzinę, która spędza urlop w leśniczówce, ale zepsuł jej się samochód i teraz idzie pieszo.

– Gdzie zostawiła auto?

– Pięć, może sześć kilometrów przed Rudnikiem, przy znaku z ograniczeniem prędkości.

Zanotowałam w myślach, żeby znaleźć ten samochód, a potem spróbowałam policzyć dystans. Pięć kilometrów do Rudnika i pięć kolejnych do leśniczówki. Konkretny spacer. I nieszczerólnie przyjemny, bo przez dłuższy czas szło się poboczem dość ruchliwej wiejskiej drogi.

– Nie zdziwiło to pana? Łatwiej byłoby chyba wrócić autobusem i odłożyć wizytę u krewnych na inny dzień.

– Nie myślałem o tym. Może uznała, że kiedy już do nich dotrze, odwiezą ją do domu? Nie mam pojęcia.

– W porządku, czyli zgodził się pan ją podwieźć. Co dalej?

– Z początku miałem ją podrzucić tylko do Rudnika, ale potem pomyślałem, że w sumie równie dobrze mogę podjechać do tej leśniczówki. Nie spieszyło mi się i nie chciałem, żeby Róża chodziła sama po lesie. Dotarliśmy na miejsce i...

Umilkł i siedział przez dłuższą chwilę jak wyłączony robot, z obwisłymi policzkami i pustym wzrokiem wbitym w przestrzeń. Ta część historii sprawiała mu największy problem.

– Zaprosiła pana na kawę – podpowiedział Wojtek. Nie powinien tego robić, ale zyskaliśmy przynajmniej tyle, że Kuleba się ożywił i podjął wątek.

– Tak, zaprosiła mnie na kawę. Weszliśmy do domu...

– Kto wszedł pierwszy?

– Nie pamiętam. Chyba Róża. Czemu pani pyta?

– Dotykał pan czegoś? – Pomięłam jego pytanie milczeniem.

– Klamki u drzwi i potem... Nie wiem. Paru rzeczy w korytarzu, tak sędzę. Tam była... krew. Dużo krwi. Róża zaczęła krzyczeć...

– Weszliście dalej?

Skinął głową, lekko zielony na twarzy. Musiał żałować z całych sił, że na widok pierwszej czerwonej smugi nie odwrócił się i nie zwał gdzie pieprz rośnie.

– Ja nie chciałem, ale Róża biegła dalej i wołała... Swoją siostrę chyba. Tak, Kalina, to imię jej siostry. Poszedłem za nią, a wtedy ona upadła i wyglądała, jakby zaczęła się dusić. Wyciągnąłem ją stamtąd, wlokłem przez... przez całą tę krew...

– Na piętro nie wchodziliście?

– Nie, chciałem po prostu jak najszybciej stamtąd wyjść.

To oznaczało, że ślady na parterze będą zdeptane, ale na piętrze mogliśmy znaleźć coś ciekawego. Przypomniałam sobie równy rząd czerwonych odcisków stóp na schodach i to, jak odruchowo przypisałam je mordercy. Wyglądało na to, że mogłam mieć rację.

Dalszą część historii mniej więcej znałam. Kuleba biegał po lesie, szukając zasięgu, podczas gdy Róża Jaworska dusiła się na trawniku przed leśniczówką – a przynajmniej tak mu się zdawało. Wreszcie zdołał wezwać pogotowie i policję. Młody posterunkowy na widok rzeźni w leśniczówce najpierw zwymiotował, a potem na dłuższą chwilę zupełnie stracił głowę. Kiedy doszedł do siebie, okazało się, że jedna z ofiar wciąż oddycha i trzeba udzielić jej pierwszej pomocy. W rezultacie Marczewski, pierwsza kompetentna osoba na miejscu zbrodni, dotarł tam dopiero wieczorem. Spisał dane świadka, zlitował się i puścił go do domu. Gdy Kuleba wsiadał do samochodu, słyszał jeszcze, jak starszy posterunkowy mówi, że trzeba będzie zawiadomić Katowice.

Jeśli zrobili to od razu, naszemu dyspozytorowi sporo czasu zajęło, zanim zdecydował, że to ja jestem osobą, którą należy obudzić. A jeszcze dwa tygodnie temu byłabym najbardziej oczywistym wyborem.

Kuleba skończył mówić i wyraźnie czekał na moją reakcję. Chrząknęłam, odstawiając na stolik filiżankę z kawą.

– Czy podjeżdżając do leśniczówki, zauważył pan coś nietypowego?

Nie lubię zadawać tego pytania. Zazwyczaj jest albo zbyt ogólne – bo co to właściwie znaczy „coś nietypowego”? – albo sugeruje świadkowi odpowiedź, zwłaszcza gdy wchodzi się już w szczegóły. Czasami jednak dzięki temu można dowiedzieć się ciekawych rzeczy.

– Co takiego? – Kuleba zmarszczył brwi. – Kogoś, kto kręciłby się w pobliżu leśniczówki?

– Na przykład. Ale to mógł być równie dobrze jakiś drobiazg, coś, co wydawało się nie pasować i po prostu zwróciło pana uwagę.

Pokręcił powoli głową.

– Niczego takiego nie pamiętam. Po prostu sobie rozmawialiśmy. To był bardzo miły dzień, dopóki...

Dopóki się nie skończył w sposób najgorszy z możliwych, uzupełniłam w myślach.

*

Chłopak wciąż był nieprzytomny po operacji i nie zanosilo się na to, by prędko miał się obudzić, ale Róża Jaworska, uprzedzona przez lekarza, czekała na nas w swoim pokoju.

Szliśmy długim szpitalnym korytarzem, słuchając skrzypienia naszych butów na linoleum, gdy chwyciłam Wojtka za łokieć.

– Zaczekaj – powiedziałam, a kiedy odwrócił się w moją stronę, dodałam szybko: – Ty z nią pogadaj.

– Dlaczego? – W jego oczach pojawił się błysk. Zrozumiał albo przynajmniej wydawało mu się, że rozumie.

– Jesteś w tym lepszy niż ja. Poklepywanie po plecach rozpaczających krewnych to nie moja działka.

Zgodził się z lekkim ociąganiem. Nikt nie przepada za tym elementem naszej pracy.

Róża Jaworska siedziała na łóżku podparta wielką poduchą, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w drzwi. W białej szpitalnej koszuli i ze starannie uczesanymi włosami, o ton ciemniejszymi niż włosy siostry, wyglądała czysto i schludnie. Zupełnie nie jak rozpaczająca krewna, choć wiedziałam, że to

niekoniecznie cokolwiek znaczy. Jaworska chciała wyrzeć na nas dobre wrażenie, ale i tak w każdej chwili mogła wybuchnąć płaczem. Widziałam napięte mięśnie na jej twarzy, sztywną linię ramion i długie, blade palce skubiące brzeg kołdry.

Przysunęłam sobie krzesło, a Wojtek usiadł na drugim, wolnym łożku. Kiedy nie udaje tępawego gliniarza, potrafi sobie radzić z rodzinami ofiar. Nie jakoś szczególnie dobrze, ale na pewno lepiej niż ja – to akurat było prawdą. Jak na razie szło mu całkiem nieźle. Jaworska zapytała: „Co z dziewczynkami?”, a kiedy Wojtek odparł: „Bardzo mi przykro”, przyjęła to bez hysterii, jakby takiej odpowiedzi się spodziewała.

O chłopaku nie wspomniała. Już wtedy zwróciło to moją uwagę.

Wojtek poprosił ją o podanie imion siostry, jej męża i ich dzieci.

– Kalina Aleksandrowicz, z domu Jaworska. Jej mąż, Krystian. Dziewczynki: Basia i Tereska. I Kuba, syn Krystiana z pierwszego małżeństwa.

Było coś w jej głosie, kiedy mówiła o chłopcu. Jakiś dziwny, prawie porozumiewawczy ton, jakbyśmy mieli wspólną tajemnicę. Taką, o której nie wypada głośno mówić. Pomyślałam, że trzeba ją będzie potem o to przycisnąć.

Na razie Wojtek pytał o proste, w miarę bezpieczne rzeczy. Adres, najbliższa rodzina, przyjaciele Aleksandrowiczów. Jaworska mieszkała w Sosnowcu z wymagającą opieką matką, rodzice Krystiana nie żyli od kilkunastu lat. Siostry Jaworskie oraz młody Aleksandrowicz znali się od dawna i mieli kilkoro wspólnych przyjaciół jeszcze z czasów studenckich, a parę lat temu Krystian wraz z żoną znaleźli sobie też nowe towarzystwo składające się głównie z biznesmenów i pomniejszych politycznych szych. Aleksandrowicz niedawno zapisał się do ZChN-u, ale choć miał ambicje, niewiele zdążył zdziałać. Podziękowałam za to w duchu wszystkim wyższym siłom, bo gdyby zginął jako poseł, prasa zjadłaby nas żywcem.

Wojtek pilnie notował wszystkie nazwiska.

– Czy ktoś z tych ludzi mógłby mieć jakąś urazę do pani rodziny?

Pokręciła głową.

– Nie, mój szwagier był... uroczym człowiekiem, a Kalina... Ona tylko zajmowała się dziewczynkami. Nie mogli mieć żadnych wrogów. Oczywiście...

Urwała. Coś ją dręczyło, widziałam to wyraźnie na jej twarzy.

– Tak? – Wojtek znów spróbował współczującego tonu, ale tym razem to nie zadziało. Jaworska jeszcze bardziej zamknęła się w sobie.

– Oczywiście, że nie mieli żadnych wrogów – powtórzyła uparcie.

Ofiary zawsze są idealne, nigdy nie robią nic, za co ktoś chciałby je zabić. Cóż, Jaworska miała prawo ich tak postrzegać. Ja pomyślałam, że trzeba będzie przyrzeć się poważnie interesom Aleksandrowicza.

– Była pani z siostrą blisko? – zapytałam, zmieniając temat, a Jaworska drgnęła lekko, jakby nie sądziła, że kiedykolwiek się odezwę.

– Kiedyś tak, ale ostatnio... Ona miała swoje życie, a ja swoje. Nie spotykaliśmy się już tak często. Dzwoniłyśmy za to do siebie co najmniej dwa razy w tygodniu.

– Kiedy ostatni raz rozmawiała pani z siostrą? – Wojtek z powrotem przejął rozmowę.

– Przedwczoraj wieczorem. Wtedy właśnie zaprosiła mnie do leśniczówki. Powiedziała, że zrobimy grilla, a potem przenocuję na kanapie i wrócę do domu rano.

– Nie mówiła pani przypadkiem, że pani matka wymaga opieki?

Poczerwieniała lekko.

– Nie w takim sensie. Mama... po prostu bywa trochę trudna, ale bez problemu mogę zostawić ją samą na jeden dzień.

– Musiało pani bardzo zależeć na tym grillu – wtrąciłam niewinnie. – Gdyby to mnie się zepsuł samochód, zadzwoniłabym po lawetę, a sama wróciłabym do domu autobusem.

Spojrzała na mnie czujnie. Trwało to kilka sekund, a ja niemal widziałam kręcące się pod kopułą jej czaszki małe zębate kółeczka.

– Mam starego dużego fiata. Nawet gdyby ktoś go ukradł, to nie byłaby wielka strata. A z Rudnika nie ma dobrych połączeń autobusowych. Pomyślałam, że łatwiej będzie iść dalej pieszo zamiast zawracać i szukać transportu z powrotem do Sosnowca.

Brzmiało to nawet prawdopodobnie, ale nie uwierzyłam jej za grosz.

– Znała pani drogę?

Przytaknęła.

– Kiedy byliśmy małe, ojciec nas czasem zabierał do tej leśniczówki. My jesteśmy z Żywca, wie pani. Tam się wychowyaliśmy.

– Dlatego właśnie pani siostra zdecydowała się wyjechać na urlop do Pogańskiego Młyna? Taka sentymalna podróż w czasy dzieciństwa?

Znowu zrobiła się czujna. Miałam wrażenie, że lada moment napięte mięśnie w jej ciele pękną, a ona sama rozsypie się jak zrzucona ze stołu filiżanka.

– Nie, Kalina... Nie była tego typu osobą.

– W takim razie kto wpadł na ten pomysł? Pani szwagier?

– Nie wydaje mi się... To chyba... Kuba.

– Pani siostrzeniec chciał pojechać do leśniczówki?

– On nie jest moim siostrzeńcem. I... Gdzie on właściwie jest?

Nie: co się z nim stało, czy żyje i jak się czuje. Tylko: gdzie jest. Róża Jaworska wyrzuciła z siebie to pytanie razem z chrapliwym, niespokojnym oddechem, jak coś, co od dawna już zalegało jej w piersi.

– Chłopak został ranny, ale przeżył – poinformował ją Wojtek, już bez współczucia, za to z wyraźnym zainteresowaniem. Mnie też ciekawiło, jaka będzie reakcja Jaworskiej. – Zabrała go ta sama karetka, która przywiozła tu panią. Nie pamięta pani?

Zbladła tak, że jej twarz niemal zlała się z białą pościelą.

– Nie, ja nie... On jest... tutaj?

Oddychała coraz szybciej, z coraz większym trudem. Wojtek próbował jeszcze ją uspokajać, ja odpuściłam i zadzwoniłam po pielęgniarkę. Sądząc po tempie, w jakim przybiegła, prawdopodobnie podsłuchiwała pod drzwiami. Oczywiście zaraz kazała nam wyjść.

Czekaliśmy na korytarzu z dziesięć minut, zanim podszedł do nas starszy, siwowłosy lekarz.

– Doktor Niemczyk – przedstawił się. – Zajmuję się panią Jaworską.

– Niech zgadnę, kolejny atak paniki? – zapytałam.

Skinął głową.

– Dałem jej środek uspokajający i teraz będzie spała. Obawiam się, że dalsze przesłuchanie musicie państwo odłożyć na później.

– W porządku. – Są takie momenty w naszej pracy, kiedy trzeba po prostu przyznać się do porażki. – Gdzie są jej rzeczy? I ubranie tego chłopaka, wie pan...

– Tego, który przyjechał razem z nią. Wiem. Proszę za mną.

Zabraliśmy ze sobą dwa zestawy: zakrwawiona koszulka z czaszką i dzinsy chwilowo mnie nie interesowały, przyjrzałam się za to dość eleganckiej brązowej spódnicy, rajstopom i butom na niewielkim obcasie. Tak jak się spodziewałam, nie był to szczególnie wygodny strój na wieczornego grilla w lesie.

Wrzuciliśmy zabezpieczone dowody do bagażnika i wsiedliśmy: Wojtek za kierownicę, ja obok. Żadne z nas nie odzywało się przez dłuższą chwilę.

– Kurwa mać. – Mój partner pierwszy przerwał ciszę. – Czy tobie się wydaje to, co mnie się wydaje?

– Róża Jaworska sądzi, że Kuba, syn jej szwagra z pierwszego małżeństwa, wymordował całą swoją rodzinę. Owszem.

– Ty też tak myślisz?

Wzruszyłam ramionami.

– To jakaś opcja. Kiedy cztery osoby zostają zamordowane, a jedna przeżywa, to zawsze jest podejrzana.

– Chłopak prawie wykrwawił się na śmierć. Tak mówił lekarz.

– To o niczym nie świadczy. Może zabił, a potem próbował upozorować atak na samego siebie. Albo chciał popełnić samobójstwo. Jego rany nie były szczególnie ciężkie, pamiętasz? To przemawia przeciwko niemu. Chociaż pomiędzy namiotem a nożem nie znaleźliśmy śladów krwi, a to z kolei przemawia na jego korzyść. Ale wykluczyć go nie możemy, przynajmniej dopóki nie porozmawiamy z Janczakiem.

– Jaki mógłby mieć motyw?

– Nie wiem. Jaworska pewnie by nam powiedziała, gdybyśmy od początku zadawali właściwe pytania.

– Zjebałem, co?

– Oboje zjebaliśmy – poprawiłam. – Ja też tam przecież byłam. Dobra, miejmy nadzieję, że da się to naprawić. Na razie możesz zadzwonić do lekarza, niech sprawdzi rany tego chłopaka. Czy dałby radę zadać je sobie sam i czy mógłby przejść trzydzieści metrów, nie krwawiąc przy tym jak zarzynana świnia. Albo nie, ja zadzwonię. Ty jedź.

- Dokąd?
- Z powrotem do Pogańskiego Młyna.

*

Gdy parkowaliśmy, z leśniczówki wyszła jasnowłosa dziewczyna w mundurze, wyglądająca na jakieś piętnaście lat. Z powagą uczennicy podała mi gęsto zapisaną kartkę.

- Spis rzeczy, które ze sobą przywieźli – powiedziała.

Przejrzałam go pobieżnie. Krystian wziął na urlop włoskie buty, parę białych koszul, płócienne spodnie i zestaw bardziej nadający się do gry w golfa, a nie do łażenia po polskich krzakach. Kalina okazała się odrobinę bardziej praktyczna, ona przynajmniej nie zabrała butów na obcasie, czego trochę się spodziewałam. Jej garderoba składała się głównie z kolorowych sukienek, skąpych bluzek, wąskich spodni i kilku par białych tenisówek. Teoretycznie nieźle, tylko że ja widziałam te jej tenisówki. Te, w których umarła. Były na nich rozbryzgi krwi i trochę trawy, ale ani śladu błota. A w lesie musiało być błoto, bo pogoda ostatnio bywała już dość kapryśna: w dzień upał, w nocy oberwanie chmury. Mogłam się założyć o każde pieniądze, że Kalina Aleksandrowicz nie dotarła w tych butach dalej niż do końca podjazdu.

Rzeczy dzieci okazały się dość standardowe: kolorowe stroje dziewczynek i czarne, buntownicze ciuchy nastolatka. Poza tym należące głównie do dorosłych kosmetyki, trochę osobistych drobiazgów, dwie książki i portfele wciąż wypełnione banknotami oraz kartami kredytowymi. Jeśli dotąd miałam jakieś wątpliwości, że to nie było morderstwo rabunkowe, właśnie je straciłam. Na ostatniej pozycji znalazły się klucze, prawdopodobnie od domu w Katowicach. Zabrałam je od razu i schowałam do kieszeni.

- Coś jeszcze powinnam wiedzieć? – zapytałam.

Dziewczyna oblizwała nerwowo wargi.

- Nie wiem, czy to ważne, ale... Zresztą lepiej wam pokażę.

Zaprowadziła nas na tył leśniczówki, niedaleko miejsca, gdzie znaleźliśmy zwłoki Basi albo Tereski. Uświadomiłam sobie, że właściwie nadal nie wiem, która dziewczynka była którą, i poczułam się nagle paskudnie, zupełnie jakbym je zdradziła.

– Tutaj.

Przez moment nie miałam pewności, co młoda policjantka nam pokazuje. Dopiero potem je dostrzegłam. Trzy maleńkie, nie wyższe niż dłoń krzyże, każdy zbudowany z dwóch związanych trawą patyków. Przed nimi leżały równie miniaturowe bukietki zwiędłych polnych kwiatów.

Wojtek poszedł w stronę lasu, skąd po chwili wrócił z kawałkiem ułamanej gałęzi. Ostрым końcem rozkopał ziemię przy pierwszym krzyżu i skrzywił się lekko, gdy odsłonił ptasie ciało. Sikorka, martwa od tak dawna, że zostały z niej już tylko kości i kupka piór.

W drugim grobie znaleźliśmy wyschniętą żabę, a w trzecim pasikonika, tak maleńkiego, że prawie go przeoczyliśmy.

– To nie wygląda najlepiej dla chłopaka – powiedział Wojtek, kiedy znaleźliśmy się z powrotem w samochodzie. – Czy zabijanie zwierząt w dzieciństwie nie jest jedną z oznak psychopatii?

– Jeśli Kuba Aleksandrowicz w ciągu tygodnia eskalował od zabijania pasikoników do wymordowania całej rodziny, to cholernie szybko mu poszło – rzuciłam bez namysłu, a na widok głupiej miny Wojtka parsknęłam śmiechem. Po raz pierwszy od dłuższego czasu całkiem szczerem.

Patrzyłam, jak zdziwienie na jego twarzy stopniowo przechodzi w dezorientację, a nawet coś w rodzaju niechęci. Westchnęłam. Od kiedy dwa tygodnie temu odmówiłam pójścia na urlop okolicznościowy, cały wydział traktował mnie tak, jakbym nie miała już prawa do normalnego życia: do pracy, do siedzenia w kafeterii z tustą kanapką i do rzucania durnych żartów. Jakbym w każdej chwili mogła rozpaść się na kawałki, jakbym sama już była martwa.

Ale ja żyłam, to mój mąż zmarł dwa tygodnie temu. Nie byłam chora, oszalała z rozpaczyny ani umierająca. Byłam w żałobie. Tylko tyle. Aż tyle. I wciąż mogłam pracować.

Wyjaśniłam to Wojtkowi, jak mogłam najlepiej. Słuchał, kiwając głową z zaciśniętymi szczękami.

Zostało jeszcze jedno, o czym powinnam wspomnieć. Ilona. Kiedy zaczęliśmy ze sobą pracować, Wojtek przechodził przez wyjątkowo paskudny rozwód. Zasypiał z głową na biurku, miał szarą ze zmęczenia twarz, raz nawet przyłapałam go, jak płakał w ubikacji. A potem odżył. Zaczął znowu się śmiać, chodził,

pogwizdując, a rozpierającą go energią można było obdzielić ze trzy osoby. Wszystko z powodu Ilony, eleganckiej blondynki w typie gwiazdy starego kina. Wojtek zakochał się w niej jak sztubak, a my bez końca musieliśmy wysłuchiwać, że jego druga żona nie przepada za wczesnymi śniadaniami, że boi się ryb, więc wczasy nad morzem w Bułgarii chyba odpadają, że kiedyś świetnie jeździła na nartach i teraz chciałaby do tego wrócić... Jakby nie mógł wytrzymać godziny bez wymienienia jej imienia.

– I możesz przy mnie mówić o Ilonie – zakończyłam. – Naprawdę mi to nie przeszkadza. Co to w ogóle za pomysł? Bo ona żyje, a Karlik nie? Daj spokój, Wojtek, i przestań zachowywać się jak idiota. W porządku?

– W porządku – mruknął, wyraźnie skrepowany. Żadne z nas nie przywykło do takich rozmów.

– Po prostu traktuj mnie normalnie.

– Skoro tak, to czemu nie chciałaś rozmawiać z Jaworską?

Ponieważ bałam się, że zapyta, czy wiem, jak czuje się człowiek, który właśnie stracił członka najbliższej rodziny. Krewni ofiar często zadają takie idiotyczne pytania, jakby tylko ktoś, kto doświadczył podobnego bólu, mógł ich zrozumieć, jakby tylko ktoś taki mógł zagwarantować im, że sprawiedliwości stanie się zadość. Wtedy musiałabym albo skłamać, albo odpowiedzieć, że owszem, wiem, mój mąż zmarł niedawno na zawał serca. Przewrócił się pewnego dnia na brudną podłogę sklepu spożywczego, rozsypując wokół pomarańcze, i dwie godziny później już nie żył. A nie chciałam wykorzystywać śmierci Karlika jako pomostu łączącego mnie z tamtą bladą kobietą w szpitalnym łóżku.

Mniej więcej o to chodziło, ale nie miałam ani czasu, ani ochoty tłumaczyć tego Wojtkowi. Nie po raz pierwszy pomyślałam, że powinnam jednak pójść na ten urlop. Nie dla siebie, tylko dla kolegów, żeby nie musieli patrzeć codziennie na mój ból, który przypominał im, że sami są śmiertelni, ani zastanawiać się, czy wypada przy mnie rozmawiać o najnowszym odcinku Cagney i Lacey albo czytać na głos dowcipy w gazetach. Właśnie z tego powodu ludzie w żałobie dawniej zamykali się w odosobnieniu i wracali do świata, dopiero kiedy znowu można było traktować ich zwyczajnie.

– Nie dlatego, że to budziłoby złe wspomnienia albo coś w tym rodzaju – odpowiedziałam. – Po prostu... Dajmy temu już spokój, co?

– Jak chcesz. – W głosie Wojtka zabrzmiała niepewna ulga. – Jedziemy do ich domu w Katowicach?

– Tak, ale najpierw coś zjemy – zdecydowałam. Nie byłam głodna, ale wiedziałam, że Wojtek po trzech kawałkach ciasta prawdopodobnie zdążył już zgłodnieć. – Po drodze jest taki bar, Pod Jodłami. Możemy się tam zatrzymać.

*

Aleksandrowiczowie mieszkali na Podlesiu, w dzielnicy Katowic przy granicy z Tychami. Trawnik przed domem był równo przystrzyżony i pusty, jeśli nie liczyć mokrej od deszczu porzuconej lalki. Żadnych klombów, ozdobnych krzewów czy choćby rabatki z kwiatami. Ani Krystian, ani Kalina najwyraźniej nie należeli do amatorów ogrodnictwa.

Podniosłam lalkę i otworzyłam drzwi. W środku unosił się zaduch charakterystyczny dla nagranych, dawno niewietrzonych pomieszczeń, pachniało środkami czystości, słońcem i leciutko kurzem. Posadziłam lalkę na stoliku w przedpokoju i ruszyliśmy na obchód. Nie wiem, co właściwie spodziewałam się tam zastać. Chyba nic szczególnego, po prostu chciałam poczuć atmosferę ich domu – tego prawdziwego, nie czasowego, zupełnie niepasującego do charakteru tej rodziny lokum, jakim był Pogański Młyn.

Wnętrze urządzone w ciepłym drewnie, z wygodnymi skórzanymi kanapami, głębokimi fotelami i kominkiem w salonie. W kuchni lodówka i kuchenka lśniły czystością – albo Kalina starannie wyszorowała wszystko przed wyjazdem, albo – co bardziej prawdopodobne – Aleksandrowiczowie kogoś zatrudniali. Zanotowałam w myślach, że trzeba będzie sprawdzić tę pomoc domową: kiedy ostatni raz tu sprzątała i co sądziła o gospodarzach. Gosposie wiedzą znacznie więcej, niż się wydaje ich pracodawcom.

W sypialni rodziców na piętrze stało łóżko wielkości tratwy, starannie przykryte pikowaną błękitną narzutą. Po jednej stronie na nocnym stoliku leżał gruby romans w twardej oprawie. Na okładce omdlewająca panienska prezentowała piersi wystające do połowy z pseudowiktoriańskiej sukni. Po drugiej stronie na stoliku spoczywał egzemplarz „Reader’s Digest”.

– Nie byli jakoś szczególnie oryginalni, co? – powiedział Wojtek za moimi plecami.

- Owszem, ale nie morduje się ludzi za brak oryginalności.
- A ty szukasz czegoś, co mogłoby ci powiedzieć, czemu zginęli?
- Może.

Weszłam do pokoju Basi i Tereski. Tu też wszystko wyglądało typowo: dużo brokatu oraz falbanek, dom dla lalek, maskotki i zabawki. Na półce trochę dziecięcej literatury, głównie klasycznej: *Nasza mama czarodziejka*, *Baśnie Perraulta*, Biblia z obrazkami. Po jednej stronie pokoju królował róż, po drugiej błękit i zieleń. Jeśli chodzi o upodobania kolorystyczne, dziewczynki zdecydowanie się różniły.

Dopiero Kuba mnie zaskoczył. Po nastolatku noszącym metalowe koszulki spodziewałam się mnóstwa plakatów i bałaganu, a tymczasem pokój chłopaka przypominał mnisią celę. Puste białe ściany, drewniane łóżko pod oknem oraz szafa. Nic więcej. Żadnych książek, kaset, komputera, podręczników szkolnych ani osobistych drobiazgów. Na podłodze nie było nawet dywanu.

Spojrzałam bezradnie na Wojtka, który zdziwiony unosił właśnie brwi. Coś tu nie grało jak cholera.

Zeszliśmy z powrotem do salonu. Wojtek przeglądał półki, ja usiadłam na skórzanej kanapie i gapiłam się w telewizor, próbując rozgryźć zagadkę tej rodziny. Kuba Aleksandrowicz – o ile takie nazwisko nosił – ewidentnie tu nie pasował, ale dlaczego właściwie? Ponieważ był nastolatkiem w okresie buntu? Bo był synem Krystiana z pierwszego małżeństwa i Kalina za nim nie przepadała?

I dlatego co prawda kupowała mu ciuchy według jego gustu, jednak odmówiła urządzenia pokoju tak, jak chciał?

Nonsens.

Mój wzrok prześliznął się z telewizora na szafkę poniżej. Stało na niej kilkadziesiąt kaset wideo, wszystkie starannie opisane markerem. Podeszłam bliżej. *Basia, styczeń 1993. Renia, grudzień 1993*. Przez moment nie wiedziałam, kim jest Renia, dopiero po chwili skojarzyłam: Teresa, Terenia, Renia. Poczułam nagle ostre ukłucie bólu, jakby dopiero to zdrobnienie sprawiło, że w martwym dziecku zobaczyłam prawdziwego człowieka.

Włożyłam do odtwarzacza pierwszą kasetę. Był na niej krótki filmik ze szpitala: zmęczona, spocona po porodzie Kalina trzymała w ramionach wymiętego

noworodka, obok Krystian szczyrzył zęby do kamery w uśmiechu, który zdradzał zarówno szczęście, jak i kompletne oszołomienie.

Na drugiej kasecie, tej z napisem *Renia, grudzień 1993*, powtarzała się niemal identyczna scena. Jediną różnicę stanowiło to, że Kalina miała dłuższe włosy, a Krystian wyglądał na nieco mniej oszołomionego.

– Irlandzkie bliźnięta – mruknęłam.

– Co takiego? – Wojtek machnął w moją stronę książeczką w skórzanej oprawie.

– Znalazłem ich notes z adresami, może się przydać.

– Świetnie.

– Co to są irlandzkie bliźnięta?

– Basia urodziła się w styczniu, a Teresa, czyli Renia, w grudniu tego samego roku. Na takie rodzeństwo mówi się irlandzkie bliźnięta. Jeden rocznik, różne miesiące.

– Co z tego wynika?

– Że Renia była wpadką? Albo odwrotnie, Kalina tak bardzo chciała mieć dwójkę dzieci, że postarała się zająć w drugą ciążę od razu, kiedy tylko mogła?

Wodziłam palcem po grzbietach kaset: *Pierwsze urodziny Basi, Pierwsze urodziny Reni, Teneryfa 1995, Na placu zabaw, sierpień 1996. Dziewczynki, Wigilia 1997*. Zatrzymałam się dopiero przy tej z datą z lutego 1999 – tu po raz pierwszy pojawiło się imię Kuby.

Wsunęłam ją do odtwarzacza. Wojtkowi musiało udzielić się moje napięcie, bo poruszył się niespokojnie.

– Nie rozumiem, co...

– Cicho.

Na ekranie ukazało się wnętrze salonu Aleksandrowiczów, tego samego, w którym właśnie siedzieliśmy. Poczulałam się dziwnie nieswojo, jakbym oglądała program nadawany przez duchy. Wszystko wyglądało tak jak teraz, z wyjątkiem przecinającego pomieszczenie sznura kolorowych baloników. I zrobionego z prześcieradła transparentu z napisem: „Witaj w domu, Kuba”.

– Co u... – zaczął Wojtek, ale skarciłam go spojrzeniem i umilkł.

Patrzyliśmy.

W tiulowych sukieneczkach, różowej i błękitnej, dziewczynki wyglądały jak baletnice albo wróżki.

– Basiu, stań trochę bardziej na prawo – zakomenderował zza kadru głos prawdopodobnie należący do Krystiana Aleksandrowicza. – A ty, Renia, przesun się bardziej w lewo.

W ten właśnie sposób dopasowałam wreszcie imiona do twarzy.

Basia, starsza, ta, która lubiła Kubusia Puchatka i umarła we własnym łóżku, uduszona poduszką.

Renia, młodsza, wielbicielka Małej Syrenki oraz różowości. Zginęła na zewnątrz leśniczówki, od kilku, może nawet kilkunastu ciosów nożem, z których jeden omal nie obciął jej głowy.

Były niemal tego samego wzrostu – Renia może odrobinę niższa – i miały włosy w identycznym odcieniu truskawkowego blondu. Poza tym jednak się różniły: Basia, z blisko osadzonymi oczami i pociągłą twarzą, mogła wyrosnąć na rodzinną brzydulę. Reni, ślicznotce z okrągłą buzią i piegami zaznaczonymi wyraźnie na kościach policzkowych, z pewnością to nie groziło. Basia stała spokojnie, Renia wierciła się i podskakiwała niecierpliwie.

Zamrugałam, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy. Nie jestem sentymentalna. Trzydzieści lat pracy w policji skutecznie mnie z tego wyleczyło. I widywałam naprawdę paskudne rzeczy: niemowlę pobite na śmierć przez pijanych rodziców, kobietę wyjąca z bólu, bo kochanek alfons oblał jej twarz kwasem, ciała w takim stanie rozkładu, że doświadczony patolog zzieleniał na twarzy. Ale zobaczyć te dwie dziewczynki wciąż żywe na ekranie, w tym samym salonie, w którym właśnie siedziałam, to było trochę za dużo. Jakbym przeniosła się w przeszłość, wciągnięta przez świat duchów.

Pół roku temu, gdy kręcono ten filmik, Karlik wciąż żył, przynosił do domu kruche ciasteczka, zjadał je przed telewizorem, i dopytywał, jak tam w pracy. A Basia i Renia miały przed sobą całą wieczność.

Kątem oka widziałam zaciśnięte w pięści dłonie Wojtka, ale bałam się spojrzeć mu w twarz, tak samo jak wiedziałam, że on boi się patrzeć na mnie.

Patrzyliśmy na ekran.

– A teraz, dziewczynki, przywitajcie się z waszym bratem!

Głos Kaliny, radosny, choć może odrobinę sztuczny, dobiegał zza kadru. Kamera była skierowana na otwarte drzwi jak na scenę. Wszystko przygotowano na wejście głównego aktora.

W progu stanął zgarbiony chłopak. Miał jasne, nierówno obcięte włosy i rozbiegany wzrok. Nosił tenisówki, dżinsy i odrobinę zbyt obszerną bluzę z kapturem, czyli typowy dla nastolatka strój, ale coś, może jakaś sztywność w ruchach, kazało mi podejrzewać, że nie czuje się w tym ubraniu dobrze. Wyglądał jak człowiek, który założył na bal maskowy uwierający kostium i teraz marzy tylko o tym, żeby wymknąć się do ubikacji i go zdjąć.

Młodsza dziewczynka podbiegła w tanecznych podskokach.

– Dzień dobry, jestem Renia – zaświergotała.

Chłopak patrzył na wyciągniętą dłoń bez zrozumienia. W końcu ujął ją i potrząsnął energicznie, jakby parodiował gest dorosłych, a dziecko zachichotało ubawione.

– Cześć – rzucił do Reni, a potem do Basi, która spoglądała ze swojego kąta nieufnie.

– Przywitasz się z bratem? – Wynurzająca się zza pleców chłopaka Kalina zachęciła starszą dziewczynkę.

– Cześć – burknęła Basia, nadal niechętnie. Zaczynałam nabierać sympatii do tego dziecka.

– No to jesteśmy wszyscy razem. – Szeroki uśmiech kobiety nie miał w sobie nic radosnego. Ona wyglądała na przerażoną. Przerażoną i zmęczoną. Widziałam to w jej oczach, w każdym ruchu ciała na granicy wycieńczenia.

Ale nie to było najgorsze. Ja poznałam tego chłopaka. Jak mogłabym nie poznać, skoro osiem miesięcy temu jego twarz przewijała się przez wszystkie wiadomości?

– Kurwa mać – powiedział Wojtek z uczuciem. On też już wiedział, że tym razem zdecydowanie pokpił się sprawę.

4 listopada 1998 roku

Chłopiec siedział za biurkiem w pokoju starszego aspiranta Rafała Wrony. Przed nim stało puste opakowanie po Big Macu („Prawdziwy amerykański hamburger, jak w reklamie”, zapewnił Wrona), obok półlitrowy kubek z colą. Lewą rękę miał na temblaku, prawe oko spuchło do rozmiaru maleńkiej szparki, a pod swetrem skrywały się dalsze sińce: lekarz doliczył się pięciu na prawym przedramieniu, dwóch na lewym i jednego największego na wysokości mostka. Mimo to po nocy spędzonej w policyjnej izbie dziecka nastolatek wyglądał odrobinę lepiej.

– Możemy teraz porozmawiać? – zapytał Wrona.

Chłopak skinął głową.

– Jasne.

– Jak się nazywasz?

Chwila wahania.

– Piotrek.

– A dalej jak?

– Nie wiem.

– Ludzie mają nie tylko imiona, ale też nazwiska. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Przez twarz chłopaka przemknął cień irytacji.

– Nie jestem głupi.

– Nie powiedziałem, że jesteś.

– Moja mama nazywała się Stanisława Wajda. Widziałem raz jej dokumenty.

– Ty nie masz dokumentów?

– Nie. Powinienem mieć, wiem. Na przykład legitymację szkolną. Ale nie mam.

– Ile masz lat?

Znowu lekkie wahanie. Chłopak odpowiadał, jakby każde zdanie najpierw starannie obracał w głowie. Ostrożny skurczybyk, pomyślał starszy aspirant. Ostrożny, przerażony i nieszczęśliwy. Biedny dzieciak.

– Szesnaście. W czerwcu mama przyszła z tortem i wtedy policzyłem świece.

– Przyszła dokąd?

– Do mnie.

– Do piwnicy?

– Tak.

– Spędzałeś tam cały czas?

– Nie, czasami mogłem wyjść na górę. – Pauza. – Jeśli byłem grzeczny. Mama uczyła mnie przy stole w kuchni różnych rzeczy: rachunków, czytania i historii. O tym, że był kiedyś książę Mieszko I, który ochrzcił Polskę. Potem oglądaliśmy razem telewizję. Najbardziej lubiłem amerykańskie filmy.

– Ale nie mogłeś wychodzić na zewnątrz?

– Nie, nigdy.

– Wiesz, że Stanisława Wajda nie była twoją prawdziwą matką?

Chłopak milczał przez dłuższą chwilę, nachmurzony.

– Była dla mnie dobra – powiedział wreszcie.

– Nie ma nic złego w tym, że ją lubiłeś – zapewnił Wrona. – Spędziliście ze sobą dużo czasu, a ona się tobą opiekowała. Miałeś prawo ją lubić, nawet jeśli czasem robiła ci krzywdę. I masz prawo czuć się smutny po jej śmierci.

Piotrek bawił się kubkiem. Wyciągał słomkę i wkładał ją z powrotem, a potem znowu wyciągał, siejąc po stole kropelkami coca-coli.

– Zabiłem ją. To było złe.

Wrona chrząknął.

– Do tego dojdziemy za chwilę. Pamiętasz swoich prawdziwych rodziców?

– Trochę. Mama miała jasne włosy i huśtała mnie na huśtawce. Śmiała się przy tym. Tata uczył mnie grać w piłkę. – Informacje kapąły powoli, jak woda z niedokręconego kranu.

– Chodziłeś kiedyś do przedszkola?

– Nie wiem. To ma znaczenie?

– Może mieć. Dzięki temu moglibyśmy się dowiedzieć, kiedy zostałeś... zabrany.
– W ostatniej chwili zmienił narzucające się słowo „porwany”. Czuł się dziwnie, udając, że wszystko jest w porządku, że koszmar tamtej piwnicy to nic takiego: ot, zwyczajne życie matki i jej przybranego nastoletniego syna. – Dzięki temu będziemy mogli znaleźć twoich rodziców. Na pewno bardzo za tobą tęsknią.

Chłopak drgnął, patrząc na swoje palce z obgryzionymi paznokciami.

– Pamiętasz, jak rodzice cię nazywali?

– Nie.

– Mówiłeś sierżantowi Nowakowi, że kiedyś miałeś inne imię.

– Tak.

– Ale go nie pamiętasz?

– Nie.

– Na jaką literę się zaczynało? Było krótkie czy długie? Może potrafisz przypomnieć sobie cokolwiek?

– Nie. Przepraszam.

– Adam? Karol? Krzyś? – Wrona zamierzał już pójść po kalendarz i wymieniać dalej najpopularniejsze męskie imiona, ale chłopak pokręcił głową.

– To i tak nie ma znaczenia – wymamrotał.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Nie wrócę do moich rodziców, nawet jeśli ich pan znajdzie. Pójdę do więzienia. Za morderstwo.

– Jesteś niepełnoletni. Jeśli ktoś nie skończył osiemnastu lat, nie może pójść do więzienia.

Rozmijał się nieco z prawdą, ale chłopak – starszy aspirant nie potrafił myśleć o nim jako o Piotрку – nie musiał o tym wiedzieć.

Znów cień irytacji.

– Wiem. Nie chodziło mi o więzienie dla dorosłych, tylko takie dla nastolatków. Jak to, w którym dzisiaj spałem.

– To Policyjna Izba Dziecka.

– Tam były kraty w oknach. A chłopak na łóżku obok pierdział przez sen.

– Kraty jeszcze nie świadczą o tym, że to więzienie. I przykro mi z powodu pierdzącego chłopaka. Mogę porozmawiać z dyżurnym, może uda się załatwić ci osobny pokój. Na przykład izolatkę dla chorych.

– W więzieniu nie będę spał sam, prawda?

– Co się tak uparłeś na więzienie? Masz szesnaście lat, a ta kobieta trzymała cię w piwnicy, pobiła i zwichnęła ci rękę. Dlaczego to zrobiła? Próbowaleś uciec?

Tym razem chłopak milczał znacznie dłużej. Słomką rysował skomplikowany wzór w kropkach coca-coli, które kapnęły na blat.

– Byłem niegrzeczny.

– Nie robi się ludziom krzywdy za to, że są niegrzeczni. To się nazywa przemoc. A jeśli ktoś cię bije, to masz prawo się bronić. Moim zdaniem w tym przypadku postępowanie zostanie umorzone jeszcze przed postawieniem zarzutów. Wiesz, co to znaczy? Nie pójdziesz do więzienia. Sąd rodzinny wyznaczy ci opiekuna i na jakiś czas zamieszkas z rodziną zastępczą, a kiedy znajdziemy twoich rodziców, wrócisz do domu. Musisz tylko nam pomóc, najlepiej przypominając sobie wszystko, co pamiętasz z dzieciństwa. Każdy szczegół może mieć znaczenie. Jasne?

– Jasne. – Słomka wciąż kreśliła mokre esy-floresy, zataczając koła i cofając się łagodnymi, hipnotyzującymi ruchami. Chłopak nadal nie patrzył na Wronę. – Może coś sobie przypomnę, jak dłużej pomyślę.

*

27 sierpnia 1999 roku

– Jakub Aleksandrowicz – powiedział nadinspektor Krzysztof Gaduła, popychając w naszą stronę zdjęcie. Złapałam je, zanim zdążyło zsunąć się z biurka. – Urodzony piątego czerwca 1982 roku. Syn Krystiana Aleksandrowicza, wówczas na pierwszym roku studiów, oraz Lucyny Pietrzak, klasa maturalna liceum w Żywcu. Ewidentna wpadka, ale młodzi stanęli na wysokości zadania. Zresztą pomogła im babcia, czyli matka młodego Aleksandrowicza. Pobrali się, kontynuowali naukę i wyglądało na to, że wszystko świetnie się układa, dopóki pięcioletni Kubuś nie zniknął pewnej nocy w Tatrach.

Umilkł, żeby złapać oddech. Znałam mniej więcej tę historię, ale rozsądnie trzymałam język za zębami. Obok Wojtek Chodura gapił się na własne buty. Oboje wiedzieliśmy, że wystarczy jedno słowo, a tłumiony gniew w głosie naszego szefa zmieni się w furję.

Naczelnik sapnął i kontynuował.

– To było 27 lipca 1987 roku. Małego szukał TOPR i pół zakopiańskiej milicji, ale niczego nie znaleźli. Ostatecznie uznano, że niepilnowane dziecko wyszło nocą ze schroniska i utonęło w stawie, bo to wyglądało na najbardziej prawdopodobną wersję. Aż tu nagle w listopadzie zeszłego roku chłopak pojawił się w barze przy drodze wylotowej z Żywca, cały, chociaż nie do końca zdrowy. Zabił kobietę, która przetrzymywała go w piwnicy, ale ponieważ ewidentnie zrobił to w obronie własnej, nie postawiono mu zarzutów. Jego zdjęcie było we wszystkich gazetach, miał nawet swoje pięć minut w programie TVN. *Anonimowy chłopiec szuka domu, nie pamięta swojego imienia*. Cała Polska nad nim wtedy płakała, pamiętacie?

– Pamiętamy – odpowiedziałam, bo tym razem Gaduła już wyraźnie oczekiwał odpowiedzi.

Naczelnik poczerwieniał.

– To powiedzcie mi, jakim, kurwa, cudem żadne z was go nie poznało?

– Nie widzieliśmy go. Kubę zabrała karetka, zanim przyjechaliśmy na miejsce zbrodni, a kiedy w szpitalu przesłuchiwaliśmy Jaworską, wciąż był nieprzytomny. Jasne, mogliśmy wejść do izolatki, w której leżał, i go sobie obejrzeć, tyle że nie widziałam takiej potrzeby. Zresztą nawet gdybyśmy to zrobili, wcale nie jest powiedziane, że byśmy go rozpoznali.

– Poznałaś go na wideo Aleksandrowiczów.

– Owszem, ale wtedy już wiedziałam, że coś z tym chłopakiem jest nie tak. Poza tym na filmiku wygląda tak samo jak na zdjęciach w gazetach i w tamtym programie TVN-u. Przez następne pół roku zdążył się zmienić... – Przełknęłam ślinę, przypominając sobie fotografię przefaksowaną ze szpitala. Kuba miał teraz dłuższe włosy i zaokrągloną twarz świadczącą o tym, że przybrał na wadze.

– Żaden z lekarzy go nie poznał – przypomniał Wojtek. – Ani żadna z pielęgniarek. A przecież oni też musieli widzieć ten program.

– Może mieszkają tam, gdzie TVN nie ma zasięgu. Albo wolą oglądać Polsat.

Wiedziałam, jak Gaduła na mnie spojrzy, jeszcze zanim to zrobił. Niepewnie, z wyrzutem i rozczarowaniem. Wytrzymałam to spojrzenie, myśląc o Karliku, który potrafił śmiać się ze wszystkiego, a najbardziej z siebie samego. Gdy zabierało go pogotowie, ponoć żartował z ratownikami, że takiego grubasa powinni wynosić na wymontowanych drzwiach, a nie lekkich noszach.

– To akurat nam na rękę. Im później prasa się dowie, tym lepiej – mruknął naczelnik, odwracając wzrok.

Zdjęcie kilkuletniego Jakuba Aleksandrowicza wciąż leżało na biurku między nami jak niemy wyrzut. Pomyślałam, że Kubuś był słodkim maluchem, ale z wiekiem coraz bardziej tracił dziecięcą urodę. Coś podobnego działo się z Basią, a ja przelotnie zastanowiłam się, czy ten fakt w jakiś sposób połączył dziewczynkę i jej starszego brata. Chciałam, żeby tak było.

– Podejrzewacie, że to on? – zapytał Gaduła, pocierając oczy. Teraz wyglądał już na mniej rozdrażnionego, a bardziej na zmęczonego. Nic dziwnego, skoro od rana odpierał ataki prasy. Powiedziałabym coś pocieszającego, coś, co świadczyłoby o tym, że rozumiem, współczuję i jestem po jego stronie, ale nie potrafiłam znaleźć właściwych słów.

– To ma sens, nie? – Ponieważ ja milczałam, odezwał się Wojtek. – Chłopak siedział w piwnicy przez jedenaście lat, a coś takiego może zdrowo poprzesztawiać w głowie.

– Taki jest waszym zdaniem motyw? Chłopak miał poprzesztawiane w głowie i dlatego wymordował swoją rodzinę?

Westchnęłam.

– Tak naprawdę wciąż mało wiemy, co takie przeżycia mogą zrobić z psychiką, a ofiary czasem zostają sprawcami. Każde z nas zna co najmniej parę takich przypadków. Może chłopiec poczuł się odrzucony, ponieważ ojciec ma teraz nową żonę i dwójkę nowych dzieci. Diabli wiedzą. W każdym razie rozważamy to jako jedną z możliwości.

– Jak bardzo prawdopodobną?

Wiedziałam, o co Gadule chodzi. Szef nie chciał, żeby Kuba okazał się mordercą, bo wtedy zrobiłaby się jeszcze większa afera. Dziennikarze podzieliliby się na dwa obozy: tych, którzy widzieliby w chłopaku wcielenie wszelkiego zła,

oraz tych, którzy ignorując dowody, obstawaliby przy jego niewinności i oskarżali policję o wszelkie możliwe błędy. Żadna z tych stron nie dałaby nam już spokoju.

– Za wcześnie, żeby o tym mówić – odpowiedziałam dyplomatycznie. Ja też nie chciałam widzieć w Jakubie mordercy, ale powody miałam inne. Poruszyło mnie coś w historii tego chłopca. Jedenaście lat spędzonych w piwnicy, zabójstwo w obronie własnej i filmik, na którym wchodził do eleganckiego salonu Aleksandrowiczów; niezgrabny, wylękniony nastolatek w zbyt obszernej bluzie, tak bardzo niepasujący do tamtego domu i tamtej rodziny.

A może chodziło o coś jeszcze innego, zupełny drobiazg. Kuba zaginął w Tatrach, tak jak mój starszy brat, i to też mogło mieć znaczenie.

*

Wojtek dzwonił do szpitala, a ja przeglądałam to, co tymczasem zdążyło spłynąć na moje biurko.

Na górze leżało wstępne sprawozdanie naszego specjalisty od finansów sprawdzającego konta bankowe rodziny. Wyglądało na to, że majątek Aleksandrowiczów wynosi ponad dziesięć milionów, nie wspominając o domu, dwóch samochodach i mieszkaniu w centrum Katowic, które aktualnie stało puste.

Dla takich pieniędzy warto zabić, pomyślałam. Ciekawe, kto to wszystko dziedziczy.

Sięgnęłam po notatki ludzi pracujących w terenie.

Rodzina Aleksandrowiczów przyjechała do leśniczówki siedemnastego sierpnia i od tamtej pory widywano ją w pobliskim Rudniku raz, dwa razy dziennie, najczęściej przy okazji porannych zakupów. Krystian podjeżdżał pod miejscowy sklep i czekał w samochodzie, podczas gdy żona i dwie córeczki wchodziły do środka. Kupowali typowe rzeczy: mleko, chleb, ser, jajka. Żadnego mięsa. Dziewczynki dostawały czasem batoniki Milky Way albo lizaki Chupa Chups. Chłopca nikt podczas tych wypraw nie widział. Czasem też wybierali się na lody, tym razem już całą piątką, do niewielkiej kawiarenki o nazwie Bajeczna. Basia zazwyczaj brała rożek czekoladowy, Renia truskawkowy, a starsi Aleksandrowiczowie po dwie gałki waniliowych. Kuba nie jadł lodów, tylko pił colę. Upodobania smakowe poszczególnych członków rodziny prawie na pewno

nie miały żadnego znaczenia, ale mimo to rozczuliła mnie szczegółowość tej notatki.

Aleksandrowiczów bliżej poznał jedynie właściciel kawiarenki, który próbował zacieśnić kontakt, licząc na to, że katowicki biznesmen weźmie go pod swoje skrzydła i wprowadzi w odpowiednie środowisko. Bez większego skutku: Krystian zachowywał się uprzejmie i nic więcej, niemniej zapisałam sobie, że trzeba będzie z tym człowiekiem porozmawiać.

Sięgnęłam po notes znalezione w domu Aleksandrowiczów i zaczęłam go kartkować. Było tam sporo imion oraz nazwisk bez żadnych opisów, ale też pod „O” telefon do kogoś, kto został określony jako „pani Olga – sprzątanie”. A pod „P” znalazłam Leszka Damrockiego, psychologa. Terapeuta Kuby? To miało sens. Kolejny człowiek na liście ludzi, z którymi trzeba będzie porozmawiać.

Wojtek właśnie odkładał słuchawkę. Spojrzałam na niego, zamykając notes.

– I jak tam, nasz chłopak się obudził?

– Nie, jeszcze nie... – W jego głosie brzmiała niepewność.

– A Jaworska? Można z nią pogadać?

– Właśnie w tym problem. Ona wyszła ze szpitala.

– Co takiego?

– Wiem. Ale nie mogli jej tam przecież trzymać siłą. Poczuli się lepiej, zbadali ją, stwierdzili, że wszystko gra, i poszła.

– Cholera. – Złapałam notes i przekartkowałam go do litery R jak Róża, po czym wykręciłam numer. Rozległ się przeciągły sygnał, jeden, drugi, trzeci. Po piątym odłożyłam słuchawkę.

– Nie odbiera.

– Może gdzieś wyszła...

– Pojadę do niej.

– Nie przesadzasz trochę?

– Nie wiem, pewnie tak. – Wojtek miał rację, Róża Jaworska prawdopodobnie poszła na zakupy albo zajmowała się akurat chorą matką. Mimo wszystko chciałam ją teraz zobaczyć całą i żywą. – To niedaleko – usprawiedliwiłam się.

Wojtek spojrzał na mnie bez przekonania.

– Jak chcesz.

– Ty ściągnij tutaj tę pomoc domową. Jak najszybciej. Jest pod O. Pani Olga. Nie czekałam już, aż Wojtek odpowie, tylko wzięłam kluczyki i wyszłam.

*

Dwadzieścia minut później stałam przed drzwiami Róży Jaworskiej z palcem na przycisku dzwonka. W mieszkaniu rozległo się ciche „ding-dong”, lecz nikt nie otworzył. Zadzwoiłam więc jeszcze raz. Ding-dong, ding-dong. Oczywiście szaleństwem byłoby myśleć, że ktoś poluje nie tylko na Aleksandrowiczów, ale także na ich krewnych, mimo wszystko jednak...

Ding-dong.

– Róża, zobacz, kto tam się dobija! – w mieszkaniu rozległ się skrzekliwy starczy głos. – Otwórz drzwi!

Ding-dong.

– Róża!

Dałam spokój dzwonnkowi i czekałam. Przez moment jeszcze wyobrażałam sobie, że gdzieś za tymi drzwiami Jaworska kołysze się pod sufitem w pustym pokoju, i jednocześnie z całej siły odpychałam od siebie tę wizję. Potem usłyszałam odgłos zbliżających się ostrożnych kroków, z pewnością nie starczych, i odetchnęłam z ulgą.

Klapka w wizjerze odsunęła się i zamknęła, zgrzytnął zdejmowany łańcuch.

– Przepraszam – powiedziała Róża Jaworska. – Myślałam...

– To Kalina? – wrzasnął głos z głębi mieszkania. – Przyszła z dziewczynkami?

– Nie, mam, to nie Kalina. Muszę wyjść.

– Co takiego?

– Muszę wyjść! Na chwilę!

Wyśliznęła się z mieszkania i zamknęła za sobą drzwi.

– Lepiej będzie, jeśli porozmawiamy na zewnątrz. Możemy?

– Nie ma problemu.

Wyszliśmy przed budynek, Róża Jaworska wciąż w domowych klapkach, z zapuchniętymi od płaczu oczami. Chyba dopiero teraz zrobiło mi się jej naprawdę żal.

Usiadłyśmy na ławce tuż przy placu zabaw. Dwójka dzieciaków wspinała się na zieloną zjeżdżalnię w kształcie gąsienicy i zjeżdżała z wrzaskiem. To były dziewczynki, jasnowłose jak Basia i Renia. Róża patrzyła na nie z wyrazem twarzy, który zupełnie mi się nie podobał. Wyglądała jak ktoś wyrwany z głębokiego snu, kto otwiera oczy i widzi nad swoim łóżkiem upióra.

– Chciałaby pani się przesiąść? – zaproponowałam delikatnie, ale potrząsnęła głową.

– Nie, ten dziennikarz... Mam nadzieję, że tu nie przyjdzie.

– Męczył panią jakiś dziennikarz?

Przytaknęła, przyjmując ode mnie papierosa.

– Zrobił mi zdjęcie, kiedy wracałam z zakupami, i namawiał na wywiad. A potem wydzwaniał do mieszkania. Nie wiem, skąd wziął numer...

– Dlatego nie odbierała pani telefonu?

Ciche „mhm” uznałam za potwierdzenie. Milczałyśmy przez chwilę. Ja zastanawiałam się, jak zacząć rozmowę, Róża myślała prawdopodobnie o tych wszystkich rzeczach, o jakich myślą ludzie, których świat roztrzaskał się właśnie na kawałki. Albo zastanawiała się, jak mnie zgrabnie wywieść w pole – to też brałam pod uwagę.

– Nie powiedziała jej pani, prawda? – zaczęłam wreszcie. – Swojej matce. Że Kalina i jej dzieci nie żyją.

Skrzywiła się.

– Nie. Boże, nie mogłam... Dostanie histerii, kiedy się dowie.

– Mogę pójść z panią, jeśli pani chce.

– Zrobiłaby to pani?

– Tak, czemu nie. – Przekazywanie krewnym takich wieści to zdecydowanie najgorsza część naszej pracy, uznałam jednak, że warto się poświęcić, jeśli dzięki temu Jaworska będzie ze mną bardziej szczerą.

Przez chwilę wydawało mi się, że się zgodzi, ostatecznie jednak zniechęcona potrząsnęła głową.

– Muszę to zrobić sama.

– W porządku, jak pani woli.

Zgasiła papierosa i odetchnęła, zbierając siły.

– Ma pani pretensje, że wypisałam się ze szpitala na własne żądanie? Ale przecież mogłam to zrobić, prawda? Musiałam tylko zadzwonić do dawnej koleżanki z Żywca, żeby przywiozła mi trochę swoich ubrań, bo moje zabraliście.

– Nie mam pretensji. Przyjechałam, żeby zapytać, skąd pani przyszło do głowy, że to Jakub Aleksandrowicz zabił swoich rodziców i rodzeństwo.

Na jej białych policzkach wykwitły gwałtowne rumieńce, jakby ktoś uderzył ją w twarz.

– Niczego takiego nie powiedziałam.

– Ale tak pani myśli, prawda? Nawiasem mówiąc, nie wspomniała pani, że Kuba został porwany jako dziecko.

– Myślałam, że wiecie – mruknęła. – Ten chłopiec... Sporo przeszedł. Nie chciałam... robić mu problemów.

Kubę Aleksandrowicza już wcześniej trudno było uznać za osobę bez problemów, niemniej Jaworska miała trochę racji. Mógł jeszcze zostać oskarżony o zabicie czterech osób.

– Dlaczego pani właściwie pojechała do leśniczówki?

– Mówiłam już, na grilla.

– Nie wierzę. Nie ubrała się pani odpowiednio, a pani siostra i szwagier nie wyglądali mi na osoby, które lubiłyby takie imprezy. Moim zdaniem pojechała tam pani, bo się pani niepokoiła. Dlaczego? Siostra przez telefon powiedziała, że jej pasierb ostatnio dziwnie się zachowuje? Bała się go?

– Nie. Zaprosiła mnie na grilla. Mówiłam.

Jeszcze przed chwilą była między nami nic porozumienia, wątpliwość, ale wyczuwalna. Teraz miałam wrażenie, że tracę tę kobietę z każdym wypowiedzianym słowem i nic nie mogę na to poradzić.

– Dlaczego Aleksandrowiczowie spędzali urlop w leśniczówce?

– Nie wiem.

– To był pomysł pani siostry czy szwagra? A może Kuby?

– Nie mam pojęcia. Już mnie pani o to pytała.

– Tak, i wtedy sugerowała pani, że to mógł być Kuba. Dlaczego pani tak pomyślała?

– Może dlatego, że wyprawy do lasu kojarzą się z nastoletnimi chłopcami. Naprawdę nie wiem.

– Jak układały się stosunki w rodzinie pani siostry?

– To znaczy? – Uciekła spojrzeniem w bok. Doskonale wiedziała, o czym mówię.

– Chłopiec po traumatycznych przejściach wraca do ojca, który tymczasem ma już nową żonę i dwójkę nowych dzieci. To musiało powodować różne tarcia. Dziewczynki były zazdrosne o uwagę poświęcaną Kubie albo odwrotnie? Jak dzieci się dogadywały? Pani siostra bała się, że Kuba mógłby zrobić krzywdę jej córkom, choćby nieintencjonalnie?

– Kuba chodził co tydzień do psychologa, tyle wiem. Poza tym Kalina raczej mi się nie zwierzała.

– Mówiła pani, że byliście ze sobą blisko.

– Dawno temu, jeszcze na studiach. Teraz już nie. Ale mogę powiedzieć pani jedno...

– Tak?

– Moja siostra naprawdę się starała. Walczyła z całych sił, żeby jakoś posklejać tę rodzinę. Chciała, żeby Kuba stał się jej częścią, żeby wszystko było jak dawniej.

Rozwieszony w salonie sznur baloników i transparent z napisem „Witaj w domu, Kuba”. Ten pomysł mógł się wydawać naiwny, ale może w takiej sytuacji nie istniało nic lepszego, co można by zrobić.

– Udało jej się?

Jaworska zacisnęła usta.

– Nie wiem. Muszę już iść, przepraszam... Moja matka na pewno się denerwuje.

Patrzyłam za nią, kiedy przemykała w stronę bloku, zgarbiona, odwracając twarz od bijącego z nieba żaru, jak żołnierz wypełzający z okopów pod wrogim ostrzałem. Wiedziałam, że mnie okłamała, ale nadal było mi jej żal.

*

– Już tu jest – oznajmił Wojtek, gdy wróciłam do komendy.

– Kto taki? – Przez krótką absurdalną chwilę myślałam, że mówi o Jaworskiej. Dopiero potem skojarzyłam, że prosiłam przecież o wezwanie pomocy domowej. –

Pani Olga?

– Aha. Ledwo zadzwoniłem, powiedziała „Dobrze, zaraz będę”. Nawet nie zapytała, o co chodzi. Dziwna kobieta. – Następnie dodał, jakby to cokolwiek wyjaśniało: – Jest Ukrainką z pozwoleniem na pracę w Polsce.

– W porządku. Daj mi dwie minuty.

Weszłam do toalety i skorzystałam z ubikacji. Myjąc ręce, spojrzałam w lustro. Zazwyczaj tego unikam, dziś jednak patrzyłam na swoją pobrużdżoną twarz, worki pod oczami i szarą cerę. Nigdy, nawet w czasach młodości, nie byłam szczególnie ładna – największy komplement, na jaki kiedykolwiek zasłużyłam, to „niebrzydka mała”. Teraz jednak wyglądałam, jakbym w ciągu ostatniego tygodnia postarzała się o dziesięć lat. Nic dziwnego, że współpracownicy gapili się na mnie ze współczuciem.

Skrzywiłam się i spróbowałam uśmiechnąć. Kąciki ust uniosły się, jakby ktoś ciągnął za przywiązany do nich sznurek, kiedy nagle zalała mnie fala rozpacz tak gwałtownej, że zgięłam się wpół.

Wtedy w mojej torebce odezwał się telefon. Drżącymi rękami wyjęłam komórkę i wcisnęłam „Odbierz”. Miesiąc wcześniej dostałam ją w prezencie od dzieci i wciąż jeszcze pomyśl, że ktoś może zadzwonić w każdej chwili – w sklepie, na ulicy albo kiedy siedziałam w ubikacji – wydawał mi się dziwaczny.

– Cześć, mamó. – Po drugiej stronie rozległ się energiczny głos Justyny. – Pomyślałam, że może mogłabyś zająć się dzisiaj wieczorem małą, bo my z Antonim...

– Nie mogę. – Odchrząknęłam, zanim się odezwałam, ale i tak mój głos zabrzmiał słabo, płaczliwie.

– Co ci jest? – Justyna jak zwykle wykazała się czujnością. Pod pewnymi względami moja córka była lepszym detektywem niż ja. – Źle się czujesz?

– Czuję się... w porządku.

– To z powodu taty? – Zarówno Justyna, jak i Adam nazywali Karlika ojcem, choć byli dziećmi mojego pierwszego męża. – Boże, przepraszam, że zawracam ci głowę. Po prostu pomyślałam, że posiedzenie z Zuzą mogłoby pomóc...

– Chętnie bym się nią zajęła, ale naprawdę nie mogę.

– Czemu? – Współczucie w głosie Justyny zamieniło się w lekką podejrzliwość.

– Mam pracę.

- Mamo! Obiecałaś przecież, że weźmiesz urlop.
- Obiecałam, że nad tym pomyślę.
- W telewizji mówili o rodzinie, która zginęła gdzieś w lesie. Nie zajmujesz się tą sprawą, prawda?

Moje milczenie wystarczyło Justynie za odpowiedź.

– Mamo! – Jękliwy, pełen pretensji głos kojarzył się z głosem nastolatki. Takim samym tonem mówiła dwadzieścia lat temu, kiedy zapomniałam jej kupić fartuszek do szkoły. – Obiecałaś, że będziesz o siebie dbać! Jak mogłaś...

– Porozmawiamy o tym później. Teraz muszę już iść. Ucałuj ode mnie Zużę.

Rozłączyłam się, zanim zdążyła zaprotestować, i przez chwilę stałam jeszcze przy umywalce z czołem opartym o zimne lustro. Mogłabym odpowiedzieć mojej córce, że właśnie pracując, dbam o siebie, bo dzięki temu jeszcze nie zwariowałam z żalu. Albo żeby mnie nie pouczała, bo to ja jestem jej matką, nie odwrotnie. W głębi duszy jednak tkwiło małe, maleńkie podejrzenie, że Justyna mogła mieć rację. Nie powinno mnie tutaj w ogóle być, powinnam siedzieć w domu, niańczyć wnuczkę i wypłakiwać sobie oczy.

Odetchnęłam, odganiając te i podobne myśli, przemyłam twarz zimną wodą, po czym wyszłam do czekającego na korytarzu Wojtka. Gdy szliśmy w stronę pokoju przesłuchań, bardzo starałam się nie widzieć jego zaniepokojonego, pełnego troski wzroku.

*

Olga Sawczenko okazała się postawną kobietą koło trzydziestki, brzydką w jakiś fascynujący, charyzmatyczny sposób, który sprawiał, że nie dało się oderwać wzroku od tej twarzy z wielkim nosem i świdrującymi czarnymi oczami. Siedziała spokojnie, gdy spisywałam jej dane, a kiedy spytałam, czy wie, dlaczego tu jest, równie spokojnie skinęła głową.

– Ludzie, dla których ja pracowała, nie żyją. – Mówiła po polsku ze wschodnim akcentem, co jeszcze dodawało jej niepokojącego uroku. – Państwo Aleksandrowicze.

– Skąd pani to wie?

– W telewizji mówili, że w lesie zamordowana rodzina. A oni jechali do lasu. Dlatego jak ten policjant zadzwonił, to ja nie musiała pytać. Już wcześniej

wiedziałam.

– Wiedziała pani, że zostaną zamordowani?

– Że będzie nieszczęście. Nad tą rodziną coś złego wisiało. Ja szukała szeptuchy, żeby urok odczyniła, ale nie znalazła. – W jej głosie zabrzmiało lekkie zdumienie krajem, który nie oferuje tak oczywistych usług. – To przez tego chłopaka – dodała.

– Kuba Aleksandrowicz był zły?

– Nie – zaprzeczyła energicznie, zirytowana, że jej nie rozumiemy. – Zło przyniósł ze sobą. Mieszkało z nim w tamtej piwnicy i przyszło, jak wrócił do domu. Za nim przyszło.

Zerknęłam na Wojtka, który miał niepewną, lekko oszołomioną minę. Musiałam wyglądać dość podobnie, bo kiedy spojrzałam znowu na przesłuchiwaną, ta skinęła głową.

– Pani mi nie wierzy – powiedziała już bez irytacji, jakby niczego innego się nie spodziewała. – Nie szkodzi, może kiedyś pani uwierzy. A teraz może pani pytać inne rzeczy. Mam powiedzieć, gdzie ja była, jak ich zabili?

– Słucham uważnie.

– Nie wiem, bo pani nie mówiła, kiedy to było. Ani data, ani godzina.

Kątem oka widziałam mięśnie drgające na szczęce Wojtka. Lada moment mój partner mógł wybuchnąć śmiechem, musiałam więc ratować sytuację.

– Wczoraj, w godzinach od ósmej rano do drugiej po południu. – Podałam najszerszy możliwy margines.

– Ja sprzątała wtedy biura przy ulicy Mickiewicza. Jedna przerwa tylko, od jedenastej piętnaście do jedenastej trzydzieści, żeby drugie śniadanie zjeść i kawy się napić. Może pani sprawdzić.

Sprawdzę, pomyślałam, choć nie miałam wątpliwości, że alibi Olgi Sawczenko okaże się solidne.

– Kiedy pani ostatni raz widziała Aleksandrowiczów?

– Siedemnastego sierpnia, jak wyjeżdżali. Ja pomogła im się pakować, a potem do domu wróciła i posprzątała. Mam klucze. Pani Kalina mi ufała. Dwa razy w tygodniu ja przychodziła, w poniedziałek i w czwartek, i nigdy nikt na mnie nie mówił nic złego.

– Aleksandrowiczowie przed wyjazdem zachowywali się zwyczajnie?

– Tak, zwyczajnie. Jak oni.

– To znaczy?

– Chłopak się nie odzywał, ale on nigdy dużo nie mówił. Pani Kalina śmiała się i mówiła, że to będzie przygoda, a pan Krystian ją obejmował. Dziewczynki biegały. Lalkę zostawiły na trawniku, bo niegrzeczna była. Jak chciałam do środka zanieść, to mi zabroniły.

– Czemu? – Przypomniałam sobie mokrą od deszczu lalkę, którą zabrałam i posadziłam na stoliku w przedpokoju. Wyglądała na starą, z wyłazającymi już gdzieś włosami i odpryśniętą na czole farbą, ale mimo wszystko nie zasługiwała na takie traktowanie.

– To taka zabawa. Dziewczynki udawały, że na zewnątrz niebezpiecznie, dlatego jak ktoś niegrzeczny był, to nie mógł do domu wejść, żeby się schować. Za karę na trawie zostawał, żeby go potwory zjadły.

– W porządku. – Dziecięce zabawy nieszczególnie mnie interesowały. – Wie pani, kto wpadł na pomysł wyjazdu do leśniczówki?

– Nie.

– Może pani Kalina, skoro cieszyła się na przygodę?

– Nie myślę tak. Ona tylko udawała.

– Twierdziła pani, że wszyscy członkowie rodziny zachowywali się przed wyjazdem zwyczajnie – przypomniałam.

– To właśnie dla niej zwyczajne było. Ona zawsze udawała, że wszystko jest w porządku.

Przypomniałam sobie sztucznie entuzjastyczny ton, jakim mówiła Kalina na wideo, i w duchu pogratulowałam mojemu świadkowi przenikliwości. Szczerości zresztą też. Większość osób na miejscu Olgi Sawczenko zalewałaby się teraz łzami i zapewniała mnie, że Aleksandrowiczowie byli chodzącymi świętymi.

– A on?

– Miły człowiek, ale tak tylko... – Zabrakło jej potrzebnego słowa. – Na zewnątrz. Nie, to nie to...

– Powierzchnie?

Skinęła głową.

– Tak. Bo to nic nie kosztowało. Pytał o różne rzeczy, jak się czuję i inne. Ale jak odpowiadałam, zaraz przestawał słuchać.

– A dzieci?

– Chłopak chodził, jakby nie chciał, żeby go widzieć. Jak duch. Dziewczynki... – W jej głosie zabrzmiały czułość i ciepło. Jeśli Olga lubiła kogokolwiek z tej rodziny, z pewnością były to Basia i Renia. – Młodsza śmiać się lubiła. Naprawdę, nie tak jak jej matka. Wszędzie ją było pełno. Starsza spokojna była, dużo czytała. Więcej widziała od inne dzieci. Innych dzieci – poprawiła się odruchowo.

– Na przykład co takiego?

– Duchy. Myślę, że Basia duchy widziała. I zło, które z Kubą przyszło. Dlatego go unikała.

– Czyli Kuba i Basia raczej za sobą nie przepadali, tak?

Przytaknęła.

– Nie kłócili się, po prostu... innymi drogami chodzili. Odzywali się do siebie, tylko jak pani Kalina kazała.

– A młodsza dziewczynka? Też nie lubiła brata?

– Renia kochała Kubę. – Znowu ta zdradliwa, pełna smutku czułość. – Zawsze chciała brata starszego mieć, dlatego jak go wreszcie dostała, to nic nie mogło ją niechęcić. Zniechęcić. Nawet gdy jak pies na nią warczał, to ona ciągle do niego przychodziła, kwiatki przynosiła, lalki i zabawki. Chciała, żeby się z nią bawił albo filmy oglądał.

– I co on na to?

– Na początku był zły... – Zawahała się i zaraz poprawiła: – Nie, nie zły. Bardziej jakby nie wiedział, co robić. A potem ona go przekonała. Zmusiła, żeby ją kochał. Tylko Renia mogła zrobić tak, że Kuba się śmiał.

To przynajmniej przemawiało na korzyść Kubę. Gdyby chłopak postanowił zabić swoje siostry, potraktowałby łagodnie dziewczynkę, którą kochał, a brutalnie tę, z którą się nie dogadywał. Nie odwrotnie.

– To wszystko? – zapytała Olga Sawczenko. – Jeśli tak, chcę już iść. – Zerknęła na zegarek.

– Ma pani umówione spotkanie?

Potrząsnęła głową.

– Jadę do Sosnowca, do cerkwi. Pomodlić się za dusze tej rodziny.

– Wie pani, że Jakub Aleksandrowicz żyje? – Wojtek postanowił wtrącić się do rozmowy. – Został ranny, ale jest duże prawdopodobieństwo, że z tego wyjdzie.

Zamrugła. Dopiero teraz wyglądała na zaskoczoną.

– Za niego też się pomodłę – odparła.

*

– Co myślisz o tej kobiecie? – zapytałam Wojtka, kiedy szliśmy w stronę parkingu. Słońce nabrało głębokiej pomarańczowoczerwonej barwy i promienie padały niemal poziomo, kładąc na betonie długie, chybotliwe cienie. Byłam na nogach od piętnastu godzin, a teraz wracałam do domu na kolację czy raczej późny obiad i spotkanie z synem. Miałam nawet niewielką szansę zostać w tym domu do jutrzejszego rana – jeśli nie wydarzy się nic niespodziewanego.

– Dziwna jest – powiedział, otwierając drzwi samochodu. Nie wyglądał na zmęczonego i przez moment zazdrościłam mu tak bardzo, że niemal go nienawidziłam. Bo na niego czekała ukochana żona, bo wciąż był młody i miał przed sobą kawał życia.

– To już mówiłeś. A poza tym?

Zawahał się.

– Ma charakter. I taką, no, osobowość. Kiedy zaczęła gadać o tych duchach, na chwilę prawie jej uwierzyłem.

Skinęłam głową. Ja czułam się podobnie. Olga Sawczenko niewątpliwie miała i charakter, i osobowość.

– Ta kobieta jest nie w ciemną bita. Wydaje mi się, że bardzo dobrze rozgryzła Aleksandrowiczów. Dlatego duchy duchami, ale zastanawiam się, czy ona naprawdę nie wyczuwała tam czegoś złego. Jakiegoś podskórnego napięcia czy konfliktu, którego nie potrafiła określić.

– Czegoś związanego z chłopcem?

– Możliwe. Będziemy musieli się dowiedzieć czegoś więcej o tym porwaniu. Mam nadzieję, że Janczak jutro już nam powie, czy młody mógł sam sobie wbić ten nóż. I te ślady prowadzące na piętro, testament Aleksandrowiczów, terapeuta Kuby i...

– Wsiadaj – przerwał łagodnym tonem, nie patrząc mi przy tym w oczy. – Podrzucę cię do domu, a potem wrócę tu jeszcze na chwilę. Ilona i tak wychodzi dzisiaj z przyjaciółką, czyli ja mogę się zająć papierami.

– Gdyby coś...

– Wiem. Gdyby coś się działo, dam znać.

*

W domu czekał na mnie ciepły jeszcze obiad – zapiekanka z mięsem mielonym i ziemniakami. Nie było za to Adama. Z ulgą zdjęłam buty, przebrałam się w luźne spodnie i usiadłam przy stole w kuchni. Jeszcze przed chwilą sądziłam, że mogłabym zjeść konia z kopytami, ale teraz straciłam apetyt i każdy kęs stawał mi w gardle. Mimo to zmusiłam się, żeby wepchnąć w siebie uczciwą połowę, a resztę włożyłam z powrotem do piekarnika. Nie miałam pojęcia, kiedy wróci Adam ani czy w ogóle będzie dziś nocował w domu.

Potem zrobiłam to, o czym myślałam już od dłuższego czasu – wyjęłam z torebki kasetę wideo z domu Aleksandrowiczów. Tę z napisem „Egipt '99”. Ostatni film, jaki nakręciła rodzina, ten, na którym byli już wszyscy razem. A przynajmniej powinni być wszyscy razem.

Przeszłam do dużego pokoju, włożyłam kasetę do odtwarzacza i wcisnęłam „play”, zanim jednak zdążyłam usiąść na tapczanie, w zamku zazgrzytał klucz. Mój syn miał zaskakująco dobre wyczucie czasu. Albo złe, zależy, jak na to patrzeć.

– Oglądasz coś ciekawego? – zapytał, wsuwając głowę do pokoju. – Mogę się przyłączyć?

Chciałam odmówić, ale w ostatniej chwili zmieniłam zdanie. Ostatecznie szansa na to, że na filmiku znajdzie się coś, czego nie powinien oglądać, była minimalna.

– Jeśli chcesz, ale to nic interesującego.

Zaczekałam, aż zrobi sobie herbatę i usiądzie obok mnie z parującym kubkiem w rękę. Elegancko ubrany, pachniał czymś, co kojarzyło się przyjemnie ze skórą, wilgotnym drewnem i dymem z ogniska.

– Miałeś dziś rozmowę o pracę? – zapytałam.

– Tak, ale chyba nic z tego nie będzie. Potem widziałem się z paroma kumplami.

– Myślałam, że z dziewczyną. Wyglądasz, jakbyś wracał z randki.

– Nie interesują mnie dziewczyny.

Zawahałam się. Mojego pokolenia nikt nie uczył przeprowadzania takich rozmów, ale to był moment równie dobry jak każdy inny.

– W takim razie kto cię interesuje? Chłopcy? Jeśli tak, to nie mam nic...

Parsknął krótkim śmiechem.

– Teraz o to pytasz? Naprawdę?

– Dlaczego nie? – odparłam lekko urażona, choć mój syn oczywiście miał rację. Powinnam była znacznie wcześniej zapytać, czemu nie przyprowadza do domu żadnych dziewczyn. Wiele rzeczy powinnam była zrobić wcześniej.

– Dzięki za ten pokaz tolerancji, mamó, ale nie jestem gejem.

– W porządku. – Chciałam mu wierzyć, bo inaczej czekałoby go ciężkie życie. – Twoja sprawa.

– Możemy obejrzeć ten film?

Ponownie wcisnęłam „play” i na ekranie ukazał się sielski widoczek egzotycznej plaży. Palmy, złoty piasek, w tle błękitne fale z białymi pióropuszcami piany. Kalina Aleksandrowicz, usadowiona w głębokim leżaku, sączyła drinka, rondo słomianego kapelusza rzucało na jej twarz cień, ale i tak było widać rozleniwiony uśmiech. Basia budowała zamek z piasku – nie dziecięcą kanciastą budowlę, tylko prawdziwe dzieło sztuki z wieżyczkami, fosą i mostem zwodzonym zrobionym z patyków. Kuba siedział na kocu i czytał jakąś grubą, poważnie wyglądającą książkę. Renia zjawiła się w kadrze chwilę później, przyskajac wokół kropelkami wody jak nabuzowany szczęściem jasnowłosy elf.

– Samolocik, zrób mi samolocik! – piszczała, skacząc wokół starszego brata.

Kuba wstał.

– Tylko uważajcie – ostrzegła ich Kalina, ale w jej głosie nie słyhać było niepokoju; ot, jedynie odruchowa, pozbawiona głębszego znaczenia uwaga rzucona przez matkę, która doskonale wie, że jej dzieciom nie może się stać nic złego.

Chłopak złapał dziewczynkę za rękę i za nogę i zaczął kręcić nią wkoło. Renia śmiała się piskliwie, jej drobne ciało, obrysowane konturem słońca, miało w sobie coś nierzeczywistego, jak cień ptaka wynurzającego się z żaru i wzlatującego w niebo; złote włosy wyglądały, jakby płonęły. Gdy Kuba postawił siostrę na piasku, śmiech małej stopniowo przeszedł w czkawkę.

– Ty też chcesz? – zapytał Basię, która siedziała obok swojego zamku, patrząc oczami wielkimi jak pięcioletki.

– Jestem za duża – burknęła, ale na jej twarzy malowało się desperackie pragnienie; jakby ta sześcioletnia dziewczynka zapomniała już, jak to jest być dzieckiem, i teraz rozpaczliwie chciała sobie przypomnieć.

– Nikt nie jest za duży na samolocik. – Kuba wyszczerzył zęby i dziewczynka dała się przekonać. Spektakl powtórzył się niemal co do joty, obrysowany słońcem kontur dziecięcego ciała, fruujący w górę i w dół, korona z płonących złotem włosów i jaskrawy, pełen szczęścia śmiech. Kuba był na tym filmie opalony, na nasmarowanym oliwką ciele prężyło się sporo mięśni. Chłopak przez ostatnie miesiące przybrał na wadze i z wychudzonego dzieciaka powoli zmieniał się w młodego mężczyznę. Całkiem silnego mężczyznę – Renię i Basię podrzucał, jakby ważyły tyle, co papierowe wycinanki. Zrobiło mi się dziwnie nieprzyjemnie. Taki siedemnastolatek bez problemu mógłby zaatakować nożem dorosłego człowieka i go zabić.

– Kto to jest? – zapytał Adam.

– Rodzina, której sprawą się zajmuję.

– Aha. – Nie skojarzył mojej odpowiedzi z wiadomościami w telewizji. Może ich nie oglądał albo niespecjalnie go to obchodziło. Adam był pod pewnymi względami bardzo egoistyczny. – Wyglądają na szczęśliwych.

– Tak, chyba tak.

Najwyraźniej Kalinie udało się jednak skleić tę rodzinę w jedną całość. Może nie całkowicie, nie na zawsze, ale na jeden radosny dzień nad morzem tak.

Zastanawiałam się też, jakim cudem Aleksandrowiczowie przebyli drogę od tej egzotycznej plaży do pozbawionej większych wygod leśniczówki w głębi lasu, gdzie spotkała ich śmierć, i nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi.

Obraz na wideo śnieżył. Przewinęłam jeszcze dla pewności taśmę, by sprawdzić, czy niczego więcej tam nie ma, ale nie. Aleksandrowiczowie najwyraźniej mieli zasadę: jedna kasetka, jeden krótki filmik.

Poszłam do kuchni, żeby zrobić sobie herbatę, kiedy zadzwonił telefon. Wiedziałam, kto to jest i o co chodzi, jeszcze zanim odebrałam.

– Mamy coś nowego – powiedział Wojtek.

– Co takiego? – zapytałam. Woda zawrzała i czajnik elektryczny wyłączył się automatycznie. W kubku leżała przygotowana torebka liptona, ale jej nie zalałam. Wiedziałam również, że nie zdążę wypić tej herbaty.

– Kuba Aleksandrowicz się obudził. Jeśli chcesz, to mogę sam...

– Nie trzeba. Już jadę.

Róża Jaworska siedziała na podłodze w kuchni wśród szczątków rozbitych naczyń i płakała. Nos i gardło miała zapchane flegmą, na wargach czuła słony smak łez i spływającej z nosa wydzieliny. Nie było w tym nic z romantycznego szloch, jaki pokazują czasem w telewizji, tylko upadające, rozdzierające wycie, tłumione wetkniętą w usta pięścią. Promienie słońca odbijały się w odłamkach szkła, zmieniając je w błyszczące klejnoty. Obok lśniły purpurowe krople krwi.

Gdy Róża oznajmiła matce, że Kalina i dziewczynki nie żyją, pani Jaworska najpierw zapytała: „Co?”, a kiedy córka powtórzyła informację, odpowiedziała krótkim: „Nie”. W tym „nie” zawierało się wszystko, cały upór starszej kobiety, która za żadną cenę czegoś takiego nie przyjmie do wiadomości. Twarz już wtedy miała szarą jak nagrobek.

Róża powtórzyła więc wszystko trzeci raz, tym razem przywołując na pomoc wiadomości w telewizji. Matka znowu odparła: „Nie”, poczekała jednak na informację o kilkusobowej rodzinie brutalnie zamordowanej w lesie niedaleko Żywca.

– Mówiłaś, że zatrzymałaś się u nich na noc – powiedziała, odwracając się w stronę córki. Jej pewność siebie zaczynała pękać jak gliniana skorupa. Pani Jaworska musiała wiedzieć, że przegrała, już w chwili, gdy zaczęła tę dyskusję. Kiedy dopuściła do siebie wątpliwości.

– Skłamałam. Byłam w szpitalu. To ja ich znalazłam i potem... źle się poczułam. Prawie umarłam, mamo.

Słowa obliczone na wywołanie współczucia – choćby maleńkiego, takiego, które pozwoliłoby Róży przetrwać nadciągający huragan – nie trafiły do celu. Pani Jaworska patrzyła w ścianę, jej usta poruszały się bezgłośnie. Potem zaczęła płakać. Na tym etapie Róża pomyślała z nadzieją, że może nie będzie tak źle, bo płacz oznaczał przynajmniej jakąś normalną reakcję.

– Zrobię ci herbaty – szepnęła, gotowa otworzyć się i dzielić z matką ból. Pomimo muru, który przez lata wyrósł między nimi, mimo wszystkich

nieporozumień, krzyków i kłótni.

Brała właśnie szklanke z suszarki, kiedy za jej plecami rozległ się świdrujący w uszach wrzask.

– Kurwa, kurwa mać!

Podskoczyła jak oparzona i odwróciła się. Matka patrzyła na nią wybałuszonymi oczami, na wargach pękały banieczki śliny.

– Tyle masz do powiedzenia? Zrobię ci herbaty?

– Mamo...

– Moja córka nie żyje! Moje wnuczki nie żyją, ty kurwo, ty wywłoko jedna! Diabelskie nasienie! Moja córka! Moje wnuczki! To powinnaś być ty! Ty!

Matka wyrwała jej z ręki kubek i roztrzaskała o ścianę. Za nią poszedł stojący na stole wazon.

– Mamo, proszę cię...

– Zabiję cię, słyszysz? – zawyła. – Zabiję, zabiję! A potem zabiję siebie! Nie mam już po co żyć!

Popchnęła córkę, a ta upadła, ledwo rejestrując, że skaleczyła dłoń o odłamek szkła. Rękami zasłoniła głowę. Gdy matka odwróciła się, by sięgnąć po leżącą w zlewie patelnię, Róża na czworakach uciekła z kuchni. W przedpokoju podniosła się i z całej siły naparła na drzwi. Matka zdążyła już włożyć rękę w szparę.

– Nie waż się mnie zamykać! Nie... – Słowo zamieniło się w przeciągły wrzask, pani Jaworska cofnęła dłoń, a Róża przekreśliła klucz i rzuciła się do telefonu. Numer znała na pamięć.

Kiedy pół godziny później zjawili się pogotowie, pani Jaworska zdemolowała już pół kuchni – mało brakowało, a wyrwałaby rurę doprowadzającą gaz do kuchenki. Dwóch pielęgniarzy musiało ją przytrzymać, gdy lekarz dawał jej zastrzyk uspokajający, ale kiedy odjeżdżała karetką, pojękiwała już tylko cicho niczym ranne zwierzę.

Teraz Róża siedziała w kuchni i płakała.

Szloch cichł, w miarę jak przygasało słońce, a zmierzch wysysał z otoczenia kolory. Wreszcie kobieta wstała, sięgnęła po wiszącą przy zlewozmywaku ścierkę i wysmarkała nos. Potem przemyła twarz zimną wodą, przeczesała palcami włosy –

niewiele to dało, ale też nie wymagała od siebie w tym momencie dużo – i rozważała właśnie sięgnięcie po miotłę, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Stała w gęstniejącym mroku, wstrzymując oddech.

Ding-dong. Ding-dong. Natarczywy dzwonek oznajmiał, że ktokolwiek czeka na zewnątrz, nie zamierza się zniechęcić. Gdyby Róża była pewna, że to ten natrętny dziennikarz, nie ruszyłaby się z kuchni na krok. Ale to mógł być ktoś z policji, a ona miała pewne głęboko wpojone zasady. Na przykład takie, że kiedy przedstawiciel władzy chce z tobą porozmawiać, nie należy udawać, że nie ma cię w domu.

Powlokła się więc w stronę drzwi i ostrożnie uchyliła klapkę wizjera. Widok stojącego na korytarzu Lecha Kuleby zaskoczył ją, choć nie aż tak bardzo, jak mógłby w innych okolicznościach. Wykończona płaczem Róża niewiele miała w sobie miejsca na zdziwienie.

Mężczyzna niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

– Jest tam pani? Proszę, niech pani otworzy.

Róża milczała.

– Chcę tylko porozmawiać. I słyszę pani oddech. Wejdę na pięć minut, dobrze? Żeby zobaczyć, czy wszystko w porządku. Martwię się o panią. – Zawahał się. – Jeśli pani nie otworzy, będę musiał wezwać policję. Dla pani dobra. A naprawdę nie chcę tego robić.

Pokonana kobieta zdjęła łańcuch i uchyliła drzwi.

– Dziękuję. – Kuleba uśmiechnął się nerwowo. – Mogę wejść?

Wpuściła go, czekając z rezygnacją na nieuniknioną reakcję.

– Boże, co tu się stało? – zapytał, patrząc w stronę kuchni doskonale widocznej z przedpokoju.

Róża zagryzła dolną wargę. Jeszcze przed chwilą myślała, żeby skłamać, znaleźć jakieś rozsądne wyjaśnienie, ale właściwie było jej już wszystko jedno.

– Powiedziałam mojej matce o Kalinie i dzieciach, a wtedy dostała ataku. Czasem jej się to zdarza. Znaczący... – zaplątała się. – Oczywiście dzisiaj miała powód. Wiem. Prawdziwy powód. Ale wcześniej bywało tak, że szalała, chociaż nic się nie stało. Nie tak bardzo jak dziś, po prostu...

– Niech pani usiądzie, proszę. Ledwo trzyma się pani na nogach. I trzeba opatrzyć pani rękę. Mogę mówić do pani po imieniu?

– Tak – zgodziła się, wciąż oszołomiona.

Posadził ją przy kuchennym stole na jedynym ocalałym krześle – pozostałe dwa leżały pod ścianą z połamanymi nogami. Przyniósł z łazienki apteczkę, a potem starannie obmył i zakleił plastrem niewielką ranę na dłoni, choć krew przestała już płynąć.

– Dziękuję – mruknęła. – Nie rozumiem tylko... Jak pan mnie właściwie znalazł? To znaczy, jak mnie znalazłeś?

– Powiedziałem rejestratorce w szpitalu, że jesteśmy przyjaciółmi i bardzo się o ciebie martwię, bo po tym, co się stało, chyba rozważasz samobójstwo.

– A ona tak po prostu dała ci mój adres?

Kuleba westchnął.

– Nie tak po prostu. Musiałem jeszcze jej zapłacić. Nieładnie z mojej strony, wiem. – Uśmiechnął się niepewnie, jakby zachęcał Różę, by dzieliła z nim tajemnicę. – Ale zrobiłem to w dobrej wierze, no i nie kłamałem. Naprawdę się o ciebie martwiłem.

– Prawie się nie znamy...

– Możemy się poznać lepiej. Zdaję sobie sprawę, że okoliczności są... niesprzyjające. – Zakłopotał się i przez chwilę szukał lepszego słowa. – Okoliczności są straszne. Ale tym bardziej nie powinnaś być teraz sama. Zrobię herbaty, dobrze?

Skinęła głową. Nie miała ochoty na herbatę, ale zabrakło jej sił, żeby protestować. Poza tym dobrze wychowane kobiety nie protestują, kiedy mężczyzna chce być dla nich miły, a Róża niewątpliwie była dobrze wychowana. Czasem cholernie tego żałowała, na pewne rzeczy jednak nie można nic poradzić.

Napełnił czajnik wodą i postawił go na gazie, potem znalazł dwa całe kubki, cukier oraz puszkę z herbatą. Wszystko to robił z pewnością siebie człowieka, dla którego kuchnia jest znajomym, bezpiecznym terenem.

– Dużo o tobie myślałem – powiedział, kiedy czekali, aż woda się zagotuje. – Przyznaję, że na początku nie chciałem mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Zamierzałem złożyć zeznania, a potem zapomnieć. Ale nie mogłem. Poszedłem nawet do kościoła, żeby się pomodlić i poprosić Boga o radę. I tam sobie

uświadomiłem, że nasze spotkanie nie było przypadkiem, że to przeznaczenie. Wierzysz w przeznaczenie?

– Tak. Chyba tak.

– To dobrze. Trzeba wierzyć.

Umilkł.

Róża też się nie odzywała. Bolała ją głowa i chciała, żeby ten człowiek sobie poszedł. Powinna zrobić mnóstwo rzeczy. Posprzątać, przejść się do sklepu po butelkę wina – bo na to miała ochotę, nie na herbatę, za którą nigdy nie przepadała. Uświadomiła też sobie, że o tej porze osiedlowy sklepik jest już zamknięty, będzie więc musiała iść do nocnego, gdzie ceny są wyższe. Zazwyczaj zwracała uwagę na takie rzeczy, ale dziś nic jej to nie obchodziło.

Zamyślona, dopiero po chwili zorientowała się, że Leszek coś do niej mówi.

– Słucham? – Zamrugła.

– Nie powiedziałem im.

– O czym?

– Nie powiedziałem policji, że ty już wcześniej wiedziałaś, co zastaniesz w leśniczówce.

– Nie rozumiem. – Czuła, jak dolna warga zaczyna jej drżeć. Woda w czajniku zagotowała się, ale żadne z nich nie zareagowało.

– Dlatego właśnie zaprosiłaś mnie do środka. Nie na kawę, tylko po to, żebyś nie musiała znaleźć ich sama. Na początku byłem z tego powodu zły, bo nie lubię, kiedy ktoś mnie wykorzystuje, ale potem zrozumiałem. I to, co powiedziałaś w samochodzie. Bóg rozpozna swoich. Już wtedy powinienem się zorientować, że coś jest nie tak.

– Nieprawda, o niczym nie wiedziałam. – Nawet w jej własnych uszach zabrzmiało to słabo, zupełnie nieprzekonująco.

– W porządku. – Posłał jej jeszcze jeden porozumiewawczy uśmiech, tym razem już bardziej pewny. – To będzie nasz wspólny sekret. Nikomu nie powiedziałem ani nie powiem. A teraz napijmy się wreszcie tej herbaty.

*

Kuba Aleksandrowicz leżał w łóżku z zamkniętymi oczami. Do jego łokcia była podłączona kroplówka. Z początku myślałam, że chłopak śpi, ale kiedy usiedliśmy obok na niewygodnych szpitalnych krzesłach, uniósł powieki. Wzrok miał zaskakująco przytomny jak na kogoś, kto niedawno wybudził się po operacji.

– Cześć – powiedział Wojtek. Zostawiłam mu prowadzenie tej rozmowy, uznając, że młody mężczyzna szybciej dotrze do nastolatka niż starsza kobieta. – Jesteśmy z policji, to komisarz Krystyna Lesińska, a ja jestem starszy aspirant Wojciech Chodura. Możesz mi mówić Wojtek. Chcemy z tobą porozmawiać. Wiesz, gdzie jesteś?

– W... szpitalu.

– Tak. A wiesz, dlaczego się tu znalazłeś?

– Stało... stało się coś złego.

– Co pamiętasz?

Potrząsnął głową.

– Krew. Całe mnóstwo krwi i... Mój tata. Ciocia i dziewczynki... – W jego oczach pojawiło się czyste przerażenie. – Co się z nimi stało? Czy oni...

– Wszyscy nie żyją. Naprawdę bardzo mi przykro, synu.

Rozpłakał się. Spodziewałam się czegoś podobnego, ale zdumiała mnie siła tego wybuchu. Kuba Aleksandrowicz leżał na łóżku i wył, zagryzając róg kołdry. Nie udawał, wiedziałam o tym – nikt nie jest aż tak dobrym aktorem. To jednak o niczym jeszcze nie świadczyło. Mógł ich zabić w napadzie szału, a teraz tego żałował albo płakał nie tyle nad losem rodziny, ile nad własnym.

Gdy zaniepokojony lekarz zajrzał do izolatki, odesłałam go gestem i czekałam. Oboje czekaliśmy, bo nic innego nie mogliśmy zrobić.

– Zejdę na moment na dół – mruknął w pewnej chwili Wojtek, a ja skinęłam głową.

Wrócił z dwoma papierowymi kubkami: w jednym znajdowała się kawa, w drugim herbata. Wzięłam kawę. Była paskudna, jak większość napojów z automatu. Mimo to piłam, wyłącznie po to, żeby czymś się zająć.

Kiedy w kubeczku zostało już tylko kilka łyków, Kuba zaczął się uspokajać. Wojtek podał mu pudełko chusteczek, które stało na stoliku. Chłopak wytarł twarz.

– Czy to przesłuchanie? – zapytał.

– Nie, po prostu sobie rozmawiamy. Nie zapisujemy niczego ani nie nagrywamy. Chcemy się dowiedzieć, co pamiętasz.

– Nic nie pamiętam.

– Mówiłeś o krwi – przypomniałam delikatnie, ale przez twarz chłopaka i tak przebiegł grymas bólu, jakby ktoś dźgnął go rozżarzoną przętą.

– Tylko... momenty. Jak kawałki filmu. Ktoś krzyczy, Renia leży w trawie, chyba już nie żyje. Krew...

– Krew na zewnątrz czy w leśniczówce? – Zastanawiałam się, czy chłopak w ogóle wchodził do środka.

– Po prostu krew. – Przełknął ślinę, jakby męczyły go mdłości. – Ja tego nie zrobiłem – dodał po chwili. – Wiem, że ludzie będą tak mówić, ale to nie ja. Nie mógłbym ich skrzywdzić.

W innym przypadku natychmiastowe gwałtowne zaprzeczanie wzbudziłoby moją podejrzliwość, ale ten chłopak miał prawo tak się zachowywać. W końcu już raz zabił.

– Nikt nie twierdzi, że to ty – zapewnił go Wojtek. – Dasz radę opowiedzieć nam o wszystkim, co pamiętasz? To bardzo ważne.

– Nic nie pamiętam, mówiłem! – Niedobrze, dzieciak zaczynał wpadać w panikę. Uznałam, że najwyższa pora się wtrącić.

– Zostawmy na razie wczorajszy dzień. Opowiedz nam po prostu o swojej rodzinie. Jacy są, co robicie razem. Takie rzeczy.

Rzykowałam, bo równie dobrze mógł się teraz rozżłościć, ale na szczęście użycie czasu teraźniejszego podziało na niego uspokajająco. Każdy z nas czasem się oszukuje, a ja dałam temu chłopcu szansę, żeby na moment uciekł od ścigającego go koszmaru.

– Tata... prowadzi interesy. Jest miły, oglądamy razem mecze w telewizji. Koszykówkę. Obaj kibicujemy Lakersom. Ciocia Kalina... Mówię na nią „ciocia”, bo nie jest moją matką, kupuje mi dużo ubrań i gotuje, chociaż ja wolę jedzenie z McDonalda. Martwi się tym, mówi, że niedobrze jeść takie niezdrowe rzeczy. Moje siostry... Basia jest w porządku, a Renia to fajny dzieciak. – Głos mu zadrzał i przez chwilę myślałam, że Kuba znowu się załamie. – Fajny dzieciak – powtórzył, jakby to wszystko wyjaśniało. Możliwe zresztą, że naprawdę tak było.

– Pojechaliście w tym roku nad morze, prawda?

– Tak. – Jego twarz rozpromieniła się na moment. A więc miałam rację, tamte wakacje musiały być szczęśliwe. – W czerwcu, do Egiptu. Nigdy wcześniej nie wyjeżdżałem za granicę ani nawet nad morze. Wy... wiecie? – Spojrzał niepewnie, jakby nas testował.

– O tym, że zostałeś porwany jako małe dziecko i dopiero niedawno wróciłeś do domu? – odezwał się Wojtek. – Wiemy.

– To dlatego tata i ciocia musieli mi od nowa wyrabiać wszystkie dokumenty. I dlatego nie chodziłem do szkoły. Dopiero teraz od września mam pójść do liceum. Miałem pójść – poprawił się. Chłopak zaczynał wracać do rzeczywistości, a ja przelotnie zastanowiłam się, jaką przyszłość miał przed sobą siedemnastolatek naznaczony tak wielką podwójną tragedią. I czy w ogóle miał jakąkolwiek przyszłość.

Kuba musiał myśleć o tym samym, bo umilkł, zaciskając kurczowo ręce na kołdrze.

– A w sierpniu pojechaliście do leśniczówki – podpowiedział Wojtek.

Skarciłam go wzrokiem. Wydawało mi się, że zbyt szybko pchnął dzieciaka z powrotem w stronę niebezpiecznego tematu, ale Kuba z ulgą zanurkował w przeszłość. Wyglądało na to, że pierwsze dni wyjazdu wcale nie kojarzą mu się źle.

– Tak. Żeby pożegnać wakacje, tak mówiła ciocia. Nie było tak fajnie jak nad morzem, ale w sumie w porządku.

– Kto wpadł na ten pomysł? – zapytałam niewinnie.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Nie wiem. Po prostu powiedzieli mi, że jedziemy, i pojechaliśmy.

– A czemu spałeś w namiocie?

– Bo inaczej musiałbym spać albo w pokoju z dziewczynami, albo na tapczanie w saloniku. Wolałem namiot.

A więc nie żadna przygoda, tylko względy praktyczne, pomyślałam. Sporo nastolatków odebrałoby coś takiego jako afront, podobnie zresztą jak to, że nikt ich nie zapytał o zdanie w kwestii wyboru miejsca na wakacje. Jednak dla Kuby Aleksandrowicza jedno i drugie mogło być zupełnie naturalne.

– I co tam wszyscy robiliście?

Zastanowił się.

– Tata dużo dzwonił w interesach. Komórka nie miała zasięgu, dlatego musiał używać telefonu stacjonarnego i się tym denerwował. Ciocia opalała się na trawie, czytała książki albo ćwiczyła przy takim specjalnym programie na kasetach. Ja chodziłem z dziewczynami po lesie. Nigdzie daleko, tylko po bezpiecznych ścieżkach.

– Nie bałeś się?

– Czego miałbym się bać? – Nagle wydawało mi się, że w oczach Kuby dostrzegam błysk czujności.

– No nie wiem, dzikich zwierząt, ciemności? Nie byłeś przecież przyzwyczajony do takich rzeczy. Spanie samemu w namiocie też musiało być nieprzyjemne.

– Lubię być sam. Poza tym... – Odwrócił się, wzruszając ramionami w geście, który miał być chyba nonszalancki, a wypadł bezradnie. – Tylko dzieci wierzą, że potwory przychodzą z lasu i wystarczy zamknąć drzwi, żeby się przed nimi ochronić. Prawdziwe potwory...

Niemal namacalnie czułam, jak powietrze w maleńkiej sali gęstnieje, jak rośnie napięcie.

– Co robią prawdziwe potwory? – zapytał Wojtek ostrożnie, bojąc się spłoszyć tę chwilę.

– Co? – Chłopak zamrugał. Dopiero teraz wyglądał jak ktoś, kto zbudził się z głębokiego snu.

– Mówiłeś o potworach.

– Potwory nie istnieją. To ludzie. – Jego usta wykrzywiły się w dziwnym grymasie pomiędzy wściekłością a rozpaczą. – Ludzie robią te wszystkie złe rzeczy!

– Masz na myśli jakiegoś konkretnego człowieka?

Potrząsnął głową, długie włosy przesłoniły twarz.

– Ja nic nie pamiętam, przecież już mówiłem. – Zawahał się i nagle zmienił temat. – Co teraz ze mną będzie? Moja mama przyjedzie, żeby mnie zabrać? Ona mieszka w Anglii, znam jej adres...

– Skontaktujemy się z nią jak najszybciej – zapewniłam. – A dopóki nie wróci, będziesz miał opiekuna ustanowionego przez sąd.

– Tak jak wtedy, kiedy policja szukała moich rodziców?

– Tak jak wtedy, owszem, ale tym razem to nie musi być obcy człowiek. Masz jakichś bliskich? Dziadków, ciocie albo wujków? – Róży nawet nie proponowałam. Nie była formalnie krewną chłopaka i nie sądziłam, by zgodziła się zostać jego opiekunką.

– Mam babcię. Mamę mojej mamy. Ona mieszka na wsi, w Kątach, to niedaleko stąd. Ale ja właściwie jej nie znam. Moja mama i babcia nie lubią się za bardzo. Tata mówił, że to dlatego, że mama wyjechała do miasta i potem już się nie chciała przyznawać, że jest ze wsi.

– W porządku, zapytamy twoją babcię. – A więc Lucyna, podobnie jak siostry Jaworskie, była miejscowa i dobrze znała okolice Żywca. To mogło mieć znaczenie. – Teraz już pójdziemy, ale jeśli coś sobie przypominasz, możesz zawołać policjanta, który siedzi przed drzwiami, a on nam przekaże wiadomość. Dobrze?

Odpowiedziało mi ciche „mhm” wymruczane zza zasłony włosów. Miałam wrażenie, że Kuba znowu płacze.

*

– O kurwa – powiedział Wojtek, gdy wyszliśmy na korytarz. – Ta matka... Jaka kobieta porzuca swoje dziecko i wyjeżdża do Anglii?

Siedzący przed salą młody policjant odprowadzał nas wzrokiem, odezwałam się więc, dopiero gdy zatrzymaliśmy się kilkanaście metrów dalej, przy oknie.

– Może po prostu uznała, że u ojca będzie mu lepiej. Zaczekaj może z oskarżeniami, aż skontaktujemy się z tą kobietą.

Wojtek mruknął coś, najwyraźniej nieprzekonany, i przez dłuższą chwilę milczeliśmy oboje. Kątem oka widziałam, że młody policjant przestał się na nas gapić i wrócił do lektury opasłego tomu, który trzymał na kolanach. Książka nie wyglądała na beletrystykę, raczej na coś naukowego. Może chłopak wybierał się na studia albo po prostu miał nietypowe hobby.

– Wierzysz, że Kuba niczego nie pamięta? – zapytał Wojtek.

– W takich sytuacjach częściowa albo całkowita amnezja to nic niezwykłego. Ale...

– Właśnie, „ale”. Co niby miało znaczyć to zdanie o potworach? Co robią prawdziwe potwory?

– Nie przychodzą z zewnątrz, tylko czekają w środku – zasugerowałam.

– To by wskazywało na kogoś blisko domu, przed kim nie można zamknąć drzwi. Jakiś przyjaciel rodziny albo krewny? Ktoś, kogo chłopak się bał?

Skinęłam powoli głową.

– I wciąż nie możemy wykluczyć, że to ten chłopak ich zabił – dodał Wojtek.

– Możliwe, że możemy. Czekaj.

Podeszłam do siedzącego przed drzwiami policjanta, a ten z nadzieją poderwał głowę, zapominając natychmiast o książce. Zerknęłam na tytuł, bo ja też bywam ciekawa – czytał *Psychiatrię kliniczną*, stare wydanie, jeszcze z lat siedemdziesiątych.

– Był tu już doktor Janczak? Drobnny, siwowłosy facet w średnim wieku, z wąsem.

– Był, tak gdzieś koło osiemnastej. Ja tu siedzę od szesnastej, dopiero o północy przyjdzie kolega, żeby mnie zmienić – powiedział, prawie jakby domagał się medalu. – Coś nie tak? Sprawdziłem tego człowieka i wyglądało...

– Nie, wszystko w porządku.

Odeszłam na koniec korytarza, wygrzebałam z torebki komórkę i wystukałam numer Janczaka. Ten cholerny wynalazek bywał jednak czasami przydatny. Rachunki były horrendalne, bo rozmawiałam dużo, a do wysyłania esemesów jakoś nie potrafiłam się przekonać, ale było warto. Na stacjonarny prawdopodobnie nie odważyłabym się dzwonić o takiej porze. Dwójka małych dzieci Janczaka pewnie już spała, a jego nerwowa żona pomyślałaby sobie Bóg wie co. Komórka za to jest dyskretna i prywatna – nie dzwoni się do całej rodziny, tylko do konkretnej osoby.

– Cześć – odezwał się głos Janczaka. – Wiesz, która jest godzina?

– Wiem – odparłam, chociaż nie miałam pojęcia. Jedyne podejrzewałam, że musi być późno. – Chciałam zapytać o wyniki badania Kuby Aleksandrowicza.

– Znajdziesz protokół jutro rano na biurku. Teraz oglądamy z żoną *Cztery wesela i pogrzeb*.

– To nie zajmie dużo czasu. Po prostu powiedz mniej więcej, co ci się udało ustalić.

– Nie lubię mówić niczego mniej więcej.

– Wiem.

– I gdybym znalazł coś naprawdę ciekawego, już bym do ciebie zadzwonił. To też, mam nadzieję, wiesz?

– Tak.

– I nie odpuścisz, co? Jezu, ale z ciebie zołza.

W tym momencie mogłabym go uściskać. Od dawna już nikt mnie tak nie nazwał, nie potraktował, jakbym była normalnym człowiekiem.

– Rany chłopaka – przypomniałam. – Co możesz o nich powiedzieć?

Westchnął.

– Kuba Aleksandrowicz dostał dwa ciosy w brzuch po lewej stronie. Jeden, płytszy, przeciął tylko skórę, drugi uszkodził śledzionę.

– Mógł je sobie sam zadać?

– Teoretycznie tak, chociaż to niezbyt prawdopodobne. Oba ciosy wyglądają na typowe rany zadane przez osobę praworęczną, stojącą przodem do ofiary. Gdzie znaleźliście narzędzie zbrodni?

– Jakieś trzydzieści metrów dalej. I na trawie pomiędzy chłopakiem a nożem nie było śladów krwi – dodałam dla porządku.

– W takim razie to prawie na pewno nie jest wasz sprawca. Wątpię, czy w takim stanie dałby radę przejść trzydzieści metrów, a nawet gdyby, musiałby przy tym mocno krwawić.

– Ale tak całkiem go nie wykluczasz?

– Powiedzmy, że wykluczam na 99 procent. Jeden procent zostawiam sobie na różne dziwne przypadki, których trochę w życiu widziałem. W ten sam sposób wykluczam dwójkę dorosłych, jeśli to cię interesuje.

– Interesuje.

– Kobieta i mężczyzna, oboje po trzydziestce, na oko całkowicie zdrowi, chociaż tu potrzebne będą dokładniejsze badania. On dostał dwanaście ciosów, z czego trzy śmiertelne. Dwa trafiły w plecy, kiedy prawdopodobnie leżał już na ziemi. Ona została potraktowana odrobinę lepiej: tylko dziesięć ciosów, w tym jeden w okolicę karku. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że akurat odwróciła się albo uciekała. Ale oboje próbowali walczyć przynajmniej na początku, bo jedno i drugie ma na palcach ślady cięć.

Wyciągali ręce, żeby zatrzymać skierowany w ich stronę nóż, pomyślałam. Oczywiście nic to nie dało. To nigdy nic nie daje, w takich chwilach jednak instynkt jest silniejszy niż logika.

– Jeśli podejrzewasz, że któreś z nich mogło zabawić się w szalonego mordercę, a potem popełnić samobójstwo, to zapomnij. No chyba że mamy w lodówkach rodzinę cyrkowców. Czy teraz mogę już wrócić do filmu? Zaraz będzie końcówka, ta, w której biegną do siebie w deszczu i się całują. Moja żona nie cierpi, kiedy przegapiam takie momenty. Mówi potem, że jestem mało romantyczny.

– Po co oglądasz film, skoro już go znasz? – zapytałam głupio, myśląc cały czas o tym, co Janczak właśnie powiedział. Rodzice ani chłopak nie mogli zabić, a to oznaczało kogoś z zewnątrz.

– Nie znam tego filmu, ale widziałem wystarczająco dużo podobnych, żeby się domyślić – odpowiedział cierpliwie. – Wszystkie komedie romantyczne są takie same. Jeśli nie masz więcej pytań...

– Czekaj. Gdybyś miał porównać rany chłopaka z ranami pozostałych członków rodziny, to co byś na tej podstawie powiedział o mordercy?

– Nie cierpię takich spekulacji.

– Proszę.

Westchnął raz jeszcze, z wyraźną rezygnacją.

– Jeśli będziesz mnie cytować, to się tego wyprę.

– W porządku. Mów.

– Rodzice i jedna z dziewczynek zostali zaatakowani z wściekłością, ciosy były chaotyczne, ale obliczone wyraźnie na to, żeby zabić. Druga dziewczynka została uduszona, prawdopodobnie poduszką. W porównaniu do siostry spotkała ją łagodna śmierć. Chłopak... Tu są dwie możliwości.

– Jakie?

– Morderca nie chciał zabić, tylko... może po prostu wyeliminować go na chwilę z gry. Takie rany widuje się w przypadku napadów rabunkowych, kiedy bandyci dźgają ofiarę w pośpiechu, a potem wieją. Umrze, to umrze, nie umrze, to nie umrze, wszystko im jedno. A w śledziona łatwo trafić, bo osoba praworęczna odruchowo zada cios właśnie w lewą stronę brzucha. Ale mogło być odwrotnie: ten, kto zaatakował Kubę Aleksandrowicza, poświęcił czas, żeby wbić nóż dokładnie w to właśnie miejsce.

– Czemu miałyby to zrobić? – Już wtedy czułam, że odpowiedź mi się nie spodoba.

– Żeby chłopak nie zmarł od razu, tylko wykrwawiał się powoli, świadomy, że to jego ostatnie chwile. Żeby myślał o tym i patrzył... Nie wiem na co. Pogotowie zabrało go, zanim dojechałem, i nie mam pojęcia, co mógł widzieć. Rodziców?

Swoją siostrę, pomyślałam. Śliczną jasnowłosą Renię w trawie, prawie pociętą nożem na kawałki. Jezu Chryste.

– Dzięki. Możesz wracać do filmu.

– Pamiętaj, to tylko...

– Spekulacje, wiem. Miłego seansu.

Wiedziałam, że ten seans nie będzie już dla Janczaka miły – o ile w ogóle kiedykolwiek istniała taka szansa – ale miałam to gdzieś.

28 sierpnia 1999 roku

Protokoły i notatki służbowe spływały na moje biurko od samego rana z budzącą optymizm regularnością. Sprawa miała priorytet i wszyscy bardzo się starali. O jedenastej zebrałam swój zespół w sali konferencyjnej, gotowa wysłuchać ich uwag i rozdzielić nowe zadania. Było nas siedmioro – ja, Wojtek i piątka młodszych funkcjonariuszy, w tym jasnowłosa dziewczyna, która w leśniczówce dała mi spis rzeczy Aleksandrowiczów. Znałam już jej imię i nazwisko: Tamara Siesicka. Ludzie z Żywca zostali na miejscu, nie widziałam sensu ciągnąć wszystkich do Katowic.

– Zacznę od rzeczy oczywistych – powiedziałam, podczas gdy pięć par oczu przenosiło się ode mnie do rozwieszonej za moimi plecami tablicy i z powrotem. Szósta para należała do Wojtka w skupieniu oglądającego własne paznokcie. – Mamy cztery ofiary, dwoje dorosłych i dwójkę dzieci. Krystian Aleksandrowicz, trzydzieści siedem lat, Kalina Aleksandrowicz, trzydzieści pięć lat, Barbara Aleksandrowicz, w styczniu skończyła sześć lat, oraz Teresa zwana Renią, która szóste urodziny obchodziłaby w grudniu. Jakub Aleksandrowicz, siedemnastoletni syn Krystiana z pierwszego małżeństwa, również został zaatakowany, ale przeżył i w chwili obecnej znajduje się pod nadzorem w szpitalu w Żywcu. Prasa jak dotąd na szczęście nie skojarzyła, że to ten sam chłopak, którego zdjęcie osiem miesięcy temu krążyło po całej Polsce. Porwany w wieku pięciu lat, przetrzymywany w piwnicy, w listopadzie zeszłego roku uciekł, zabijając w obronie własnej porywaczkę. Mam nadzieję, że wszyscy znacie tę sprawę.

Odpowiedziały mi cztery niepewne skinienia. Wojtek nadal oglądał paznokcie, a pryszczaty chłopak – Jerzy Jakiśtam – gapił się bezmyślnie. Cóż, młody będzie musiał pospiesznie uzupełnić wiedzę.

– Oczywiście nikt z was nie może rozmawiać na ten temat z dziennikarzami. Na żaden inny zresztą też. Mam nadzieję, że to oczywiste?

Tym razem skinienia były znacznie bardziej energiczne, a Jerzy gorliwie przyłączył się do reszty.

– W porządku. Jakież pytania?

– Jak bardzo prawdopodobne jest, że sprawca to jedna z ofiar? – zapytała Tamara.

– Nie bardzo – przyznałam uczciwie. – Rodziców i młodego Aleksandrowicza z dużym prawdopodobieństwem wyklucza rodzaj ran, jakie im zadano, a w przypadku chłopaka jeszcze kilka innych szczegółów. Na ubraniu Jakuba znaleźliśmy tylko jego krew. Jeśli jest mordercą, to znaczy, że po dokonaniu zbrodni zdjął z siebie ubranie, schował je gdzieś albo wyrzucił, umył się, przebrał w czyste ciuchy, wyszedł przed leśniczówkę i dźgnął się dwa razy nożem, po czym przeszedł około trzydziestu metrów, zupełnie przy tym nie krwawiąc. Mało prawdopodobny scenariusz, zwłaszcza że nie znaleźliśmy nigdzie kompletu brudnych ubrań, a w łazience nie było śladów krwi.

– Co z odciskami palców na narzędziu zbrodni? – Tym razem pytała brunetka z szerokimi ramionami pływaczki. Nosiła nietypowe imię Sabrina i miała zagraniczne nazwisko, którego nie pamiętałam.

– Nie ma żadnych. Rękojeść została starannie wytarta.

– Jednak morderca zostawił ślady butów. – Palcem pokazała zdjęcie na tablicy. – Wytarł nóż, ale odciski zakrwawionych podeszew już go nie obchodziły.

– Na to wygląda. Nawiasem mówiąc, te buty to gumowce, męskie, rozmiar czterdzieści sześć. Ludzie z Żywca chodzą już po domach w Rudniku i sprawdzają, kto ma takie obuwie. Pewnie okaże się, że każdy, bo to typowe buty do pracy w polu, ale przy odrobinie szczęścia może uda nam się rozpoznać właściwą parę. O ile oczywiście morderca nie zdążył jej wyrzucić.

– Albo mordercy – uzupełniła Tamara. – Mogło ich być więcej.

– Owszem, ale jak dotąd żadne ślady nie wskazują na obecność więcej niż jednej osoby.

– Ślady na parterze zostały prawie całkiem zatarte przez dwoje świadków, którzy znaleźli ciała, a potem przez ekipę pogotowia. – Wojtek odezwał się po raz pierwszy. – Czyli jest szansa, że na dole było więcej osób, a tylko jedna weszła na piętro.

Skinęłam głową.

– To prawda.

– A jaki numer buta ma Jakub Aleksandrowicz? – zainteresował się Sebastian Wojnas, rudy, niewysoki chłopak o wyglądzie młodocianego złodzieja samochodów.

Chwilę trwało, nim znalazłam odpowiedź w notatkach.

– Czterdzieści dwa.

– Czyli skupiamy się na osobie lub osobach, które przyszły z zewnątrz – podsumowała Sabrina. – Albo przyjechały. Mamy ślady świadczące o obecności dodatkowego samochodu?

– Nie, jeśli jakieś były, to zostały zatarte przez samochód, którym przyjechała Róża Jaworska, koła karetki pogotowia, która podjeżdżała pod leśniczówkę dwa razy, i wóz miejscowej policji.

– Czyli z wyjątkiem odcisków butów nic nie mamy – skomentował ostatni z mojej piątki, chłopak pod trzydziestkę, skacowany albo zwyczajnie zmęczony. Nie pamiętałam jego imienia.

– Mamy całe mnóstwo śladów, tylko nie wiemy jeszcze, jak je odczytać. Na przykład ten telefon. – Znowu sięgnęłam do notatek. – Przedwczoraj o godzinie dziewiętej dwadzieścia pięć z mieszkania Róży Jaworskiej ktoś wykonał połączenie do Pogańskiego Młyna. Rozmowa trwała dokładnie dwadzieścia siedem sekund. Jest to interesujące z dwóch powodów. Po pierwsze, Jaworska twierdzi, że ostatni raz rozmawiała z siostrą wieczorem dwudziestego piątego sierpnia i Kalina Aleksandrowicz zaprosiła ją wtedy na grilla. Po drugie, na telefonie w leśniczówce nie znaleziono odcisków palców. Zostały wytarte, tak jak odciski na rękojeści narzędzia zbrodni.

– Dziesiąta to mniej więcej czas, kiedy zginęli? – upewnił się Wojnas.

Przytaknęłam.

– W takim razie co? Tuż przed morderstwem jedna z ofiar poprosiła Jaworską o pomoc?

– Rozważamy taką możliwość.

– Jeśli tak, babka nie spieszyła się jakoś szczególnie z przyjazdem...

– Owszem, w leśniczówce znalazła się dopiero koło piętnastej. Możliwe jednak, że to nie było dosłowne wołanie o pomoc. Może siostra poskarżyła się jej, że ostatnio niepokoi ją kręcący się w pobliżu człowiek albo coś w tym rodzaju.

Jaworska z początku zlekceważyła te obawy, ale nie potrafiła o nich zapomnieć, gryzła się coraz bardziej, aż wreszcie postanowiła wsiąść w samochód i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Trochę naciągane, bo w takim przypadku spróbowałyby chyba zadzwonić jeszcze raz do Pogańskiego Młyna, ale możliwe. Niepokoi mnie jednak brak odcisków palców na telefonie, bo to nie pasuje do teorii niewinnej rozmowy. Jeśli ktoś te odciski wytarł, to znaczy...

– Że o dziewiątej dwadzieścia pięć słuchawkę podniósł morderca – powiedziała cicho Tamara. – I Jaworska rozmawiała z nim przez dwadzieścia siedem sekund.

Przytaknęłam. Mnie też to przyszło do głowy.

– Jaworskiej raczej nie podejrzewamy: co prawda jest wysoka, ale szczupła i nie wygląda na silną. A rodzinę Aleksandrowiczów musiał zabić ktoś, kto ma dużo siły, prawdopodobnie mężczyzna wzrostu od stu siedemdziesięciu do stu osiemdziesięciu centymetrów, bo taką granicę podał nasz lekarz. Jednak i tak będziemy musieli z tą kobietą porozmawiać. Starszy aspirant Chodura się tym zajmie.

– Czemu ja? – wyrwało się Wojtkowi.

– Bo tak – odpowiedziałam, myśląc jednocześnie, że ja moją szansę u Jaworskiej chyba już straciłam. – Ale to wszystko nie ma aż takiego znaczenia. Popatrzcie na to. – Rozwinęłam plan Pogańskiego Młyna oraz najbliższej okolicy z zaznaczonymi na kolorowo miejscami odnalezienia poszczególnych ofiar. – Renia Aleksandrowicz leżała na trawniku za domem, ciało dziecka zostało praktycznie zmasakrowane. Ojca znaleźliśmy w przedpokoju na parterze, dwanaście ciosów nożem; matkę w salonie, dziesięć ciosów. Barbara Aleksandrowicz zmarła na piętrze w swoim łóżku, uduszona poduszką. I wreszcie Kuba Aleksandrowicz: siedział przy namiocie w odległości kilku metrów od martwej siostry. Tylko dwie rany kłute, z których żadna nie okazała się śmiertelna, chociaż mało brakowało, a chłopak by się wykrwawił. Teraz powiedzcie mi, proszę, jak waszym zdaniem wyglądał przebieg zbrodni.

Milczeli, wyraźnie podejrzewając, że w mojej prośbie jest coś podchwytliwego. Dopiero Tamara zdecydowała się odezwać.

– Zakładając, że mordercą jest ktoś z zewnątrz? – spytała ostrożnie.

Skinęłam głową. Dziewczyna bawiła się przez chwilę trzymanym w rękach długopisem.

– Powiedzmy, że Kuby Aleksandrowicza nie ma w leśniczówce. Poszedł powłóczyć się po lesie albo na randkę, wszystko jedno. W każdym razie na miejscu są tylko rodzice i dwie dziewczynki: jedna bawi się na zewnątrz, druga leży chora w łóżku. Morderca wychodzi z lasu... Albo przyjeżdża samochodem. Jest wściekły, nie na kogoś konkretnego, tylko na całą rodzinę. Widzi małą Renię i wyładowuje na niej pierwszą złość. Potem idzie do leśniczówki. Zabija ojca i matkę, cały czas wściekły. Dopiero po zabójstwie kobiety gniew się wypala, żąda zemsty, czy co to było, została zaspokojona. Morderca myśli jednak, że został jeszcze jeden świadek, dlatego wchodzi na piętro i dusi poduszką Basię, tym razem już zupełnie na zimno. Nie chce robić temu dziecku krzywdy, po prostu wie, że musi je usunąć. Kiedy wychodzi, natyka się na chłopaka, który tymczasem wrócił ze swojej wyprawy. Jakub Aleksandrowicz zaczyna krzyczeć, możliwe nawet, że rzuca się na zabójcę, dlatego ten jeszcze raz sięga po nóż i zadaje dwa ciosy. Teraz może spokojnie się oddalić z miejsca zbrodni. Jak to brzmi? – Powiodła po sali niespokojnym spojrzeniem.

– Nieźle – przyznałam. – Poza tym, że morderca raczej nie darowałby życia nastoletniemu świadkowi, jeśli wcześniej z tego samego powodu zabił małą dziewczynkę.

– Może dziewczynka mogła go rozpoznać, a chłopak nie. Albo zmęczyło go już zabijanie. To się czasem zdarza. Znane są przypadki ludzi, którzy potrafią zabić w szale kilka osób, a kiedy szal mija, zmieniają się w łagodne baranki mdlejące na widok krwi.

– Możliwe. – Nie zamierzałam się z nią sprzeczać. Teoria nie brzmiała źle, była zresztą dość podobna do tego, co sugerował Janczak, a wcześniej jeszcze Wojtek Chodura. Powinnam więc czuć się w miarę przekonana, ale z jakiegoś powodu wciąż miałam wątpliwości. – Inne pomysły? – zapytałam, wodząc spojrzeniem po sali.

– To mógł być ktoś obcy, pijany albo naćpany i dlatego wściekły. – Do rozmowy włączył się pryszczaty Jerzy. – Wyżył się na jednym dziecku i na rodzicach, a kiedy druga dziewczynka zaczęła płakać albo wołać mamę, zorientował się, że trzeba wejść na piętro i ją też usunąć. Reszta wyglądała tak, jak mówiła Tamara.

– Taki scenariusz też bierzemy pod uwagę. Coś jeszcze? – Zastanawiałam się, czy którekolwiek z nich wpadnie na pomysł Janczaka: że chłopak miał umierać

długo, patrząc na to, co zostało z jego rodziny. Ale nie, najwyraźniej byli na to zbyt niewinni. – Nic? W takim razie może macie jakieś pytania?

– Wiemy, kto dziedziczy po Aleksandrowiczach? – odezwał się Wojnas.

– Tak. Oboje spisali testamenty na swoją korzyść, ale to bez znaczenia, ponieważ zmarli jednocześnie i dziedziczenie nastąpi według ustawy. Połowę dostanie Jakub Aleksandrowicz, a drugą połowę podzielią się Róża i jej matka.

– Różę i chłopaka właściwie wykluczaliśmy. A co z matką? Mogła to zrobić?

– Mało prawdopodobne, z tych samych powodów. Szukamy najprawdopodobniej mężczyzny. Jednak matce Róży i Kaliny trzeba będzie się przyjrzeć, zwłaszcza że kobieta ma jakieś zaburzenia psychiczne. To też zadanie dla starszego aspiranta Chodury.

– Jasne. – Wojtek zrobił kwaśną minę, ale wiedział, że nie ma sensu protestować.

Sprawnie rozdzielałam pozostałe zadania. Dowiedzieć się więcej na temat porwania Kuby i samej porywaczki – w końcu rzadko się zdarzało, żeby rodzinę dotknęły dwie tak ogromne, niewyobrażalne dla zwykłego człowieka tragedie i jedna nie miała nic wspólnego z drugą. Sprawdzić dokładniej interesy Aleksandrowicza seniora, na wypadek gdyby tylko na pierwszy rzut oka wydawały się w porządku. Dalsza rodzina, kontakty biznesowe, kumple ze studiów – wszystkich trzeba było przepytąć.

Dla siebie zostawiłam Leopolda Rataja. Jego nazwisko Róża Jaworska wymieniła jako pierwsze, gdy pytaliśmy o najbliższych przyjaciół rodziny. Jeśli ktoś wiedział, co się dzieje w domu Aleksandrowiczów, to właśnie ten człowiek.

*

6 stycznia 1999 roku

To Kalina odebrała tamten telefon. Pamiętała potem, że ścisła z całych sił słuchawkę i powtarzała „Jesteś pewny?”, jakby spodziewała się, że odpowiedź za kolejnym razem będzie inna. Był dzień Trzech Króli i w całym domu wciąż panowała atmosfera Bożego Narodzenia: ze stojącego w kuchni radia płynęły dźwięki kolęd, choinka w salonie zgubiła już część igieł, ale nadal pyszniła się bezwstydnym kiczowatym świątecznym urokiem. Kalina przypomniała sobie dzień, w którym ubierała ją z córkami, tuż przed Wigilią. Złote bombki na przemian

z czerwonymi, lameta, gwiazda na czubek. Szczęście wydawało się wtedy niemal namacalne, unosiło się pod sufitem w srebrzystych bańkach dziecięcego śmiechu, płynęło przez rozedrgane powietrze wraz z nutami *Cichej nocy* i zapachem barszczu.

Podniecone dziewczynki kręciły się jak frygi i Kalina wiedziała, że wieczorem będzie trudno położyć je spać, ale to nie miało znaczenia. Tamten dzień był idealny: wspomnienie, które chciałyby zapakować w przewiązane różową wstążką pudełko i schować na dnie szafy. Całe święta tak wyglądały, z prezentami idealnie dobranymi dla każdego członka rodziny, krokietami, pierogami i kutią, nawet wizyta nudnych kuzynów z Warszawy wypadła niespodziewanie dobrze. Takiego życia właśnie pragnęła, gdy po raz pierwszy zobaczyła Krystiana w zadymionej studenckiej knajpie na początku lat osiemdziesiątych.

A teraz to życie się kończyło.

Odłożyła słuchawkę i stała ze zmarszczonymi brwiami, walcząc z ochotą, by przygryźć paznokciec kciuka. Kusiło ją, by o wszystkim zapomnieć, zepchnąć tę rozmowę w głąb pamięci, tam gdzie leżały już pogrzebane inne demony przeszłości. Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić. Leopold miał do niej słabość, owszem, ale przede wszystkim był bezgranicznie lojalny wobec Krystiana i gdyby ona mu nie powiedziała, on na pewno by to zrobił.

Zajrzała na chwilę do pokoju dziewczynek – odruchowo, by nacieszyć się jeszcze szczęściem przed tym, co nieuniknione. Bawiły się domkiem dla lalek, który dostały pod choinkę, i kiedy stanęła w progu, nawet na nią nie spojrzały. Po raz pierwszy poczuła, że może być w życiu swoich córek nie tyle niechciana, ile zbędna, i ta myśl zakłuła ją w sercu. Cicho zamknęła za sobą drzwi i skierowała się w stronę gabinetu męża. Tu przynajmniej wszystko wyglądało tak, jak powinno wyglądać. Jazzowa muzyka płynąca z głośników i przystojny jasnowłosy mężczyzna, odpoczywający z przymkniętymi oczami w fotelu. Krystian miał niemal magiczną zdolność przełączania się z trybu pracy na tryb relaksu i Kalina zawsze mu tego zazdrościła. Tak jak wielu innych rzeczy zresztą. Jej mąż był doskonały, naturalnie i bez wysiłku, podczas gdy ona musiała o doskonałość z całych sił walczyć. Jako młoda dziewczyna toczyła nieustanne bitwy z włosami, które bez prostownicy zwijały się w niesforne loki, nadwagą oraz zwyczajem obgryzania paznokci. I wygrała, prawda? Teraz ona i Krystian pasowali do siebie

jak rękawiczki z jednego kompletu i ta świadomość na ulotny moment przyniosła jej ukojenie.

– Co tam, mała? – powiedział jej mąż, otwierając oczy. – Gdzie dziewczynki?

– W swoim pokoju, bawią się.

– Niedługo będziemy musieli urządzić im dwa osobne pokoje.

– Wiem. – Przeprowadzali tę rozmowę już wiele razy. W innych okolicznościach pewnie by ją to zdenerwowało, ale dziś znajoma rutyna była wygodna jak stary sweter. – Jeszcze tylko trochę, zanim pójdą do szkoły.

Chciała im dać odrobinę dzieciństwa, które sama przeżyła. Wieczorne wygłupy i nocne zwierzenia, dwie dziewczynki szepczące do siebie w ciemności, ciepło i poczucie, że po drugiej stronie pokoju jest ktoś, kto skoczyłby za nią w ogień.

– W porządku – zgodził się, i to też należało do rytuału. Wiedziała, że jeśli teraz niczego nie powie, Krystian znowu zamknie oczy i odpłynie na falach łagodnej muzyki.

Nabrała w płuca powietrza.

– Poldek dzwonił.

– Niech zgadnę, chce się wprosić do nas na weekend?

– Nie.

– W takim razie o co chodzi? – Powinien już zauważyć, że Kalina jest zdenerwowana, i o to zapytać. Poczła lekkie rozczarowanie; jeszcze nie irytację, tylko rozczarowanie.

– Pamiętasz tego chłopca, którego pokazywali w telewizji? Tego, który był przetrzymywany w piwnicy, a teraz szuka rodziny?

– Chyba tak. – Krystian lubił udawać, że nie ogląda programów sensacyjnych. Ten drobny przejaw snobizmu w innych okolicznościach pewnie by ją rozczulił.

– Poldek twierdzi, że to Kuba.

Udawana niepewność zniknęła i teraz twarz mężczyzny była pusta jak biała kartka papieru. Jakby dopiero zastanawiał się, jaki wyraz powinna przybrać.

– Nonsens – zdecydował w końcu. – Ten chłopiec w niczym nie przypomina Kuby.

– Poldek powiedział, że znalazł stare zdjęcia i porównał. I jest pewny, że to twój syn.

– Poldek się myli.

Zebrała wszystkie siły, żeby powiedzieć to, co miała do powiedzenia.

– Ja też myślę, że ten chłopiec to Kuba. Pamiętam go z dawnych czasów... I już kiedy oglądałam ten program, wydawał mi się znajomy.

Coś drgnęło w twarzy Krystiana, coś mrocznego, czego nie potrafiła ani nawet nie chciała nazwać. Niespodziewanie przypomniała sobie chwilę sprzed wielu lat, gdy po raz pierwszy zobaczyła go nagiego. Wtedy też tak się czuła: winna nie tyle z powodu grzechu, ile oglądania czegoś aż zbyt intymnego. Miała świadomość, że nie powinna patrzeć, a jednak nie potrafiła oderwać oczu.

– To Kuba – powtórzyła tylko po to, by przerwać nabrzmiałą ciszę.

Krystian ukrył twarz w dłoniach i Kalina odetchnęła. Przywykła do tego, że jej mąż, choć absolutnie doskonały, w niektórych sytuacjach bywa też zadziwiająco słaby, i to ostatecznie przywróciło jej równowagę.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała, dotykając delikatnie jego ramienia. – Skontaktujemy się z Lucyną, a potem... Potem się zobaczy.

28 sierpnia 1999 roku

Leopold Rataj okazał się gorszą kopią Krystiana Aleksandrowicza: nieco niższy, chudszy i zdecydowanie nie tak przystojny, z zaczerwienionymi i opuchniętymi od płaczu oczami. Miał jednak identyczną fryzurę i nosił bardzo podobne, ręcznie szyte garnitury. Facet z pieniędzmi i klasą, który w pokoju w komendzie wyglądał dziwnie nie na miejscu.

– Może pani pytać o wszystko – zadeklarował. – Taka tragedia, mój Boże... Kiedy w telewizji podali ich nazwisko, nie mogłem uwierzyć... Myślałem, że to jakaś straszna pomyłka. Jesteście pewni?

– Tak, przykro mi – odparłam, przeklinając w myślach media. Liczyłam, że będziemy mieć trochę więcej czasu.

– Kto mógłby... Kto chciałby ich skrzywdzić?

– Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć.

– Tak, oczywiście. Po prostu coś takiego wydaje mi się niewyobrażalne. Proszę pytać, wiem, że każda chwila teraz się liczy.

– Kiedy ostatni raz widział się pan z Aleksandrowiczami?

– Dwudziestego pierwszego sierpnia, w sobotę – odpowiedział bez namysłu.

– Przyjechał pan do Pogańskiego Młyna?

– Tak, zaprosili mnie na wieczór.

– Na ognisko czy na grilla? – zapytałam podstępnie.

– Boże, ani to, ani to. Wszyscy jesteśmy ludźmi z miasta i rozpalanie ognia to zdecydowanie nie nasza działka. Siedzieliśmy przed leśniczówką i piliśmy wino, to znaczy Krystian i Kalina pili, bo ja przyjechałem samochodem, a dzieciaki ganiały po trawie. Nic niezwykłego, po prostu miły wieczór w gronie przyjaciół. – Głos mu zadrżał.

– Jeśli Aleksandrowiczowie nie interesowali się naturą, to dlaczego właściwie wyjechali na urlop do lasu?

– Cóż, Kalina i Krystian woleliby bardziej cywilizowane warunki, to prawda, ale dla chłopca byli gotowi zrobić wszystko.

– Dla chłopca? Uważa pan, że to Kuba chciał tam jechać?

– Tak, jasne.

– Kto panu o tym powiedział?

– Nikt, myślałem... – Zmarszczył brwi, posyłając mi spojrzenie mówiące „przecież to oczywiste”. Dałam spokój i zmieniłam temat.

– A czy ktoś inny jeszcze bywał w Pogańskim Młynie u Aleksandrowiczów?

– Chyba nikt, chociaż nie jestem pewny. W każdym razie nie wspominali, że zamierzają kogoś tam ściągać. Wie pani, człowiek nieszczególnie chciałby chwalić się urlopem w takim miejscu. Mnie zaprosili, bo jestem ich najstarszym przyjacielem: pamiętam oboje jeszcze ze studenckich czasów, kiedy wszyscy mieszkaliśmy w akademiku i na obiad jadaliśmy parówki z musztardą, dlatego...

– Nie zależało im, żeby robić na panu wrażenie.

– Trochę tak – przyznał. – Ale nie chciałbym, żeby uważała pani Krystiana i Kalinę za snobów. Po prostu... Jeśli człowiek żyje na pewnym poziomie, trzeba dbać o wizerunek, rozumie pani?

Pomięłam pytanie milczeniem.

– A pozostali przyjaciele z czasów studiów? Rafał Kaliniak, Mariola Kowalska?

– wymieniłam nazwiska, które podała mi Jaworska.

– Spotykamy się czasem, ale zdecydowanie nie tak często jak dawniej. Wie pani, jak to jest...

– Kiedyś jednak stanowiliście zgraną paczkę, tak? Pan, Krystian, siostry Jaworskie, Lucyna, czyli pierwsza żona Krystiana...

– Nie, właściwie to nie. Znaliśmy się oczywiście, niektórzy lepiej, inni gorzej, bywaliśmy na tych samych imprezach i czasem chodziliśmy razem po górach, to tyle. Nie przyjaźniliśmy się. Ja na początku trzymałem się z Krystianem i Lucyną, a potem z Krystianem i Kaliną...

– Potem, czyli po rozwodzie?

– Tak. – Kręcił się nerwowo na krześle. – Krystian i Lucyna pobrali się bardzo młodo, ale byli naprawdę udanym małżeństwem. Świetnie się dogadywali, a Kuba... Kochali go z całych sił. Dopiero kiedy zniknął... Wie pani, że prawie połowa małżeństw rozpada się po śmierci albo po zaginięciu dziecka? Takie są statystyki. Krystian nigdy nie porzuciłby rodziny, ale... Zdecydowali się wtedy rozstać: to była wspólna decyzja, bez kłótni i bez żalu. Postarali się nawet o unieważnienie kościelnego ślubu. Dzięki temu każde z nich mogło zacząć nowe życie.

Cholernie mu zależało, żebym nie myślała źle o Krystianie Aleksandrowiczu. Postanowiłam pociągnąć dalej ten temat i poprosiłam, żeby opowiedział więcej o przyjacielu: jaki był w czasach młodości, jak się poznali. Wiedziałam z doświadczenia, że ludzie rozluźniają się, kiedy wspominają zmarłych bliskich, i czasem wymyka im się coś, czego nie zamierzali powiedzieć.

Twarz Leopolda Rataja rozpromieniła się w smutnym uśmiechu.

– Krystian był wspaniały. Naprawdę wspaniały. Wiem, jak to brzmi, ale gdyby pani go poznała... Spotkaliśmy się na pierwszym roku prawa, kiedy przydzielili nas do jednej grupy. Październik 1981 roku, pamiętam doskonale. Wszystko wyglądało wtedy paskudnie i szaro, pani przecież pamięta, a Krystian na tym tle jaśniał jak człowiek z innego świata. Pochodził ze starej dobrej rodziny, jego dziadek przed wojną był profesorem we Lwowie i Krystian miał... kulturę, obycie, szyk. Niech pani to nazywa, jak chce. Mówił płynnie po angielsku, dobrze się ubierał, nawet w tych ciężkich czasach, kiedy mogliśmy jedynie marzyć o porządnym obiedzie. I dzięki rodzicom jako dziecko bywał za granicą. Ja po raz pierwszy wyjechałem w 1990 roku do Niemiec i Boże... To było upokorzenie. Zamknąłem się raz w publicznej toalecie, takiej z elektronicznym zamkiem, i nie potrafiłem wyjść, nie miałem pojęcia, co ludzie do mnie mówią, a raz nawet wpadłem na automatyczne drzwi i rozkwaśiłem sobie nos. Zupełnie jak jakiś głupi Polaczek z dowcipu. Wszystkich nas wtedy spotykały takie przygody. Mieliśmy kompleksy wielkie jak Mount Everest...

– Ale nie Krystian, prawda? – zapytałam łagodnie.

– Nie, Krystian nie. On na Zachodzie czuł się jak u siebie, swobodniej chyba nawet niż w Polsce. I naprawdę wydawał nam się wtedy kimś absolutnie niezwykłym. Ale nie zadzierał z tego powodu nosa. Był miły, miał poczucie

humoru, zawsze wszystkim pomagał... Krystian... Boże, nie rozumiem, jak coś takiego mogło go spotkać.

– Miał jakichś wrogów? Wtedy, na studiach, albo teraz?

– Nie, absolutnie nie. – Spodziewałam się takiej odpowiedzi, jednak musiałam zapytać.

– Żadnych ludzi, którzy czuliby się przez niego oszukani w interesach albo w inny sposób skrzywdzeni?

– Nie, Krystian zawsze był kryształowo uczciwy. Nigdy nikomu nie zrobił świństwa.

– Kobiety musiały za nim szaleć – podsunęłam niewinnie.

– Tak, oczywiście. Ale on świata nie widział poza żoną.

Chciałam zapytać którą, ugryzłam się jednak w język.

– I nie zdarzały się na tym tle żadne kłótnie? Żadna z tych kobiet nie miała do Krystiana pretensji?

– Nie w taki sposób, żeby chciały go krzywdzić. Były nieszczęśliwe, oczywiście, ale Krystian nawet odmawiać potrafił tak, że człowiek nie czuł się upokorzony. Nie tylko kobietom zresztą. – Na jego policzkach pojawił się blady rumieniec. – Kiedyś nasz wspólny znajomy... zainteresował się Krystianem i próbował go poderwać. Większość facetów w takiej sytuacji spanikowałaby i dała gościowi po pysku, ale Krystian... Naprawdę zachował się w porządku. Skończyło się tym, że pocieszał tamtego mężczyznę przy wódce...

Patrzyłam na niego, przesuwając długopis w palcach z cichą nadzieją, że moja twarz nie wyraża tego, co w tej chwili myślę.

– A Kalina? Sądzi pan, że mogłaby mieć kogoś na boku?

– Ma pani na myśli kochanka? – Zamrugnął, wyraźnie zszokowany pomysłem. – Oczywiście, że nie!

Westchnęłam. Przez chwilę jeszcze wypytywałam o interesy Aleksandrowicza, jednak i tu Rataj nie potrafił pomóc: powtarzał tylko uparcie, że jego przyjaciel zawsze był uczciwy, ale o szczegółach transakcji rzadko rozmawiali.

Zdecydowałam się zmienić temat.

– Gdzie pan był dwudziestego szóstego sierpnia rano?

– W domu.

– Ktoś może to potwierdzić?

– Nie, mieszkam sam.

– I nie pracuje pan?

– Mam prywatną firmę, więc nie muszę zaczynać pracy o ósmej. Zazwyczaj przychodzę koło jedenastej, czasem nawet dwunastej. Wszyscy w biurze wiedzą, że późno wstaję, więc sekretarka umawia mi spotkania na popołudnie.

Czekałam, aż zapyta, dlaczego chcę to wiedzieć, albo nawet się oburzy. Nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Może uznał, że to rutynowe pytanie, a może w głowie mu się nie mieściło, że moglibyśmy go podejrzewać.

– Wie pan, że Kuba Aleksandrowicz żyje?

– Co takiego? – Jego oczy rozszerzyły się w nagłym zdziwieniu. – Przecież w telewizji mówili...

– Dziennikarze nie wiedzą, że jeden z członków rodziny przeżył atak, i wolałabym, żeby tak zostało. – Pouczyłam go o odpowiedzialności za ujawnienie tajemnicy postępowania przygotowawczego. Kiedy mówiłam, Rataj kiwał głową, najwyraźniej jednak myślami błądził zupełnie gdzie indziej.

– Oczywiście, rozumiem – bąknął, gdy skończyłam. – Ale jeśli Kuba żyje, to przecież musiał widzieć mordercę?

Cóż, przynajmniej ten człowiek nie podejrzewał chłopca o to, że sam jest zabójcą.

– Chciałabym, żeby opowiedział mi pan o Jakubie Aleksandrowiczu.

– Nie znam go dobrze. – Niepewnie zmarszczył brwi. – I nie rozumiem...

– Aleksandrowiczowie byli szczęśliwą rodziną, jednak pojawienie się zaginionego syna z pierwszego małżeństwa musiało przecież w jakiś sposób zaburzyć równowagę. Jak sobie z tym radzili?

– Było trudno, oczywiście, ale oboje bardzo się starali. Kalina zapisała chłopaka do miejscowej biblioteki i załatwiła mu korepetycje, żeby uzupełnił wiedzę i od września mógł pójść do szkoły. Krystian oglądał z nim koszykówkę i od czasu do czasu zabierał dzieciaka na kort tenisowy. Zależało im, żeby chłopak robił to wszystko, co robią jego rówieśnicy. Żeby zainteresował się czymś normalnym.

– I co wyszło z tych planów?

– Niewiele. Kuba większość czasu i tak spędzał zamknięty w swoim pokoju. To było... dosyć niepokojące, prawdę mówiąc. Polubił NBA, ale chyba tylko dlatego, że jemu wszystko, co amerykańskie, dobrze się kojarzy. Reszta niezbyt go obchodziła. Kiedyś zobaczyłem go w koszulce Iron Maiden i zapytałem, czy woli Dickinsona czy Bayleya, a on spojrzał na mnie jak na kosmitę. Wtedy zrozumiałem, że to Kalina kupowała mu te wszystkie metalowe ciuchy.

– Nie sądzi pan, że to lekka przesada?

Wzruszył ramionami.

– Chciała, żeby chłopak się nie wyróżniał, a on w ogóle nie dbał o to, w czym chodzi. Gdyby ubrała go w stare spodnie i sweter po dziadku, też by nie protestował, ale rówieśnicy w szkole nie daliby mu żyć. Pani nie ma pojęcia, jacy potrafią być chłopcy w tym wieku.

Miałam pojęcie, niemniej metoda Kaliny nadal wydawała mi się dość kontrowersyjna. I było mi zwyczajnie żal tego chłopaka, któremu odebrano prawo głosu nawet w tak podstawowej kwestii jak to, jaką koszulkę chce nosić.

– A jak Kuba dogadywał się z młodszymi siostrami? – zapytałam jeszcze i otrzymałam standardową odpowiedź: z młodszą dobrze, zdarzało mu się nawet z nią bawić, ze starszą tak sobie.

Podziękowałam uprzejmie, a kiedy Rataj wyszedł, wykręciłam numer Wojtka. Dochodziła druga po południu, powinnam więc złapać go w domu – wspominał, że zamierza wpaść tam na obiad, bo mieszkał niedaleko Róży Jaworskiej i miał po drodze.

– Tak? – W tle słyszałam szum ruch ulicznego. Najwyraźniej Wojtek stał przy otwartym oknie.

– Widziałeś się z Jaworską? – zapytałam.

– Tak. Twierdzi, że rano dwudziestego szóstego zadzwoniła do siostry z pytaniem, jak ma się ubrać na grilla. Dostała odpowiedź, że wszystko jedno, powinna tylko wziąć coś z długim rękawem, bo wieczorem komary gryzą, i na tym rozmowa się skończyła. Nie wspomniała o tym wcześniej, bo uznała, że to nic ważnego. Moim zdaniem babka łąze jak z nut.

– Moim też, chociaż trzeba przyznać, że ma niezły refleks. A jej matka?

– W szpitalu, pod działaniem środków uspokajających i bez kontaktu. Spotkałem się z lekarzem. Mówi, że już lądowała u nich z napadami szału, wyzywając córkę,

ale nigdy wcześniej to nie wyglądało aż tak poważnie. Najwyraźniej Kalina była jej ulubienicą, a Róża wręcz przeciwnie: zawsze jest winna wszystkich nieszczęść. Nawiasem mówiąc, Jaworska twierdzi, że dwudziestego szóstego przez cały ranek siedziała w domu z matką. Do niedawna pracowała jako sekretarka, ale kiedy starszej pani zaczęło się pogarszać, zwolniła się i od tej pory żyją z oszczędności. Albo z tego, co od czasu do czasu podrzucała im Kalina.

Czyli teoretycznie zarówno Róży, jak i jej matce mogłoby zależeć na połowie majątku Aleksandrowiczów, pomyślałam.

– Rozmawiałem też z terapeutą – ciągnął Wojtek. – Facet upiera się, że skoro pacjent żyje, to tajemnica lekarska nadal obowiązuje, i w sumie ma rację. Powiedział tylko to, co już wcześniej wiedzieliśmy, czyli że Kuba jest chłopakiem po traumatycznych przeżyciach, ale kiedy zapytałem, czy te przeżycia mogły zrobić z dzieciaka mordercę, wywalił mnie za drzwi. A co tam u ciebie? Pan Rataj okazał się chętny do współpracy?

– Bardzo chętny. I bardzo załamany. Facet praktycznie ma na czole napisane „byłem zakochany w moim najlepszym kumplu”.

– Poważnie?

– Tak. Nie powiedział tego wprost, ale wydaje mi się, że Rataj dawno temu próbował podrywać Krystiana, dostał uprzejmego kosza i wycofał się na bezpieczną pozycję przyjaciela rodziny. O Aleksandrowiczach nie pozwoli powiedzieć złego słowa, zwłaszcza o panu domu. Zachowywał się, jakby Krystian był zesłanym na ziemię bóstwem czy kimś w tym rodzaju.

– To mógł być motyw, nie?

– Ten kosz?

– Albo uwielbienie. Jeśli idol czymś go rozczarował, Rataj mógł się zwrócić przeciwko Aleksandrowiczom. Gwałtowna miłość potrafi czasem zmienić się w gwałtowną nienawiść.

– Wiem, ale w takim przypadku zabiłby raczej tylko Krystiana. Albo Krystiana i Kalinę, jeśli oboje czymś mu się narazili. Nie całą rodzinę. – Rozmasowałam czoło, próbując pozbyć się bólu głowy, który wracał od rana razem z obrazem obu martwych dziewczynek. – Nie zamierzam go jednak jeszcze skreślać. Facet wprost przyznał, że nie ma alibi, i na pewno często bywał u Aleksandrowiczów. Mógł być „potworem” Kuby.

– Coś jeszcze?

– Pytałam Rataja, czy któreś z Aleksandrowiczów miało może kochanka albo kochankę. Zaprzeczył, ale... Tak sobie pomyślałam, czy to nie mogłoby wyjaśniać tego dziwnego urlopu.

– Mąż albo żona chcieli się spotykać z kimś z Rudnika?

– Raczej żona. Aleksandrowiczowie byli tradycyjnym małżeństwem: on zarabiał, ona siedziała w domu i zajmowała się dziećmi. On mógłby zawsze powiedzieć, że wyjeżdża na tydzień, powiedzmy, w interesach, ona nie bardzo. Trochę naciągane, wiem, ale nie zaszkodzi sprawdzić.

– Czyli co, szukamy jakiegoś przystojnego faceta z Rudnika?

– Przystojnego, inteligentnego, z klasą. Kogoś, kto zainteresowałby taką kobietę jak Kalina.

Po drugiej stronie linii zapanowało milczenie. W tle słyszałam dzwonek tramwaju, a potem zapadła cisza. Wojtek zamknął wreszcie okno.

– Jesteś tam? – zapytałam.

– Tak. Słuchaj, ja chyba kogoś takiego znam. W lipcu zrobiliśmy sobie z Iloną wypad w góry i zatrzymaliśmy się w Rudniku na kawę.

– W Bajecznej? – Przypomniałam sobie nazwę kawiarni.

– Aha. Naprawdę fajne miejsce. I lody mają tam bardzo dobre. Kiedy siedzieliśmy przy stoliku, wyszedł do nas właściciel i chwilę pogadaliśmy. Takie tam standardowe pitu-pitu, skąd jesteście, dokąd jedziecie, czy smakowało. Nic ciekawego, ale Ilona potem przez pół drogi zachwycała się tym gościem. Że taki miły, przystojny, a do tego przedsiębiorczy, bo biznes od zera rozkręcił. Żartowałam sobie z niej, że się w nim zabujała. Nie wiem, jak facet się nazywa...

– Ja wiem. Roman Ochocki. Pojawił się już w tej sprawie. Podobno próbował zaprzyjaźnić się z Krystianem, żeby go wziął pod swoje skrzydła i wprowadził w odpowiednie środowisko.

– A jednocześnie romansował z jego żoną? Trochę mało prawdopodobne.

– Bo ja wiem? Może uznał, że skoro już zainteresowała się nim taka kobieta jak Kalina, to warto wykorzystać okazję. Tak czy inaczej, trzeba z gościem pogadać. To trochę strzał w ciemno, ale skoro nie mamy innych pomysłów...

– Chcesz, żebym pojechał do Rudnika?

– Ja pojedę – zdecydowałam. – I tak miałam zamiar to zrobić.

*

Przed Bajeczną stał wycięty z kartonu słoń wielkości pięciolatka, wypuszczający trąbą bańki mydlane. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę. Słoń miał zęza i nieprzytomnie szczęśliwą minę, która u człowieka świadczyłaby niewątpliwie o nadużyciu środków psychoaktywnych. Westchnęłam, po czym pchnęłam drzwi. Radosny dzwonek oznajmił moje przybycie, dwie dziewczyny siedzące przy stoliku uniosły głowy, ale zaraz wróciły do swoich deserów.

Wnętrze Bajecznej było różowe z wyrysowanymi na ścianach ciastkami i rożkami lodów. Też wyglądało kiczowato i lekko psychodelicznie, choć nie aż tak bardzo jak słoń na zewnątrz. Za ladą stała mocno kontrastująca z otoczeniem dziewczyna: miała około dwudziestu lat, cygański typ urody, świek w nosie i minę, jakby ktoś właśnie ogłosił koniec świata.

Zamówiłam kawę oraz dwie gałki lodów truskawkowych, po czym usiadłam przy stoliku. Kawa okazała się tylko niezła, za to lody naprawdę znakomite. Na moment dopadł mnie żal, że nigdy nie przyjechałam tu z Karlikiem, który miał słabość do słodczy. Zamrugalam, powstrzymując łzy. Wyglądałabym raczej mało profesjonalnie, płacząc do pustego już pucharka.

– Można zabrać? – Ciemnowłosa dziewczyna zjawiała się przy moim stoliku.

– Tak, proszę. – Wstałam, po czym podeszłam do lady. Brunetka odłożyła naczynia i łypnęła na mnie spod oka.

– Coś jeszcze podać? – burknęła.

– Nie, dziękuję. Jestem z policji i chciałabym porozmawiać z Romanem Ochockim, właścicielem. Gdzie go znajdę?

– O! – Zawahała się, wyraźnie niepewna, jaką postawę powinna przyjąć. Chwilę później w jej oczach rozbłysła ostrożna nadzieja. – W sprawie wypadku mamy?

– Nie, morderstwa popełnionego na terenie Pogańskiego Młyna.

– Aha. – Nadzieja zniknęła i dziewczyna stała się teraz jeszcze bardziej ponura niż wcześniej. – Tata jest w domu, mogę pani podać adres. Albo pojedzie pani ze mną, jak skończę zmianę.

Czyli dziewczyna była córką Ochockiego. Cóż, to przynajmniej wyjaśniało, czemu zatrudniono w kawiarni tak posępną i mało uprzejmą pracownicę.

– A kiedy pani kończy?

Zerknęła na wiszący na ścianie zegar.

– Za dziesięć minut. Ja tu właściwie nie pracuję, tylko czasem w wakacje, jak trzeba zastępstwo za kogoś wziąć.

– W porządku. Poczekam na zewnątrz.

Spacerowałam po chodniku, próbując zgadnąć, który z zaparkowanych przed kawiarnią samochodów należy do ciemnowłosej dziewczyny. Pomarańczowy maluch z nalepką przedstawiającą uśmiechniętą buźkę i napisem „Keep smiling” wydawał się nieco zbyt radosny, z kolei srebrny passat zbyt elegancki i drogi jak na tak młodą osobę. Ostrożnie postawiłam więc na ubłoconą terenówkę, blokującą wejście do budki telefonicznej. Tylne siedzenie zarzucone było rzeczami: widziałam starą kurtkę przeciwdeszczową, męskie robocze spodnie i pompkę do roweru. Z leżącej obok reklamówki wystawało coś, co wyglądało na wygiętą rączkę od patelni.

– Możemy jechać. – Dziewczyna wyszła z kawiarni i tak jak się spodziewałam, skierowała się w stronę terenówki. – Wsiada pani czy ma pani własny samochód?

– Mam własny.

– To niech pani się trzyma za mną.

Ruszyła tak szybko, że swoją skodą ledwo mogłam za nią nadążyć. Jechałyśmy najpierw przez wieś, potem skrajem lasu, lekko pod górę. Rozpoznałam drogę, z której skręcało się w stronę leśniczówki. A więc Ochoccy mieszkali całkiem blisko Aleksandrowiczów. To mogło mieć znaczenie, choć oczywiście nie musiało.

Terenówka stanęła przed zielonym, niedawno chyba wybudowanym domem. Na spotkanie wyszedł nam ciemnowłosy mężczyzna, podobny do córki z wyjątkiem tego, że ona była niska, a on wysoki i rozrośnięty w barach. Miał koło czterdziestki, ślad granatowego zarostu na szczęcie i coś dziwnie pierwotnego, prawie zwierzęcego w rysach twarzy, co faktycznie mogło się podobać kobietom. Nie wyglądał przy tym na biznesmena, bardziej na człowieka lasu, jak amerykański traper ze starych opowieści.

– Pani jest z policji – przedstawiła mnie dziewczyna. – Chce zapytać jeszcze raz o tę zamordowaną rodzinę.

– Wejdzie pani do środka i napije się kawy? – zaproponował Ochocki, ale potrząsnęłam głową.

– Kawę już piłam i wolę chyba posiedzieć w słońcu.

– Nie ma problemu. – Poprowadził mnie na tył domu, gdzie pod rozrośniętą jabłonią stał drewniany stół otoczony ławami. – Sylwia, skoro pani nie chce kawy, to może przyniesiesz trochę kompotu?

Dziewczyna rzuciła nam jeszcze jedno buntownicze, ponure spojrzenie i powlokła się w stronę budynku. Ojciec odprowadził ją zatroskanym wzrokiem.

– Biedactwo, bardzo to przeżyła.

– Morderstwo?

– To też, ale tak się zdarzyło, że akurat tego samego dnia mieliśmy w rodzinie wypadek. Żona pojechała rowerem na grzyby i kiedy wracała, jakiś debil potrącił ją samochodem. Udało jej się dojść do domu o własnych siłach, ale wyglądało to poważnie, dlatego uznałem, że nie ma co dzwonić po lekarza, tylko trzeba ją wieźć na ostry dyżur. Sylwia wtedy z nią pojechała, bo ja mocno poimprezowy byłem, do rana z kolegą narodziny jego syna świętowaliśmy. Teraz żałuję: dziewczyna nie dość, że musiała prowadzić cała zestresowana, to jeszcze potem trzymali je w poczekalni ponad cztery godziny. Dopiero kiedy dojechałem i zrobiłem awanturę, lekarz wreszcie się ruszył. A tego drania w samochodzie oczywiście nie złapali.

– A jak się czuje żona? – zainteresowałam się.

– Nieźle. Ostatecznie okazało się, że ma tylko złamaną rękę i niewielki wstrząs mózgu, ale co się najedliśmy strachu, to nasze. Leży w szpitalu w Żywcu, tam gdzie ten chłopak od Aleksandrowiczów. Jutro powinni ją już wypisać.

Musiał zauważyć moje zdziwienie, bo uśmiechnął się lekko i ten uśmiech odmienił jego drapieżną, ciemną twarz. Dopiero teraz zrozumiałam, dlaczego Ilona Chodura mogła mówić, że ten człowiek jest „miły”.

– Tak, wiemy tutaj, że chłopak z Pogańskiego Młyna przeżył. U nas to żadna tajemnica, bo jeden z policjantów z Żywca ma w Rudniku rodzinę. Ale niech się pani nie martwi, przed dziennikarzami trzymamy gęby na kłódki.

– Dziękuję – mruknęłam, przyjmując szklanekę kompotu z rąk Sylwii, która niespodziewanie wyrosła za moimi plecami.

– To co z tym chłopakiem? – zapytała, a kiedy uniosłam brew, uzupełniła: – Lepiej?

– Na to wygląda.

- Super. – Wydawało mi się, że na jej twarzy dostrzegam szczerą ulgę.
- Zna go pani?
- Tak sobie. – Wzruszyła ramionami. – Przychodził czasem do naszej kawiarni i wydawał się w porządku. W przeciwieństwie do reszty rodziny.
- Sylwia! – skarcił ją ojciec.
- No co? Od początku mówiłam, że to banda snobów.
- Prawie wcale ich nie znałaś.
- Ubierali się jak banda snobów i mówili jak banda snobów – upierała się dziewczyna.
- A pan? – zapytałam pospiesznie, przeczuwając nadciągającą rodzinną kłótnię.
- Jak dobrze znał pan Aleksandrowiczów?
- Słabo, mówiłem to już zresztą policjantowi, który mnie przepytował. Ale jak tylko mogłem, przychodziłem do Bajecznej, żeby z nimi pogadać.
- Często pan zagaduje klientów?
- Jeśli jestem w kawiarni, to tak, często. Chcę wiedzieć, co im się podobało, a co nie. Poza tym to dobrze robi na wizerunek. Chociaż z Aleksandrowiczami chodziło mi o coś innego. W biznesie liczą się nie tylko pieniądze, ale też to, jakich znasz ludzi. A jako znajomy Krystiana Aleksandrowicza miałbym znacznie większe możliwości niż jako biznesmen z małej wioski.
- Rozumiem, że nie był zbyt chętny do nawiązania głębszej znajomości?
- Niespecjalnie. Proponowałem mu parę razy, że oprowadzę go po okolicy albo nawet po lesie, gdyby miał ochotę. Ale nie miał.
- I nigdy wcześniej nie spotkał pan Krystiana Aleksandrowicza?
- Nie, widziałem go tylko raz, w telewizji, podczas rozdania jakichś nagród.
- A jego żonę?
- Nie. Skąd miałbym ją znać? Obracaliśmy się w zupełnie innych środowiskach. Brzmiało to szczerze, a w głosie Ochockiego, gdy mówił o Kalinie Aleksandrowicz, nie wyczuwało się zadawnionego żalu, nienawiści czy sentymentu, tylko odrobinę współczucia należną nieznanym, którzy zbyt szybko zeszli z tego świata.
- Bywał pan w Pogańskim Młynie? – spróbowałam z innej strony.

– Wtedy, kiedy mieszkali tam Aleksandrowiczowie, nie. Wcześniej mnóstwo razy, Sylwia zresztą też. Mam nadzieję, że to nie robi z nas podejrzanych? – Uśmiechnął się ponownie, ale oczy miał czujne.

– Polujecie? – Pominęłam jego pytanie milczeniem.

– Ja tak, chociaż teraz już tylko indywidualnie. Lubię sobie wyjść ze sztucerką i przewietrzyć głowę. Sylwia nigdy.

– Nie mogłabym zabić żywego stworzenia – burknęła dziewczyna. – No chyba że bardzo by cierpiało, to wtedy tak.

– Sylwia skończyła liceum medyczne i studiuje teraz na pierwszym roku weterynarii w Krakowie – powiedział Ochocki z dumą.

– Tato! – Zirytowana dziewczyna przewróciła oczami.

– No co, przecież to prawda. A zamiłowanie do natury odziedziczyłaś po mnie – przypomniał jej, po czym odwrócił się w moją stronę. – Sylwia chodzi sama po tych lasach, odkąd skończyła piętnaście lat.

– A czy któreś z was było może w okolicy leśniczówki w ciągu ostatniego tygodnia?

– W niedzielę dwudziestego drugiego podchodziłem kozła, nie przy samej leśniczówce, tylko niedaleko, nad potokiem. Do leśniczówki nawet się nie zbliżałem, bo wiedziałem, że tam mieszkają Aleksandrowiczowie, i nie chciałem im przeszkadzać.

– Widział pan coś ciekawego w czasie tego podchodzenia?

– Na przykład co?

– Cokolwiek, co odbiegałoby od normy.

– Martwą sarnę, ale nie sądzę, żeby o to pani chodziło.

– Niech pan opowie o tej sarnie.

– Leżała w krzakach z poderżniętym gardłem. Ktoś ją najpierw postrzelił, a potem dobił. Chciałem nawet popytać w naszym kole, ale jakoś wypadło mi to z głowy.

– Jak pan myśli, kto ją zabił? Myśliwy?

Zawahał się wyraźnie, a ja dokończyłam kompot. Był całkiem niezły, słodki, a jednocześnie kwaskowaty. Prawdopodobnie domowy, z jabłek, być może nawet

zerwanych z tej samej jabłoni, której gałęzie zwieszały się teraz nade mną i szeleściły w lekkich porywach wiatru.

– Myśliwy zabrałby mięso, czyli chyba nie. Z drugiej strony nikt poza myśliwymi nie ma tutaj broni palnej. Nie wiem, szczerze mówiąc.

– A pani? – Odwróciłam się w stronę dziewczyny. – Kiedy ostatnim razem była pani w lesie?

– Przedwczoraj rano, czyli dokładnie w ten sam dzień, kiedy oni wszyscy zginęli – przyznała bez oporów, a nawet z lekkim wyzwaniem. – Tylko że ja poszłam parę kilometrów dalej na wschód.

– I widziała pani coś?

Chwila wahania.

– Nie.

– Jest pani pewna?

– Jasne – mruknęła.

– Gdyby coś się pani przypomniało, może pani zadzwonić. – Podałam jej wizytówkę. Potem wyjęłam z torebki notes z długopisem i podsunęłam Ochockiemu. – A pana poproszę o narysowanie mapki okolicy z zaznaczeniem, gdzie pan znalazł tę sarnę i gdzie pana żona miała wypadek. Nawiasem mówiąc, o której godzinie to było?

– O której ten wariat wjechał w Zosię? Jakoś tak po dziesiątej. O wpół do jedenastej dotarła do domu, a Sylwia przyjechała mniej więcej piętnaście minut później. – Długopis w jego ręku znieruchomiał. – Myśli pani, że jedno może być powiązane z drugim? Że moją żonę potrafił morderca?

– Powiedzmy, że nie wykluczam takiej możliwości – odparłam ostrożnie, bo Ochockiemu już zaświeciły się oczy. Czas mniej więcej by się zgadzał, a pijany czy naćpany albo zwyczajnie roztrzęsiony po zbrodni morderca raczej nie byłby ostrożnym kierowcą.

– Mam nadzieję, że to on – mruknął, wracając do rysowania. – Wtedy wreszcie zaczniecie go szukać.

– Pana żona zapamiętała, jaki samochód w nią wjechał?

– Żółty opel astra. W środku siedziało dwóch facetów, jeden w czapce bejsbolowej, a drugi łyсы. Tyle pamięta. Zresztą może pani sama z nią

porozmawiać.

– Porozmawiam. – Wstałam, a kiedy Ochocki też się podniósł, żeby odprowadzić mnie do furtki, spojrzałam na jego buty. Tylko zerknęłam, ale on zaraz to zauważył i skrzywił się lekko.

– Chce pani wiedzieć, czy mam gumowce? Mam, policja już je oglądała. Całkiem nowa para, bo stara zapodziała się gdzieś parę miesięcy temu, kiedy sprzedaliśmy ostatni kawałek pola. Ale i tak rozmiar się nie zgadza, bo ja noszę czterdzieści pięć. A jeśli interesuje panią moje alibi, to nie mam żadnego. Dwudziestego szóstego sierpnia przyszedłem do domu o szóstej nad ranem, pijany jak bela, i walnąłem się spać. Żona obudziła mnie o wpół do jedenastej, a nawet wtedy miałem problem, żeby się utrzymać w pionie. Wytrzeźwiałem na dobre jakieś trzy godziny później, wsiałem w drugi samochód i pojechałem do szpitala. Jak wracaliśmy z córką, to akurat minęła nas karetka jadąca w stronę Pogańskiego Młyna. Stąd wiedziałem, że coś tam się stało.

– Ja też nie mam alibi – wtrąciła Sylwia, patrząc mi prosto w oczy. – Chodziłam po lesie sama prawie do jedenastej, dopiero potem pojechałam z mamą do szpitala.

– W porządku. – Tak naprawdę wykluczał ją już wzrost: napastnik mierzył od stu siedemdziesięciu do stu osiemdziesięciu centymetrów, a ta dziewczyna miała półtora metra z niewielkim hakiem. Nie mogłaby zabić wyższych od niej o głowę Aleksandrowiczów, nawet gdyby była znacznie silniejsza, niż wyglądała. Nie powiedziałam jej jednak tego. Miałam wrażenie, że bardzo bym ją takimi słowami uraziła.

*

Kobieta w szpitalnej rejestracji miała farbowane blond włosy i okulary w rogowej oprawie, zbyt duże dla jej drobnej twarzy. Niebieskie oczy patrzyły na mnie z wyraźną nieufnością.

– Pani już u nas była, prawda? U tego chłopca z leśniczówki i u tej kobiety z podejrzeniem zawału. A teraz chce pani zobaczyć Zofię Ochocką?

– Tak.

– Wszystkie te osoby są związane z jedną sprawą?

– Możliwe. A co, przekraczam jakiś limit?

– Nie, po prostu... – Rejestratorka zmieszała się wyraźnie. – Tak tylko pytam. Zaraz podam pani numer sali.

Podziękowałam i chwilę później szłam już korytarzem.

Nie lubię szpitali. Nikt ich prawdopodobnie nie lubi. Pod zapachem leków i środków czystości zawsze wyczuwa się w takich miejscach odór lęku i desperacji. Świadomości, że kiedy tu przyjdiesz – albo kiedy cię przywiozą – to możesz już stąd nie wyjść. Tak jak stało się z moim mężem.

Dlatego zaskoczyła mnie nieco radosna, niemal kolonijna atmosfera sali, w której leżała Ochocka. Na dwóch maleńkich stolikach stały wazon z kwiatami i soczki w kartonikach, z torebek wysypywały się słodycze, a w umieszczonym pod sufitem telewizorze leciał właśnie odcinek jakiegoś amerykańskiego sitcomu. Siedzące na łóżkach kobiety – blondynka koło czterdziestki i nieco starsza szczupła szatynka – oglądały go, chichocząc i podjadając czekoladę. To była sala ozdowieńców, tych, którzy wiedzieli już, że tym razem im się upiekło, i nie zważając na ból, zamierzali świętować cud dalszego istnienia.

Chrząknęłam i dopiero wtedy kobiety zwróciły na mnie uwagę. Obie, co zabawne, miały ręce na temblakach: blondynka prawą, a szatynka lewą. Żadna nie wyglądała na matkę drobnej ciemnowłosej Sylwii, zerknęłam więc na wiszące przy łóżkach karty, zidentyfikowałam właściwą osobę i podeszłam do łóżka szatynki.

– Zofia Ochocka? – zapytałam dla formalności. – Komisarz Krystyna Lesińska, chciałabym zamienić z panią parę słów.

– O! To aż komisarza wysłali do sprawy tego wypadku? – Uśmiechnęła się figlarnie, jak młoda dziewczyna. – Proszę, a moja córka marudzi, że policja nic nie robi.

– Może pani wstać i pójść ze mną gdzieś, gdzie będziemy mogły porozmawiać na osobności?

– Czemu nie. – Sprawną ręką odrzuciła kołdrę, po czym wsunęła stopy w kaptcie z króliczkami. Dopiero gdy wstała, zauważyłam, że jest co prawda wiotka, ale jak na kobietę dość wysoka. Sylwia najwyraźniej niski wzrost odziedziczyła po kimś z dalszej rodziny. – Możemy wyjść na klatkę schodową. Jeśli poczęstuje mnie pani papierosem, będę wielbić ziemię, po której pani stąpa. Poważnie.

*

– Tego mi brakowało – wymruczała, kiedy przypaliłam jej marlboro. – Próbuję rzucić od dwóch lat, ale jakoś mi nie wychodzi. Zawsze znajdzie się okazja, żeby zapalić. A teraz nawet nie mam poczucia winy: w końcu przeżycie takiego wypadku to naprawdę okazja, nie?

Przytaknęłam, bo wyraźnie tego po mnie oczekiwała. Stałyśmy przy otwartym oknie, starając się nie strącić łokciami leżącego na parapecie talerzyka pełnego niedopałków. Chwilę się wahałam, ale w końcu też zapaliłam, bo nic tak nie pomaga w nawiązaniu porozumienia jak papieros. Zbiegający schodami młody lekarz obrzucił nas potępiającym, a jednocześnie dość beznadziejnym spojrzeniem.

– To teraz poważnie – powiedziała Ochocka, zaciągając się. – Czemu właściwie policja chce ze mną rozmawiać?

– Rozważamy opcję, że ten wypadek mógł mieć związek z popełnionym w Pogańskim Młynie morderstwem. Słyszała pani o nim?

– Tak, jasne, Sylwia już mi zdążyła o wszystkim opowiedzieć. Straszna tragedia. – Zmarkotniała i zgasiła papierosa, jakby nagle straciła na niego ochotę.

– Znała ich pani?

– Tę rodzinę? Nie, widywałam ich tylko od czasu do czasu we wsi. Mój mąż za to z nimi rozmawiał, a córka próbowała rozruszać tego chłopaka. Spotkałam ich raz przed kawiarnią, ona gadała, on ledwo coś tam mrucał. Ja chyba nie miałabym cierpliwości, ale Sylwia zawsze lubiła się opiekować różnymi nieudacznikami. Chciała nawet iść na medycynę, ostatecznie jednak zdecydowała, że woli weterynarię. W sumie dobrze, bo ze zwierzętami jest mniej nerwów. Kiedy miałam ten wypadek, całkiem straciła głowę: siedziałyśmy w poczekalni na ostrym dyżurze, a ona ciągle tylko biegała do telefonu, żeby dzwonić do taty. – Uśmiechnęła się z pełną czułości nostalgią. – Takie są dzieci. Uważają się za Bóg wie jak dorosłe, a jak przychodzi co do czego, to okazuje się, że ciągle potrzebują naszej pomocy. Pani ma dzieci?

– Tak, ale nie o tym chciałam rozmawiać.

– Jasne. Powinnam mówić o wypadku, zgadza się?

Skinęłam głową.

– W sumie niewiele mam do powiedzenia. Pojechałam rano do lasu, bo wiedziałam, że jak Romek się obudzi, to będzie chciał zjeść na śniadanie jajecznicę z kurkami. Zawsze na kacu chce jajecznicy, a jajecznica, wiadomo, najlepsza

właśnie z grzybami. Nie żeby często pił, ale czasem mu się zdarza, jak każdemu chłopu. – Westchnęła, prawdopodobnie uświadamiając sobie, że znowu zbacza z tematu. – W każdym razie pojechałam do lasu, nazbierałam kurek, a kiedy wracałam, zza zakrętu wyjechał żółty opel astra.

– Jest pani pewna, że to był właśnie taki samochód?

– Tak, poznałam ten model, bo sami kiedyś taki mieliśmy. Za kierownicą siedział jakiś chłopak.

– Widziała pani jego twarz?

– Nie, tylko czapkę bejsbolową. Zresztą może to wcale nie był chłopak, tylko dorosły mężczyzna. Przez tę czapkę jakoś tak mi się skojarzyło, że to ktoś bardzo młody. Obok drugi, łysy, jego twarzy też nie widziałam. Mignęła mi tylko ta czapka, łysina i coś niebieskiego, jakby sweter czy bluza. Jechali za szybko i chyba się kłócili...

– Chyba?

– Ten łysy machał rękami, jakby wrzeszczał na kierowcę, chociaż w sumie niczego nie jestem pewna. Wszystko trwało tak krótko. Zobaczyłam, że jadą prosto na mnie, i nawet nie zdążyłam się porządnie wystraszyć. Próbowali skręcić, ale nie dali rady. Zahaczyli mój rower tyłem, a ja poleciałam w krzaki jak wystrzelona z procy. Potem słyszałam już tylko pisk opon, kiedy odjeżdżali. I to chyba tyle. Dobra chwila minęła, zanim udało mi się wstać. I wie pani, co zrobiłam? Podniosłam rower i zaczęłam iść z nim do domu. Nie wiem czemu, powinnam go zostawić przy drodze, bo nie nadawał się już do niczego, całe przednie koło miał skrzywione. Ale jakoś nie przyszło mi to do głowy.

– Prawdopodobnie była pani w szoku, a w takich chwilach nie myśli się logicznie.

– Pewnie tak. – Potarła czoło, na którym spod bandaża wynurzał się nabierający fioletowej barwy siniak. – Kiedy sobie pomyślę, że przeszłam w takim stanie prawie dwa kilometry, robi mi się słabo. Nie wiem, czy dałabym radę to powtórzyć. Ale wtedy po prostu szłam, i tyle.

– Mijał panią ktoś po drodze?

Zmarszczyła brwi.

– Chyba nie. Chociaż mogłam nie zauważyć. Czasem czułam się, prawie jakbym traciła przytomność. Nagle się orientowałam, że przeszłam kolejne kilkadziesiąt

metrów, chociaż wcale nie pamiętałam, kiedy to zrobiłam.

– Gdyby pani coś sobie przypomniała, proszę do mnie zadzwonić. – Dałam jej wizytówkę. Miałam wrażenie, że przez cały dzień nic innego nie robię, tylko rozdaję wizytówki i powtarzam do znudzenia to jedno zdanie.

– Jasne. – Zawahała się, zanim schowała wizytówkę do kieszeni szlafroka, i wreszcie zapytała mnie o to, czego spodziewałam się od początku naszej rozmowy: – Myśli pani, że potracili mnie ci sami ludzie, którzy zabili tę rodzinę?

– Nie wiem, po prostu sprawdzamy możliwości. – To zdanie też ostatnio często powtarzałam.

– Aha. – Zmarszczyła brwi, po czym uśmiechnęła się do mnie dziwnym, jakby przeproszającym uśmiechem. – Wie pani, właściwie jeszcze przed chwilą nie chciałam, żeby policja ich znalazła. Romek i Sylwia wciąż są wściekli, ale ja...

– Pani nie?

– Na początku tak, owszem, ale wczoraj rozmawiałam z księdzem o wybaczeniu i doszłam do wniosku, że to był tragiczny wypadek. Młodzi ludzie jechali za szybko, nie wyrobili na zakręcie i zdarzyło się. Pomyślałam, że oni już zostali ukarani, bo teraz pewnie cały czas prześladowuje ich myśl o tym, co się ze mną stało i czy policja ich złapie. A ja już jestem spokojna. Zrobili mi mnóstwo badań i wszystkie wyszły w porządku. Nawet to złamanie okazało się całkiem proste. Dlatego postanowiłam im wybaczyć. A teraz co ja właściwie powinnam zrobić?

Nie miałam na to żadnej odpowiedzi, zostawiłam ją więc tam, stojącą przy oknie i wpatrzoną w trawnik. Kiedy schodziłam po schodach, wydawało mi się, że Ochocka płacze – nad własną naiwnością? Nad zmarnowanym życiem tych, którzy ją potracili? Zresztą może to było tylko złudzenie, blask słońca ześlizgujący się po policzkach. Nie zamierzałam zawracać i ją pytać, ostatecznie to nie była moja sprawa. Ja zajmowałam się kwestią winy, a nie wybaczenia.

Zadzwoiłam do moich współpracowników w Żywcu i kazałam im szukać złotego opła astry, który dwudziestego szóstego sierpnia przed południem w pobliżu Pogańskiego Młyna mógł potrącić kobietę na rowerze.

– Jeśli to ktoś miejscowy, to jest szansa, że go znajdziemy – powiedział sierżant Macała, którego nie miałam jeszcze okazji poznać. – Jeśli nie, to dupa zbita.

– Wiem – odparłam, skręcając w stronę leśniczówki. – Po prostu się postarajcie, dobrze?

Dziesięć minut później wysiadłam z samochodu, ominęłam znajomy biały budynek i weszłam głębiej w las. Płonąca czerwienią tarcza słońca dotykała już czubków drzew, powietrze było chłodne, przesycone zapachem rosnących w cieniu bukowych liści i wilgotnej ściółki. Znalazłam szemrzący cicho strumyk i szłam wzdłuż niego, przedzierając się przez paprocie i krzaki dzikich malin. Moje półbuty na niewielkim obcasie zdecydowanie nie nadawały się do takich wędrówek, a kolczaste gałęzie czepiały się spódnicy. Wokół krążyły zwabione wonią potu owady, w ukośnych promieniach słońca przeświecającego już teraz zupełnie nisko pomiędzy drzewami unosiły się drobinki leśnego próchna. Cienie gęstniały, budząc upiory wyobraźni, każdy szelest był teraz odgłosem zbliżającego się dzikiego zwierzęcia, trzaśnięcie gałązki przywodziło na myśl czającego się w krzakach napastnika. Wiedziałam oczywiście, że to bzdury – w polskich lasach niewiele zwierząt mogłoby zaatakować dorosłego człowieka, a bandytów spotyka się częściej w miastach niż na odludziu. Wiedziałam, ale i tak coś pierwotnego we mnie sprawiło, że puls przyspieszył, a włosy na karku stanęły dęba; niełatwo pokonać dwa miliony lat dziedzictwa przodków, którzy odwróceni plecami do grozy ciemności, kulili się przy ogniu.

Zatrzymałam się na moment i odetchnęłam, postanawiając, że jeśli nie znajdę mojej ofiary w ciągu najbliższych dziesięciu minut, przestanę się wygłupiać i zawrócę do samochodu. Ostatecznie od dawna nie byłam już dwudziestolatką, której uchodziłyby płazem takie forsowne wędrówki po lesie.

Wystarczyło pięć minut.

Najpierw poczułam charakterystyczną, stęchłą i lekko słodkawą woń gnijącego ciała. Potem zobaczyłam pomiędzy liśćmi jeżyn błysk płowego futra. Podeszłam bliżej i ostrożnie, uważając na kolce, rozgarnęłam gałęzie. Sarna nie żyła co najmniej od kilku dni. Leśne zwierzęta zdążyły już ją nadgryźć, brzuch miała wzdęty od gazów, muchy oblepiały język i roiły się w ranie na szyi. Gdy pochyliłam się nad ciałem, poderwały się do lotu i krążyły teraz wokół mnie, wyraźnie wściekłe, że przeszkodziłam im w żerowaniu i składaniu jaj. Sięgnęłam do kieszeni po papierosa. Nie miałam na niego ochoty, ale zapach tytoniu tłumił smród rozkładu.

W ostatnich promieniach krwawo zachodzącego słońca obejrzałam uważnie zwłoki. Wysoko na udzie widniała opisana przez Ochockiego rana postrzałowa: kula weszła pod skosem i utkwiała we wnętrznościach. Ale nie ona spowodowała śmierć, tylko czyste cięcie biegnące w poprzek szyi zwierzęcia – cięcie tak głębokie, że odsłoniło kość gnykową. I było coś jeszcze, co zauważyłam dopiero po chwili. Mały bukiet leśnych kwiatów, który musiał leżeć na ciele, a kiedy brzuch wydeły gazy, zsunął się w trawę.

Ruszyłam w stronę drogi i z pierwszego miejsca, w jakim znalazłam zasięg, zadzwoniłam do Wojtka.

*

– Mówisz poważnie? – zapytał z niedowierzaniem starszy aspirant Chodura. – Chcesz robić autopsję sarny? W dodatku takiej, która leży w lesie od kilku dni?

– Chcę, żeby Janczak ją obejrzał i powiedział, czy mogła zostać zabita tym samym nożem do grilla, którego użył morderca Aleksandrowiczów. Co w tym dziwnego?

– Nic, jasne, że nic – zapewnił Chodura, może odrobinę zbyt pośpiesznie. – Wszystko w porządku? Dziwnie mówisz.

– Wszystko jest w absolutnie doskonałym porządku. Zastanawiałeś się kiedyś nad tym, że cienie w lesie wyglądają zupełnie inaczej? I dźwięki też inaczej brzmią. O, na przykład teraz mam wrażenie, że ktoś się za mną skrada.

W głosie Krystyny Lesińskiej usłyszał coś, co nie do końca mu się podobało, jakiś niepokój zmieszany z dziwnie wisielczym humorem. Pomyślał o komisarz

stojącej samotnie w lesie nad ciałem martwego zwierzęcia, wśród gromadzących się wokół cieni, i ten wyimaginowany widok nie spodobał mu się jeszcze bardziej. Lesińska była kobietą z miasta, twardą, nieulegającą sentymentom ani porywom wyobraźni.

Kiedyś, podpowiedziało coś paskudnego w głowie Chodury. Dzisiaj już niekoniecznie. W końcu śmierć ukochanej osoby każdego potrafi zmienić. Jednak czy Krystyna Lesińska naprawdę stała się inna? Może tylko mu się zdawało, może to, co brał za głębszą zmianę osobowości, było zwyczajnym smutkiem.

Rozłączył się z marsem na czole, zanim jednak zdążył dojść do sensownych wniosków, ktoś zapukał i do pokoju niepewnie wsunęła się rozczochrana głowa.

– Pan Wojciech Chodura? Ja... eee... miałem przyjść na siedemnastą, ale...

– Jest dziewiętnasta trzydzieści.

– Tak, wiem, ale... – Chłopak wyglądał na jakieś piętnaście lat, choć Chodura wiedział, że Adrian Dąbek w tym roku zdał maturę i w październiku wybierał się na studia.

– Spóźnił się pan ponad dwie godziny.

– Przepraszam.

– Wyjaśni pan to spóźnienie?

Dąbek zaczerwienił się i poprawił okulary. Wyglądał trochę jak kujon, a trochę jak stereotypowy szalony naukowiec z rozczochranymi włosami i nieprzytomnym spojrzeniem. Starszy aspirant nie przepadał ani za jednym, ani za drugim typem.

– Ja... hm... wcześniej dzisiaj wstałem i dlatego chciałem się na chwilę zdrzemnąć po południu, ale kiedy się obudziłem, dochodziła już osiemnasta...

Była to najbardziej idiotyczna wymówka, jaką Chodura kiedykolwiek słyszał, co prawdopodobnie świadczyło o tym, że jest jednocześnie prawdziwa. Gdyby Dąbek kłamał, postarałby się chyba wymyślić coś bardziej wiarygodnego.

– Niech pan siada.

– Będzie mnie pan pytał o rodzinę Aleksandrowiczów, prawda?

– Najpierw spiszę pana dane. Potem porozmawiamy.

Gdy formalności mieli za sobą, Chodura odchylił się na krześle i przyjrzał swojemu rozmówcy. Chłopak wciąż sprawiał wrażenie roztrzęsionego, zupełnie

nieproporcjonalnie do winy. Albo Adrian Dąbek z natury był bardzo nerwowy, albo miał powody, żeby się bać.

– Dawał pan korepetycje Jakubowi Aleksandrowiczowi, zgadza się?

– Tak.

– Jak często przychodził pan do domu tej rodziny?

– Cztery razy w tygodniu, w poniedziałki, wtorki, czwartki i piątki.

– I czego pan tego chłopaka uczył?

– Polskiego, historii, matematyki... Całego programu liceum właściwie, aż do trzeciej klasy.

– Nie za dużo tego?

– Nie, ja ze wszystkich przedmiotów zawsze dostawałem piątki. Mam dobrą pamięć, niektórzy uważają nawet, że jestem, no wie pan, kimś w rodzaju geniusza.

Powiedział to z przepaszającym uśmiechem, trochę dumny, a trochę zażenowany. Chodura przyłapał się na tym, że czuje do tego chłopaka coraz większą niechęć, właściwie bez powodu, bo trudno przecież za powód uznać zdenerwowanie. Dąbek nie był ani pierwszym, ani ostatnim świadkiem, który siedząc naprzeciwko starszego aspiranta, pocił się i kręcił na krześle.

– I co pan sądzi o swoim uczniu?

– Nie rozumiem...? – Adrian zamrugął, wyraźnie zaskoczony.

– To proste pytanie. Co pan sądzi o Jakubie Aleksandrowiczu?

– Bardzo zdolny chłopak. Naprawdę. Biorąc pod uwagę to, co przeszedł, spodziewałem się... No, eee... że będzie trudno, ale...

– Nie było?

– Nie, Kuba szybko wszystko łapał. No, z matematyką może mu szło trochę gorzej, ale historię znał chyba lepiej niż ja. Naprawdę bardzo się starał, żeby nadgonić materiał.

– A tak prywatnie? Co pan o nim sądził?

– Ja? – Znowu zdumienie, może nawet odrobinę zbyt duże, by mogło być prawdziwe.

– Tak, pan. Jesteście przecież mniej więcej w tym samym wieku. Nie zaprzyjaźniliście się?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Dlaczego oczywiście?

– Kuba... był bardzo zamknięty w sobie. A ja nie spoufalam się z moimi uczniami. Staram się być profesjonalny.

Chodura nie wierzył w profesjonalizm dziewiętnastolatków, zostawił jednak tę uwagę dla siebie.

– A pozostali członkowie rodziny? Znał pan ich wcześniej?

– Nie. Mój dziadek uczył pana Aleksandrowicza na studiach i dlatego mnie zatrudnili. To znaczy pan Aleksandrowicz zapytał dziadka, czy mógłby mu kogoś polecić, a dziadek...

– Uznał, że jego wnuczek znakomicie nadaje się do tej roboty.

– To nie tak... Znaczący to nie protekcja. Ja naprawdę...

– Wiem, miał pan same piątki i jest pan młodocianym geniuszem. Zostawmy to na razie. Aleksandrowiczowie – przypomniał. – Co pan o nich sądził?

– Nic tak naprawdę. Nie widywaliśmy się zbyt często.

– Kto panu płacił?

– Pani Aleksandrowicz.

– Gotówką?

– Owszem. – Chłopak zaniepokoił się. – To nie jest nielegalne, prawda?

Chodura westchnął. Najwyraźniej bycie geniuszem nie przeszkadzało jednocześnie w byciu idiotą.

– Jeśli widywał się pan przynajmniej od czasu do czasu z Aleksandrowiczami, musiał pan mieć na ich temat jakieś zdanie. Wydawali się sympatyczni? Traktowali pana jak gościa czy jak pracownika? Żyli ze sobą w zgodzie czy może słyszał pan jakieś kłótnie?

– Żadnych kłótni nie słyszałem. I państwo Aleksandrowiczowie zawsze byli uprzejmi. Pani Kalina za każdym razem pytała, czy przynieść mi coś do picia, a jak musiałem skrócić zajęcia o piętnaście minut, zapłaciła mi za całą godzinę.

– Tyle pan ma do powiedzenia na ich temat? Byli uprzejmi?

Chłopak poczerwieniał.

– Nie rozumiem, czego pan ode mnie właściwie chce.

Żebyś użył mózgu, Chodura miał ochotę warknąć. Trudno było przypuszczać, że inteligentny, obdarzony choćby szczątkowym zmysłem obserwacji chłopak

naprawdę tak absolutnie niczego nie zauważył. Żadnych napięć pomiędzy Kaliną a Krystianem, żadnych ciekawostek dotyczących życia rodzinnego, żadnych sugestii skrywanych sekretów. Nic. A przecież Dąbek bywał w tym domu cztery razy w tygodniu od prawie pół roku.

Krążyli jeszcze przez chwilę wokół tematu, ale chłopak upierał się przy swoim. Aleksandrowiczowie wiedli życie jak z reklamy: zawsze uśmiechnięci, eleganccy i uprzejmi. Chodura dał więc spokój i wrócił do Jakuba Aleksandrowicza.

– Z nim spędzał pan zdecydowanie najwięcej czasu. W porządku, wierzę, że się nie zaprzyjaźniliście, ale przecież musieliście rozmawiać o czymś poza nauką.

– Nie, nie bardzo. – Dąbek, który zaczął już się odprężyć, nagle znowu zrobił się nerwowy.

– Na przykład o sporcie. Podobno Kuba jest fanem koszykówki.

– Jest? – Reakcja była natychmiastowa. A więc Adrian potrafił jednak być spostrzegawczy. – To on... On nie...

– Kuba Aleksandrowicz żyje.

– A... W porządku. To znaczy świetnie. Bardzo się cieszę, naprawdę. – Chłopak zmieszał się pod długim uważnym spojrzeniem Chodury.

– To jak, rozmawialiście o sporcie?

– Nie.

– Nigdy?

– Nie.

– A o dziewczynach?

– Nie. – Dąbek zrobił się blady jak płótno, nad górną wargą pojawiły się krople potu.

– Naprawdę? Chociażby o aktorkach, które wam obu się podobały? Albo o tym, czy wolicie brunetki, czy blondynki? A może o Kalinie Aleksandrowicz? – strzelił w ciemno. Ostatecznie Kuba nie byłby pierwszym nastolatkiem fantazjującym o macosze.

– Naprawdę. – Głos Adriana zabrzmiał pewniej i Chodura uznał, że więcej z chłopaka nie wyciągnie. Pora przejść do bardziej tradycyjnych pytań.

– Kiedy ostatni raz widział pan Aleksandrowiczów?

– W piątek, trzynastego – odpowiedź padła szybko, jakby Dąbek miał ją przygotowaną.

– A co pan robił dwudziestego szóstego sierpnia przed południem?

Tym razem starszy aspirant nie doczekał się szybkiej odpowiedzi. Chłopak przełknął ślinę.

– Byłem z dziadkiem.

– Od której godziny do której?

– Od... siódmej do pierwszej po południu.

– Może mi pan podać numer dziadka? – Chodura sięgnął po telefon.

– C...co? – Wybałuszone oczy Adriana Dąbka w innej sytuacji wyglądałyby całkiem zabawnie.

– Numer do pana dziadka. Przecież musi go pan znać. Podyktuje pan czy mam poprosić moich współpracowników, żeby go znaleźli?

Chłopak drżącym głosem recytował kolejne cyfry, a Chodura wykreślał numer.

– Dzień dobry. Z tej strony starszy aspirant Wojciech Chodura z komendy wojewódzkiej w Katowicach. Mam do pana pytanie. Gdzie pan przebywał dwudziestego szóstego sierpnia przed południem? Nie, to rutynowe pytanie, sprawdzamy wszystkich mieszkańców pana dzielnicy. W domu, tak? A czy ktoś panu towarzyszył? Dziękuję. Miłego dnia życzę.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na chłopaka, który chlapał po drugiej stronie stołu.

– To by było na tyle, jeśli chodzi o pana alibi. A teraz będę wdzięczny, jeśli powie mi pan prawdę.

*

21 lutego 1999 roku

Kalina Aleksandrowicz patrzyła przez okno na siedzącego w ogrodzie nastolatka, myśląc jednocześnie o puciołowatym chłopcu drepczącym na krótkich nóżkach u boku Krystiana. Niecałe dwanaście lat, które zmieniły uśmiechniętego malucha w młodego człowieka kulącego się na huśtawce w świetle słońca, bladym i zimnym jak kostka lodu topniejąca w cytrynowym drinku. Zima była co prawda raczej

symboliczna – od tygodnia nie spadł ani jeden płatek śniegu, a przez wyblakłą zeszłoroczną trawę przebijały się pierwsze kwiaty – niemniej temperatura wciąż oscylowała w granicach kilku stopni, wiał chłodny wiatr i pogoda zdecydowanie nie zachęcała do przesiadywania na zewnątrz. A jednak Kuba Aleksandrowicz siedział na huśtawce bez kurtki i bez czapki, odpychając się miarowo nogami od ziemi. W zaprasowanych w kant spodniach i granatowym swetrze z dekoltem w serek wyglądał jak uczeń prywatnej szkoły. Bardzo samotny uczeń, taki, który nigdy nie miał przyjaciół i nawet już nie chce ich mieć.

Kalina przełknęła nerwowo ślinę.

– Dlaczego on jest tak ubrany? – Ze wszystkich pytań zadała właśnie to, ponieważ wydało jej się najłatwiejsze. Krystian Aleksandrowicz milczał, dziwnie obcy bez swojego zwyczajnego uśmiechu, a Zenon Próchniewicz nerwowo poprawił okulary. Kim on w ogóle był? Psychologiem, policjantem czy może jednym i drugim? Kalinie mylili się ci wszyscy urzędnicy, z którymi rozmawiali przez ostatnie tygodnie. Niekończący się korowód zatroskanych twarzy, tłumaczących im, w jak bardzo skomplikowanej sytuacji się znaleźli. Jakby sama o tym nie wiedziała.

Przeniosła spojrzenie na drugą stronę stołu, gdzie siedzieli Zawadzcy, rodzice zastępczy, którzy przyjęli Kubę pod swój dach. Oboje niscy, przysadziści, z szarymi, nieciekawymi twarzami. Jak kartofle, pomyślała i ta myśl rozbawiła ją na ulotną chwilę.

Katarzyna Zawadzka wzruszyła ramionami.

– Tak go ubierała kobieta, u której mieszkał.

– Która go porwała – poprawiła Kalina. Potem przyjdzie czas na udawanie, że wszystko jest w porządku, teraz potrzebowała tej prawdy, chłodnej i bezlitosnej jak słońce na zewnątrz. Potrzebowała jej, by uwierzyć, by wyrwać się z otaczającego ją miękkiego kokonu szoku, tak jak dziecko obudzone z koszmarnego snu musi się uszczypnąć. To była jej rzeczywistość i nic nie było w niej w porządku.

– Która go porwała. – Zawadzka flegmatycznie skinęła głową.

Teraz spokój tej podobnej do kartofla kobiety już tylko Kalinę irytował. Oczywiście ona mogła być spokojna, bo właśnie pozbywała się problemu, przekazując go w ręce Aleksandrowiczów.

– Wygląda okropnie – zawyrokowała.

– Pani pewnie będzie wiedziała lepiej, jakie ubrania mu kupić. – Twarz Zawadzkiej przybrała neutralny wyraz, jakby kobieta z całych sił próbowała nie pokazać po sobie niechęci. A może Kalinie tylko się zdawało, w końcu od półtora miesiąca wszystko szło nie tak jak trzeba. Od dnia Trzech Króli, kiedy zadzwonił Poldek.

– Kuba będzie miał u nas doskonałą opiekę – oznajmił Krystian i to też zabrzmiało źle, zupełnie jakby brali do domu bezdomnego psa, a nie odnalezionego po latach syna.

Syna, który w międzyczasie zdążył stać się mordercą, pomyślała Kalina, patrząc na siedzącego w ogrodzie nastolatka. Skrzyp, skrzyp, huśtawka kołysała się w tył i w przód, podczas gdy Kuba Aleksandrowicz patrzył przed siebie nieruchomym spojrzeniem. Wiedział, że jego ojciec i macocha tu są, wiedział, po co przyszli, a jednak pozornie przynajmniej nie wykazywał żadnego zainteresowania. Po prostu czekał, aż Zawadzka zawoła go do środka, spokojny, cierpliwy i jakby... ostrożny?

Morderca.

Oczywiście zabił w obronie własnej, ale mimo wszystko... Miał krew na rękach, wiedział, jakie to uczucie, gdy patrzy się w oczy konającemu człowiekowi. Czy taki chłopak był odpowiednim bratem dla dwóch dziewczynek, które bawiły się lalkami, przebierały w stroje księżniczek i wciąż jeszcze wierzyły, że ludzie żyją wiecznie?

Wróciła myślami w przeszłość, do chwili, gdy Lucyna przedstawiła im swojego narzeczonego. I do tamtego dnia pół roku później, kiedy Krystian i Lucyna, już po ślubie, pojawili się na towarzyskim spotkaniu z wózkiem. Czy to wtedy, patrząc na Krystiana z pulchnym niemowlęciem w ramionach, poczuła, jak lekka fascynacja przeradza się w poważne uczucie? Chyba tak. Kalina знаła sporo dziewczyn, które zaszły w ciążę w wieku kilkunastu czy dwudziestu lat, ale tylko jednego mężczyznę, który tak młodo został tatą. A w każdym razie jednego, który nie porzucił dziecka, tylko zajął się jego wychowaniem. To sprawiało, że Krystian wydawał się inny, niemal jakby odmiennego gatunku. Nie był ani patykowatym, niepewnym siebie chłopakiem, ani mężczyzną w typie ojców czy wujków, jakich znały siostry Jaworskie: z piwnym brzuszkiem i początkami łysiny. Był młody, przystojny i wysportowany, a jednocześnie dojrzały i odpowiedzialny. Tak doskonały, że właściwie z trudem wierzyło się w jego istnienie. Kalina pamiętała,

jak żartowała na ten temat z Różą w zaciszu ich panieńskiego pokoju. Już wtedy obie zdążyły się zakochać w tym chłopaku.

Ale to ona go dostała, prawda? Pięć lat później, gdy Kuba zniknął, a małżeństwo Krystiana się rozpadło. Ta tragedia naznaczyła młodego Aleksandrowicza piętnem smutku, co jeszcze dodało mu uroku. Boże, jak ona go wtedy kochała. Jak szalała ze szczęścia, gdy pewnego dnia zaprosił ją do kina. Zrobiłaby wtedy dla niego wszystko – i nie była to żadna metafora.

Wtedy i teraz też. Wiedziała na przykład, że nigdy, przenigdy nie może powiedzieć mężowi, co zobaczyła w jego twarzy tamtego dnia, gdy zadzwonił Poldek. Ani przypomnieć, jak entuzjastycznie zareagował na propozycję skontaktowania się z mieszkającą w Cardiff Lucyną. I dopiero gdy pierwsza żona stanowczo odmówiła zajęcia się Kubą (nie mam tu warunków, zrozum, wzięłabym go w każdej chwili, o mój Boże, biedne dziecko, oczywiście, że się przejmuję, ale jak sobie wyobrażasz mieszkanie z nastolatkiem w wynajmowanym pokoju?), wypowiedział słowa, które potem oboje mieli traktować jako pierwsze i jedyne. Jakby wcześniej żadnej innej reakcji nie było.

„Kuba zamieszka z nami”.

A Kalina uśmiechnęła się i powiedziała „Oczywiście”, bo przecież nigdy go nie zawiodła.

Zorientowała się, że Próchniewicz coś mówi, i zaczęła słuchać.

– ...gdy Kuba się odnalazł, zrobiono mu szereg badań. Okazało się, że Stanisława Wajda traktowała go... No cóż, dość dobrze, biorąc pod uwagę okoliczności. – Przetarł okulary i nasadził je z powrotem na nos. – Na żebrach miał ślady starych złamań świadczące o tym, że kobieta pobiła go przynajmniej raz, prawdopodobnie krótko po porwaniu, nie robiąc mu jednak trwałej krzywdy. Po raz drugi Kuba został pobity w listopadzie zeszłego roku, tym razem skończyło się na podbitym oku, zwichniętej ręce i kilku siniakach. Poza tym chłopak był zadbany i dobrze odżywiony. W tej chwili jest w całkiem dobrej formie fizycznej. Jego psychika natomiast... Nie będzie zapewne dla państwa zaskoczeniem, że po tym wszystkim, co przeszedł, chłopiec potrzebuje pomocy terapeuty...

– Zdajemy sobie z tego sprawę – przerwał Krystian. Dla postronnych wyglądał na zupełnie rozluźnionego, Kalina jednak wyczuła w jego głosie niecierpliwość i niepokój. – Czy mógłbym teraz zobaczyć się z moim synem?

– Oczywiście. – Próchniewicz uśmiechnął się przeprasząco. – Sądzę, że formalności mamy za sobą. Czy mogłaby pani zawołać chłopca?

Zawadzka wstała z ociąganiem i poczłapała do drzwi. W progu odwróciła się jeszcze i obrzuciła spojrzeniem siedzących przy stole gości. Spod neutralnego wyrazu jej twarzy coraz silniej wyzierała niechęć.

– On nie chce wracać do domu – oznajmiła. – Powiedział mi to dziś rano, kiedy się dowiedział, że ojciec i macocha po niego przyjeżdżają.

W kuchni zapadło milczenie, w którym słyhać było tylko monotonne poskrzypywanie huśtawki. Skrzyp, skrzyp. W górę i w dół, w górę i w dół. Kalina zamrugała, gdy zimne wiosenne słońce wdarło się pod jej powieki.

– Oczywiście, że nie chce. – Spokojny ton Krystiana przywrócił poczucie normalności, napięcie zelżało, Kalina ukradkiem otarła łzy płynące z podrażnionych oczu. – Mieszkał z tą kobietą przez jedenaście lat i uważał ją za matkę. Musi minąć trochę czasu, zanim przyzwyczai się do nowej sytuacji.

– Bardzo się cieszę, że państwo tak do tego podchodzą. Pani Zawadzka...?

Kobieta położyła dłoń na klamce, ale Krystian ją uprzedził.

– Nie, proszę go nie wołać. Chyba lepiej będzie, jeśli ja do niego pójde. Kalino?

Potrząsnęła głową.

– Zostanę. – W końcu była tylko macochą i Bóg wie, co ten chłopak właściwie o niej sądził. Prawdopodobnie postrzegał ją jako kobietę, która porządnym matkom kradnie mężów.

Muszę być silna, myślała, obserwując Krystiana idącego przez ogród. Dla mnie, dla niego i dla dziewczynek. Przede wszystkim dla nich. Odruchowo sięgnęła dłonią do zawieszzonego na szyi krzyżyka. Odkąd pamiętała, wiara zawsze przynosiła jej pocieszenie.

Kuba przestał się huścić. Krystian usiadł obok i zaczął mówić, Kalina widziała poruszające się usta, ale nie słyszała słów. Chłopiec wciąż patrzył przed siebie, jednak coś w jego napiętych ramionach mówiło, że słucha uważnie. Słońce wydawało się bardzo blade i odległe, jak zawieszona na niebie srebrna moneta, wiatr szarpał gałęziami nagich drzew, pod płótem leżały resztki brudnego śniegu. Tam musi być tak bardzo zimno, myślała, a oni nawet nie mają na sobie kurtek. Ojciec i syn rozmawiający ze sobą po dwunastu latach, scena jak z filmu albo

powieści. Kalina powinna być wzruszona, ale zamiast tego czuła tylko niepokój i zmęczenie. Miała ochotę wpełznąć pod koc i spać aż do wiosny.

Krystian pochylił się i niezbyt zręcznie objął chłopca. Kuba zeszywniał, ale przynajmniej się nie cofnął. Dobre i to.

Niemal podskoczyła, gdy ktoś chwycił ją za ramię, i odwróciła się gwałtownie. Zawadzka patrzyła na nią z wyraźną troską. Właśnie tak, tym razem to była troska i Kalinie przemknęło przez głowę, czy wcześniej po prostu nie wyobraziła sobie niechęci. Zostały same, Próchniewicz i pan domu w międzyczasie zdążyli gdzieś zniknąć.

– Herbaty pani zrobię – powiedziała Zawadzka. – Mocnej i słodkiej, bo coś pani blada.

– Czuję się świetnie – zaprotestowała bez przekonania. Prawda wyglądała tak, że potrzebowała herbaty, potrzebowała nawet współczucia tej przysadzistej kobiety i ta świadomość na moment napełniła ją niechęcią do siebie. Lubiała uważać się za silną i niezależną.

Zawadzka zakrzętnęła się w kuchni i chwilę później Kalina grzała już palce o kubek z gorącym napojem. Było jej zimno, jakby to ona siedziała tam, na zewnątrz, odmrażając sobie uszy w porywach lutowego wiatru.

– Ma pani pod opieką dużo dzieci? – zapytała tylko po to, żeby przerwać ciszę. Ta kobieta i jej rodzina nic ją w gruncie rzeczy nie obchodziły.

– Troje, poza moją własną dwójką. – Zawadzka skinęła głową z czymś w rodzaju dumy. – Kuby nie liczę, od początku wiedzieliśmy, że długo z nami nie zostanie.

– I gdzie one teraz są?

– Nasze już są dorosłe i wyprowadziły się z domu. A Kacpra, Anię i Andżelikę wysłaliśmy na kolonie do Rabki. Pojutrze wracają. Ale nie wydaje mi się, żeby panią interesowały moje dzieci.

Kalina poczuła gwałtowny rumieniec wpełzający na policzki. Ta kobieta była znacznie bystrzejsza, niż na to wyglądała.

– Nie, dlaczego... – zaprotestowała słabo. – Ja mam dwie dziewczynki, prawie bliźniaczki.

Czekała, aż Zawadzka zapyta, czemu prawie – ludzie zazwyczaj o to pytali – ale kobieta milczała. Kalina mówiła więc dalej, coraz mniej pewna siebie, płacząc się i gubiąc. Że zawsze chciała mieć dwójkę dzieci w zbliżonym wieku i dlatego zaraz

po urodzeniu Basi postarała się znowu zająć w ciążę, że dziewczynki są praktycznie nierozłączne, jak prawdziwe bliźniaczki, i nawet do szkoły pójda razem...

Zawadzka nie słuchała. Prawdopodobnie jej też nie obchodziła rodzina Aleksandrowiczów.

Kalina umilkła i po chwili zdecydowała się zmienić temat.

– Czy mogłaby mi pani powiedzieć coś o Kubie? Co lubi, czego nie znosi, na co powinnam uważać... – Znowu zabrzmiało to, jakby brali do domu psa ze schroniska, ale teraz było jej już wszystko jedno.

Zawadzka zastanowiła się.

– To bardzo wycofany chłopak i moim zdaniem najlepiej go zostawić w spokoju. Przynajmniej na początku. Poza tym mało o nim wiem... Lubi amerykańskie jedzenie, jeśli takie rzeczy panią interesują.

– To znaczy co właściwie? Steki? – Kalina lubiła gotować, ale jej specjalnością była kuchnia śródziemnomorska: lasagne, paella albo mousaka. O amerykańskiej wiedziała tyle, że używają tam dużo kukurydzy i syropu klonowego do naleśników.

Zawadzka uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Zwyczajne hamburgery, hot dogi i frytki. Jedzenie, jakie widział w telewizji.

Świetnie, pomyślała ze znużeniem Kalina, która włożyła mnóstwo wysiłku w przekonanie dziewczynek do sałatek i warzyw. Jeszcze pół roku temu Renia na widok nakładanej na talerz zieleniny urządziła awanturę, jakby próbowano ją otruć, a Basia patrzyła na matkę z wyrazem pełnego cierpienia wyrzutu.

– Jest jeszcze coś, co powinna pani wiedzieć.

– Tak? – Nastawiła się, że usłyszy coś okropnego, na przykład że Kuba nie korzysta z ubikacji, bo przez te wszystkie lata załatwiał się do wiadra, albo nie potrafi zasnąć w łóżku. Widziała kiedyś film o porwanym dziecku i teraz myśl, że mogła oglądać go dla rozrywki, tkwiła w niej niczym zadra.

– On naprawdę nie chce wracać do domu.

Krystian i Kuba wstali z huśtawki. Mężczyzna coś jeszcze mówił, chłopiec uparcie nie patrzył mu w oczy.

– Tak, oczywiście, mój mąż przecież wyjaśnił...

– Nie o to chodzi. Kuba powiedział mi, że jeśli wróci do domu, stanie się coś bardzo złego.

– Ale... – Jeszcze pół minuty temu Kalina przysięgłaby, że nie może czuć się bardziej zagubiona, a tu proszę, życie najwyraźniej wciąż potrafiło ją zaskoczyć. – Nie rozumiem...

– Ja też nie. Wiem tyle, co pani powiedziałam.

Kalina zmarszczyła brwi.

– Biedny chłopak, nie wiadomo, co siedzi w jego głowie... Po tych wszystkich przeżyciach...

– Oczywiście, ma pani rację. – Twarz Zawadzkiej znów przybrała ten neutralny, lekko odpychający wyraz, który Kalina wcześniej brała za próbę ukrycia niechęci, a który świadczył chyba tylko o tym, że gospodyni zamierza pozostać przy własnym zdaniu. – Chłopak jest dziwny, to całkiem zrozumiałe. Ale na mój rozum on ma dobrze poukładane w głowie i wie, co mówi.

Kalina nie zdążyła odpowiedzieć, bo skrzypnęły drzwi wejściowe i w korytarzu rozległ się odgłos kroków. Krystian i Kuba wracali.

Czym prędzej przywołała na usta szeroki uśmiech, gotowa powitać pasierba tak, jak powinna to była zrobić: z radością i bez żadnych wątpliwości w kwestii tego, co przyniesie przyszłość.

*

28 sierpnia 1999 roku

Wojtek odsunął od siebie talerz z resztkami napoleonki i zapalił papierosa. W Katowicach coraz więcej knajp wydzielało specjalne strefy dla ofiar nikotynowego nałogu, jednak Kryształowa ze swoim urokiem zakurzonego PRL-owskiego zabytku pozostała w tej kwestii tradycjonalistką. Ja nie paliłam – dziś wykończyłam pół paczki i miałam dość – ale wiszący w powietrzu siwy opar mi nie przeszkadzał. Odpowiadała mi ta atmosfera: ciemność za oknem, dym, w tle pobrękiwanie sztukców i cichy szum rozmów nielicznych klientów. Kiedyś często omawialiśmy śledztwo w kawiarniach czy barach, potem przestaliśmy, głównie dlatego, że Wojtek, gdy tylko miał chwilę wolnego, zaraz pędził do Ilony albo przynajmniej wisiał na telefonie i prowadził z nią długie rozmowy. Powrót do tego

zwyczaju sprawił mi zaskakującą przyjemność, jakbym po ciężkim dniu usiadła przy kominku i ogrzała dłonie przy ogniu. I to ja wybrałam Kryształową, prawdopodobnie dlatego, że dawno temu, kiedy jeszcze był to najbardziej elegancki lokal w Katowicach, przychodziłam tu z rodzicami i bratem.

– To on – powiedział Wojtek. – Mówię ci.

– Adrian Dąbek?

– Aha.

– Bo skłamał na temat alibi? Daj spokój, nie on pierwszy i nie ostatni.

– Nie potrafił wyjaśnić, co robił przedwczoraj rano. Najpierw upierał się, że wyszedł pojeździć na rowerze, potem, że oglądał w domu telewizję. Nawiasem mówiąc, chłopak chwilowo mieszka sam, bo rodzice wybyli do Niemiec odwiedzić rodzinę.

– Skłamał, bo się bał, że będziesz go podejrzewać – wyjaśniłam, dopijając wódkę. Nie byłam pijana, ale alkohol szumiał mi w głowie, wzmacniając przyjemne uczucie swojskości i rozluźnienia.

– I jak cholera go podejrzewam – burknął. – Jutro przeszukamy jego mieszkanie. Trzeba działać szybko, staremu pali się pod dupą, a dziennikarze urządzili sobie obóz przed komendą. Dzisiaj dorwali tę, jak jej tam... Jasne włosy, wygląda, jakby niedawno skończyła liceum.

– Tamara Siesicka.

– Siesicka, tak. Maglowali ją prawie dziesięć minut, zanim młodej udało się przebić do drzwi. Na szczęście miała na tyle rozumu, żeby powtarzać w kółko, że nie ma nic do powiedzenia i nie zamierza komentować żadnych plotek.

Poczułam w sercu nieoczekiwane ciepło. Nie znałam tej dziewczyny, w gruncie rzeczy z trudem potrafiłam przywołać w pamięci rysy jej twarzy, ale miło było pomyśleć, że młode funkcjonariuszki dobrze sobie radzą. Ćwierć wieku temu zaczynałam pracę jako jedyna kobieta w wydziale pełnym napakowanych po uszy testosteronem facetów. I nie tylko przetrwałam – udało mi się nawet awansować. Nie uważałam się z tego powodu za bohaterkę: ot, pewna kombinacja moich cech sprawiała, że potrafiłam wpasować się w męskie środowisko. Okazałam się wystarczająco kobieca, by współpracownicy nie widzieli we mnie konkurującego z nimi babochłopa, a jednocześnie na tyle mało atrakcyjna, że łatwo było mnie uznać po prostu za koleżankę. I zawsze miałam talent do dostrzegania

nieoczywistych rozwiązań, to też się liczyło. Jednak dopiero teraz, patrząc wstecz, widziałam, jak dużo miałam szczęścia i jak ciężka to jest droga dla większości kobiet.

– Moim zdaniem niczego u tego chłopaka nie znajdziesz. – Wróciłam do najważniejszego tematu.

– Ja uważam, że znajdę. Chcesz się założyć?

Westchnęłam. Przy stoliku pod ścianą – jedynym zajęтым oprócz naszego – zaczynała się awantura. Starszy facet monologował coraz bardziej podniesionym tonem, drugi odpowiadał mu pełnymi urazy burknięciami. Nie odwróciłam się.

– A jaki miałby motyw?

– Jakikolwiek. Może zakochał się w Kalinie Aleksandrowicz, a ona spuściła chłopaka po brzytwie.

– I dlatego zamordował całą rodzinę? Daj spokój – powtórzyłam.

Wzruszył ramionami.

– Ktoś to zrobił, prawda? I ten ktoś miał jakiś motyw. Kto to twoim zdaniem mógł być? Kuba? Leopold Rataj? Ten myśliwy, jak mu tam? Ochocki?

Kręciłam głową przy każdym nazwisku, dopiero przy ostatnim się zawahałam. Ochocki wydawał się szczery, owszem, ale mógł kłamać, a nie mogłam pominąć faktu, że facet był wysoki, silny, obeznany z bronią i przywykły do widoku krwi. I nie miał alibi. Ostatecznie jednak też zaprzeczyłam.

– Żadna z tych osób moim zdaniem nie pasuje.

– Do zbiorowego morderstwa?

– Nie. Mogę sobie wyobrazić, czemu ktoś z nich chciałby wykończyć całą rodzinę, ale nie pojmuję, dlaczego którakolwiek z tych osób miałaby brutalnie zabić Renię, a Basię udusić poduszką. To bez sensu.

– Taaa... – mruknął Wojtek.

Oboje wiedzieliśmy, o co chodzi. Dorośli czasem giną z powodu takich czy innych cech charakteru, upodobań lub przyzwyczajęń. Zostają zamordowani, ponieważ nie potrafią utrzymać języka za zębami, bo urządzają awantury, są skąpi albo przeciwnie, lubią szastać pieniędzmi. W przypadku dzieci ich charakter czy pasje rzadko mają jakiegokolwiek znaczenie. Dzieci giną dlatego, że znalazły się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie albo dlatego, że miały

paskudnych rodziców, a nie dlatego, że wolą Małą Syrenkę od Pocahontas albo odwrotnie.

To właśnie sprawiało, że cała ta sprawa była tak bardzo popieprzona. Ochocki mógł zabić Aleksandrowiczów, bo miał romans z Kaliną, Dąbek, bo chciał taki romans mieć, Rataj, ponieważ kochał się w Krystianie, a Kuba ze względu na jakąś prawdziwą bądź wyimaginowaną krzywdę. Ale żaden z nich nie miałby powodu, żeby w tak odmienny sposób potraktować dwie małe dziewczynki.

Sprzeczką przy stoliku obok osiągnęła apogeum. Monologujący dotąd mężczyzna zerwał się na nogi i dopadł tego drugiego, małomównego.

– Jeszcze się stawiasz, chuju jebany? A w mordę, kurwa, chcesz? No chcesz?

Wojtek zamierzał wstać, ale złapałam go za łokieć.

– Zostaw – mruknęłam.

Spojrzał zdziwiony, pokręciłam więc głową. Coś mi podpowiadało, że awantura się wypali, zanim mój kolega zdąży interweniować. Miałam rację, bo facet sapnął jeszcze tylko głośno, obrzucił przeciwnika dodatkową porcją obelg, popchnął go na krzesło i wybiegł z kawiarni. Drugi mężczyzna poprawił koszulę i powiedział coś do sąsiadki, dotąd zeszywniałej ze strachu. Kobieta rozluźniła się i zaśmiała niepewnie.

– No dobra, to na czym skończyliśmy? – Wojtek skinął na wyraźnie zde gustowaną kelnerkę i zamówił wódkę.

– Na tym, że Aleksandrowiczów mogło zabić mnóstwo osób, ale żadna z nich tak naprawdę nie pasuje.

– Mnie tam Dąbek pasuje wystarczająco. A ty szukasz dziury w całym.

W jego głosie zabrzmiało lekkie rozdrażnienie, zupełnie niepasujące do tonu naszych zwyczajnych przyjacielskich przekomarzań. Miał o coś pretensje, ale o co właściwie? Nie chciało mi się nad tym teraz zastanawiać.

– Zostawmy to na razie – powiedziałam ugodowo. – Rozmawiałeś z resztą przyjaciół Aleksandrowiczów?

– Owszem. – Wychylił kieliszek i skrzywił się, jakby odwykł ostatnio od picia. Zastanowiłam się przelotnie, czy to wpływ Ilony, czy może sam stara się ograniczać. Wojtek pił raczej rozsądnie, tak jak ja zresztą, ale w naszym fachu nad wszystkimi wisi ponure widmo alkoholizmu. Za dużo widzieliśmy przypadków,

gdy rozsądni ludzie zaczynali od jednego, dwóch kieliszków wieczorem po stresującym dniu, a kończyli na odwyku.

– Coś ciekawego? – ponagliłam go.

– Tak i nie. Wszyscy ogólnie są zdania, że Aleksandrowiczowie bardzo się kochali, on nie zdradzał jej ani ona jego i nie mieli żadnych większych problemów. O niej wyrażali się w samych superlatywach: porządna kobieta, dobra matka, dla dzieci i dla męża zrobiłaby wszystko, bla, bla, bla. Nim się zachwycali, jakby to był jakiś pieprzony gwiazdor z Hollywood, serio. Zwłaszcza kobiety, chociaż faceci w sumie też.

– Ale?

– Jednej babce, Marioli Kowalskiej, jakimś cudem udało się zachować zdrowy dystans. Krystiana Aleksandrowicza nazwała po prostu czarującym oportunistą. Gość, owszem, był przystojny, inteligentny i miał głowę do interesów, jednak przede wszystkim znakomicie radził sobie z ludźmi. Wiedział, komu warto wejść w dupę i jak to najlepiej zrobić, której kobiecie można powiedzieć, że ma świetne nogi, a która strzeli za taki komplement w pysk, tego typu rzeczy. I odnajdywał się w każdym towarzystwie, niezależnie od tego, czy chodziło o imprezę nowobogackich w białych skarpetkach, przy grillu i wódce, czy ę-ą przyjęcie z trzema widelcami przy każdym talerzu. Cytując Kowalską: „Krystian był jednym z pierwszych ludzi, którzy po osiemdziesiątym dziewiątym zrozumieli, że biznes to nie tylko pieniądze, ale przede wszystkim kontakty, i dlatego tak dobrze mu szło”.

– I co z tego wynika? – zapytałam sceptycznie. – Że mógł się wdać w jakieś podejrzane interesy? Sprawdzaliśmy go i z tego, co wiem, jest czysty, ale możemy jeszcze trochę pogrzebać.

Wojtek pokręcił głową.

– Nie sędzę, żeby to był ten typ. Wiesz, o co spytałem następną osobę, którą przesłuchiwałem? Jedną z tych zachwyconych?

– O co?

– Czy Krystian na studiach angażował się w działalność Solidarności.

Zamrugłam.

– A co to ma do rzeczy?

Uśmiechnął się z zadowoleniem i lekkim poczuciem wyższości, jak pilny uczeń, który po raz pierwszy poczuł, że może prześcignąć nauczyciela.

– Żeby się przekonać, jakiego rodzaju to był człowiek. Odpowiedź okazała się taka, jak myślałam: Aleksandrowicz angażował się, jednak nigdy nie spotkały go z tego powodu żadne nieprzyjemności. Może miał zwyczajnie szczęście, ale moim zdaniem chodziło o coś innego.

– O co? – zapytałam odrobinę rozbawiona, chcąc dać Wojtkowi tę chwilę triumfu. Zasługiwał na nią.

– Pomyśl. Był początek lat osiemdziesiątych, w Polsce co chwila wybuchały strajki. Student, który w takiej sytuacji nie stanąłby po stronie opozycji, z miejsca zostałby wykluczony z towarzystwa. A Krystian chciał być lubiany, więc się zaangażował. Jednocześnie nie zamierzał zwracać na siebie uwagi SB, dlatego, powiedzmy, dawkował to zaangażowanie bardzo ostrożnie. Pasuje, prawda? To właśnie ten typ: oportunistą płynący z prądem, lubiący wygodne życie i niechętnie podejmujący ryzyko. Ktoś taki nie wdawałby się w ciemne interesy.

To rozumowanie miało parę dziur. Po pierwsze, ludzie zmieniają się z wiekiem, po drugie, Aleksandrowicz mógł nie zdawać sobie sprawy, że wchodzi w szemrane towarzystwo, zanim było za późno. Miałam jednak przeczucie, że Chodura dobrze odgadł charakter naszej ofiary, a interesy Aleksandrowicza jak dotąd wydawały się absolutnie czyste. Dlatego skinęłam głową i oboje uśmiechnęliśmy się do siebie porozumiewawczo jak za dawnych czasów. Wojtek odprężył się – dopiero teraz dostrzegłam, że wciąż zależy mu na mojej akceptacji.

Zerknęłam na zegarek.

– Coś jeszcze powinnam wiedzieć? Bo jeśli nie, to chyba będziemy się zbierać.

Uśmiech zniknął, Wojtek znów spał się lekko, a ja wiedziałam, że nie spodoba mi się to, co za chwilę usłyszę.

– Wiemy już, kto zajmował się zniknięciem Kuby w osiemdziesiątym siódmym. I kto w listopadzie zeszłego roku prowadził śledztwo w sprawie pozbawienia Kuby wolności. Ten pierwszy to Jan Tkaczuk, od dawna na emeryturze, a drugi to Rafał Wrona, też emeryt, tym razem całkiem świeży. Wrona pewnie nie będzie dużo wiedział, bo śledztwo szybko umorzyli ze względu na śmierć sprawcy, ale też trzeba się z nim skontaktować.

– Świetnie. Jeśli obaj są na emeryturze, to pewnie będą mieć czas, żeby do nas przyjechać.

Wojtek pokręcił głową.

– Nie bardzo. Przynajmniej nie w przypadku Tkaczuka. Gość zachorował parę lat temu na coś tam, jeździ na wózku i nie rusza się z domu dalej niż na parę kilometrów. Jeśli chcemy z nim pogadać, musimy pojechać do niego.

– Do Zakopanego?

– Aha.

Nagle poczułam się jak w dzieciństwie, gdy ostrożnie stawiałam stopę na zamrożonej powierzchni stawu w Sosnowcu, lód zaczynał trzeszczeć i przez pęknięcia z głębin wypływała woda, bardzo zimna i bardzo ciemna. To był test, a ja wiedziałam już, że go nie zdam.

– W porządku, pojedę tam.

Wojtek zacisnął usta.

– Myślałem, że wysłemy kogoś z młodych. Przecież to nic ważnego.

– Przeciwnie, to może być bardzo ważne.

– W takim razie ja mogę jechać. Ty będziesz potrzebna na miejscu.

Prowokował mnie, a ja nie miałam siły się z nim sprzeczać. I tak zresztą już przegrałam.

– Ja jadę, ty zostajesz – oznajmiłam, z każdą chwilą coraz bardziej zmęczona.

– Tak naprawdę chcesz tam jechać ze względu na brata, prawda? Masz nadzieję, że znajdziesz coś, co wyjaśni jego zniknięcie.

– Wojtek...

– W porządku, rozumiem. Karlik zmarł i dlatego teraz myślisz o innych bliskich, którzy cię opuścili. Na przykład o Romku. To...

– Jezu, Wojtek, chodziłeś ostatnio do psychologa, że zaczynasz tak pierdolić? Naprawdę chcesz dyskutować o mojej psychice? Bo ja zamierzam wrócić do domu, wziąć prysznic, spakować się i jutro rano pojechać do Zakopanego. To jak będzie: odwieziesz mnie czy mam brać taksówkę?

– Sama nie pojedziesz?

– Wypiłam trzy kieliszki, a ty tylko jeden – przypomniałam mu, po czym dodałam w daremnej próbie rozładowania napięcia humorem: – Ktoś z nas musi być odpowiedzialny.

Gdy wychodziliśmy, zobaczyłam mężczyznę siedzącego na ławce na przystanku. Płakał. Jego twarz wydała mi się znajoma, dopiero po kilku sekundach

uświadomiłam sobie, że to ten sam człowiek, który awanturował się w kawiarni, a potem z niej wybiegł. Wściekłość najwyraźniej minęła, teraz był już tylko nieszczęśliwy, łzy ciekły mu po twarzy, a on od czasu do czasu wycierał nos rękawem.

Przez moment niemal mu zazdrościłam. Jego problemy miały szansę zniknąć, gdy tylko facet wytrzeźwieje. Moje dopiero się zaczynały.

*

Stałam przed klatką schodową, szukając w torebce kluczy, gdy przy chodniku zatrzymał się srebrny ford mondeo, z którego po chwili wysiadł mój syn. Zdażyłam zobaczyć jeszcze błysk długich rudych włosów, nim samochód ruszył i zniknął za zakrętem.

– Piłaś – powiedział Adam, podchodząc do mnie, a jego twarz w świetle latarni przybrała pełen niechęci wyraz.

– A ty jednak masz dziewczynę – odpowiedziałam.

Przez moment patrzyliśmy na siebie wrogo niczym dwaj rewolwerowcy na Dzikim Zachodzie. Parsknęłam wreszcie śmiechem – nie do końca szczerym – znalazłam klucze i otworzyłam drzwi. Adam nie zamierzał się rozchmurzyć. Czułam na plecach jego wzrok, gdy zdejmowałam buty, a potem szykowałam sobie szybką, prostą kolację składającą się z chleba z masłem i puszki szprotek. Pamiętałam dobrze takie spojrzenia z czasów, gdy moje dzieci były nastolatkami, a ja wracałam do domu po paru głębszych. Ten niepokój i jednocześnie pełne wyższości przekonanie, że niezależnie od wszystkich moich zaprzeczeń ostatecznie muszę popaść w alkoholizm, nie mam innego wyjścia, bo to właśnie pokazywały amerykańskie seriale o policjantach. Zwłaszcza Justyna celowała w patrzeniu na mnie w ten sposób, choć Adamowi też się zdarzało. Czasem myślę, że jeśli nie zaczęłam naprawdę ostro pić – a miewałam na to ochotę – to właśnie dlatego, że czułam, jakbym trzymając się z dala od alkoholu, płatała moim dzieciom złośliwego figla. Cóż, niezbyt szlachetny motyw, ale przynajmniej działał.

– Jutro jadę do Zakopanego – oznajmiłam, wchodząc do łazienki. Brudne rzeczy wysypywały się z kosza na podłogę, na umywalce zostały rozmazane smugi kremu do golenia.

– Jezu, Adam, miałeś tu posprzątać. I zrobić pranie.

– Zapomniałem. – Wzruszył ramionami, a ja nie wiedziałam, czy to typowa dla niego nonszalancja, czy wciąż ma do mnie pretensje o te parę kieliszków. Przez moment zastanawiałam się, czy nie nastawić prania, ale do rana i tak nie zdążyłoby wyschnąć, zaczęłam więc grzebać w koszu. Znalazłam garsonkę, którą miałam na sobie tylko dwa razy i która pachniała całkiem nieźle, bluzkę bez plam od potu i parę rajstop. Adam stał, oparty o futrynę, i przyglądał mi się z nieodgadnioną miną. Najchętniej kazałabym mu wyjść, bo byłam coraz bardziej zła i zmęczona, a w gardle czułam wzbierające łzy, nie ufałam jednak swojemu głosowi na tyle, by się odezwać.

Płakać zaczęłam w chwili, gdy wyjęłam z kosza stare, porozciągane spodnie dresowe, w których Karlik chodził po domu. Banalne, wiem, ale tak się składa, że rozpacz ma gdzieś oryginalność. I czasem nic nie da się na nią poradzić. Siedziałam więc na brzegu wanny, ściskając w dłoniach gacie wciąż przesiąknięte zapachem mojego męża, i ryczałam jak bóbr.

– Mamo... – Głos Adama zdawał się dobiegać z bardzo daleka.

– Nic mi nie jest – wymamrotałam, sięgając po kawałek papieru toaletowego, by się wysmarkać. – Zaraz mi przejdzie. Jutro jadę...

– Do Zakopanego, wiem. Mówiłaś. Po co właściwie? Ze względu na wujka Romka?

To było tak absurdalne, że roześmiałam się, wciąż połykając łzy. Czułam się krucha jak szklane naczynie i tak samo przezroczyście. Jakby każdy mógł zajrzeć mi do środka i zobaczyć tam coś, z czego istnienia sama nie zdawałam sobie sprawy.

Karlik zmarł, a jego śmierć nie miała w sobie absolutnie nic niezwykłego czy tajemniczego, bo nie ma żadnej tajemnicy w prawie sześćdziesięcioletnim, ważącym ponad sto kilo mężczyźnie, wielbicielu rolad z modrą kapustą, kluskami i sosem oraz maślanych ciasteczek, który pewnego dnia umiera na rozległy zawał. Mogłam żywić pretensje do matki Karlika, bo nauczyła syna miłości do tłustej śląskiej kuchni, albo do siebie samej, bo zbyt rzadko bywałam w domu, by pilnować jego diety. Wiedziałam jednak doskonale, że żadne pretensje, żale czy pytania w stylu „co by było, gdyby...” nic tu nie pomogą.

Z Romkiem sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Mój brat zaginął w niejasnych okolicznościach trzydzieści sześć lat temu, a ja wciąż miałam wrażenie, że gdybym

tylko wiedziała, gdzie szukać albo jakie pytania zadawać, mogłabym go odnaleźć. Albo przynajmniej dowiedzieć się, co się z nim stało.

Tych dwóch spraw nic ze sobą nie łączyło poza tym, że w przypadku każdej z nich z mojego życia zniknęły bardzo ważne osoby, które pozostawiły po sobie broczącą krwią ranę, jak ślad po wyszarpanym kawałku ciała. Ale Wojtek Chodura oczywiście miał rację: śmierć męża sprawiła, że zaczęłam częściej myśleć o Romku, bo na odejście Karlika nic nie mogłam poradzić, a na zaginięcie brata... być może.

Wysmarkałam nos, wrzuciłam papier do toalety i wcisnęłam spłuczkę. Adam wciąż mnie obserwował, oparty o futrynę – mój uroczy, leniwy i przystojny syn, z charakteru przypominający odrobinę Krystiana Aleksandrowicza. Syn, który urodę odziedziczył po moim pierwszym mężu, a jego podobieństwo do mnie przejawiało się w drobiazgach: w tym, jak oboje lekceważyliśmy pewne normy społeczne, w niechęci do brukselki i skłonności do łapania jesiennych przeziębień. Syn, który po tych wszystkich latach nadal potrafił mnie zaskakiwać.

– Justyna dzwoniła – oznajmił teraz, kiedy spodziewałam się dalszych pytań albo wyrzutów. – Chciała nas zaprosić w niedzielę za tydzień na obiad i oglądanie mieszkania.

– Aha.

Moja córka z mężem od pół roku remontowali mieszkanie na Nikiszowcu, które odziedziczyli po matce Karlika. Nie podchodziłam do tego zbyt entuzjastycznie. Nikiszowiec był zabytkową, ale zaniedbaną dzielnicą – regularnie ginęły tam samochody, a po zmroku można było dostać w zęby. Justyna jednak upierała się przy swoim, ja zaś nie zamierzałam jej pouczać.

– To co, mam oddzwonić i powiedzieć, że przyjdziemy? Potem moglibyśmy wziąć Zuzę na Bolinę.

– Jasne. – Zuzia i ja kumpłowałyśmy się, odkąd mała skończyła dwa latka, i już nie mogłam się doczekać, kiedy znowu ją zobaczę. Może i zawiodłam jako matka, ale zamierzałam za to być świetną babcią.

– Jesteś pewna, że do tego czasu skończysz tę sprawę?

– Tak – odparłam, choć wcale nie byłam. Ostatecznie jednak nie miało to wielkiego znaczenia. Justyna i Adam już dawno przywykli, że zdarza mi się nie dotrzymywać obietnic.

29 sierpnia 1999 roku

Następnego dnia odzyskałam zaparkowany w centrum samochód, wrzuciłam do bagażnika podręczną torbę i podjechałam pod komendę, by poinformować szefa, że zamierzam wybrać się do Zakopanego. Nie był zachwycony, ale się zgodził. Potem, jeszcze ze swojego pokoju, wykonałam dwa telefony. Jan Tkaczuk odebrał dopiero po szóstym dzwonku, kiedy zaczynałam tracić nadzieję.

– Halo?

– Dzień dobry, Krystyna Lesińska z komendy wojewódzkiej w Katowicach. Kontaktowaliśmy się z panem...

– Ta, wiem. W sprawie tego chłopaka, cośmy uważali, że się utopił, a tak naprawdę to go porwali – mówił z wyraźnym góralskim akcentem. – To jak, ktoś od was się do mnie pofatyguje?

– Ja przyjadę. Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie pan mieszka.

– Ma pani coś do pisania?

– Zapamiętam.

Podał adres, który sądząc po instrukcjach typu „za ruiną z brzozą w lewo”, oznaczał nie blok, lecz wolno stojący dom gdzieś na wsi. Umówiliśmy się na dwunastą, rozłączyłam się i zadzwoniłam pod drugi numer. Tym razem mój rozmówca odebrał niemal od razu.

– Rafał Wrona – przedstawił się. Głos miał młody i pełen energii, co nieszczerze mnie zdziwiło. Sporo policjantów przechodziło na wcześniejszą emeryturę.

Powiedziałam w skrócie, o co chodzi, po czym zapytałam, czy mógłby w wolnej chwili wpaść do Katowic.

– Nie teraz – zastrzegłam. – Teraz jadę do Zakopanego. Ale na przykład jutro...

– Do Zakopanego? Do Tkaczuka?

– Tak. Pan go zna?

– Owszem, spotkaliśmy się. Oficjalnie śledztwo zostało umorzone jeszcze w listopadzie, ale trochę potem rozpytywałem na własną rękę. Dam pani znać wieczorem, w porządku?

– Świetnie.

Odłożyłam słuchawkę i ruszyłam w kierunku Zakopanego. W tę ostatnią niedzielę sierpnia na moim pasie było raczej pusto, za to na przeciwległym ciągnął się sznur samochodów – dzisiaj wszyscy wracali z gór. Minęłam już Kraków, gdy komórka w torebce odezwała się dźwiękiem przychodzącego esemesa. Zwolniłam, a kiedy zobaczyłam reklamę baru z kiełbaskami, zjechałam na pobocze.

Przeczytałam wiadomość, zaklęłam i wysiadłam.

Bar okazał się drewnianą budą, otoczoną kilkoma dębowymi stołami. Przy jednym z nich siedziała czteroosobowa rodzina, nad którą unosił się wyraźny nastrój końca wakacji: skóra złącząca z opalonych nosów, zmęczeni rodzice i para nabuzowanych słońcem dzieciaków rozmazujących musztardę po plastikowych talerzach. Pozostałe były wolne – usiadłam więc i zadzwoniłam do Wojtka, tym razem na komórkę.

– Dziennikarze już się dowiedzieli, że Kuba żyje – powiedziałam bez wstępów.

– Wiem, właśnie odebrałem wiadomość. I wiedzą już, że chłopak, który przeżył, to ten sam, który w grudniu zeszłego roku szukał rodziny.

Kurwa mać, powtórzyłam w myślach.

– Mamy tutaj urwanie głowy – ciągnął Wojtek. – Kiedy wracasz?

– Jutro. Dacie sobie radę?

– A mamy wyjście? Stary teraz się użera z dziennikarzami, a ja załatwiłem chłopakowi dodatkową ochronę w szpitalu. Jakiś gość z „Super Expressu” już chciał z nim robić wywiad.

– Dzięki. Gdzie teraz jesteś?

– W mieszkaniu Dąbka.

– Znaleźliście coś ciekawego?

– Na razie nie, ale dzieciak ze strachu dostał sraczki, co chwila lata do kibla i wygląda, jakby zaraz miał się porzygać. Jeśli on jest niewinny, to ja jestem, kurwa, Kleopatra.

– Zadzwoń, jeśli coś znajdziecie.

– Jasne.

Wcisnęłam „rozłącz” i podeszłam do budki z kielbaskami, by przejrzeć niezbyt rozbudowane menu. Dochodziła jedenasta, a ja nie jadłam dziś śniadania i zaczynałam robić się głodna.

– Co dla pani? – zapytał chłopak z długimi włosami, ubrany w koszulkę Metalliki. Nie był dużo starszy od Kuby, ale uderzył mnie kontrast między tymi dwoma nastolatkami. Gdyby życie młodego Aleksandrowicza potoczyło się tak jak trzeba, Kuba mógłby być takim właśnie dzieciakiem, uśmiechniętym i wyluzowanym.

– Hot dog z keczupem i musztardą – zdecydowałam.

– Już się robi. – Chłopak wyszczerzył do mnie zęby. Z radia za jego plecami dobiegały dźwięki jakiegoś letniego przeboju, kielbaski skwierczały, a słońce grzało mnie w kark i przez chwilę poczułam się prawie tak, jakbym po śmierci Karlika jednak ten urlop wzięła.

Nim zjadłam, czteroosobowa rodzina zdążyła odjechać, a na jej miejsce przyjechała inna, zaskakująco podobna, choć z nieco starszymi dziećmi. My też kiedyś byliśmy taką wracającą z wakacji rodziną: opalony Karlik fałszował za kierownicą, Adam podskakiwał na siedzeniu jak piłeczka kauczukowa, Justyna marudziła, że koniecznie musimy jej kupić nowy fartuszek, bo ze starego już wyrosła, a poza tym wszystkie dziewczyny w jej klasie mają takie z falbanką, wiązane z tyłu na kokardkę. Stare dzieje.

Zmięłam poplamioną keczupem serwetkę i wyrzuciłam ją do kosza, w którym piętrzył się już stos papierowych tacek i widelczyków. Sięgałam właśnie po kluczyki do samochodu, gdy zadzwoniła komórka, a na wyświetlaczu pojawił się znajomy numer.

– Tak? – zapytałam, mimo wszystkich wątpliwości czując lekkie ukłucie podniecenia. Może Wojtek naprawdę trafił na coś interesującego.

– Mamy go. – Mój partner nawet nie próbował ukrywać ekscytacji. – Adrian Dąbek to nasz człowiek.

– Bo? – Otworzyłam drzwi samochodu, ale zostałam na zewnątrz. Z wnętrza buchał żar jak z piekarnika, pseudoskórzane siedzenia były tak gorące, że siadając, ryzykowałabym poparzenia pierwszego stopnia.

– Znaleźliśmy kasetę Aleksandrowiczów nagrany w lecie zeszłego roku. Są na niej Basia i Renia, gołe w ogrodowym baseniku. A w tapczanie chłopak upchnął gazetki z dziecięcą pornografią. Serio, skąd oni takie rzeczy biorą?

– Pewnie ze Stadionu Dziesięciolecia w Warszawie, tam można kupić wszystko, jeśli ma się odpowiednie znajomości.

– Siedzi teraz i płacze, że kasetę tylko sobie pożyczył i że nigdy, przenigdy nie tknął żadnego dziecka. Założę się, że jak dobrze go przyciśniemy, przyzna się i do morderstwa.

– To nie on – powiedziałam, przymykając powieki, bo słońce raziło mnie w oczy. Jedno z dzieci awanturowało się z rodzicami: „Nie chcę tej spalonej kiełbasy!”.

– Miał motyw.

– Ani Basia, ani Renia przed śmiercią nie zostały wykorzystane seksualnie. – Mijająca mnie kobieta spojrzała z przestachem i dezaprobatą, ściszyłam więc głos do konspiracyjnego szeptu. – To nie on – powtórzyłam. – Aleksandrowiczów nie zabił płaczliwy chłopak ze skłonnością do małych dziewczynek.

– Skoro tak mówisz. – W głosie Wojtka zabrzmiał wyraźny sarkazm, postanowiłam jednak go zignorować.

Samochód zdążył się już przewietrzyć, ostrożnie więc usiadłam za kierownicą i ruszyłam. Do Zakopanego zostało około siedemdziesięciu kilometrów. Myślałam po drodze o Adrianie Dąbku. W życiu nie widziałam chłopaka na oczy, ale za jego niewinność mogłabym poręczyć – przynajmniej w przypadku morderstwa, bo dziecięca pornografia nie była już moją działką. I nie chodziło tylko o to, że nastolatek wydawał się zbyt nerwowy jak na kogoś, kto zabił cztery osoby. Dąbek nie pasował do szczegółów, które nie dawały mi spokoju. Do odmiennego potraktowania Basi i Reni, do trzech małych grobów na tyłach leśniczówki, każdego ozdobionego maleńkim bukietem polnych kwiatów. Do sarny z poderżniętym gardłem i leżącym na jej ciele identycznym bukietem, a także do Róży Jaworskiej, która nie chciała zdradzić tego, co wie, ani mnie, ani przepytującemu ją później Wojtkowi.

Miałam przecucie, że jeśli będę umiała to wszystko wyjaśnić, znajdę prawdziwego mordercę.

*

Minęłam ukryty w gęstych krzakach, zrujnowany dom z całkiem dorodną już brzozą na dachu i zgodnie z instrukcją skręciłam w lewo. Samochód podskoczył na wertepach, a ja mało nie odgryzłam sobie języka, zwolniłam więc i wlokłam się teraz stateczną czterdziestką, podziwiając niedalekie górskie szczyty i zdecydowanie bliższe krowy na łące. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach, który przywykłam kojarzyć ze wsią: mieszanka nawozu, słodkiej koniczyny i schnącego na słońcu siana. Widziałam już piętrowy dom z dwoma kominami – prawdopodobnie mój cel, kiedy drogę zastąpiło mi stado owiec. Zahamowałam, zatrzymując się kilka centymetrów od wełnistego zadka, i zatrąbiłam. Owce spojrzały na mnie obojętnie. Zatrąbiłam drugi raz, z równie marnym efektem. Stado kręciło się tam i z powrotem, podzwaniając dzwoneczkami, skubiąc trawę na poboczu i najwyraźniej nie mogąc się zdecydować, czy przejść na drugą stronę czy jednak nie.

Otworzyłam okno i wychyliłam się.

– Zmykajcie stąd! Sio!

Tym razem nawet nie spojrzały w moją stronę, a mnie kończyły się pomysły. Byłam już gotowa zostawić samochód i iść dalej pieszo, kiedy przez stado zaczął przepychać się niski, chudy mężczyzna w czapce z daszkiem.

– Suń się, no już! Na bok, mówię. Panią przepuście. Pani z Katowic, do mnie, tak?

– Tak – potwierdziłam.

– To pani przejedzie, zaparkuje przed domem i zaczeka. Ja za chwilę przyjdę. Jan Tkaczuk jestem – dodał, niepotrzebnie zresztą, bo pomimo tego, że spodziewałam się człowieka na wózku, poznałam go po głosie.

Zrobiłam, jak kazał. Emerytowany policjant zjawił się po dziesięciu minutach, już bez owiec, za to z tłustym owczarkiem niemieckim u boku. Pies powitał mnie entuzjastycznym merdaniem ogona.

– To Helga – powiedział Tkaczuk. – Wziąłem ją, żeby owce mi zaganiała, ale ona leniwa jest, nic, tylko by spała i jadła. Nawet obejścia nie przypilnuje, bo każdego kocha, jak pani widzi. Niech pani wejdzie, napijemy się czegoś.

Sądząc po stadzie owiec, spodziewałam się wnętrza typowej wiejskiej chałupy, jednak dom okazał się nowoczesny, najwyraźniej niedawno wyremontowany.

Tkaczuk zaprowadził mnie do przestronnego salonu z aneksem kuchennym, który równie dobrze mógłby znaleźć się w katowickiej willi, i zakrzętnął się, energicznie trzaskając drzwiczkami szafek.

– Wódkę pani pije? – zapytał. – A może whisky albo koniak?

– O tej porze wystarczy mi herbata, dziękuję.

Parsknął z odrobiną wyższości, nalał wody do czajnika elektrycznego i wyjął z kredensu dwa niebieskie kubki. Gdy stawiał je na stole, zauważyłam, że drżą mu ręce.

– Mam parkinsona – wyjaśnił zaczepnym tonem. – Jeszcze nie jest tak źle, żebym jeździł na wózku, w tym wam skłamałem, ale do dłuższych podróży już się nie nadaję. W porządku?

– W porządku – przyznałam.

Mruknął coś niewyraźnie, jakby rozczarowany, że tak łatwo pogodziłam się z jego kłamstwem. Zaparzył herbatę, wyjął paczkę papierosów i podsunął mi ją pod nos. Wzięłam jednego, choć nie przepadałam za ekstra mocnymi. Nie chciałam wyjść na zadzierającą nosa babkę z miasta, która nie pije i nie pali.

– Przykro mi z powodu pana choroby – powiedziałam, a mój rozmówca wzruszył ramionami i przyjrzał się swoim dłoniom, jakby widział je po raz pierwszy w życiu. Kiedyś musiał być silnym mężczyzną i cień tej siły wciąż dało się zauważyć: Tkaczuk był teraz skurczony, ale żyłasty, spalony słońcem, z węzłami mięśni pod pomarszczoną skórą ramion. Miał co najmniej sześćdziesiąt pięć lat, jeśli nie więcej.

– Życie – wymamrotał, po czym zmienił temat: – Żonę z synem do kina do Zakopanego wysłałem, żeby nam nie przeszkadzali. Mamy czas do czwartej. To co pani chce wiedzieć?

– Wszystko o tamtym porwaniu.

Skrzywił się.

– To nie było porwanie. Znaczący my na to tak wtedy nie patrzyliśmy. Ot, niepilnowany dzieciak wyszedł w nocy i się utopił. Tragedia, pewnie, ale nic takiego, co by się wcześniej nie zdarzało. No, może o tyle dziwne, że w Czarnym Stawie Gąsienicowym jednak mało kto się topi. I ten dzieciak spory kawałek sam musiał przejść, tak sobie wtedy myśleliśmy. Ale żeby go ktoś porwał, jakoś nie

przyszło nam do głowy. Dlatego jak w styczniu odezwał się ten człowiek, jak mu tam... Kruk?

– Rafał Wrona.

– Taaa, wiedziałem, że coś od ptaka. Jak zadzwonił, że znaleźli chłopaka i ojciec go rozpoznał, że to ten sam, co u nas w stawie ponoć się utopił, to prawie na zawał zszedłem. Tyle lat, kurwa, nienagannej pracy, pochwałę dostałem, medal nawet, a tu takie coś.

– Nikt pana nie wini.

– Jak cholera nie. Ten cały Wrona patrzył na mnie jak na coś, co owca wysrała. Uprzejmy był, a jakże, trochę jak pani, wódki nie, zakłąć nie, ale widziałem w jego oczach, że gdybyśmy się w osiemdziesiątym siódmym bardziej postarali, tobyśmy mogli chłopaka ocalić. A teraz ten dzieciak nie żyje, tak? – Tkaczuk najwyraźniej nie słyszał jeszcze najnowszych wiadomości.

– Żyje, ale cała jego rodzina została zamordowana. Ojciec, matka i dwie małe siostry.

– O kurwa. I myślicie, że on to zrobił?

– Nie, ale możliwe, że to morderstwo jest jakoś powiązane z porwaniem.

– Niby jak? Kobieta, która zabrała dzieciaka, też już przecież nie żyje. On ją załatwił.

– Wiem, ale sprawdzamy różne możliwości. Po prostu niech pan opowie, jak to wyglądało. Dziecko zniknęło z obozu studenckiego, tak?

– Właściwie to nie. – Westchnął, gdy spojrzałam na niego pytająco. – Oni wszyscy mieszkali wtedy na polu namiotowym w Zakopanem.

– Wszyscy, czyli kto?

– Studenci z Klubu Wysokogórskiego. Ze trzydzieści osób tam było, jak nie więcej. Ale tamtego dnia, czyli dwudziestego siódmego lipca, tylko osiem wybrało się na Halę Gąsienicową.

– Pamięta pan nazwiska?

– Teraz, droga pani, to ja już pamiętam każdy szczegół tej cholernej sprawy. Zapisze sobie pani?

Wyjęłam notes, choć miałam przecucie, że ja tych nazwisk też nie zapomnę.

– Leopold Rataj, Mariola Kowalska, Jan Kulak, siostry Róża i Kalina Jaworskie, Krystian Aleksandrowicz z żoną i synem, czyli Kubą.

– Zabrali w góry pięcioletnie dziecko?

Zgasił papierosa i znów się skrzywił. Zastanawiałam się już, czy to nie jest tik nerwowy, być może związany z chorobą, ale chyba nie. Tkaczuk sprawiał wrażenie, jakby każdy szczegół śledztwa sprzed lat sprawiał mu fizyczny wręcz ból.

– To nie jest trudna trasa, a mały był przyzwyczajony do długich spacerów. No, w każdym razie jak wyszli koło południa, tak w schronisku znaleźli się przed piętnastą. Zjedli obiad i poszli nad staw. Od Murowańca to pół godziny, z dzieciakiem może ze czterdzieści minut, prawie po prostej. Posiedzieli nad wodą i chcieli już się zbierać z powrotem, a tu dupa, dzieciak zgubił zabawkę, jakiegoś misia, zajączka czy szlag wie co. Szukali tej maskotki, ale bezskutecznie i wrócili do schroniska już prawie po ciemku. Zjedli kolację, wypili trochę piwa i poszli spać. Wszyscy w jednym pokoju. A mały wymknął się nad ranem odzyskać zabawkę, wpadł do wody i koniec. Przynajmniej wtedy wszyscy żeśmy tak myśleli. Pół schroniska słyszało, jak dzieciak marudził, że musi koniecznie wrócić nad staw, bo króliczek tam został i jest mu smutno. A nad ranem jedna kobita, która wstała, bo cisnął ją pęcherz, widziała przez okno dziecko samotnie idące drogą od Murowańca.

– Nie zaniepokoiło ją to?

Wzruszył ramionami.

– Mówiła, że nie: dochodziła piąta, robiło się jasno, o tej porze ludzie wybierali się już na szlak. Zresztą co będę gadać, pokażę pani jej zeznanie.

Zniknął w głębi domu i wrócił po chwili z poźółkłą od starości teczką. Była cienka, co dobitnie świadczyło o tym, jak szybko zamknięto śledztwo. Zrobiło mi się żal Kuby. Tkaczuk niewątpliwie miał powody, by uważać, że dziecko uległo po prostu tragicznemu wypadkowi, ale Rafał Wrona w jednym się nie mylił: gdyby dwanaście lat temu zakopiańska milicja przyłożyła się do pracy, Kubę można by ocalić.

– Pani sobie poczyta – burknął. – Pożyczyłem tę teczkę w styczniu, jak Wrona miał przyjechać, i jakoś tak się złożyło, że nie oddałem. Zresztą nikt się o nią nie upominał.

Przerzucałam kartki, na których zostały plamy po kawie, a maszynowa czcionka z czasem zbladła do męczącej oczy szarości. W zeznaniach szóstki studentów powtarzał się ten sam motyw poczucia winy: nie szukaliśmy króliczka Kacpra wystarczająco długo, nie słuchaliśmy Kuby, kiedy mówił, że sam go pójdzie znaleźć, wypiliśmy do kolacji parę piw i zasnęliśmy mocnym snem. Ze słów rodziców przebijała nawet nie tyle rozpacz, ile czyste oszołomienie, straszna prawda najwyraźniej jeszcze do nich nie dotarła.

Nie rozumiem, jak to się mogło stać, powinnam była się obudzić, po prostu nie rozumiem – to Lucyna Aleksandrowicz, z domu Pietrzak.

Kuba jest bardzo upartym i samodzielnym dzieckiem, mógł zejść nawet do Zakopanego, musicie go szukać – to z kolei Krystian, wciąż pełen nadziei, zetlałej po latach jak strzępy leżących na strychu starych ubrań. Powoli zaczynałam nabierać ochoty, żeby jednak napić się tej wódki.

Przerzuciłam kartki aż do końca, do zeznania Elżbiety Sączek, lat dwadzieścia trzy, studentki ostatniego roku bibliotekoznawstwa.

Wstałam rano, żeby skorzystać z toalety, i kiedy wracałam, wyjrzałam przez okno. Zobaczyłam wtedy małego chłopca, który wyszedł z za rogu budynku i poszedł w stronę Czarnego Stawu Gąsienicowego. Miał na sobie koszulkę i niebieskie spodnie od dresu. Wydawał się trochę zbyt lekko ubrany jak na tak wczesną porę, ale nie wpadłam na to, że może być sam. Uznałam, że jego rodzice są jeszcze w schronisku i pakują ostatnie rzeczy przed wyruszeniem na szlak, a mały, jak to dziecko, wybiegł na zewnątrz, bo się nudził. Myślałam, że za chwilę wyjdą i do niego dołączą.

Potrafiłam ją zrozumieć. Dziewczyna chciała wracać do ciepłego łóżka, by przespać się jeszcze trochę przed porannym wyjściem w góry. Nie w głowie jej było bieganie za obcym pięcioletkiem czy budzenie ludzi w schronisku i szukanie jego rodziców. Dlatego nawet jeśli miała jakieś wątpliwości, to zepchnęła je tak głęboko, że sama już nie zdawała sobie z nich sprawy. Znalazła wygodne, prawdopodobne wyjaśnienie niepokojącej sceny i kurczowo się go trzymała. Wszyscy to od czasu do czasu robimy. Tłumaczymy sobie, że rozlegający się w nocy krzyk to marczący kot sąsiadów albo że sąsiadka ma podbite oko, ponieważ wpadła na drzwi. I w wielu przypadkach mamy rację. Krzyk jest tylko wrzaskiem kota, a siniak efektem nieszczęśliwego wypadku. Czasami jednak się mylimy – tak jak Elżbieta Sączek tamtego dnia. Mały Kuba wyszedł ze schroniska

całkiem sam i spotkał na swojej drodze potwora, jednego z tych, o których wiele lat później mówił, siedząc na szpitalnym łóżku.

Było mi żal tego dziecka, jego rodziców, ich przyjaciół, którzy chcieli tylko wybrać się w góry, spędzić trochę czasu nad pięknym stawem i napić się piwa. Było mi żal Elżbiety, która przez ostatnie dwanaście lat musiała zadawać sobie pytanie, co by to zmieniło, gdyby tamtego ranka zbiegła na dół i zatrzymała chłopca. I siedzącego przede mną Tkaczuka też było mi żal. Chyba na starość zaczynałam robić się miękka. A może to śmierć Karlika tak mnie rozkleiła? Nie miałam pojęcia.

– Pożyczę tę teczkę, skseruję dokumenty, a potem panu oddam, może być?

Przytaknął obojętnie. Papieros w jego dłoni parzył już skórę, mężczyzna zgasił więc niedopałek i sięgnął po następnego. Nie zapalił go jednak, tylko obracał w palcach z ponurą, zaciętą miną.

– Wezwaliśmy nurków i sprawdziliśmy staw, ale to prawie osiemnaście hektarów, czasem głębokich na pół kilometra. Nie dało się wszędzie zajrzeć. Ale i tak, kurwa, prawie tydzień tam szukaliśmy. I w przepaściach też, razem z TOPR-em, wszędzie, gdzie tylko ten mały mógł dojść. W końcu daliśmy spokój, Tatry to Tatry, czasem ktoś tam znika bez śladu. Takie życie.

Skinęłam głową, myśląc o Romku, który zniknął w drodze na Zawrat trzydzieści sześć lat temu. Mój brat był dorosłym mężczyzną, nie dzieckiem, ale dorośli też padają ofiarami potworów.

Takie życie.

Odsunęłam od siebie na razie myśli o Romku i skupiłam się na sprawie Kuby.

– A porywaczka? – zapytałam. – Stanisława Wajda? Nie podejrzewaliście jej?

– W ogóle, kurwa, nie wiedziałem, że ktoś taki istnieje. Pracowała w schronisku i zniknęła w ten sam dzień. Normalnie to by było w cholerę podejrzane, że tu ginie dzieciak, a tu kobita, ale ona nie pierwszy raz taki numer wykręciła. Miała jakieś problemy, coś nie tak z głową, a szefowa ją lubiła i zawsze kryła.

– I tej szefowej nie przyszło do głowy, że jedno może mieć coś wspólnego z drugim?

Skrzywił się i zapalił wreszcie papierosa.

– No najwyraźniej nie.

Następna, która znalazła dogodne wyjaśnienie, pomyślałam. Miałam wrażenie, że Kubę zawiedli wszyscy: policja, potencjalni świadkowie, nawet rodzice. Tak mało brakowało, żeby wszystko skończyło się na strachu, jednej z tych historii opowiadanych potem przez długie lata przy okazji urodzin czy innych rodzinnych imprez. *Pamiętasz, jak Kuba wyszedł sam ze schroniska, a my musieliśmy biec za nim na bosaka?* Śmiech gości, nastolatek zaczerwieniony ze wstydu, że rodzice znów wyciągają tę starą opowieść. Albo inaczej: Kuba w ostatniej chwili wyrwany z rąk porywaczki, historia już nie zabawna, tylko z dreszczykiem, dobra do podrywania dziewczyn. *Kiedy byłem dzieckiem, zostałem uprowadzony, serio. Ta kobieta miała źle w głowie, ale na szczęście ją złapali.*

Tak mało.

Spojrzałam na Tkaczuka i zobaczyłam w jego oczach, że on także o tym wie. Odwrócił się w stronę okna.

– Nie było żadnych powodów, żeby podejrzewać porwanie – powtórzył uparcie.

– Rozumiem. – Spodziewał się pewnie kolejnego „W porządku”, ale tym razem nie ja go powinnam rozgrzeszać. Spojrzałam na zegarek. Dochodziła piętnasta, żona Tkaczuka pewnie wróci za godzinę.

– Mam jeszcze jedno pytanie.

– O tym chłopaku to ja już wszystko pani powiedziałem. Jak pani chce więcej, niech pani pyta Wronę.

– Nie chodzi o chłopaka, tylko o inną sprawę, z 1963 roku. Pan pracował już wtedy w milicji?

Spojrzał na mnie zaskoczony i jednocześnie chyba z ulgą, że zmieniłam wreszcie temat.

– Tak, zacząłem w sześćdziesiątym.

– A pamięta pan może sprawę pięciorga młodych ludzi, którzy poszli na Zawrat? Trzech znaleziono martwych, jeden wrócił, a jeden zaginął bez wieści?

– Pewnie, że tak.

– Ten zaginiony był moim bratem.

Obserwowałam, jak zdziwienie w jego oczach zmienia się w zrozumienie. Wreszcie wybuchnął śmiechem i wcześniejsza zaciętość zniknęła z jego twarzy jak starta gąbką.

– Boże, przecież ja panią znam! Nie pamięta pani?

– Nie bardzo – przyznałam. Po zniknięciu Romka często bywałam w Zakopanem, głównie z rodzicami, ale parę razy też sama, i rozmawiałam z mnóstwem ludzi.

– Zmieniła się pani.

Jasne, że się zmieniłam. W 1963 roku miałam trzydzieści sześć lat mniej i dziesięć kilo więcej.

– Zaczepiła mnie pani, jak z Maryską w parku lody jedliśmy – zachichotał. – Chciała pani rozmawiać o tej sprawie i nijak się nie dało pani spławić. Żona mi potem zmyła głowę, że jakieś małolaty za mną latają.

Dopiero teraz sobie przypomniałam. Tkaczuk był wtedy wyższy, albo taki przynajmniej mi się wydawał, i całkiem przystojny. Jego żonę też chyba pamiętałam – krągła brunetka w sukience w kwiatki i chustce, którą nosiła jak wiejska dziewczyna.

Uśmiechnęłam się.

– Pamiętam.

– No, skoro jesteśmy starymi znajomymi, to koniecznie już musimy się napić.

Skinęłam głową, myśląc, że jeden kieliszek nie zaszkodzi, a od drugiego się wykręcę.

Atmosfera zrobiła się zdecydowanie swobodniejsza. W roku 1963 Tkaczuk ledwo awansował na starszego szeregowca i jeśli ktoś spieprzył śledztwo w sprawie zniknięcia mojego brata, to z pewnością nie on. Dlatego nie miał oporów, żeby wspominać ze mną dawne czasy. Piliśmy, paliliśmy i rozmawialiśmy, aż wróciła żona gospodarza i oznajmiłam, że muszę się zbierać.

Było całkiem miło, ale niczego nowego się nie dowiedziałam.

*

Leszek Kuleba golił się, pogwizdując przed lustrem. Od rana był w dobrym humorze. Nie doskonałym – w takim być nie mógł, biorąc pod uwagę, że wciąż kiepsko sypiał, a kiedy zamykał oczy, nadal zdarzało mu się widzieć krew na podłodze leśniczówki – ale całkiem niezłym. Przeznaczenie działa w dziwny sposób, myślał, klepując w twarz krem po goleniu. Kto powiedział, że największy

koszmar nie może stać się początkiem czegoś pięknego? Jeśli Bóg zdecydował się postawić go tamtego dnia na drodze Róży Jaworskiej, niewątpliwie zrobił to w jakimś celu. Żebym się nią zaopiekował, pomyślał, w tej najczarniejszej godzinie jej życia. Większość mężczyzn stchórzyłaby przed takim wyzwaniem, ale on był gotów stawić mu czoła.

Odkąd pamiętał, zawsze różnił się od innych. W dzieciństwie, jako nieśmiały chłopiec z nadwagą, i potem, gdy wyrósł na równie nieśmiałego, choć szczuplejszego nastolatka. Jego koledzy robili głupstwo za głupstwem, chodzili na imprezy i podrywali dziewczyny – on dobrze się uczył, każdej niedzieli towarzyszył mamie w kościele i marzył, że kiedyś pozna kobietę, z którą spędzi resztę życia. Nie interesowały go przelotne związki, tylko małżeństwo, jednak gdy zwierzył się z tego ładnej koleżance, ta go wyśmiała. Wtedy Leszek stał się jeszcze bardziej wycofany. Dobrze radził sobie z liczbami i z czasem odkrył, że jest świetnym akwizytorem – o zaletach leków na kaszel i gorączkę opowiadał tak przekonująco, że mało który aptekarz potrafił mu się oprzeć – ale z kobietami jakoś mu nie wychodziło. Jedyny poważniejszy związek Kuleby rozpadł się, kiedy narzeczona rzuciła go dla innego mężczyzny: młodszego, przystojniejszego i bogatszego. I takiego, który prawdopodobnie nie miał oporów, by pójść z nią do łóżka jeszcze przed ślubem. Leszek bardzo to odchorował. Przez parę miesięcy nawet myślał, że czeka go los samotnego starego kawalera, piekącego ciasta i od czasu do czasu umawiającego się na pogawędkę ze starszą sąsiadką, w pewnym sensie zastępującą mu zmarłą matkę. Z czasem jednak obudziła się w nim nieśmiała nadzieja, podsycana intensywnie przez starą panią Rutecką, że gdzieś tam czeka na niego odpowiednia partnerka. Nie pewna siebie dziewczyna w krótkiej spódniczce – takie budziły w Leszku odruchową niechęć – tylko ciepła, miła kobieta o tradycyjnych poglądach. Bo Kuleba należał do tradycjonalistów: mężczyzna mógł piec ciasta, gotować i czasem nawet sprzątać (Leszek lubił wszystkie te trzy zajęcia), ale to on był głową rodziny i on powinien stanowić dla żony opokę. Kobieta mogła pracować, lecz tak naprawdę realizowała się dopiero w domu, wychowując dzieci i dbając o męża. Tak działała natura i pokrzykiwania feministek nic tu nie zmieniały.

Włożył świeżą białą koszulę, spryskał się wodą kolońską i zawiązał krawat. Wyglądał elegancko, ale czy nie zbyt elegancko? Czy garnitur to odpowiedni strój na zwykłą wyprawę do kina? Nie miał pojęcia. Tak rzadko bywał na randkach.

Zmarszczył brwi, czując przyływ niepewności, tej samej, która dręczyła go w samochodzie tamtego ranka, gdy zmierzali w stronę Pogańskiego Młyna. Odetchnął, przepędzając z głowy wątpliwości. Ponieważ Róża była słaba, on musiał być silny. Już zresztą czuł, że pod wpływem tej znajomości zdążył się zmienić. Jeszcze kilka tygodni temu przed takim spotkaniem pociłby się i denerwował, a teraz proszę, patrzył w oczy swojemu odbiciu, spokojny i opanowany.

Ostatecznie zdecydował się pójść tylko w koszuli – w marynarce i tak byłoby mu za gorąco. Zdecydował też, że po drodze kupi bukiet kwiatów. Róże dla Róży. Spodobał mu się ten pomysł.

Gdy zbiegał po schodach z drugiego piętra, znowu zaczął pogwizdywać.

*

Odwiedziłam jeszcze komendę powiatową w Zakopanem, a potem zjadłam obiad, zostawiłam samochód niedaleko dworca i busikiem udałam się do Kuźnic. Stamtąd powędrowałam przez Skupniów Uplaz w stronę Murowańca. Nie pamiętałam, czy kiedykolwiek szłam tą drogą. Możliwe, że tak, byłam przecież wcześniej na Hali Gąsienicowej, mogłam jednak równie dobrze dotrzeć tam innym szlakiem. Tak wiele wspomnień sprzed lat mi umknęło.

Z podręczną torbą zamiast plecaka i w płaskich butach nie wyglądałam na turystkę i mijający mnie ludzie popatrywali ze zdziwieniem, nie zamierzałam jednak się tym przejmować. Zachodzące słońce nabrało już ciepłej, zaokrąglonej barwy bursztynu, pomiędzy drzewami unosiły się podświetlone na złoto pajęcznice. W coraz chłodniejszym powietrzu zapachy stawały się bardziej intensywne, a dźwięki głośniejsze, jakby nadciągający zmrok wyostrzał zmysły. Na początku myślałam o moim bracie, który szedł tą drogą w 1963 roku, i o Kubie, który przebył ją dwadzieścia cztery lata później. A także o Karliku, który oddałby wszystkie górskie wycieczki w zamian za dzień leżenia na tapczanie i oglądania *Bezludnej wyspy*.

Potem nie myślałam już o niczym, po prostu skupiałam się na tym, by dojść do schroniska, zanim zapadnie ciemność. Nie jestem fanką sportów i z pewnością nie odżywiam się zdrowo, a mimo to jak na swój wiek mam całkiem niezłą kondycję – ot, jeden ze szczęśliwych trafów w genetycznej loterii. Dlatego gęstniejącym wokół

mrokiem zaczęłam się martwić, dopiero gdy przestałam widzieć oznaczenia szlaku. Zwolniłam, wreszcie całkiem się zatrzymałam, łapiąc oddech, w skroniach miarowo dudniły uderzenia pulsu. Las został daleko za moimi plecami i już od dłuższego czasu szłam przez rozległy płaskowyż. Poprzednio kamieniste zbocze miałam po prawej, a przepaść po lewej, teraz odwrotnie, po prawej stronie stok opadał gwałtownie w dół, a po lewej wznosił się ciemny masyw skał. Poczułam ukłucie niepokoju: czy po drodze nie skręciłam gdzieś, gdzie nie powinnam? Przy okazji zorientowałam się też, że od ponad pół godziny nikogo nie mijałam, a ci, których widziałam wcześniej, szli w dół, nie w górę.

Odetchnęłam. Dochodziła dwudziesta trzydzieści, więc jeśli nie zesłam ze szlaku, schronisko powinno być niedaleko.

Żałując, że nie wpadłam na coś tak prostego jak zabranie latarki, ruszyłam dalej mającą w ciemności szarą przecinką drogi. Za mną potoczył się drobny kamyk trącony ludzką stopą, a może tylko wiatrem – pomyślałam w tym momencie o martwej sarnie niedaleko leśniczówki i o tym, co ją zabiło. Kto ją zabił.

Górskie powietrze z każdą chwilą wydawało się ostrzejsze i uderzało do głowy lepiej niż wódka. Miałam wrażenie, że jestem pijana – od wspomnień, krążącej w żyłach adrenaliny i ciszy, do której nie byłam przyzwyczajona. Skończyła się przepaść i szlak wiódł teraz między drzewami. Ich kontury odcinały się czernią od nieba z każdą chwilą przybierającego coraz głębszy odcień burzowego granatu. Mrok zgęstniał już tak bardzo, że z trudem dostrzegałam własną wyciągniętą rękę. Wiedziałam, że na otwartej przestrzeni widoczność będzie lepsza, ale chwilowo nieszczególnie mnie to pocieszało. Szłam naprzód, potykając się, i na wpeł z humorem, na wpeł już poważnie rozważałam, czy stanę się kolejną ofiarą gór, gdy nagle droga zaczęła opadać. Strach chwycił mnie za gardło. Przecież powinnam iść w górę, nie w dół, prawda? Zastanawiałam się, czy nie zawrócić, ale nie pamiętałam, żebym po drodze mijała jakieś rozgałęzienie. Tyle że mogłam je po prostu przegapić. Szlag. Stałam przez moment bezradnie, łapiąc oddech, a potem, ponieważ żadnego innego pomysłu nie miałam, powędrowałam przed siebie, licząc kroki. Po dwudziestym szlak wyprowadził mnie na rozległą halę, na której w ciemności majaczyły zarysy pasterskich szałasów. Odetchnęłam z ulgą.

Byłam prawie na miejscu.

W sali jadalnej powitało mnie kilkanaście zdziwionych spojrzeń – o tej porze w schronisku przebywali już tylko ci, którzy tu nocowali. Ignorując je, zjadłam kolację, a potem wykupiłam nocleg. Miałam więcej szczęścia niż rozumu, bo w jednym z pokoi znalazło się jeszcze wolne miejsce, inaczej musiałabym spać na podłodze.

Z podręcznej torby wyjęłam kosmetyczkę, zapasową koszulę i ręcznik. We wspólnej łazience wzięłam szybki prysznic, po czym wsunęłam się pod koc. W pokoju oprócz mnie nie było jeszcze nikogo, choć wokół pozostałych łóżek leżały już plecaki. Zamknęłam oczy i słuchałam dobiegających z dołu dźwięków gitary. Ktoś śpiewał całkiem ładnym głosem *Jestem z miasta*. Młodzi ludzie, może studenci, tak jak mój brat i paczka jego przyjaciół. Czy Romek, wyjeżdżając, zabrał ze sobą gitarę? Czy tak właśnie spędził swoją ostatnią noc przed zaginięciem? Bo przecież spędził ją tutaj, właśnie w Murowańcu. Z jakiegoś powodu wydawało mi się to bardzo ważne, ale potem wszystko zabrała ciemność. Nie zauważyłam nawet, kiedy moi współlokatorzy przyszli do pokoju, a gdy rano otworzyłam oczy, znowu byłam sama.

*

30 sierpnia 1999 roku

Obudziłam się po dziewiątej z uczuciem, że po raz pierwszy od wielu dni naprawdę się wyspałam. Ponieważ jednak i tak byłam już mocno spóźniona, umyłam się pospiesznie i założyłam wczorajsze ubranie. Zeszłam na dół, zjadłam na śniadanie porcję jajecznicy, drogiej, jakby zrobiono ją ze złota, a potem podeszłam do dziewczyny przyjmującej zamówienia na posiłki i pokazałam jej legitymację. Podskoczyła, jakby ktoś ukłuł ją szpilką, i wybałuszyła na mnie oczy. Zapytałam, czy pracuje tu Grażyna Kowalik. Wciąż trwała moja dobra passa, bo dziewczyna skinęła głową.

– W takim razie proszę jej przekazać, że chcę z nią porozmawiać. Będę czekała na zewnątrz.

Zabrałam niedopitą herbatę i wyszłam z nią przed schronisko. Nad moją głową przetaczały się szare chmury z brzegami płonącymi złotem rozlanego po niebie słońca, które miało dziś dziwnie nienaturalną, chemiczną barwę. W powietrzu wisiała duchota zwiastująca nadciągającą burzę. Siedząca przy jednym ze stołów

para turystów sprzeczała się, czy warto ryzykować wejście na Kościelec czy jednak nie. Nie wiem, kto ostatecznie wygrał, bo właśnie przysiadła się do mnie kobieta w średnim wieku, z mysimi włosami i śladem szminki na cienkich ustach.

– Grażyna Kowalik – przedstawiła się z nieufną miną. – Podobno chciała pani ze mną rozmawiać.

– Tak. Pani pracowała tu dwanaście lat temu, kiedy zaginął Kuba Aleksandrowicz, prawda?

– Pracowałam. Ale o tamtej sprawie powiedziałam już, co wiem. Był tu taki jeden i o wszystko wypytywał.

– Znakomicie, a teraz powtórzy pani to wszystko mnie.

Mierzyłyśmy się spojrzeniami, aż wreszcie kobieta westchnęła ciężko, wyraźnie zrezygnowana.

– Tego chłopca to ja nawet na oczy nie widziałam – mruknęła. – Tyle osób tu się przewija, że nie sposób wszystkich spamiętać. Ale znałam Staśkę, tę, która go porwała.

– I ukryła pani przed milicją, że Stanisława Wajda zniknęła tamtego dnia ze schroniska.

Skinęła niechętnie głową.

– No, ukryłam. Wtedy wydawało mi się, że dobrze robię. Wszyscy zresztą mówili, że ten chłopak utopił się w stawie, to jak miałam się domyślić, że Staśka go zabrała?

– Dobrze ją pani znała?

– Tak i nie. Żal mi jej było, bo to taka bida. Bez żadnej bliższej rodziny, brzydka jak nieszczęście, no i jeszcze coś z głową miała nie tak. Mój kuzyn też choruje na głowę i wiem, jak to jest. Jak inni traktują takich ludzi. A to porządna kobieta była.

– Zawahała się, trochę przepraszająca, a trochę wyzywająca, jakby nie do końca zdecydowała, czy wypada jej bronić swojej decyzji sprzed dwunastu lat. – Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Trzymała się z boku, ale pracowała dobrze i szybko. I jak się z nią porozmawiało, to potrafiła być sympatyczna, bystra nawet, a przecież ona ledwo podstawówkę miała skończoną. Tylko że czasem zdarzały się jej te „epizody”. Tak na nie mówiła.

– Na czym one polegały?

– Stasia bała się milicji, urzędników, lekarzy, ogólnie ludzi przy władzy. Nie ufała im, mówiła, że oni udają, że chcą pomóc, a tak naprawdę tylko krzywdzą. Uważała, że chcą ją zamknąć z powrotem w szpitalu. Raz, jak przyszedł do nas żołnierz ze Straży Granicznej w mundurze, schowała się przed nim w toalecie dla personelu i nie chciała wyjść przez dobre dwie godziny. Za drugim razem, kiedy zniknęła bez uprzedzenia, zadzwoniłam do domu jej ciotki w Zakopanem, u której nocowała, jak miała wolne, i poprosiłam ją do telefonu. Powiedziała mi wtedy, że musiała uciec, bo ktoś przyglądał jej się przez okno. Ale wróciła dzień później, już całkiem spokojna, i zachowywała się normalnie. Kiedy nie przyszła tamtego dnia do pracy i nie było jej w pokoju, to najpierw pomyślałam sobie, że zwyczajnie wyszła na spacer i gdzieś zamarudziła. Bo ona lubiła wychodzić wcześniej rano – nie na żadne górskie wyprawy, tylko tak, żeby się przejść, zanim wszyscy wstaną i trzeba będzie się brać do pracy. Dopiero potem zaczęłam się odrobinę martwić, ale wtedy z kolei przyszło mi do głowy, że może jak wracała, to zobaczyła tych wszystkich milicjantów i się wystraszyła. Chciałam dać jej trochę czasu, dlatego do ciotki zadzwoniłam dopiero koło południa.

– I co?

Wzruszyła ramionami.

– Nikt nie odbierał, ale dalej za bardzo się nie martwiłam. Myślałam, że wróci, jak zawsze wracała. A pod wieczór ona zadzwoniła. Bardzo mnie przeproszała i powiedziała, że poznała jakiegoś mężczyznę, wyjeżdża z nim i musi zrezygnować z pracy.

– Poznała kogoś? Nie zdziwiło to panią?

– Trochę tak. Staśka to brzydula była, mówiłam. Ale właśnie dlatego pomyślałam sobie, że może jakiemuś kawalerowi spodobała się nie tyle ona, ile jej dom. Bo ona dom miała po dziadkach, gdzieś koło Żywca. Zwykła wiejska chałupa, nic wielkiego, ale niektórym to wystarczy. Czasami opowiadała mi, że jak uzbiera trochę pieniędzy, to ją wyremontuje i tam zamieszka.

A więc Grażyna Kowalik wiedziała nawet o domu w okolicy Żywca. Znowu dopadło mnie męczące uczucie, że Kuba Aleksandrowicz o włos minął się ze swoją szansą na szczęśliwe zakończenie.

– Wtedy już zaczęłam bardziej się martwić – ciągnęła Grażyna – bo wyobrażałam sobie, że to jakiś pijaczek, który będzie ją tylko bił i pieniądze

wyciągał. Staśka pod pewnymi względami była naiwna jak dziecko, urzędnikom nie ufała za grosz, za to innym ludziom aż za bardzo. Każdy mógł ją łatwo zbałamucić, zwłaszcza jeśli zaczynał opowiadać o swoim nieszczęśliwym dzieciństwie. No ale nie chciałam pchać nosa w nie swoje sprawy, dlatego dałam spokój. Zapytałam tylko, co mam zrobić z jej rzeczami, a ona powiedziała, że mogę je rozdać, bo kupi sobie nowe. Niewiele tego zresztą było: dwie sukienki, buty na zmianę, trochę kosmetyków. Z pół roku później, jak akurat przechodziłam obok domu jej ciotki, to weszłam do ogrodu. Zamierzałam zapytać o Staśkę, ale sąsiadka mi powiedziała, że starsza pani zmarła dwa miesiące temu. Więcej nie wiem. O Stasi nawet za bardzo nie myślałam przez te wszystkie lata. Nie byłyśmy żadnymi wielkimi przyjaciółkami. O tym chłopcu też nie. Jak się pracuje w górach, to człowiek często słyszy o różnych tragediach. To prawda, że on jako jedyny ocalał ze strasznej masakry?

– Nie powinna pani wierzyć wszystkiemu, co piszą dziennikarze – pouczyłam ją, po czym zmieniłam temat, zanim zaczęła zadawać pytania: – Ta ciotka była jedyną krewną Stanisławy?

– Z tego, co wiem, to tak. Staśka kiedyś miała męża, ale krótko, bo zaraz się z nią rozwiódł. Podobno dlatego, że nie mogła mieć dzieci.

I nawet to nie dało ci do myślenia, że ta kobieta mogłaby porwać małego chłopca? – pomyślałam, ale nie powiedziałam tego na głos. Obarczanie Kowalik dodatkową porcją poczucia winy nikomu by nie pomogło.

– Czy jest tu jeszcze ktoś oprócz pani, kto pracował w tym schronisku dwanaście lat temu? – zapytałam.

Uśmiechnęła się z wyższością.

– Nie, tylko ja zostałam. Tutaj ludzie nie wytrzymują długo. Młodym się wydaje, że praca w schronisku jest jak wakacje, ale szybko im przechodzi. U nas się pracuje na zmiany: trochę tu, a potem trochę wolnego na dole. Tyle że jak jesteśmy tutaj, to robimy cały dzień od świtu aż do wieczora. Gotujemy, sprzątamy po gościach, ścielimy łóżka, wydajemy posiłki i gorącą wodę. Jak ktoś chciałby wyskoczyć sobie w góry, to najwcześniej po osiemnastej, a wtedy większość nie ma już siły. I nie da się pójść do kina, teatru czy dyskoteki. Można najwyżej wyjść przed schronisko i pić piwo. Dlatego ludzie szybko się nudzą.

– Pani się nie znudziła?

– Jakoś przywykłam. – Wzruszyła ramionami. – Tym bardziej że dzieci ani rodziny nie mam. Może dlatego tak dobrze rozumialiśmy się ze Stasią. Myślałam, że ona też tu pasuje, że będzie pracowała równie długo jak ja. No ale Bóg nie dał, szkoda – westchnęła, zupełnie jakby Stanisława zmarła na jakąś chorobę, a nie została zamordowana przez chłopca, którego porwała i przetrzymywała w piwnicy.

– Trzydzieści sześć lat temu też pani tu pracowała?

Zamrugnęła, nagle urażona.

– Trzydzieści sześć lat temu to ja do szkoły jeszcze chodziłam.

Czyli Grażyna Kowalik była młodsza, niż wyglądała. Przeprosiłam ją, po czym zapytałam o drogę do Czarnego Stawu Gąsienicowego.

– Teraz pani chce tam iść? – zapytała z niedowierzaniem. – Zaraz będzie lało.

Spojrzałam w niebo. Chmury rozproszyły się, słońce straciło niepokojącą neonową barwę. Nawet powietrze wydawało się odrobinę lżejsze.

– Zaryzykuję.

Wzruszyła ramionami i pokazała mi kierunek. Byłam wcześniej w Murowańcu, jednak nad Czarny Staw Gąsienicowy nigdy nie dotarłam. A teraz chciałam sprawdzić, czy tę trasę dałby radę przebyć pięcioletni chłopiec.

Wyłożona dużymi szarymi kamieniami droga faktycznie okazała się dość łatwa. Biegła raczej płasko, po jednej stronie wyrastał najeżony ostrymi skałami stok, po drugiej otwierała się porośnięta trawą, w niektórych miejscach całkiem stroma przepaść. Pięciolatek pewnie by sobie poradził, zwłaszcza jeśli był uparty i zdeterminowany. I jeśli nie miał lęku wysokości.

Pogrążona w myślach, dopiero po chwili zarejestrowałam, że po raz trzeci już tego dnia słyszę za plecami dźwięk spadającego kamyka. Wczoraj mógł to być wiatr, dziś byłam pewna, że ktoś za mną idzie. Przystanęłam, przekonana, że za moment minie mnie grupka rozbawionych turystów, ale nie – droga wydawała się całkiem pusta, w ciszy słyszałam tylko szum płynącego dołem strumyka i dalekie pokrzykiwanie ptaków. Ruszyłam dalej. Jeśli ktoś szedł za mną, to mógł się mocno zdziwić.

Dotarłam nad staw w dwadzieścia pięć minut, co oznaczało chyba całkiem niezły wynik dla kobiety w moim wieku. Woda miała intensywnie niebieski kolor, podkreślony jeszcze zielenią trawy i bielą skał, jak rzucone w środek gór wielkie błękitne oko. Wokół powinno być mnóstwo turystów, ale z jakiegoś powodu byłam

sama. Może dlatego, że coraz silniejsze podmuchy wiatru marszczyły powierzchnię stawu, a niedaleko rozległ się pierwszy pomruk nadciągającej burzy. Może turyści po prostu okazali się mądrzejsi niż ja. Dzięki temu jednak mogłam przez chwilę poczuć tę przytłaczającą, piękną i jednocześnie posępną samotność, jaką musiałby odczuwać chłopiec stojący sam jeden nad brzegiem o szóstej rano. Pod warunkiem oczywiście, że w ogóle tu dotarł, bo porywaczka równie dobrze mogła dopaść go znacznie wcześniej.

Znowu zagrzmiało, tym razem bliżej. Powinam wracać, pomyślałam.

– Powinna pani wracać – powiedział głos za moimi plecami.

Odwróciłam się. Mężczyzna, który tak idealnie zawtórował moim myślom, był szczupły, średniego wzrostu i w średnim wieku, z niewielkim plecaczkiem przerzuconym przez ramię. Uśmiechał się uprzejmie, idąc w moją stronę, co stanowiło dobry znak, choć i tak przez moment oceniałam go jako potencjalnego przeciwnika.

– Krystyna Lesińska? – zapytał. Skinęłam głową i zanim oszołomiona zdążyłam zapytać, kim, u licha, jest, sam się przedstawił: – Rafał Wrona, rozmawialiśmy wczoraj przez telefon. A teraz naprawdę musimy biec, bo zaraz rozpęta się tu piekło.

*

Nie zdążyliśmy przed deszczem, choć niewiele brakowało. Ostatnie trzydzieści metrów dzielące nas od Murowańca przebyliśmy już biegiem, skuleni pod naporem siekącego deszczu, zimnego jak palce czarownicy w grudniowy wieczór. Tatry wreszcie postanowiły pokazać, na co je stać: błyskawice rozdzierały niebo na pół, a grzmoty brzmiały tak, jakby za chwilę na głowy miała nam runąć lawina. Zdyszani i przemoczeni wpadliśmy do głównej sali, w której zebrało się więcej takich pechowców wykręcających teraz wodę z włosów i popatrujących z szacunkiem na srożący się za oknem żywioł.

– Pójdę po herbatę – oznajmił Wrona. – Pani może poszukać wolnego miejsca.

Znalazłam pół stolika – przy drugiej połowie siedziała rodzina z trójką dzieci – i usiadłam. Wrona zjawił się po dłuższej chwili, niosąc dwa parujące kubki.

– Nie wiedziałem, czy lubi pani z mlekiem, czy z cytryną, dlatego wziąłem bez niczego – powiedział, ja zaś, ignorując całkowicie zarówno mleko, jak i cytrynę,

zapytałam:

– Skąd pan się tu, u licha, wziął? Nie powinien pan być przypadkiem w Żywcu, czy gdzie tam pan mieszka?

– W Wilkowicach – poprawił mnie. – Powiniennem być. Ale Zakopane o tej porze roku jest bardzo ładne, dlatego uznałem, że jeśli i tak mamy się spotkać, to równie dobrze możemy tu.

– Gówno prawda.

Zamrugnął, zaskoczony wulgaryzmem. Większość mężczyzn dziwi się, kiedy kobieta używa brzydkich słów, nawet jeśli ta kobieta jest policjantką. Szybko jednak pokrył zmieszanie niepewnym uśmiechem. Dopiero teraz zwróciłam uwagę, że wyglądał na zmęczonego – jak ktoś, kto poprzedniej nocy nie zmrużył oka. Miał wąską twarz wrażliwca i dłonie o długich nerwowych palcach, którymi ciągle czegoś dotykał: stołu, kubka, mankietów przeciwdeszczowej kurtki. Jakby nie mógł pozostać w bezruchu.

– W porządku, niech będzie: nie lubię Zakopanego. To miasto może i kiedyś miało swój urok, ale teraz kojarzy mi się tylko z plastikowymi ciupagami dla turystów i białym niedźwiedziem na Krupówkach.

– W takim razie czemu pan przyjechał?

– Miałem swoje powody – odparł enigmatycznie.

Milczeliśmy, nasłuchując odgłosów burzy. Czułam, jak z włosów i z ubrania paruje wilgoć, a po plecach spłynęła mi strużka zimnej wody, łaskocząc między łopatkami. Wzdrygnęłam się.

– Lubi pani góry? – zapytał Wrona chyba tylko po to, żeby przerwać ciszę.

– Nie wiem – odparłam uczciwie, mając na końcu języka „Mój brat lubił”. – Chyba nie.

Tak jak się spodziewałam, deszcz słabł z każdą chwilą. Oddalające się powarkiwanie grzmotów nie kojarzyły się już z lawiną, tylko co najwyżej z pomrukami rozleniwionych skalnych olbrzymów. Chwilę później pierwsze osoby odważyły się otworzyć drzwi schroniska i wyjrzeć na zewnątrz, za nimi podążyły kolejne. Sala jadalna pustoszała.

– Wyjdziemy? – zaproponowałam.

Rozpięty na niebie łuk tęczy pysznił się siedmioma doskonale widocznymi barwami, promienie słońca ślizgały się po powierzchni głębokich błotnistych kałuż.

Wytarłam chustką jedną z ław i usiadłam. Wrona stał z rękami w kieszeni i wyraźnie się wahał, wreszcie jednak zdecydował się do mnie dołączyć.

– Chce pani wiedzieć, czemu przyjechałem?

Przytaknęłam, domyślając się, co chce powiedzieć. Może tak już jest, że jeden nieszczęśliwy człowiek potrafi rozpoznać innego nieszczęśliwego człowieka, a może chodziło o pewne podobieństwo sytuacji Wrony do tej Wojtka sprzed kilkunastu miesięcy. Nie wiem.

– Moja żona wyprowadziła się wczoraj po południu. Zabrała ze sobą trójkę naszych dzieci. Mieszka teraz z matką, która przez telefon powiedziała mi, że konsultowały się już ze specjalistą od prawa rozwodowego. I że Beata nie chce ze mną rozmawiać, bo potrzebuje czasu dla siebie, i mam przestać do nich dzwonić. Dlatego przyjechałem. Bałem się, że jeśli zostanę w domu, zrobię coś głupiego: pojadę do nich, będę stał w ogródku i krzyczał albo dobijał się do drzwi. I chyba po prostu potrzebowałem się czymś zająć. Żeby nie myśleć i nie wariować w pustym mieszkaniu. Wyjechałem dzisiaj wcześniej rano, zadzwoniłem do Tkaczuka, a on mi powiedział, że poszła pani na Halę Gąsienicową. I tyle. – Najwyraźniej ulżyło mu trochę, kiedy to z siebie wyrzucił.

– Przykro mi.

Skinął głową oszczędnie, jakby przyjmował moje słowa do wiadomości, a jednocześnie odrzucał współczucie.

– Myślałem, że kiedy przejdę na emeryturę i będę siedział w domu, wszystko się ułoży, ale jakoś nie wyszło. To przez tego chłopaka.

– Kubę?

– Tak, chociaż ja go znałem jako Piotrka. Tak mi się przedstawił, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy. Wie pani – uśmiechnął się dziwnym, nostalgicznym i zarazem gorzkim uśmiechem – ja naprawdę lubiłem moją pracę. Może nawet trochę za bardzo, ale to nigdy nie było wielkim problemem. Beata wiedziała, za kogo wychodzi, jej ojciec pracował w milicji. Dlatego rozumiała, gdy nie wracałem wieczorem do domu albo zamykałem się u siebie, bo męczyła mnie jakaś sprawa. Ale po Piotрку Beata zaczęła narzekać, że zupełnie zdziwaczałem i nie da się już ze mną wytrzymać. Zabawne, bo to śledztwo przecież bardzo szybko zostało umorzone. Kuba padł ofiarą porwania, porywaczka nie żyła. Żadnej tajemnicy jak z książek, wszystko podane na talerzu. A jednocześnie na tyle pytań nie znaleźmy

odpowiedzi. Czemu akurat Kuba, co się działo w tym domu przez te wszystkie lata... I przede wszystkim co się wydarzyło ostatniego dnia, kiedy ona go zaatakowała, a on ją zabił. Próbowałem wyciągnąć z dzieciaka szczegóły, ale odpowiadał półsłówkami. Przez cały czas wyglądał, jakby się bał.

– Czego?

– Pewnie po prostu świata. W sumie nic dziwnego, skoro większość życia spędził w zamknięciu. Uznał, że za zabójstwo pójdzie do więzienia, i to mu pasowało. Wyobrażał sobie chyba, że w celi będzie tak jak w piwnicy. To brzmi strasznie, ale tamto miejsce było jego domem, tak samo jak kobieta, którą zabił, była jego matką. Kochał ją mimo wszystko. Tak myślę. Biedny chłopak. Pani naprawdę uważa, że porwanie ma coś wspólnego z tym poczwórnym morderstwem?

– Nie wiem – przyznałam uczciwie. – Ale to możliwe, prawda?

Twarz Wrony pociemniała.

– Mam nadzieję, że nie, bo to dzięki mnie ten chłopak wrócił do rodziny. I to pomimo... pomimo wszystkich trudności – dokończył, a ja wiedziałam, że chciał powiedzieć coś zupełnie innego. – Szukaliśmy go w naszej bazie, ale nie potrafiliśmy znaleźć, dlatego wpadłem na pomysł, żeby skontaktować się z prasą. Dopiero wtedy zgłosił się do nas Krystian Aleksandrowicz.

– Kuba nie był uważany za zaginionego?

Wrona pokręcił głową.

– Chłopak został oficjalnie uznany za zmarłego na wniosek ojca. Pytałem nawet Krystiana Aleksandrowicza, czemu to zrobił, skoro nie odnaleziono ciała. Powiedział, że chciał zamknąć ten rozdział i poświęcić się w całości nowej rodzinie. – Skrzywił się lekko. – Ze swojego punktu widzenia facet miał rację, wszyscy przecież zakładali, że mały utonął. Ale pamiętam, że zrobiło mi się wtedy żal tego chłopaka. I jakoś tak miałem wrażenie... Nie wiem, może mylne, że ani ojciec, ani macocha nie byli zachwyceni tym nagłym zmartwychwstaniem. Matka, z tego, co wiem, też, ona siedzi gdzieś w Anglii...

– Rozmawiał pan z nią?

– Krótko, przez telefon. Opowiedziała mi tę samą historię co jej były mąż: że Kuba zgubił maskotkę nad Czarnym Stawem Gąsienicowym i rano wymknął się jej szukać. Potem płakała i tłumaczyła, że nie ma warunków, żeby wziąć chłopca do

siebie, ale przyjedzie najszybciej, jak tylko będzie mogła. Nie wiem, czy ostatecznie przyjechała. Nawet jeśli... Nikt o tym chłopcu nie pamiętał przez te wszystkie lata. Nikt na niego nie czekał i nie cieszył się z jego powrotu.

Mogłabym mu powiedzieć, że nie ma w tym nic nienaturalnego. Krystian i Lucyna byli bardzo młodzi, gdy Kuba się urodził. Kochali go, ale kiedy zaginął, łatwiej im przyszło zacząć nowe życie, niż gdyby mieli dziesięć, dwadzieścia lat więcej. A gdy wrócił, nie był już słodkim pięciolatkiem, którego pamiętali, tylko młodocianym zabójcą. Kimś, kogo w gruncie rzeczy zupełnie nie znali. Nic dziwnego, że zarówno Aleksandrowiczowie, jak i była żona Krystiana mieli mocno mieszane uczucia. Podejrzywałam jednak, że Wrona doskonale o tym wie, dlatego dałam spokój.

– Polubił pan tego chłopca? – zapytałam. Nie wiem, dlaczego odpowiedź na to pytanie wydawała mi się ważna.

– Chyba tak. Irytował mnie, bo każde słowo musiałem wyrywać z niego obcęgami, ale jednocześnie miał w sobie coś, co budziło sympatię. I w tych rzadkich momentach, gdy decydował się mówić pełnymi zdaniami, widać było, że to całkiem ogarnięty chłopak. Ona dbała o jego wykształcenie, wie pani. W dosyć dziwny sposób, ale jednak dbała. Kiedy weszliśmy do tego domu, znaleźliśmy sporo książek. Stare szkolne podręczniki, słowniki, sporo pozycji z historii, geografii czy psychologii. Trochę szwarc, mydło i powidło: widać, że kobieta zbierała to wszystko bez żadnego planu, ale przynajmniej się starała. Chłopak mówił, że kiedy był grzeczny, pozwalała mu wyjść na górę, oglądać telewizję i się uczyć. Przez to wszystko miał w głowie straszny śmietnik, nie wiedział na przykład, co to denominacja. Gdy wychodził z domu Wajdy, wziął stare pieniądze z szuflady i próbował zapłacić nimi za hamburgera. A jednocześnie potrafił wymieniść długość wszystkich większych rzek w Ameryce Południowej i znał mnóstwo faktów historycznych, o których ja nie miałem bladego pojęcia. Nadal pewnie je zna, nie wiem, czemu właściwie mówię o nim w czasie przeszłym... – Zakłopotał się nagle. – Bo przecież on żyje, prawda? Tak mówili w telewizji...

– Żyje, owszem.

– I podejrzewacie, że to on zabił całą rodzinę?

– Nie. Jak na razie dowody go wykluczają.

Musiał Kubę naprawdę lubić, bo na jego twarzy pojawiła się autentyczna ulga.

– To dobrze – mruknął. – Pracowałem z młodocianymi i wydaje mi się, że gdyby chłopak miał tego typu skłonności, tobym je rozpoznał. A on wydawał się... Nie, normalny to złe słowo. Pokręcony, owszem, dziwaczny i mało kontaktowy, na pewno jednak nie psychopatyczny. A tylko psychopata mógłby zabić cztery osoby zupełnie bez powodu. To znaczy – poprawił się zaraz – może i miałby powód, żeby zabić ojca i przybraną matkę, ale nie dwie małe siostry, prawda?

Skinęłam powoli głową. Niedawno sama doszłam do identycznych wniosków.

– Co pan wie o Stanisławie Wajdzie? – Zmieniłam temat.

– Dużo i jednocześnie niewiele. Zależy, jak na to patrzeć. Chce pani posłuchać?

– Chcę.

– Tutaj? – Rozejrzał się niepewnie. Woda na stołach parowała w słońcu, dorośli bez przekonania strofowali przeskakujące przez kałuże dzieci. Życie po burzy wracało do normy.

– Czemu nie? I tak przecież mieliśmy porozmawiać, równie dobrze możemy tutaj.

– W porządku, ale najpierw kupię sobie obiad. Śniadanie jadłem o szóstej rano.

Czekałam, obserwując kręcących się wokół ludzi, którzy szukali dla siebie miejsca i strzepywali krople wody z peleryn przeciwdeszczowych. Dwanaście lat temu Aleksandrowiczowie wraz z przyjaciółmi mogli siedzieć przy tym samym stoliku co ja, a mały Kuba bawił się gdzieś w pobliżu. Być może ktoś z ich grupy narzekał na wysokie ceny w schronisku, tak jak teraz robił to gruby mężczyzna w wystrzępionych dżinsach, a Lucyna mogła krzyczeć na synka, żeby uważał na kałuże, zupełnie jak ta młoda kobieta z rozwichrzonymi rudymi włosami.

Takie rozważania donikąd nie prowadziły, zamknęłam więc oczy i spróbowałam choć przez chwilę cieszyć się słońcem. Nie myśleć o czekającej mnie drodze na dół, o jeździe do Katowic i toczącym się śledztwie. Po prostu siedzieć nieruchomo i odpoczywać. Nie wyszło: przed oczami wciąż miałam twarze zamordowanych dziewczynek, martwą sarnę i Kubę płaczącego na szpitalnym łóżku. Kalejdoskop obrazów, który towarzyszył mi w ciągu ostatnich dni i będzie towarzyszył jeszcze długo po zamknięciu sprawy.

Romek umiałby to zrobić, szepnął paskudny głos w mojej głowie. Mój brat zawsze był lepszy, nawet jeśli chodzi o umiejętność wypoczywania.

Otworzyłam oczy, gdy Rafał Wrona usiadł obok na ławce. Przyniósł pierogi z serem, pochłonął je w tempie człowieka głodującego od dłuższego czasu, po czym odsunął pusty talerz i sięgnął do plecaka. Niczym magik wykonujący pokazową sztuczkę, wyciągnął z niego teczkę, a z niej czarno-białe zdjęcie kobiety. Miała koło czterdziestki i faktycznie nie należała do piękności, choć nie nazwałabym jej też brzydką. Cienkie brwi, lekko zakrzywiony nos i usta z opadającym lewym kąciem tworzyły całość nietypową, ale przyciągającą spojrzenia, i to niekoniecznie w negatywnym znaczeniu. Interesująca, może tak należałoby określić tę twarz.

Wiedziałam, że spoglądam na kobietę, która porwała małego chłopca i przez jedenaście lat przetrzymywała go w piwnicy.

– Stanisława Wajda urodziła się w 1946 roku w niewielkiej wsi niedaleko Żywca. – Wrona mówił spokojnym tonem, nie patrząc nawet na mnie, jakby snuł tę opowieść dla siebie samego. – Jej młodszy brat zmarł w wieku dwóch lat na jakąś dziecięcą chorobę, a może w wyniku zaniedbania, trudno teraz powiedzieć. Mała Stasia rosła więc jako jedynaczka i nie miała szczęśliwego dzieciństwa. Często dostawała w skórę, co w tamtych czasach i tamtej okolicy nie było niczym dziwnym, ona jednak, zamiast trzymać buzię na kłódkę jak reszta wiejskich dzieciaków i godzić się z nieuniknionym, skarżyła się na swoją krzywdę różnym ludziom. Nauczycielkom, pielęgniarkom w przychodni i lekarzowi, raz nawet ośmieliła się iść na milicję. Oczywiście wszyscy odsyłali ją z kwitkiem, a w domu dostawała jeszcze większe lanie. Stasia wyróżniała się też pod innymi względami: jak na warunki, w których dorastała, była całkiem zdolnym dzieckiem, sporo czytała i wychowawczynie negocjowała nawet z jej ojcem, żeby posłał małą do liceum w Żywcu. Z planów jednak nic nie wyszło, bo dziewczynka w ósmej klasie zachorowała „na głowę”, jak to na wsi mówili.

Umilkł, gapiąc się gdzieś w dal, a ja czekałam cierpliwie. Dopiero po chwili podjął wątek.

– Trafiła do szpitala i spędziła tam trzy lata, leczona na młodzieńczą schizofrenię. Wyszła znacznie pokorniejsza, nie skarżyła się na nic i o ambitnych planach pójścia do liceum nikt już nie wspominał. Dwa lata później zmarła jej matka, a ojciec szybko znalazł sobie nową żonę, kobietę z dwójką dzieci. Stasia nie czuła się mile widziana w domu, dlatego wyjechała do Katowic szukać pracy. Tam poznała Mirosława Zbylskiego, dziesięć lat starszego pracownika huty, i wzięła

z nim błyskawiczny ślub. Oboje bardzo chcieli mieć dzieci, ale Stasia, a właściwie wtedy już Stanisława, nie mogła zajść w ciążę. Wreszcie lekarz postawił stanowczą diagnozę: na potomstwo nie ma co liczyć, a Mirosław za pomocą pięści wytłumaczył żonie, że to koniec ich małżeństwa. Stanisława zgodziła się pokornie na rozwód, wróciła do panińskiego nazwiska, po czym przeniosła się do Zakopanego, gdzie zamieszkała u Leokadii Knapik, dalekiej ciotki. Mniej więcej w tym czasie zmarł dziadek Stanisławy, zostawiając wnuczce dom w Podkowie. O ten dom, zdaje się, wybuchła awantura, bo ojciec chciał go dla siebie i dla dzieci drugiej żony, tym razem jednak Stanisława pokazała trochę dawnego charakteru i ostatecznie spadek dostała. W latach siedemdziesiątych pracowała w różnych miejscach, głównie w małej gastronomii albo jako pomoc przy koloniach. Wszędzie miała dobrą opinię, jeśli nie liczyć tego, że raz na kilka miesięcy nie zjawiała się w pracy. Ostatecznie jednak pracującym z nią mężczyznom też się to zdarzało, kiedy bardziej zabalowali, dlatego nikt nie robił z tego wielkiego problemu. W 1981 roku miały miejsce dwa ważne wydarzenia. Po pierwsze, stary Wajda wreszcie zapisał się na śmierć, a jego dom i kawałek pola przeszły na własność macochy Stanisławy. Po drugie, Stanisława znalazła pracę w schronisku i wyglądało na to, że jej się tu podoba. I tak dochodzimy do lipca 1987 roku, kiedy to w Murowańcu pojawiła się rodzina Aleksandrowiczów. Historię o maskotce zgubionej nad stawem pani zna?

– Znam.

– No właśnie. Wszystko wskazuje na to, że Kuba wyszedł szukać króliczka Kacperka, a Wajda spotkała chłopca nad stawem albo w jego pobliżu i zabrała malucha. Nie wiem, jak sprowadziła swoją ofiarę na dół. Może przekonała ją, że wie, gdzie jest maskotka, a może pobiła chłopca tak, że stracił przytomność, łamiąc mu przy okazji parę żeber. Wajda była silną kobietą: pracowała w kuchni, codziennie nosiła wielkie gary z zupą czy bigosem. Zniesienie na dół pięcioletniego dziecka stanowiłoby dla niej problem, ale nie tak wielki jak dla przeciętnej kobiety. Wczesna pora też pewnie pomogła, bo założę się, że na szlaku nie mijała wielu turystów.

– W jaki sposób zawiozła dziecko do Podkowie?

– Prawdopodobnie użyła samochodu ciotki. Leokadia Knapik miała starą syrenkę, którą Wajda wozila zakupy z targu. Nawiasem mówiąc, sąsiedzi wspominają, że już w 1986 roku ten samochód był w fatalnym stanie,

przerdzewiały, z zepsutym tłumikiem. Cud boski, że dojechał do Podków i nikt Wajdy po drodze nie zatrzymał. Najwyraźniej jednak miała szczęście. Mogła ułożyć chłopca na tylnym siedzeniu, zawieźć do odziedziczonego po dziadku domu, zamknąć w piwnicy i odstawić syrenkę do Zakopanego. Wracła pewnie pociągiem do Żywca, potem autobusem, a wreszcie pieszo, bo do Podków, o ile wiem, nigdy żadna komunikacja publiczna nie docierała. I gdzieś po drodze zadzwoniła jeszcze do Murowańca z informacją, że rezygnuje z pracy.

– Całkiem sprytne – mruknęłam. – Gdyby powiedziała, że rezygnuje, bo ciotka zachorowała albo coś w tym rodzaju, Grażyna Kowalik mogłaby zacząć ją podejrzewać. Ale ona twierdziła, że poznała mężczyznę, przez co wyglądała jak naiwna idiotka, a kto by używał takiej wymówki?

– Wajda była znacznie bardziej inteligentna, niż można by sądzić po jej wykształceniu i historii choroby. Dlatego właśnie powiedziałem, że wiemy o niej dużo i jednocześnie mało. Wie pani, co zrobiła zaraz po porwaniu? Otóż na podstawie przebytej choroby psychicznej załatwiła sobie rentę socjalną.

– Ta kobieta, która tak panicznie bała się lekarzy i urzędników?

– Aha. Najwyraźniej potrafiła przewyciężyć strach, jeśli bardzo jej na czymś zależało. A w tym przypadku musiało zależeć, bo dzięki rencie mogła się przeprowadzić do Podków i poświęcić pilnowaniu chłopca. Kiedy Wajda przywiozła tam Kubę, jeden z domów stał już pusty, a w drugim mieszkała siedemdziesięcioletnia kobieta. Krewni rzadko ją odwiedzali, zresztą zmarła pół roku później i od tej pory Stanisława nie miała żadnych wścibskich sąsiadów zagląających przez płot. Raz w miesiącu wybierała się z plecakiem do pobliskiej wioski na pocztę, żeby odebrać rentę i zrobić większe zakupy. Poza tym właściwie nie ruszała się z domu. A, byłbym zapomniiał: od czasu do czasu dzięki uprzejmości pani na poczcie zamawiała też książki, o których już wspominałem. I kupowała gazety. W szufladzie jej biurka znaleźliśmy sporo artykułów prasowych opisujących zniknięcie Kuby, a do tego wywiad z kolorowego czasopisma, zrobiony jakieś dwa lata później, kiedy Aleksandrowicz zaczynał się wybijać i jakiś dziennikarz postanowił odgrzebać starą sprawę. Krystian pozuje z Kaliną na tle gór i opowiada, jak nowa żona pomogła mu poradzić sobie z tęsknotą po stracie synka, takie tam. Nie wiem, czy Wajda pokazywała te wycinki Kubie, ale na pewno ciągle interesowała się jego rodziną.

– I nikt niczego nie podejrzewał?

– Że przetrzymuje w piwnicy dziecko? Nie. We wsi uważali ją za trzymającą się na uboczu dziwaczkę, ale to tyle. Zresztą nie była obcą osobą, tylko wnuczką starego Bartosza i to też miało znaczenie. Trudno podejrzewać o takie rzeczy kobietę, którą widywało się jeszcze jako małą dziewczynkę z warkoczykami. Nawet jeśli ktoś zwrócił uwagę, że Wajda kupuje więcej jedzenia, niż potrzeba jednej samotnej osobie, albo że zamawia na pocztę podręczniki do nauki w podstawówce, pewnie jakoś to sobie wytłumaczył.

Skinęłam powoli głową. Wajda była sprytna, owszem, ale od początku sprzyjała jej też ludzka mentalność, niechęć do wścibiania nosa w cudze sprawy i uwierzenia, że tuż za płotem może dziać się zło jak z filmowego horroru.

– Stanisława Wajda i Kuba Aleksandrowicz żyli tak przez jedenaście lat – ciągnął Wrona – aż do września zeszłego roku. Wtedy po raz drugi przełamała swoją niechęć do lekarzy i zgłosiła się na badania do szpitala w Żywcu. Musiało ją naprawdę boleć, bo rak miał już przerzuty we wszystkich ważniejszych organach. Diagnoza była do przewidzenia: na tym etapie zostawały tylko przedłużająca życie chemia albo opieka paliatywna. Wajda podziękowała grzecznie, wykupiła w aptece zapas środków przeciwbólowych na receptę i wróciła do Podków. Tydzień później wybrała się autobusem do Żywca, gdzie kupiła łańcuch i żelazną obrozę dla dużego psa. Bardzo niehumanitarna rzecz, w większych miastach już pewnie takich nie sprzedają. Jeden koniec łańcucha wmurowała w ścianę piwnicy, a drugi zapinała na szyi chłopaka – na obroży zostały ślady krwi i naskórka.

Przełknęłam ślinę i rozejrzałam się nerwowo, niepewna, czy tych wszystkich szczegółów nie wysłuchuje właśnie jakaś przerażona matka albo, co gorsza, małe dziecko. Na szczęście nikt nie zwracał na nas uwagi. Ludzie siadali przy stolikach, pili herbatę, colę albo piwo, omawiali dalszą trasę, a potem odchodzili. Tylko parę osób rzuciło w naszą stronę odrobinę zdziwione spojrzenia – leżąca na stole teczka zamiast kanapki czy mapy turystycznej musiała wyglądać dziwnie – zaraz jednak wracali do własnych spraw.

– Bała się, że go straci – mruknęłam.

Wrona skinął głową.

– Na to wygląda. Chłopak dorastał, robił się coraz silniejszy i zaczynał się buntować. Wajda odwrotnie, słabła z każdym dniem i wiedziała, że nie zostało jej dużo życia. Nie wiem, co się wydarzyło w listopadzie, mogę tylko zgadywać. Może wypuściła chłopaka z piwnicy, bo chciała, żeby jak dawniej posiedział z nią na

kanapie i obejrzał film. A on zaczął się stawiać. Zamierzał wyjść, zobaczyć kawałek świata, kupić w McDonalddie hamburgera. To było jego marzenie: zjeść hamburgera, takiego, jakiego widział w telewizji. Może pani to sobie wyobrazić?

– Mam całkiem niezłe rozwiniętą wyobraźnię, dziękuję.

– Wajda mogła się czuć zagrożona i dlatego zaatakowała chłopaka. Może zresztą miała inny powód, nie wiem. W każdym razie uderzyła go kilka razy i zwichnęła mu rękę, a on zepchnął ją ze schodów prowadzących na piętro, tak że kobieta skręciła sobie kark i na dodatek jeszcze rozbiła czaszkę. Kuba tymczasem ruszył w świat, którego zupełnie nie znał. Trafił do baru Pod Jodłami na drodze wylotowej z Żywca, może pani go kojarzy...

– Kojarzę. – Poczułam się nieswojo, niedawno przecież jadłam tam z Wojtkiem. Coś mnie tknęło przy okazji. – Ta wieś, Podkowsy. Gdzie ona jest?

– To nie wieś, tylko przysiółek, na większości map nawet go nie ma. Jakies dwadzieścia kilometrów od Żywca.

– A w odległości od Rudnika?

– Pewnie z piętnaście kilometrów drogą, na przełaj bliżej. Czemu pani pyta?

– Bo tym bardziej te wakacje w leśniczówce nie mają dla mnie sensu. Czemu ktoś chciałby zabrać chłopca tak blisko miejsca, w którym był uwięziony?

– No, aż tak blisko to znowu nie jest – zaprotestował Wrona. – Mnóstwo punktów znajduje się mniej więcej w podobnej odległości, choćby Barania Góra czy Skrzyczne. A trudno przecież, żeby chłopak do końca życia omijał szerokim łukiem pół Beskidów.

– Może – mruknęłam, po czym spojrzałam na zegarek. Dochodziła czternasta. – Mam propozycję – powiedziałam. – Teraz ja coś zjem, a potem zejdziemy na dół, co pan na to? Pojedziemy do Katowic, przedstawię pana mojej ekipie i będzie pan mógł pomóc nam w śledztwie, jeśli nie chce pan siedzieć sam w domu.

– W porządku. – Nie podziękował, ale na jego twarzy malował się wyraz wdzięczności bardziej wymowny niż słowa. – Po drodze możemy jeszcze zajrzeć do Podków. Nie chciałaby pani zobaczyć tego domu?

Chciałam, a poza tym coś w głosie Wrony sugerowało, że powinnam chcieć, skinęłam więc głową. Wróciłam do schroniska, odstałam swoje w kolejce do baru, złożyłam zamówienie i dziesięć minut później odebrałam porcję placków

ziemniaczanych ze śmietaną. Gdy stawiałam talerz na stole, Wrona wciąż wpatrywał się w fotografię Stanisławy Wajdy.

– Wie pani, że to ostatnie zdjęcie tej kobiety? – Postukał w nie palcem, kiedy siadałam obok. – Zrobiła je sobie rok po tym, jak dostała pracę w Murowańcu. Nie miała nikogo bliskiego, komu mogłaby to zdjęcie pokazać czy wysłać, a jednak ubrała się w najlepszą sukienkę i poszła do fotografa. Zapłaciła tylko za jedną odbitkę, oprawiła ją w ramkę i trzymała na nocnym stoliku we wspólnym pokoju. Oprócz dokumentów i pieniędzy to była jedyna rzecz, którą wzięła ze sobą, kiedy stąd odchodziła.

A więc Wajda nie tylko okazała się sprytna, ale w dodatku jeszcze potrafiła zachować zimną krew. Nie pobiegła z porwanym chłopcem od razu na dół, tylko poświęciła chwilę, żeby zabrać z pokoju najważniejsze rzeczy. Już wtedy wiedziała, że tu nie wróci i że musi jakoś uwiarygodnić swoje odejście.

– Co pana w tym dziwi? – zapytałam między jednym kęsem placka a drugim. – Że zrobiła sobie to zdjęcie czy że wzięła je ze sobą?

– Ani jedno, ani drugie. Po prostu... – Uśmiechnął się lekkim, niemal przepraszającym uśmiechem. – Człowiek spodziewałby się zobaczyć w jej twarzy jakieś zło, a tymczasem ona na tej fotografii wygląda zupełnie normalnie. I chęć zrobienia sobie zdjęcia w najlepszej sukience też jest normalna. Próbowałem widzieć w tej kobiecie potwora, bo tak byłoby łatwiej, ale...

– I tak było panu jej żal? Bo miała paskudne życie?

Przytaknął, a mnie przemknęła przez głowę myśl, czy Rafał Wrona kiedykolwiek nadawał się na policjanta. Wydawał się nieco zbyt grzeczny i miękki jak na przedstawiciela naszego fachu. W gruncie rzeczy jednak wiedziałam, że to bzdura – znałam kilku świetnych gliniarzy, którzy podobnie jak Wrona, mówili ładnymi, okrągłymi zdaniami, nie klęli i od czasu do czasu żalowali zbrodniarzy. To nie miało znaczenia. Cokolwiek działo się z tym człowiekiem, cokolwiek kazało jego żonie zabrać dzieci i wyprowadzić się z domu, wynikało prawdopodobnie nie tyle z charakteru Wrony, ile właśnie z tej pokręconej sprawy, która każdemu, kto się z nią zetknął, dawała się we znaki. Równie dobrze ja mogłabym być na jego miejscu – wciąż miałam na to spore szanse.

Zjadłam w milczeniu, odniosłam puste naczynia i skierowaliśmy się niebieskim szlakiem w dół, w stronę Kuźnic.

Starszy aspirant Wojciech Chodura odebrał telefon jedną ręką – w drugiej trzymał kubek z kawą, a łokciem przyciskał do boku opasłą teczkę.

– Halo? – powiedział. – Krysia? Gdzie ty jesteś? Strasznie słabo cię słyszę.

W słuchawce zatrzeszczało i Chodurze zdawało się, że usłyszał „w górach”.

Oczywiście. Poczul nagły przypływ złości, troski i jednocześnie gorzkiej satysfakcji – mieszanka, od której na moment zakreśliło mu się w głowie. Ostrożnie upuścił teczkę na biurko, postawił obok kubek i stanął przy oknie.

Od początku wiedział, że Krystyna nie będzie potrafiła się powstrzymać i pójdzie w góry szukać śladów zaginionego brata. Tak jakby cokolwiek mogła znaleźć po tych wszystkich latach. Przypomniał sobie dzień, kiedy po raz pierwszy opowiedziała mu tę historię. Pracowali wtedy nad wyjątkowo paskudną sprawą – samobójstwo dwójki prześladowanych w szkole nastolatków – i oboje byli wytrąceni z równowagi, choć nawzajem przed sobą próbowali zgrywać twardzieli. Wieczorem sporo wypili i gdy wychodzili już z knajpy, a Chodura palcami jak z gumy próbował zapiąć płaszcz, Krystyna, nie patrząc mu w oczy, ni stąd, ni zowąd oznajmiła:

– Kiedy chodziłam do liceum, mój brat zaginął w górach.

– Co? – Alkohol sprawiał, że bodźce docierały do niego z opóźnieniem.

– Poważnie. Poszedł na Zawrat z czwórką przyjaciół. Troje z nich znaleziono potem martwych, jeden wrócił. A mój brat zniknął, zupełnie jakby rozplynał się w powietrzu. Do dzisiaj nie wiem, co się z nim stało, czy żyje, czy też zginął.

– Aha. – Mętnie sobie przypominał, że faktycznie była kiedyś taka sprawa, dawno temu, kiedy jeszcze biegał z majtkami na wierzchu. – A ten... eee... co wrócił, nie powiedział, co się stało?

– Nie. To znaczy opowiedział swoją historię, ale gadał same bzdury. Wszyscy o tym wiedzieli. I wiesz, co ci powiem? Moim zdaniem ten człowiek był winny jak

cholera. Może tylko zaniedbania, bo zostawił ich w górach na pewną śmierć, a może czegoś więcej. Nie mam pojęcia, ale kiedyś się dowiem.

– Mhm, jasne, bardzo mi przykro – wymamrotał, bo na nic więcej nie mógł się wtedy zdobyć.

Czasem miał wrażenie, że Krystyna żałuje tej chwili szczerości.

Teraz, przyciskając słuchawkę tak mocno, że rozboleło go ucho, wysłuchał przerywanej trzaskami opowieści o tym, czego Lesińska dowiedziała się w Zakopanem. Zdaniem Chodury nie było to nic interesującego – a przynajmniej nie w takim stopniu, by usprawiedliwić tę wycieczkę – ostatecznie jednak nie do niego należała ocena.

W zamian opowiedział o przesłuchaniu Adriana Dąbka.

– Maglowaliśmy go prawie cztery godziny. Przyznał się do posiadania dziecięcej pornografii, do kontaktów z różnymi szemranymi typami, a nawet do tego, że rozebrał się przed siedmioletnią córeczką sąsiadów, ale jak tylko zahaczałem o morderstwa, zaczynał płakać, że jest niewinny. I chyba nawet mu wierzę – przyznał niechętnie. – Chłopak ma problem wielki jak chuj wie co, na szczęście jednak to nie nasz problem.

– Mówiłam, że to nie on. – W głosie Krystyny nie wyczuwało się triumfu, co Chodura przyjął z odrobiną wdzięczności.

– Ale chłopak przynajmniej zwrócił uwagę na jedną ciekawą rzecz. Pamiętasz te filmiki na wideo?

– Jasne, że tak.

– No więc wygląda na to, że Aleksandrowiczowie kręcili ich znacznie więcej. Z wakacji, z wypadów za miasto, do zoo i tak dalej. A ponieważ oboje byli perfekcjonistami, to tylko te najlepsze przegrywali na normalne kasety. Albo te z najważniejszych momentów. Rozumiesz już, do czego zmierzam?

– Kamera. O kurwa mać, w leśniczówce powinna być kamera.

– Aha. A na niej ostatnie nagrania zrobione przez Aleksandrowiczów.

– Szlag. Nie wpadłam na to.

– Nie przejmuj się, ja też nie. Myślisz, że morderca zabrał tę kamerę ze sobą?

– Na to wygląda, bo nie pamiętam jej w spisie rzeczy znalezionych w leśniczówce.

– Nie ma tam kamery, sprawdziłem. I jeszcze dwie sprawy... Słyszysz mnie?

– Czekaj, przejdę kawałek, będzie lepszy zasięg. Tak?

– Po pierwsze, ta martwa sarna...

– Co z nią?

– Szukaliśmy jej ze dwie godziny, Janczak kłął jak szewc, a na koniec zagroził, że jeśli go zmusimy, żeby zabrał ze sobą truchło, to w życiu już niczego ci nie powie przed przekazaniem oficjalnego protokołu. Powiedziałem mu, że nie ma takiej potrzeby, wystarczy, jak obejrzy zwierzaka na miejscu. No więc obejrzał i...

– I co?

– Trochę kręcił, że nie może być pewny, bo rany u ludzi z leśniczówki były kłute, a ta jest cięta, więc trudno porównywać. Ale ostatecznie stwierdził, że gardło sarny zostało poderżnięte nie nożem myśliwskim, tylko czymś z dłuższym ostrzem. I owszem, ten wihajster do grilla, którym zabito Aleksandrowiczów, by pasował. Nie mam pojęcia, co z tego wynika. Morderca pożyczał sobie z leśniczówki broń i biegał z nią po lesie, ćwicząc mordowanie na niewinnych zwierzętach, zanim się zabrał za rodzinę? Przecież to bez sensu.

– Bez sensu – przyznała Lesińska z osobliwie dobrym humorem. – A ta druga sprawa?

– Lucyna Pietrzak przyleciała wczoraj z Anglii. Chciała dziś wejść do Kuby, ale jej nie wpuścili, dlatego zadzwoniła na komendę z awanturą. Obiecałem, że spotkamy się przed szpitalem, pogadamy, a potem sam ją zaprowadzę do chłopaka.

– W porządku. Możesz przy okazji zapytać, czy ona albo jej mąż bili Kubę.

– Poważnie? – Chodura zmarszczył brwi. Do pokoju wsunął głowę młody mundurowy, ale starszy aspirant wygonił go ruchem wolnej ręki.

– Tak, tylko ujmij to jakoś zgrabniej, żeby od razu się nie oburzyła. Sam wiesz, jak to zrobić.

– Spróbuję, ale... O co właściwie chodzi?

– Taka tam luźna myśl. Wracam dzisiaj pod wieczór, to pogadamy.

– W porządku. Kryśka...?

– Uhm?

– Czy ja słyszę w tle owce?

*

Słyszał owce. Stado pasło się niedaleko drogi, nie zwracając na mnie uwagi. Schowałam telefon do torebki i spróbowałam się zastanowić. Zabrana z miejsca zbrodni kamera, sarna zabita prawdopodobnie tą samą bronią, od której zginęli Aleksandrowiczowie – każdy z tych elementów musiał pasować do układanki. Czułam, że jestem blisko rozwiązania, a jednocześnie nie potrafiłam zebrać myśli. Może była to kwestia słońca świecącego prosto w twarz, zmęczenia albo ziołowego zapachu łąki. A może czegoś więcej. Martwa rodzina, Kuba, tajemnice, tak bardzo zajmujące mnie w ciągu ostatnich kilku dni – wszystko to nagle wydało mi się ważne, ale jednocześnie odległe, jak problem, którego rozwiązanie można odłożyć na kilka godzin. Teraz liczyła się właśnie ta chwila. Okryte śniegiem górskie szczyty, rysujące się na tle nieba o barwie spłowiałego błękitu niczym emalia na starożytnej wazie, gorąco jednego z ostatnich dni wakacji, pobekujące owce i kręcąca w nosie woń trawy.

Byłam już kiedyś w takiej sytuacji. Stałam na łące, wpatrując się w góry, i ktoś powiedział mi coś, o czym pomyślałam, że nigdy tego nie zapomnę. A jednak zapomniałam, zapomniałam tak zupełnie, że teraz pamiętałam już tylko otoczkę tamtej rozmowy, nie samą rozmowę. Kiedy to się wydarzyło? Z kim rozmawiałam i o czym? Od intensywności tych pytań zakręciło mi się w głowie, ale wspomnienie, jeszcze przed chwilą tak wyraźne, rozmywało się z każdą mijającą sekundą.

– Wszystko w porządku? – zapytał Wrona, który czekał na ścieżce kilkanaście kroków dalej. Na twarzy miał wyraz lekkiego zniecierpliwienia. Spieszył się, a jeśli złapałam tu zasięg, to znaczyło, że musimy być już bardzo blisko Kuźnic.

– Tak – odparłam. Przeszłość minęła mnie na szlaku, tak jak mijają się ludzie: krótkie powitanie, przelotne spojrzenie w twarz, muśnięcie rękawa i już, koniec, dźwięk kroków ginie w oddali, a ty z trudem przypominasz sobie, czy obok przeszła kobieta czy mężczyzna. – Po prostu się zamyśliłam.

*

Lucyna Pietrzak czekała na ławce w parku Zamkowym i karmiła z ręki wiewiórkę. Gdy zwierzątko uciekło na widok podchodzącego Chodury, kobieta wstała. Starszy aspirant bez trudu rozpoznał w niej rysy Kuby: ten sam cienki, długi nos, owalny

wykrój oczu i zadziornie wystający podbródek. Podobieństwo tym bardziej uderzające, że Lucyna wyglądała jak studentka, a nie matka kilkunastoletniego chłopaka. Być może umalowana i w eleganckiej sukience sprawiałaby wrażenie starszej, dziś jednak włożyła dzinsy i koszulkę z kolorowym hippisowskim nadrukiem, a ciemnoblond włosy nosiła ścięte krótko, po męsku. Pod oczami miała sińce, które nieudolnie próbowała zamaskować pudrem, poza tym jej twarz pozbawiona była makijażu.

Chodura poprosił ją o paszport, przejrzał go pobieżnie i oddał.

– Dziękuję – powiedział. – Przejdzie się pani ze mną?

– Myślałam, że pójdziemy do Kuby... – bąknęła. Im dłużej Chodura patrzył, tym więcej oznak rozpaczy widział: już nie tylko sińce pod oczami, ale też drgający kącik ust i trzęsące się ręce.

– Najpierw chciałbym zadać pani parę pytań. To nie będzie oficjalne przesłuchanie, po prostu sobie porozmawiamy.

– O czym? Przecież ja mieszkam w Anglii od dwunastu lat...

– Ale bywała pani w Polsce, prawda?

– Tak, tylko... – Przez moment wyglądało na to, że zacznie się kłócić, jednak nie miała już chyba na to siły. Zresztą musiała przecież wiedzieć, że z przedstawicielem władzy nie wygra. – Ostatni raz przyjechałam pod koniec maja, na pogrzeb Janka Kulaka, kolegi ze studiów.

– Nie żeby zobaczyć się z synem?

Zaczerwieniła się wyraźnie pod warstwą pudru.

– I żeby zobaczyć się z Kubą, oczywiście, że tak.

– Wtedy widziała go pani pierwszy raz?

– Ma pan na myśli, odkąd... wrócił? Nie, byłam w Katowicach na początku marca, ale tylko na jeden dzień. Moja praca jest bardzo wymagająca, a szef nie lubi, kiedy się bierze urlop bez potrzeby.

Ugryzł się w język, by nie powiedzieć, że spotkanie z niewidzianym od dwunastu lat synem to chyba wystarczająca potrzeba.

– A w maju ile czasu spędziła pani w Polsce?

– Trzy dni. Od dwudziestego pierwszego do dwudziestego czwartego.

– Gdzie się pani zatrzymała?

– U Krystiana – przyznała z ociąganiem. – Wiem, że to może się wydawać dziwne, ale my się rozstaliśmy w zgodzie. I naprawdę lubię... Lubiłam Kalinę. Poza tym oni nalegali, żebym była blisko Kuby. Żeby złapać z nim lepszy kontakt.

– I złapała pani?

Wzruszyła ramionami. Jeśli na początku próbowała jeszcze trzymać fason, teraz z każdą chwilą coraz bardziej przestawało jej na tym zależeć.

– Chyba nie. Ja... Byliśmy dla siebie uprzejmi, jak dwoje obcych ludzi. Boże, jak to brzmi... Próbowałam go zagadywać, ciągle pytałam: „A pamiętasz, jak po drodze z przedszkola kupowałam ci misie z kremem?” albo „Pamiętasz, jak pojechaliśmy na wieś i wystraszyłeś się koguta?”. Myślałam... że w ten sposób wskreszę przeszłość, że przywrócę to, co kiedyś nas łączyło. Sama nie wiem. Tak czy inaczej, nie wyszło. Kuba kiwał głową, ale widziałam po jego twarzy, że albo nie pamięta, albo nic go to nie obchodzi. Tamtą kobietę uważał za matkę, nie mnie. Pomyślałam nawet w pewnym momencie, że może to jakaś straszna pomyłka, że mój synek utopił się w stawie, a ten chłopak jest kimś zupełnie obcym. W pewien sposób chciałam, żeby tak było. – Rzuciła Chodurze wyzywające spojrzenie, gotowa na krytykę, jednak starszy aspirant nadal trzymał język za zębami. – A potem patrzyłam w lustro i wiedziałam, że to bzdura. Kuba zawsze przypominał bardziej mnie niż ojca... To zabrzmiało paskudnie, ale wtedy, w maju, właściwie lepiej dogadywałam się z dziewczynkami niż z własnym dzieckiem.

– Z Basią i Renią?

Skinęła głową, odwracając się, by Chodura nie dostrzegł łez.

– Były słodkie, obie, chociaż w różny sposób. I bardzo inteligentne. Przyjechałam na pogrzeb Janka, już mówiłam. Krystian oczywiście nie zabrał dzieci na samą ceremonię, ale dużo się w domu o niej rozmawiało. Dziewczynki po raz pierwszy na poważnie zetknęły się wtedy ze śmiercią. Zadawały pytania, wie pan: co to znaczy, że ktoś umiera, jak się żegna zmarłych i tak dalej, a ja im opowiadałam o pogrzebach w różnych kulturach. Kalina miała mi to za złe, bo uważała, że Basia i Renia są za małe, żeby słuchać o takich rzeczach, ale Róża stanęła po mojej stronie i nawet dorzuciła parę przykładów. Obie studiowałyśmy etnologię. – Uśmiechnęła się z lekką nostalgią.

– Tak się wszyscy poznaliście? Na studiach?

– My, czyli kto?

– Grupa, która była w Murowańcu tamtego dnia.

Uśmiech zniknął i Lucyna skrzywiła się lekko.

– Ja, Kalina i Róża znałyśmy się jeszcze z liceum, Poldka poznałam przez Krystiana, Mariolę na jakiejś imprezie, a Janka chyba w klubie. To ma jakieś znaczenie?

– Wszystko może mieć znaczenie.

Skinęła głową, chyba nie do końca przekonana.

– Tworzyliście zgraną paczkę przyjaciół? – Chodura spróbował jeszcze raz. Sam nie do końca był pewien, do czego właściwie zmierza.

– Bo ja wiem? Tak naprawdę poznaliśmy się lepiej, dopiero kiedy zaczęliśmy wyjeżdżać razem na wycieczki z Klubu Wysokogórskiego. Ale nawet wtedy nie zawsze trzymaliśmy się w swoim towarzystwie. Na tych wyprawach bywało sporo ludzi.

– Czyli przypadkiem tamtego dnia akurat wasza siódemka poszła w góry?

– Tak i nie. Róża i Kalina starały się trzymać Krystiana, bo obie się w nim podkochały. I Poldek też... – Rzuciła Chodurze szybkie, nerwowe spojrzenie. – Mam na myśli...

– W porządku, wiem, że pan Rataj... bardzo lubił pani byłego męża.

– Mariola poszła, bo to łatwa trasa, a ona nie miała dobrej kondycji, Janek dołączył do nas w ostatniej chwili, bo coś tam. Chyba chciał uciec od takiej jednej dziewczyny, która nie dawała mu spokoju. Rysiek Madecki też miał iść, jednak zrezygnował, nie pamiętam już w sumie czemu. To nie była jakoś specjalnie interesująca wyprawa, ale z małym dzieckiem nie mogliśmy sobie pozwolić na chodzenie w wyższe góry. Matka Krystiana zmarła na wiosnę i... – Wzruszyła ramionami. – Da mi pan papierosa? Proszę.

Poczęstował ją. Lucyna usiadła na ławce i zapaliła, osłaniając płomień dłonią.

– To była od początku pechowa wycieczka – mruknęła. – W połowie drogi Poldek skręcił kostkę. Chcieliśmy zawrócić, ale on się upierał, że to nic poważnego i zaraz mu przejdzie. Nie przeszło: do schroniska ledwo się dowlókł. Nawet nie poszedł potem z nami nad Czarny Staw. Baliśmy się, czy rano da radę zejść, jednak następnego dnia okazało się, że mamy znacznie większy problem... – Skrzywiła się lekko. – Gdybyśmy wtedy zawrócili... Albo gdyby babcia Kuby żyła, a on mógłby z nią zostać...

– Czyli babcia często opiekowała się chłopcem, tak? – Chodura usiadł obok. Głos miał łagodny, kiedy podsuwał jej to pytanie tak samo naturalnie, jak przed chwilą podsunął paczkę papierosów.

Przytaknęła.

– Studiowaliśmy i... Sam pan wie, jak to jest.

– Jasne, wiem. – Pomyślał o dwójce swoich dzieci, które aktualnie mieszkały z matką. Obie córki przyszły na świat, zanim skończył dwadzieścia pięć lat, i żadna babcia nie pomagała w ich wychowaniu. Radzili sobie sami, jednocześnie pracując i oszczędzając na własne mieszkanie. – Byliście bardzo młodzi, kiedy Kuba się urodził, musiało wam być ciężko. Pojawiały się na tym tle jakieś konflikty?

– Słucham? – Spojrzała bez zrozumienia.

– Kłóciliście się? A może mały Kuba dostawał czasem w skórę, bo nie dawaliście sobie rady?

Zamrugła.

– Sugeruje pan, że biliśmy nasze dziecko?

– Nikt by was nie winił. Mali chłopcy rozrabiają, a młodzi rodzice nie zawsze mają do nich cierpliwość. Sam pamiętam, że parę razy przylałem mojemu synowi, kiedy próbowałem mu coś tłumaczyć, a on mnie ignorował. Z Karola był mały uparciuch. – Chodura coraz bardziej wciągał się w opowieść o nieistniejącym dziecku. – Nie jestem z tego specjalnie dumny, ale to ludzkie. Mało kto jest doskonałym rodzicem.

– Nigdy nie uderzyliśmy Kuby.

– Nie mówię o katowaniu, tylko o zwykłym klapsie, może szarpnięciu za rękę albo...

– Nigdy go nie skrzywdziliśmy – powtórzyła uparcie. – W żaden sposób. Zdarzało nam się podnieść na niego głos, ale tylko tyle.

– W porządku. – Chodura zaczynał wierzyć tej kobiecie, a to oznaczało, że Krystyna Lesińska się pomyliła. Sprawilo mu to odrobinę paskudnej satysfakcji. – Rozumiem w takim razie, że mimo trudnej sytuacji świetnie radziliście sobie jako rodzice.

– Wcale nie. – Lucyna zignorowała ironię w głosie starszego aspiranta. – Ja dawałam Kubie za dużo słodyczy, sprzątałam za niego zabawki i pozwalałam mu

chodzić późno spać, nawet jeśli wiedziałam, że rano będzie miał problem ze wstaniem. A Krystian...

– Tak?

Parsknęła krótkim, suchym śmiechem.

– Wszyscy zawsze się zachwycali, jaki z niego wspaniały ojciec. I wie pan co? Pod pewnymi względami mieli rację. Krystian bardzo dobrze dogadywał się z Kubą, bawił się z nim, zabierał do zoo i uczył jeździć na rowerze...

– Ale?

– To było tak... od święta. Nie, właściwie źle mówię. Krystian potrafił się zająć Kubą, ale tylko jeśli robili razem coś ciekawego. Nie chodziło o to, że brakowało mu cierpliwości, po prostu tak został wychowany. Ojcowie są od pokazywania dziecku świata, od wszystkich fajnych rzeczy, a matki od tych nudnych, jak sadzanie na nocniku i pilnowanie posiłków. To nie jego wina, że tak myślał – dodała defensywnie.

– I pani właśnie zajmowała się nudnymi rzeczami?

– Najpierw matka Krystiana, a potem ja – przyznała. – Ale nie rozumiem, co to wszystko ma wspólnego z...

– Opowie mi pani o sobie i o Krystianie z dawnych czasów? Jak się poznaliście, jaki wtedy był Krystian, takie rzeczy?

– Naprawdę pana to interesuje? – Zmarszczyła brwi, a Chodura skinął głową, choć wątpił, czy którakolwiek z tych informacji mu się przyda. Czuł się jak człowiek, który stoi na brzegu strumienia i w poszukiwaniu grudek złota przepuszcza przez palce błoto.

– Poznaliśmy się latem 1981 roku na koncercie Perfectu w Warszawie. Ja miałam właśnie zacząć klasę maturalną, a on studia. Krystian mieszkał w Katowicach, ja w Żywcu, ale często bywałam na Śląsku u dalszej rodziny, no i jakoś tak się zgadaliśmy. Z Warszawy wracaliśmy już jednym pociągiem i wtedy on spytał, czy nie poszłabym z nim na kawę. – Uśmiechnęła się smutno. – Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście. Nigdy nie byłam brzydula, ale nie należałam też do piękności. W najlepszym razie byłam zwyczajnie ładna. Za Krystianem oglądały się wszystkie dziewczyny, mógł mieć każdą, jednak wybrał mnie. Chodziliśmy ze sobą przez dwa miesiące, on przyjeżdżał do Żywca albo ja do Katowic. A we wrześniu zaszłam w ciążę...

– Nie myślała pani o aborcji?

Sądził, że Lucyna się oburzy, ale ona nawet się nie skrzywiła.

– Tylko przez chwilę. Dla Krystiana takie rozwiązanie nie wchodziło w grę. On pochodził z bardzo religijnej rodziny i zawsze traktował wiarę bardzo poważnie. Ja zresztą też się nie upierałam. Chyba nie bardzo zdawałam sobie wtedy sprawę, co to znaczy być matką. No i chciałam wziąć ślub, w białej sukni, w kościele, z najprzystojniejszym chłopakiem, jakiego kiedykolwiek widziałam... Głupie, wiem, ale w wieku osiemnastu lat człowiek ma jeszcze siano w głowie. Poza tym wszyscy wokół mnie skakali, podsuwali poduszki, pytali, jak się czuję, i zachwycali się, jaka piękna z nas para i jak świetnie sobie radzimy. Wcale nie radziliśmy sobie świetnie, ale bardzo chciałam w to wierzyć. Czułam się taka dorosła, taka wyjątkowa... Nie przeszkadzało mi nawet, że liceum musiałam skończyć wieczorowo. – Umilkła i potarła dłonią policzek. – Wiem, że myśli pan teraz o mnie mnóstwo nieprzyjemnych rzeczy. I większość z nich pewnie jest prawdą. Oboje byliśmy głupi, za młodzi na dziecko i popełniliśmy mnóstwo błędów. Ale kochaliśmy Kubę i żadne z nas nigdy by go nie skrzywdziło.

– W porządku.

– Kiedy wychodziłam za mąż, naprawdę wierzyłam, że moje życie będzie teraz wyglądało jak w bajce. Zwłaszcza że Krystian miał w sobie coś z księcia. Był tak perfekcyjny, że czasami to aż bolało.

– Dopiero potem przekonała się pani, że wcale perfekcyjny nie jest?

Znowu się roześmiała tym krótkim, pozbawionym wesołości śmiechem.

– Trochę, chociaż nie tak, jak pan to sobie pewnie wyobraża. Krystian naprawdę był... w porządku. Mówiłam już, że traktował swoją wiarę bardzo poważnie, starał się pomagać ludziom i o ile wiem, nigdy nikomu nie zrobił żadnego świństwa. Tylko że takich porządnych, miłych ludzi jest sporo i nikt ich nie uważa za ósmy cud świata.

– A Krystiana uważali?

Skinęła głową.

– Od małego. Był jedynym dzieckiem w rodzinie, w dodatku ładnym i zdolnym, dlatego wszyscy go rozpieszczali. A kiedy zaczął dorastać, to się przeniosło na wszystkich dookoła: kolegów i koleżanki w szkole, nauczycieli. I nie chodziło tylko o urodę: on miał w sobie coś, jakiś rodzaj charyzmy... Dlatego z każdego jego

drobnego gestu robił się niesamowity wyczyn. Na przykład w jego grupie była taka roztargniona dziewczyna, która ciągle czegoś zapominała: a to długopisu, a to zeszytu albo książki. No więc Krystian pożyczał jej różne drobiazgi, a ona chodziła potem i opowiadała, że mój mąż jest bohaterem, że znowu uratował jej życie. Niby mówiła to żartem, ale jednak nie do końca. A przecież on tylko pożyczył długopis, na litość boską, to nie wymagało żadnego wysiłku ani poświęcenia. I Krystian w pewnym momencie chyba po prostu uwierzył, że jest jakimś pieprzonym świętym. On miał... naprawdę spore możliwości, tak myślę. Ze swoją inteligencją, wiedzą i urokiem osobistym mógłby zrobić dużo dobrego. Ale człowiek święcie przekonany, że jest idealny, nie musi się już starać, prawda?

– Krystian Aleksandrowicz angażował się w politykę, wiedziała pani? Należał do ZChN-u.

– Wiem, mówił mi o tym w maju. Założę się jednak, że dawał tylko pieniądze różnym instytucjom dobroczynnym.

Chodura nie mógł zaprzeczyć, zresztą działalność charytatywna Aleksandrowicza nie miała większego znaczenia, spróbował więc skierować rozmowę na inny temat.

– Jak się układało wasze małżeństwo?

– Na początku dobrze. Jasne, mieliśmy problemy, jak każda para dzieciaków, która robi sobie trzeciego dzieciaka, ale kochaliśmy się i byliśmy przekonani, że chcemy być razem do końca życia. I że cokolwiek by się działo, to sobie poradzimy. A potem... – Wzruszyła ramionami. Głos miała coraz bardziej zmęczony, papieros dawno się wypalił i upadł na ścieżkę. – Skończyło się tak, jak się kończy większość nastoletnich miłości. Najpierw on przestał kochać mnie, a po jakimś czasie ja przestałam kochać jego.

– Krystian stał się nieprzyjemny, kiedy się odkochał?

Roześmiała się cicho, ale po raz pierwszy chyba szczerze.

– Wręcz przeciwnie. Zrobił się jeszcze bardziej uprzejmy. Wie pan, on naprawdę wierzył w te bzdury, że dopóki śmierć was nie rozłączy i takie tam. Dlatego czuł się winny, kiedy przestał mnie kochać, to było nie do pogodzenia nie tylko z jego wiarą, ale też z całą tą doskonałością. Nie potrafił zaakceptować, że w czymś zawiódł, że nie jest idealny. Dlatego długo udawał, że wszystko jest jak dawniej. Na początku dawałam się na to nabrać, ale potem, kiedy i mnie przeszło, już

wiedziałam. W gruncie rzeczy chyba nawet domyśliłam się szybciej niż on, że to koniec.

– I co wtedy?

– Nic, a co miało być?

– Zaczęliście się zastanawiać nad rozwodem?

Wrócił krótki, suchy śmiech.

– Zaproponowałam to Krystianowi, kiedy pojawiła się szansa, że dostanę pracę w Anglii. Powiedziałam, że możemy wyjechać razem albo ja pojedę z Kubą, jeśli woli zostać w Polsce. Ale dla niego ani jedno, ani drugie nie wchodziło w grę. Jego prawnicze wykształcenie nic tam nie znaczyło i musiałyby zaczynać od zera, a rozstanie się to przecież porzucenie dziecka, czyli coś absolutnie nie do zaakceptowania.

– Mogła pani wyjechać sama – zasugerował.

– I zostawić Kubę z Krystianem? W życiu. Byłam matką, może nie najlepszą, ale jednak matką. – Lucyna Pietrzak najwyraźniej uważała, że tylko ojciec mógłby porzucić dziecko.

– A kiedy Kuba zaginął, wzięli państwo rozwód, tak?

– Rozwód, a przy okazji też udało nam się uzyskać stwierdzenie nieważności małżeństwa – poprawiła go. – Zgodnie z prawem kanonicznym. Krystianowi bardzo na tym zależało.

– Na jakiej podstawie?

– Takiej, że pobraliśmy się w zbyt młodym wieku i nie mieliśmy właściwego rozeznania w naszych prawach oraz obowiązkach. Co zresztą było prawdą.

– Pani zaraz potem wyjechała, a Krystian ożenił się z Kaliną Jaworską?

– Nie tak zaraz, kilka miesięcy później.

– Wcześniej miał z nią romans?

– W sensie kiedy jeszcze byliśmy małżeństwem? Boże, nie. To byłoby wbrew wszystkim jego zasadom. Czasami flirtował z różnymi dziewczynami: z Kaliną, Różą, tą Halinką od długopisu i innymi, ale w zupełnie niewinny sposób. Tego jestem pewna. Krystian był w porządku, mówiłam już. Naprawdę. Miał swoje wady, jasne, ale niewiele znam ludzi, o których uczciwie mogłabym powiedzieć, że są lepsi od niego. – W jej głosie zabrzmiała odrobina tęsknoty.

– Żałowała pani, że się rozstaliście?

Uśmiechnęła się smutno.

– Żałowałam, że do siebie nie pasowaliśmy. Albo że nie spotkaliśmy się później, może wtedy wszystko wyglądałoby inaczej. Chociaż na dłuższą metę i tak pewnie nie miałabym szans. Kalina pasowała do niego znacznie bardziej. Ona też była wierząca i taka cholernie doskonała. Ich dzieci były doskonałe. Cała ta rodzina była doskonała.

– Dopóki nie dołączył do niej pani syn, prawda? Wtedy doskonałość się skończyła.

Spojrzała na niego zaskoczona i chyba urażona, jakby nagle podrapał ją ulubiony kotek.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Naprawdę?

Odwróciła się, zaciskając usta.

– Powiedziałam panu wszystko, co wiedziałam. Ja i Krystian rozstaliśmy się w zgodzie. Lubiłam Kalinę i nigdy nie było między nami żadnych konfliktów. Dziewczynki nazywały mnie ciocią.

– Czyli właściwie tworzyliście jedną wielką szczęśliwą rodzinę?

– Dogadywaliśmy się, to takie dziwne? A teraz chciałabym zobaczyć mojego syna.

Spojrzała już bez zmęczenia, za to z wyraźnym wyzwaniem, a Chodurze przeszło przez myśl pytanie, czy Lucyna zebrała w sobie ostatnie siły, czy może wcześniejsza rezygnacja tylko mu się przywidziała. Możliwe, że ta kobieta była znacznie twardsza, niż sądził.

– W porządku, chodźmy do Kuby – powiedział, wstając z ławki.

*

Podkowy smażyły się w gorącu letniego popołudnia. Wokół panowała cisza maćona bzyczeniem wielkich tłustych much, które krążyły wokół stojącej w ogrodzie sławojki. W powietrzu unosiła się zastarzała woń odchodów zmieszana ze świeżym zapachem trawy i kwitnących pod płotem róż. Na ścianie chylącej się

ku ziemi drewnianej chałupy widniał napis, wymalowany czerwonym jak krew sprejem:

TU STRASZY

Skinęłam powoli głową. Dom Stanisławy Wajdy z zamkniętymi brudnymi oknami i zapieczętowanymi drzwiami faktycznie wyglądał jak zatrzaśnięta pułapka więżąca w środku duchy przeszłości. Podeszłam bliżej i dopiero teraz zauważyłam, że ktoś zerwał pieczęcie. Zostały po nich powiewające na leciutkim, ciepłym wietrze paski papieru.

Wrona odchrząknął za moimi plecami.

– Dzieciaki – powiedział. – Przyjeżdżają z Bielska albo z Katowic i wchodzą do środka, a niektórzy nawet tu nocują. Taki rodzaj wyzwania.

– Z powodu duchów?

– Tak. Eee... wygląda na to, że tak. A nie jesteśmy w stanie upilnować tego domu, jest za daleko i...

– Do kogo to wszystko teraz należy?

Wzruszył ramionami.

– Wajda nie miała spadkobierców, czyli do państwa.

– A jej prywatne rzeczy?

– Książki zabrała biblioteka z najbliższej wsi, telewizor, część lepszych ubrań i sprzętów poszła do domu pomocy społecznej, a część pewnie została rozkradziona albo przez miejscowych, albo przez zbieraczy pamiątek. Był jeszcze kot, taki mały, chudy i na wpół dziki, ale jego też wzięła bibliotekarka. Powiedziała, że zwierzak jest bardzo młody i bez problemu da się oswoić.

– Inne rzeczy zostały w środku?

– Tak, meble i wszystko, co ciężko wynieść albo co i tak niewiele jest warte. Wejdziemy?

– Za chwilę.

Patrzył na mnie, wyraźnie zdziwiony, kiedy zawróciłam i wyszłam z powrotem na ledwie widoczną w trawie drogę. Po drugiej stronie stał kolejny dom, a nieco dalej trzeci, najbardziej zrujnowany, z zapadniętym dachem i płotem tak

przekrzywionym, że sztachety niemal dotykały ziemi. W obu ogródkach rozrosły się chaszczce – nie zwyczajne krzaki, ale splątane kolczaste zarośla jak z mrocznej baśni. Obie chaty miały puste, ciemne okna przypominające oczy martwego człowieka, na obu równie dobrze ktoś mógłby napisać TU STRASZY. Jakby z domu Stanisławy Wajdy wylała się trucizna i skaziła cały przysiółek.

Jeszcze kilkanaście lat temu Podkowy miałyby szansę. Jakieś młode małżeństwo z samochodem terenowym, zauroczone możliwością ucieczki od cywilizacji, mogłoby kupić jeden z tych domów i go wyremontować, a jeszcze lepiej po prostu zburzyć i zbudować nowy. Z czasem pojawiłaby się inna para, a potem dzieci, które bawiłyby się razem i dojeżdżały do szkoły. Ten przysiółek mógł żyć. Stanisława Wajda jednak skazała go na śmierć, na gasnącą egzystencję miejsc nawiedzanych przez duchy i żądnych wrażeń nastolatków z puszkami sprejów.

Pomyślałam o małym chłopcu, który siedział nad podręcznikiem do historii albo do geografii, a kiedy podnosił wzrok, widział przez okno, jak z każdym dniem wszystko wokół pochłania nieubłagana entropia. O dziecku, które marzyło, by wybiec na zewnątrz i bawić się wśród ruin i kolczastych chaszczy, bo to był jedyny świat, jaki znało.

Potem odwróciłam się i weszłam do domu Stanisławy Wajdy, a Wrona podążył za mną jak wierny pies.

*

Wnętrze chałupy okazało się tak proste, jak tylko mogło być: na parterze obszerna kuchnia z piecem i dużym drewnianym stołem, wokół którego stały trzy krzesła, obok pokój z podwójnym łóżkiem, ciężką szafą i opartym o bieloną ścianę krzyżem – ktoś zdjął go z gwoźdza i zamierzał najwyraźniej zabrać ze sobą, jednak zrezygnował. Nic dziwnego, krzyż sięgał mi do pasa i musiał ważyć dobre kilkanaście kilo. Masywny gipsowy Chrystus krzywił się w wyrazie nie tyle cierpienia, ile niesmaku, jakby wyjątkowo nie podobało mu się to, co widział.

Poszliśmy dalej w stronę schodów prowadzących na piętro. Szybko odgadłam, że dawniej znajdował się tam strych, który został przerobiony na małe pokoiki. Pod skośnymi ścianami stało proste pojedyncze łóżko, obok nocny stolik. Odruchowo wysunęłam szufladkę, ale okazała się pusta.

Wrona patrzył na mnie w napięciu, jakby się spodziewał, że lada moment wyciągnę z rękawa królika albo talię kart. Zaczynało mnie to irytować.

– Byłoby prościej, gdyby po prostu powiedział mi pan, o co chodzi. W Murowańcu zaczął pan coś mówić. Że Kuba odnalazł rodzinę mimo czegoś tam. No właśnie: mimo czego?

Przez wąskie, dawno niemyte okienko wpadał blask słońca, szary i mętny jak woda w brudnej rzece, a unoszące się w powietrzu drobinki kurzu przypominały strzępy popiołu ze spalonego domu. Twarz Wrony też wydawała się szara, ale może to było tylko złudzenie, gra światła i cieni, która wyostrzała mu rysy, sprawiając, że wyglądał jak znękany święty ze starej ikony.

– Piotrek... To znaczy Kuba nie chciał wracać do domu. Powiedział to swojej rodzinie zastępczej.

– Powiedział też, czemu nie chce wracać?

Przełknął ślinę. Cokolwiek to było, musiało go dręczyć od dłuższego czasu.

– Mówił, że jeśli wróci, stanie się coś bardzo złego.

– A wy go nie posłuchaliście.

Zacisnął usta.

– Myśleliśmy... To brzmiało jak zwyczajne obawy chłopca, który od bardzo dawna nie widział swojej prawdziwej rodziny. Każde dziecko na jego miejscu by się bało.

– I dlatego nie potraktowaliście Kubę poważnie.

– Dlatego nie potraktowaliśmy go poważnie, owszem. Zresztą to mógł być przypadek. To prawdopodobnie był przypadek. Kuba bał się wracać do domu z zupełnie zwyczajnych powodów i to nie miało nic wspólnego z morderstwem. Chyba nie sądzi pani, że chłopak naprawdę przewidział śmierć całej swojej rodziny?

Nie, ale ty tak sądzisz, pomyślałam, patrząc na jego ponurą, udreńczoną twarz. Nie chcesz wierzyć, odpychasz od siebie tę myśl z całą siłą, na jaką cię stać, jednak ona ciągle wraca.

– Ale nie dlatego przyprowadził mnie pan tutaj, prawda? Jest coś jeszcze, czego pan nie powiedział.

Skinął wolno głową.

– Tak, jest coś jeszcze. Chciałbym jednak, żeby pani sama do tego doszła.

Westchnęłam, nadal trochę zirytowana, a trochę rozbawiona.

– Co mam robić?

– Cokolwiek pani zechce. Rozejrzeć się, pochodzić po tym domu. Pomyśleć.

Rozejrzałam się, ale niewiele to dało. Nic w pokoju nie zdradzało, do kogo mógł należeć i kto w nim sypiał. Kuba, jeśli zasłużył? Stanisława, na przykład latem, jeśli w pokoju na dole, znajdującym się za ścianą z piecem, było zbyt gorąco? A może nikt, może ten pokój stał pusty od czasów, gdy dom należał do dziadka Wajdy?

Zeszłam na dół po wąskich, stromych schodach: tych samych, z których Kuba zepchnął swoją porywaczkę. Zrobiło mi się nieswojo, kiedy o tym pomyślałam. Dudnienie staczającego się ciała, chrupnięcie czaszki uderzającej o kant stopnia – tak właśnie musiało to brzmieć. Ten wyobrażony dźwięk wydał mi się w pewien sposób gorszy od dźwięku, który mogłabym usłyszeć naprawdę, tak jak duchy zawsze wydają się straszniejsze od prawdziwych martwych ciał. Ten dom niewątpliwie miał w sobie coś niesamowitego, ślady dawnej tragedii: dźwięki, obrazy, strzępy starych emocji zdawały się unosić w powietrzu i czepiać ścian jak wiotkie nitki pajęczyn.

Weszłam do kuchni i pod czujnym okiem Wrony zaczęłam przetrząsać kredens. Znalazłam kilka zardzewiałych sztuczków, dwa wyszczerbione talerze i kubek z odłamanym uszkiem, malowany w motyw splatających się kwiatów. Trzy podstawki pod kubki – na każdej z nich widniała głowa górala w charakterystycznej czapce i z fajką, pokryty kamieniem czajnik i resztką soli w pojemniku na przyprawy. Garnki i patelnie ktoś zabrał, został tylko malutki garnuszek z przypalonym dnem. W jednej z szuflad odkryłam stary, poszarzały bandaż elastyczny, opakowanie plastrów na odciski i pudełko maści tygryziej – okazała się przeterminowana, ale kiedy zdjęłam wieczko, w kuchni i tak rozszedł się ostry ziołowy zapach.

W drugiej szufladzie trafiłam na parę ogryzków kredek i dwa ołówki – tylko jeden był wystarczająco długi, by dało się go utrzymać w palcach. Obok leżał pozbawiony wkładu długopis i notesik z trzema ostatnimi kartkami.

Wrona miał minę dziecka, które nie znalazło pod choinką oczekiwanego prezentu.

– W tej szufladzie była jeszcze talia kart – powiedział. – A kubki w szafkach, talerze i inne takie były... Było ich więcej.

– Czyli nie mam szans się dowiedzieć, o co chodzi, tak? Harcerska zabawa w szukanie tropów nie wypaliła, bo ktoś ukradł tropy.

– Na to wygląda – bąknął.

Zrobiło mi się go żal. Zresztą domyślałam się już, o co chodziło. Powiedziało mi o tym wahanie przed „było ich więcej”, jakby Wrona w pierwszej chwili chciał wymienić konkretną liczbę.

– A może mam jeszcze szansę, co?

Wyjęłam z szuflady notesik i dłuższy ołówek. Na kartce z wierzchu widniały płytkie wyłobienia świadczące o tym, że na poprzedniej stronie ktoś pisał, mocno przyciskając długopis. Potarłam ją stępioną końcówką dłuższego ołówka. Stara sztuczka znana każdemu dzieciakowi zadziałała i tym razem: na kartce pojawił się zarys wypełnionej cyframi tabelki, podzielonej na trzy rubryczki podpisane kolejno literami: S, P i M.

– Grali w tysiąca – powiedziałam. – W trzy osoby. M wygrał.

Wrona, który do tej pory patrzył mi na ręce jak zahipnotyzowany, skinął głową.

– Ostatnim razem znalazłem w szafce trzy nowe kubki. No, w miarę nowe. I trzy podstawki pod kubki. I trzy miseczki. Wajda miała sporo starych naczyń, chyba jeszcze po dziadku, ale te nowe, ładne, wszystkie były potrójne.

– Kupowała je dla siebie, Kuby i dla kogoś jeszcze, kto tu bywał, grał z nimi w karty, pił herbatę i może nawet zostawał na obiad. – Postukałam palcem w kartkę. – Jeśli S to Stanisława, a P oznacza Piotrka, to imię tej dodatkowej osoby zaczyna się na M. Pytał pan Kubę o tego człowieka?

– Nie. Kiedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że ktoś jeszcze mógł tutaj bywać, Kuba mieszkał już ze swoim ojcem, a śledztwo zostało oficjalnie zamknięte. Trudno byłoby otwierać je ponownie z powodu takiego głupstwa.

– Mógł pan porozmawiać z chłopcem nieoficjalnie.

– Myślałem o tym, ale nie chciałem mu przypominać, co przeszedł. Dlatego uznałem, że to właściwie nie ma znaczenia. Może Wajda kupowała po trzy sztuki wszystkiego na wszelki wypadek, gdyby jedna się stłukła albo coś w tym rodzaju. To miało... To wyglądało, jakby miało sens. Dopiero kiedy się dowiedziałem o morderstwach...

Wtedy zaczęłam się zastanawiać, czy gdybyś wcześniej poinformował kogoś o swoich podejrzeniach, Aleksandrowiczów można by ocalić. Nie powiedziałam tego na głos, bo została mi w sercu jeszcze odrobina litości.

– Jeśli Wajdę ktoś odwiedzał, to znaczy, że nie działała sama. Miała współnika – może od początku, a może dopiero od pewnego momentu. Kogoś, kto pilnował razem z nią chłopca albo nawet pomagał jej go porwać.

– Kogoś, kogo Kuba się bał na tyle mocno, żeby nie pisać na jego temat ani słowa – dorzucił Wrona.

– Albo odwrotnie: możliwe, że chłopak bardzo tego człowieka lubił i próbował go chronić. Musimy pamiętać, że Kuba nie postrzegał Wajdy jako agresora, tylko matkę. Nawet kiedy ją zabił, nadal za nią tęsknił. Ta osoba też mogła być kimś w tym rodzaju, na przykład substytutem ojca.

– Myśli pani, że to mężczyzna?

Wzruszyłam ramionami.

– Wajda twierdziła, że kogoś poznała. Myślałam, że to tylko wykręt, żeby usprawiedliwić rezygnację z pracy, ale mogła mówić prawdę. Sprawdziliście w tym domu odciski palców?

– Nie – przyznał z ociąganiem. – Nie sądziliśmy, że to potrzebne, a śledztwo bardzo szybko zostało umorzone. Wszystko było... wydawało się oczywiste. Zwłaszcza że Kuba nigdy nie wspominał o jeszcze jednej osobie.

A teraz jakiegokolwiek sprawdzanie nie miało sensu, bo od śmierci Wajdy bywały w tej chałupie tabuny nastoletków. Westchnęłam ciężko.

– Zajrzyjmy jeszcze do piwnicy – zaproponowałam.

Skinął głową, wyraźnie wdzięczny za zmianę tematu. Poprowadził mnie w stronę drzwi, które znajdowały się pod wiodącymi na strych schodami, wyjął z plecaka latarkę i zapalił ją. Zeszliśmy w głąb, dziesięć stopni, zimna, wilgotna ciemność połknęła nas i nasze wątłe światło, jakbyśmy byli Jonaszem zsuwającym się gładko do żołądka wieloryba. Piwnica okazała się malutka, o wymiarach może trzy metry na trzy. I całkowicie pusta, jeśli nie liczyć kałuży stearyny na podłodze, puszki po konserwie turystycznej w kącie i pokrywających ściany napisów: „Seba tu był”, „Kasia i Maciek”, „Paulina to zdzira”.

Poczułam się lepiej, widząc te bzdurowe nastoletnie wyznania, choć nadal nie do końca dobrze. Teraz dla odmiany odniosłam nieprzyjemne wrażenie, że ta piwnica

śmieje się ze mnie, jakby założyła niewinną maskę, a jednocześnie prowokowała, bym poznała jej tajemnice. Miałam przeczucie, że jest tu coś, czego nie dostrzegam, co wszyscy przegapili.

– Leżący pod ścianą materac zatrzymaliśmy jako dowód. A w tym miejscu – pokazał wystający ze ściany żelazny hak – wisiał łańcuch. Też go zabraliśmy. Poza tym w kącie stało wiadro na odchody.

– Jakież ślady krwi?

– Trochę na materacu i nieco więcej na obrożu. Grupa A+, czyli taka, jaką ma Kuba.

– Ale nie sprawdziliście DNA, prawda?

Wrona nie kłopotał się odpowiedzią. Jasne, że nie sprawdzili. Takie badania sporo kosztowały. Nikt nie zleciłby ich w przypadku tak prostej, oczywistej sprawy.

Ze ściany spoglądał na mnie wydrapany w cegle koślawy napis SIEDZIELI TU RAZEM. Pewnie Kasia i Maciek, uznałam, albo Ania i Zosia, Tomek i Adam. Jakakolwiek para nastolatków. Z jakiegoś powodu jednak pomyślałam o Oldze Sawczenko, uparcie twierdzącej, że wraz z Kubą w piwnicy mieszkało zło, które poszło potem za chłopcem do nowego domu.

Głupstwo, oczywiście. Jedyne zło, w jakie wierzyłam, miało ludzką twarz.

– Chodźmy stąd. – Udało mi się sprawić, że mój głos zabrzmiał niemal lekko, niemal swobodnie. – Tu nie ma nic ciekawego.

*

– Nie rozumiem, dlaczego nie mogę wejść. To wolny kraj, prawda? Mam prawo odwiedzać, kogo chcę. – Dziewczyna o cygańskiej urodzie stała naprzeciwko tęgiego policjanta w mundurze, hardo zadzierając głowę. Sięgała mu ledwo do brody, wyglądała jednak tak, jakby w każdej chwili mogła go uderzyć. Ciemne oczy ciskały błyskawice, a dłonie zaciśnięte były w pięści.

– Ale nie może pani odwiedzać tego konkretnego pacjenta. – Gliniarz z kolei sprawiał wrażenie zakłopotanego, jak ktoś, kto najchętniej schowałby się w mysiej dziurze i przeczekał całą tę awanturę.

– Niby czemu?

– Bo tak.

Dziewczyna parsknęła, a Wojtek Chodura, który obserwował scenę z odległości połowy szpitalnego korytarza, przyspieszył kroku.

– Co tu się dzieje? – zapytał, czując na karku oddech idącej za nim Lucyny Pietrzak. – Kim pani jest?

– Sylwia Ochocka.

– Córka właściciela Bajecznej?

– Aha. – Spojrzała podejrzliwie, najwyraźniej skonsternowana faktem, że ktoś ją rozpoznał. – A pan kim jest?

– Starszy aspirant Wojciech Chodura. – Pokazał jej legitymację, a dziewczyna spokorniała odrobinę.

– Chciałam odwiedzić Kubę – mruknęła. – Przecież to żadne przestępstwo, nie?

– Znacie się?

Wzruszyła ramionami.

– Tak sobie. Rozmawialiśmy parę razy. Ale Kuba jest w porządku. Dlatego pomyślałam, że po tym wszystkim, co się stało, przydałoby mu się towarzystwo.

Chodura pomyślał, że ta dziewczyna jest albo bardzo odważna, albo bardzo naiwna. Stawiał na to drugie. Sylwia prawdopodobnie nie miała pojęcia, co to znaczy pocieszać kogoś, kto przeżył tak wielką traumę. Wydawało jej się pewnie, że wizyta będzie wyglądała jak odwiedziny u cierpiącego na gripę kolegi, którego można zabawić rozmową o tym, co słychać w szkole. Ostatecznie jednak to nie była jego sprawa. Zerknął na Lucynę Pietrzak, a ta lekko, prawie niedostrzegalnie skinęła głową.

– W porządku, pozwolę pani zobaczyć się z chłopakiem. Tylko przez kilka minut. I najpierw wejdzie tam jego matka.

Sylwia obrzuciła Lucynę Pietrzak nieufnym spojrzeniem.

– Pani jest jego matką?

– Tak, jestem matką Kubę.

Albo mu się zdawało, albo w głosie kobiety naprawdę zabrzmiało rozbawienie. Ulotne jak błysk słońca w pochmurny dzień, jednak to wystarczyło, by Chodura nabrał przekonania, że mimo całego tego koszmaru wszystko jeszcze może być mniej więcej dobrze.

*

Po wilgotnym chłodzie piwnicy panujący na zewnątrz upał uderzył nas jak bokser wyprowadzający celny cios w twarz. Słońce powoli zachodziło, ale temperatura wciąż musiała oscylować w granicach trzydziestu stopni. Odgoniłam krążącą wokół, ogłupiałą od gorąca muchę i usiadłam na cembrowinie starej studni – wystarczająco daleko, by nie czuć dolatującego ze sławojki zapaszku. Wrona usiadł obok. Zapaliliśmy po papierosie: rytuał, który połączył nas na krótką chwilę. Nadal byłam na niego zła, że nie sprawdził odcisków palców, a on prawdopodobnie widział we mnie czepiającą się, niesympatyczną babę, ale chwilowo przynajmniej nie miało to znaczenia.

– Dlaczego pytała pani o badania DNA? – zapytał, zaciągając się dymem. – Przecież...

– Przecież co? Wiadomo, że w piwnicy siedział Kuba? Bo to taka prosta, oczywista sprawa?

Skrzywił się i atmosfera porozumienia zniknęła, zagubiona gdzieś między gorącym sierpniowego popołudnia, bzyczeniem buszujących w trawie owadów i zapachem kwitnących róż.

– Jeśli nie on, to kto?

– Nie mam pojęcia – przyznałam. – Ale zastanawiam się, czemu po dwunastu latach Wajda kupiła ten łańcuch z obrozą. Tak, wiem – dodałam, zanim zdążył otworzyć usta – chłopak dorastał i zaczynał się buntować. Może. Tylko właściwie nic na to nie wskazuje, prawda?

– Zabił ją, na litość boską.

– Owszem, ale bardziej przez przypadek niż z premedytacją. Nawet kiedy go zaatakowała, starał się nie zrobić jej krzywdy. Odepchnął ją tylko, a ona spadła ze schodów, skręciła kark i rozwaliła sobie głowę. Chyba że się mylę i Wajda miała na ciele więcej obrażeń?

– To jeszcze nie świadczy...

– Mieszkał z tą kobietą od piątego roku życia. Podkowy były jedynym światem, jaki znał, Wajdę uważał za matkę, a po jej śmierci wykazywał oznaki przygnębienia i poczucia winy. Czy tak trudno założyć, że Kuba wcale nie chciał uciekać, że był swojej porywaczce całkowicie podporządkowany? Że nie mieszkał już nawet w piwnicy, tylko w pokoju na stryszku, ponieważ Wajda mu ufała? Że

piwnicę i łańcuch przeznaczyła dla kogoś innego, jakiegoś świeżego nabytku, który wiedział, co to wolność, i wciąż wierzgał?

– Naprawdę pani w to wierzy?

– Nie – westchnęłam, gasząc papierosa. – Prawdopodobnie wszystko wyglądało tak, jak pan mówi. Ale mimo to... – Urwałam, bo Wrona znowu miał ten niepewny, zagubiony wyraz twarzy. – O co chodzi? Jeśli jeszcze coś spieprzyliście, wolałabym o tym wiedzieć teraz.

– Tym razem to nie my. Posterunkowy, który jako pierwszy trafił na miejsce zbrodni, nie zszedł do piwnicy. Widział otwarte drzwi, ale uznał, że nie będzie zaglądał do środka, żeby nie zatrzeć ewentualnych śladów. Teoretycznie więc...

– Ktoś mógł tam wtedy być.

– Tak, ale to przecież bez sensu. Jak ten ktoś by się uwolnił, skoro na szyi miał żelazną obrozę?

– Racja, to zupełnie bez sensu.

Wrona spodziewał się chyba, że jeszcze coś dodam, ja jednak milczałam. Wystawiałam twarz do słońca, doskonale świadoma, że być może to ostatnia taka okazja i że jesień, która mnie czeka, będzie długa, ciężka i bardzo, bardzo zimna.

*

– Proszę pana? To znaczy... panie komisarzu? – Sylwia dogoniła go w połowie korytarza. Po wyjściu z pokoju Kuby była wyraźnie bledsza, ale trzymała się nieźle i Chodura poczuł nawet odrobinę podziwu. Spodziewał się, że dziewczyna wypadnie stamtąd cała we łzach.

– Nie jestem komisarzem, tylko aspirantem.

– Aha. Wszystko jedno. W każdym razie to pan się zajmuje śledztwem w sprawie tego morderstwa? Razem z tą starszą panią, tak?

– Owszem. – Wzdrygnął się na myśl, jaką minę miałyby Krystyna, gdyby się dowiedziała, że dwudziestoletnia siksa nazywa ją „starszą panią”.

– Ona mi dała swoją wizytówkę i powiedziała, żebym się odezwała, jak coś sobie przypomnę. Próbowałam dzisiaj dzwonić przez cały dzień, ale ciągle coś mnie rozłączało.

– Komisarz Lesińska miała pewne problemy z zasięgiem – powiedział dyplomatycznie. – Rozumiem, że pani sobie coś przypomniała?

– Tak jakby. To znaczy wiedziałam o tym już wcześniej, tylko wydawało mi się, że to nic ważnego. No i nie chciałam robić tej dziewczynie problemów. Dopiero potem pomyślałam, że powinnam wam powiedzieć, przecież nie uznacie jej za mordercę...

– Jej, czyli kogo?

– Dziewczyny z lasu. Widziałam ją tamtego dnia rano, kiedy rodzina Kuby została zamordowana.

– O której godzinie i gdzie konkretnie?

– Koło dziesiątej, jakieś półtora kilometra od leśniczówki, w dół strumienia. – Odpowiedź była szybka i precyzyjna. – Wiem, że to pewnie nic nie znaczy, bo w końcu każdy mógł wyjść na spacer do lasu, ale...

– Dobrze pani zrobiła, że nam o tym powiedziała. – Sylwia miała rację, to prawdopodobnie nic nie znaczyło. Nieznajoma znajdowała się trochę za daleko, nie mówiąc już o tym, że Aleksandrowiczowie prawie na pewno nie zginęli z ręki dziewczyny. Odruchowo jednak zapewnił świadka, że jego zeznania mogą być ważne, tak jak to robił za każdym razem, niezależnie czy ludzie przynosili mu istotne informacje czy śmieci. – Jak ta dziewczyna wyglądała?

– Nie wiem, widziałam ją tylko z daleka.

– Ale jest pani pewna, że to dziewczyna? Nie mężczyzna ani starsza kobieta?

– No, miała na sobie krótką sukienkę. I ruszała się jak ktoś młody.

– Coś jeszcze może mi pani o niej powiedzieć? Wzrost, kolor włosów? Cokolwiek?

– Ani wysoka, ani jakoś specjalnie niska. Włosy też chyba takie średnie, bo wydaje mi się, że na bardzo jasne albo bardzo ciemne zwróciłabym uwagę. W sumie widziałam głównie sylwetkę w czerwonej sukience.

– Co ta dziewczyna robiła?

Sylwia wzruszyła ramionami.

– Chodziła tam i z powrotem wzdłuż strumienia, jakby na kogoś czekała. To właśnie mi się wydawało trochę dziwne, bo gdybym ja się umówiła z kimś w lesie,

tobym stała na ścieżce, a nie w krzakach. No ale to nie moja sprawa. Nie myślałam o tej dziewczynie, po prostu ją zauważyłam i poszłam swoją drogą.

– W porządku, dziękuję.

– Wiecie już, kto to zrobił?

– Kto zabił tę rodzinę?

Skinęła głową, jej oczy płonęły niecierpliwym oczekiwaniem. Sylwia mogła mieć słabość do Kuby, nie zmieniało to jednak faktu, że śmierć Aleksandrowiczów prawdopodobnie była najbardziej sensacyjnym wydarzeniem w całym jej krótkim życiu.

– Śledztwo jest w toku – odparł, po czym dodał szybko, bo dziewczyna już nabierała w płuca powietrza: – Podrzucić panią dokądś? Będę po drodze przejeżdżał przez Rudnik, mogę panią zabrać.

– Nie, dziękuję. Chcę jeszcze zajrzeć do mamy. – Sylwia nachmurzyła się i parsknęła nagle jak rozzłoszczony kot. – Ona miała wypadek, słyszał pan może czy ma pan to gdzieś? O ludziach, którzy w nią wjechali, też pan pewnie nic nie wie?

*

Pod moją nieobecność w mieszkaniu przebywała jakaś kobieta. Wyczułam jej perfumy w dużym pokoju i w łazience – jaśminowy zapach, który wydawał się odrobinę zbyt ciężki jak na młodą dziewczynę, ale co ja tam wiedziałam. W kuchni na suszarce leżały dwa starannie umyte kubki, dwa talerze i dwa zestawy sztućców. Cóż, tym razem przynajmniej tropy były bardzo wyraźne, tę harcerską zabawę z pewnością bym wygrała.

Adam patrzył na mnie, oparty o futrynę. Nie miał na sobie nic poza bokserkami w kaczuszki, a ja zastanowiłam się przelotnie, czy właśnie kładł się spać, przed chwilą wstał, czy może po prostu spędził tak cały dzień. W jego przypadku wszystkie trzy możliwości były równie prawdopodobne.

– Jest coś na obiad? – zapytałam.

Wzruszył ramionami.

– Nie. Myślałem, że zjesz coś po drodze. Ja jadłem pizzę na wynos.

– W porządku. – Nastawiłam wodę na kawę i zrobiłam sobie parę szybkich kanapek z resztką podsychającej w lodówce wędliny. Ostatni posiłek jadłam jeszcze w Murowańcu i zdążyłam od tego czasu zgłodnieć.

– Znalazłaś to, czego szukałaś?

– Pytasz o postępy w śledztwie?

– Pytam o wujka Romana.

– Nie pojechałam tam, żeby szukać wujka Romana.

Poczęstował mnie kolejnym wzruszeniem ramionami. Jasne, że pojechałaś, mówił jego gest. Przypomniałam sobie tamtą chwilę na łące, kiedy schodziliśmy z Murowańca. Czy coś wtedy znalazłam? Czy świadomość, że miało się coś ważnego, a potem się to straciło, liczy się jako ślad?

Mój syn szczęśliwie dał mi spokój i zniknął w głębi swojego pokoju, skąd wydobywał się jeszcze bardziej duszący zapach kwiatowych perfum. Kimkolwiek była jego tajemnicza dziewczyna, musiała mieć wielką słabość do jaśminu.

Wypiłam kawę i kończyłam właśnie drugą kanapkę, kiedy zadzwonił telefon.

31 sierpnia 1999 roku

Bartka Koziarskiego i Szymona Borunia łatwo było postrzegać jako ludzi, którzy nigdy nie mieli szans. Koziarski po raz pierwszy zwrócił na siebie uwagę opieki społecznej w piątej klasie podstawówki, gdy wymuszał na kolegach, aby oddawali mu kanapki, a poza tym śmierział tak paskudnie, że nikt nie chciał siedzieć z nim w ławce. Kilka miesięcy później jego matka została oficjalnie pozbawiona władzy rodzicielskiej – czego przez opary alkoholu prawdopodobnie nawet nie zauważyła – a chłopiec rozpoczął wędrowkę po domach dziecka i rodzinach zastępczych. Z ostatniego miejsca uciekł, kiedy miał piętnaście lat, wrócił do matki i zamieszkał w nieogrzewanym garażu. Jego rodzicielka wciąż nie wykazywała najmniejszej chęci zajęcia się dzieckiem, teraz jednak nie miało to już znaczenia, ponieważ Bartek świetnie radził sobie sam. Od tego czasu kilkakrotnie ukarano go za włamanie, pobicia i rozbój, a także niepłacenie alimentów, ponieważ w wieku dziewiętnastu lat dorobił się dwójki dzieci. Jego bliźniaki – nie wątpiłam w to ani przez chwilę – za kilkanaście lat znajdą się dokładnie w tym samym miejscu, w którym tatuś był teraz.

Rok młodszy Szymek sytuację rodzinną miał zdecydowanie lepszą. Ojca co prawda nie znał, a matka narkomanka dwa tygodnie po porodzie ruszyła w Polskę, trudu wychowania dziecka podjęła się za to babcia. Nie miałam okazji jej poznać, jednak z przejrzanym pobieżnie akt wyzierała porządna kobieta: jedna z tych, które dziergają dla wnuczka szaliczki, podsuwają mu zupki, prowadzą do kościoła i cierpliwie tłumaczą, czemu Pan Jezusek nie lubi, kiedy niegrzeczni chłopcy używają słów „dupa” i „chuj”. Niestety, wnuczek w wieku szesnastu lat wpadł w złe towarzystwo – a może zwyczajnie odezwały się w nim geny matki narkomanki i nieznanego ojca – bo droga, jaką od tego momentu przeszedł, zaskakująco przypominała drogę Koziarskiego. Z tą różnicą, że Szymon dzieci nie miał, był za to karany za gwałt na trzynastoletniej dziewczynce – udało mu się

uniknąć więzienia tylko dlatego, że w chwili popełnienia przestępstwa nie ukończył jeszcze siedemnastu lat. Gdyby nie ten gwałt, mogłabym się wykazać odrobiną zrozumienia, a może nawet, gdybym miała wyjątkowo dobry dzień, potrafiłabym mu współczuć. Teraz jednak czułam tylko bezsilny gniew: na tych chłopaków o tępych twarzach, którym wyrządzono zło i którzy w odwecie wyrządzali zło innym, na system, który nie potrafił wyprostować ich życia, na wszystko wokół.

Koziarski i Boruń siedzieli w osobnych pokojach: ten pierwszy rozwalony na krześle w pozie mającej zapewne pokazać nam, jak bardzo jest wyluzowany, a drugi, kręcąc się nerwowo za stołem. Ja i Wojtek obserwowaliśmy ich przez szyby niczym para dzieciaków gapiących się na wystawę sklepu z cukierkami.

– Którego z nich bierzemy najpierw? – zapytał Wojtek. Oczy błyszczały mu podnieceniem, jakie ogarnia psa myśliwskiego, gdy wie już, że za chwilę dopadnie zwierzynę. Bardzo chciałabym czuć się podobnie, nie potrafiłam jednak wykrzesać z siebie entuzjazmu.

– Tego nerwowego – zdecydowałam. – Spokojny niech jeszcze trochę dojrzeje.

Oddałam teczkę Koziarskiego stojącej obok policjantce i weszliśmy do pokoju. Boruń podskoczył na nasz widok, jakby miał sprężyny wmontowane w tyłek, a jego oczy rozszerzyły się gwałtownie. W przeciwieństwie do wyluzowanego kumpla był chyba wystarczająco inteligentny, by wiedzieć, że tym razem nie skończy się na wyroku w zawieszeniu albo kilku miesiącach paki, teraz to już poważna sprawa.

Przeszliśmy przez formalności, Wojtek włączył magnetofon i rozpoczęliśmy przesłuchanie.

– Wiesz, dlaczego tu jesteś, prawda? – zaczęłam. Siedzący naprzeciwko mnie chłopak zamrugał nerwowo. Miał dwadzieścia dwa lata, ale wyglądał na siedemnaście, był chudy, z wystającymi żebrami i łokciami, pryszczem nad górną wargą, wodnistymi oczami i ogólnym urokiem końskiej kupy. Brzydki, choć nie bardziej niż wielu innych znanych mi dwudziestolatków – nie żeby to cokolwiek tłumaczyło czy tym bardziej usprawiedliwiało. Dziewczynka, którą zgwałcił, trzy miesiące później próbowała się powiesić w szkolnej toalecie – tę informację też znalazłam w aktach. Odsunęłam od siebie podobne myśli, starając się zachować profesjonalizm. Nie przyszło mi to łatwo.

Boruń oblizwał wargi, uciekł spojrzeniem w kąt i wrócił do nas.

– Przez tę cipę, co nam wyskoczyła pod koła, tak?

Wojtek chrząknął.

– Na twoim miejscu bym się zastanowił, czy naprawdę chcesz używać takich określeń.

Chłopak gapił się bez zrozumienia, dopiero po chwili coś w nim zaskoczyło. Myślałam jeszcze, że będzie zgrywał chojraka, ale nie: spuścił wzrok i wymamrotał „przepraszam”. Nie podejrzewałam go o poczucie winy, raczej o rozwinięty instynkt samozachowawczy, co zresztą potwierdził chwilę później, gdy dodał: „Myśmy przecież niczego nie zrobili, nie? Ona żyje”.

– Żyje, ale za spowodowanie poważnego uszczerbku na zdrowiu i tak możecie dostać parę lat. Na waszym miejscu bym się tym jednak nie martwiła. Macie znacznie poważniejszy problem.

– Co? – Rozdziawił usta, ale patrzył czujnie. Wiedział, o czym mówię, byłam tego prawie pewna.

– Opowiedz mi o poranku dwudziestego szóstego sierpnia. Co wtedy robiliście?

– Przecież pani mówiła. Potrąciliśmy tę babkę na rowerze. Nie chcieliśmy, ale tak wyszło. Środkiem drogi jechała. To nie nasza wina.

– Moglibyśmy o tym dyskutować, gdybyście się wtedy zatrzymali, żeby jej pomóc.

– No ale żyje, nie? – powtórzył, najwyraźniej przekonany, że skoro ofiara przeżyła, to nikt nie może go winić.

Westchnęłam.

– Zostawmy na razie tamten wypadek i skupmy się na dwudziestym szóstym sierpnia. Jechaliście w stronę Rudnika, zgadza się?

Wróciła czujność.

– No. Z imprezy wracaliśmy.

– I gdzie ta impreza była?

– W lesie.

– W lesie?

Skinął głową.

– W bunkrze. Taka prywatna impreza, z winkiem i wódeczką, pani rozumie. Nic złego nikomu nie robiliśmy.

– My, czyli kto?

– Ja, Koza, to znaczy Koziński, i Sabina z Moniką. Takie dwie laski.

– Ich nazwiska?

Musiał się chwilę zastanowić, ale w końcu podał nam i nazwiska, i adresy.

– Były potem z wami w samochodzie? – zapytałam.

– Nie, szybko się zmyły.

Otworzył usta, jakby chciał dodać coś jeszcze, na przykład „głupie cipy” – niemal widziałam słowa drgające na jego wargach – jednak się powstrzymał. Mądry chłopak. Głupi jak stołowa noga, ale pod pewnymi względami jednak mądry.

– Zostaliście w takim razie sami i piliście alkohol, tak?

– No. Najebaliśmy się. – Zawahał się i poprawił grzecznie: – Narąbaliśmy.

W tym momencie – w innych okolicznościach, innym czasie i miejscu – mogłabym poczuć do tego chłopaka odrobinę sympatii.

– I co dalej?

– Nic. Jak żeśmy się obudzili, to wsiedliśmy w auto i pojechaliśmy.

– W bagażniku samochodu należącego do Kozińskiego była kamera wideo. Skąd ją macie?

– Znaleźliśmy.

– Gdzie?

– W lesie.

– Gdzie konkretnie w lesie?

Język znowu omiótł wargi pospiesznym ruchem, co przywodziło na myśl oblizującą się jaszczurkę.

– Nie pamiętam. Po prostu w lesie.

– Tak zwyczajnie sobie leżała i czekała, aż ją podniesiecie? Nikogo w pobliżu nie było?

– No. Znaczący nie było. Tak po prostu leżała.

Nie umiał kłamać, ale miał instynkt samozachowawczy, o czym już wiedziałam, i ten instynkt kazał mu się trzymać wersji, którą Boruń uznał za najbezpieczniejszą.

– A jak wyjaśnisz krew na waszych ubraniach?

– Co? – Tym razem „co?” wyraźnie wynikało z potrzeby zyskania czasu. Jeśli wcześniej miałam jeszcze jakieś wątpliwości, czy chłopak wie, o czym mówię, teraz się ich pozbyłam.

– Nie zgrywaj idioty. Znaleźliśmy zakrwawione ubrania, twoje i Koziarskiego, w szopie domu należącego do twojej babci. Pamiętasz ten dom? I pamiętasz babcię? Zmarła pół roku temu. Jej szczęście, bo pewnie nie ucieszyłaby się z tego, co wyprawia wnuczek. Próbowaliście spalić te ubrania, ale nie do końca wam wyszło, dlatego zakopaliście je w sianie. Na tych resztkach jest jeszcze wystarczająco dużo krwi, żebyśmy mogli stwierdzić, do kogo należała.

– To moja krew. Zarzyłem koguta i się pobrudziłem.

– Wiesz, że bardzo łatwo odróżnić krew zwierzęcą od ludzkiej?

– Może moja krew też tam była. Zaciałem się w palec.

– A Koziarski? Też zarzył z tobą koguta i się zaciał?

Skończyły mu się pomysły, więc wzruszył ramionami.

– To moja krew – powtórzył.

– O ile zakład, że Sabina i Monika zidentyfikują te ubrania jako te, które mieliście na sobie wieczorem dwudziestego piątego sierpnia? I o ile zakład, że krew nie będzie należała ani do żadnego z was, ani do koguta? I kamera. Jest rozbita, ale teraz mamy sposoby, żeby odzyskiwać dane nawet z bardzo zniszczonych urządzeń. Powiedzieć ci, co będzie na nagraniu? Albo może raczej kto. Nazwisko Aleksandrowicz coś ci mówi?

Twarz chłopaka barwą przypominała świeżo wyciśnięty ser.

– Nie.

– Naprawdę? Jakim cudem? Przecież o morderstwie w Pogańskim Młynie trąbi cała Polska.

– My nie...

– My nie co?

– Nie byliśmy w leśniczówce.

– Jesteś pewien? Gdzie robiliście tę imprezę?

– W lesie, mówiłem. W bunkrze.

– Ale gdzie ten bunkier dokładnie jest? Nie pamiętasz? To ja ci przypomnę, bo go znaleźliśmy razem ze wszystkimi śmieciami, jakie po sobie zostawiliście. I wiem też, gdzie zaparkowaliście samochód, bo kilka osób widziało go wieczorem dwudziestego piątego i rano dwudziestego szóstego sierpnia. Gdybym wzięła mapę i narysowała prostą linię od miejsca waszej imprezy do samochodu, to ta linia przechodziłaby dokładnie przez Pogański Młyn. A ty mi wmawiasz, że w drodze powrotnej nawet nie zahaczyliście o leśniczówkę?

Chłopak milczał, grube krople potu spływały mu po bladym czole.

– Powiem ci, co się stało – podjęłam już spokojniejszym tonem. – A ty mi powiesz, czy mam rację. Rano dwudziestego szóstego sierpnia...

*

– Rano dwudziestego szóstego sierpnia wciąż byli pijani i wkurzeni, bo nawiąły dziewczyny, które zamierzali przelecieć – powiedział Wojtek, kiedy siedzieliśmy w naszym pokoju. Zdążyliśmy już przesłuchać też Koziarskiego, z którego wyciągnęliśmy jeszcze mniej niż z Borunia. – Przechodzili koło Pogańskiego Młyna i tam coś się wydarzyło. Może znaleźli tę kamerę w trawie, a ktoś – Kuba albo Renia – poprosił, żeby ją oddali. Wtedy wybuchła awantura, przy okazji dziewczynka mogła powiedzieć coś nieprzyjemnego. Była w końcu wygadany, odważnym dzieciakiem. Koziarski i Boruń stracili nad sobą kontrolę, złapali, co mieli pod ręką, i pocięli małą na kawałki. Potem weszli do domu i zaatakowali rodziców, a na końcu udusili Basię, już na spokojnie, żeby pozbyć się niewygodnego świadka. Alkohol robi z ludźmi takie rzeczy.

– Wiem.

Jedni upijają się na smutno, drugim urywa się film, a jeszcze innym puszczają wszystkie hamulce. Wódka pod pewnymi względami bywa gorsza niż narkotyki. Widziałam to już wcześniej. Spokojni na co dzień ojcowie rodzin, którzy budzili się rano z krwią żony na rękach i w przerażeniu patrzyli na podziurawione nożem ciało. Nastoletni chłopcy, bijący i gwałcący na imprezach swoje koleżanki, i porządne dziewczyny, po kilku kieliszkach wyzywające się od kurew i wyrywające sobie nawzajem włosy. Zbrodnie popełniane pod wpływem alkoholu

co prawda rzadko bywały aż tak spektakularne jak w przypadku Aleksandrowiczów, ale i to mogło się zdarzyć.

– Taki przebieg wydarzeń jest bardzo prawdopodobny.

– Wiem – powtórzyłam, a potem dodałam: – Ja wymyśliłam tę teorię, pamiętasz? Trzy godziny temu, kiedy rozmawialiśmy z Boruniem. Nie musisz mi o niej przypominać.

– To czemu masz taką minę?

– Jaką minę? – Wiedziałam, że to złe pytanie prowadzące nas w rejony, w które zdecydowanie nie chciałam się zagłębiać, jednak odruch bywa szybszy niż rozsądek.

– Jakbyś się nie cieszyła.

– A z czego mam się cieszyć? Cztery osoby nie żyją, w tym dwójka dzieci. Twoim zdaniem to powód do radości?

Patrzyliśmy na siebie wrogo. Nie o to chodziło i Wojtek też doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Powiedzielibyśmy sobie jeszcze coś nieprzyjemnego, uznałam jednak, że pora przerwać narastające napięcie.

– Chodźmy pogadać z Sabiną i Moniką – zaproponowałam, podnosząc się z krzesła. – Zobaczymy, czego się od nich dowiemy.

*

Dziewczyny ułatwiły nam zadanie, ponieważ siedziały razem w domu Sabiny i grały w *Diablo*. Wyprosiliśmy z pokoju zaniepokojoną panią Bryc – wiedziałam, że obie nastolatki prędzej dadzą się pokroić nożem, niż przyznają się przy matce jednej z nich do picia alkoholu w towarzystwie karanych sędownie dwudziestolatek.

Sabina i Monika potwierdziły wersje chłopaków. Koziński i Boruń zaczepili je dwudziestego piątego sierpnia po południu i zaproponowali „dobrą zabawę”. Dziewczyny zgodziły się i pojechały do lasu, kiedy jednak młodzieńcy postanowili skonsumować znajomość, doszły do wniosku, że nie o taką zabawę im chodziło, i rozsądnie dały nogę. Koziński i Boruń próbowali je gonić, ale obaj wypili znacznie więcej niż ich partnerki i zostali w tyle. Sabina i Monika wróciły do Rudnika pieszo, dostały od rodziców burę za szlajanie się po zmroku i szczęśliwe, że nikt nie wyczuł od nich alkoholu, poszły spać. Miały po szesnaście lat

i absurdalnie młode twarze pod grubą warstwą makijażu. Myśl o którejkolwiek z tych dziewczyn w towarzystwie typów pokroju Kozińskiego i Borunia sprawiała, że robiło mi się słabo. Nie potrafiłam widzieć w nich młodych kobiet, dla mnie były po prostu dziećmi – może to znaczyło, że sama zaczynałam się starzeć. Co gorsza, żadna chyba do końca nie zdawała sobie sprawy, czego właściwie uniknęły.

– Szymon Boruń był karany za gwałt na nieletniej, słyszałyście o tym? – spróbowałam. Sabina pokręciła buntowniczo głową, Monika wyglądała, jakby zbierało jej się na płacz. – Zgwałcona przez niego dziewczynka miała trzynaście lat i próbowała potem popełnić samobójstwo.

Nie wiedziałam, czy udało mi się do nich dotrzeć – w takim wieku niechętnie słucha się starszych – nic jednak więcej nie mogłam zrobić.

Zapytałam jeszcze tylko o ubrania, które tamtego wieczoru nosili Koziński i Boruń. To, co dziewczyny opisały, niewątpliwie zgadzało się z zabezpieczonymi przez nas resztkami spalonych spodni, koszulek i butów.

Wojtek przez cały czas milczał z miną ponurą i jednocześnie pełną satysfakcji, co irytowało mnie jak diabli.

– Tyle ci wystarczy? – zapytał, gdy znaleźliśmy się z powrotem w samochodzie, zmierzając w stronę Żywca. – Czy ciągle masz wątpliwości?

– Mam całe mnóstwo wątpliwości.

– Na tych ubraniach jest krew Aleksandrowiczów. Mogę się założyć o każde pieniądze.

– Być może. Przy odrobinie szczęścia dowiemy się jeszcze dzisiaj.

– I ta kamera też należała do nich. Możemy ją pokazać Kubie albo Adrianowi Dąbkowi.

– Lepiej Dąbkowi – zdecydowałam. – Zajmij się tym.

Wojtek uniósł brwi.

– Dlaczego nie Kubie?

– On coś ukrywa. Wykluczyliśmy go jako mordercę, myślę jednak, że chłopak wie więcej, niż nam mówi.

Wojtek parsknął. Nie odezwał się do mnie, aż zaparkowaliśmy przed komendą powiatową w Żywcu.

*

O szesnastej wciąż czekaliśmy na wyniki z laboratorium. Wojtek poszedł zadzwonić – prawdopodobnie do żony, co oznaczało długą, pełną czułych słów rozmowę – a ja wykorzystałam okazję, wsiadłam w samochód i pojechałam do Kuby. Siedzący na szpitalnym korytarzu mundurowy znał mnie już z twarzy i odsunął się bez słowa.

Chłopak leżał w łóżku z ciężką książką na kolanach. Zerknęłam na tytuł: *Psychiatria kliniczna*.

Zauważył mój wzrok i zarumienił się leciutko.

– Pożyczyłem od tego policjanta na zewnątrz, bo mi się nudziło – powiedział. – Ale nic z tego nie rozumiem.

– Następnym razem przyniosę ci coś lżejszego – obiecałam. – Co lubisz? Fantastykę? Komiksy? – Kryminałów rozsądnie nie wymieniłam.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– W porządku, sama coś wybiorę. – W domu powinien być jeszcze *Thorgal*, którego Adam czytał jako nastolatek. – Możemy porozmawiać?

– Zaraz mam spotkanie z panem Damrockim.

– Twoim terapeutą?

Skinął głową.

– Nie musi do mnie przychodzić, bo nikt mu teraz nie płaci. Ale i tak przychodzi. Jest w porządku.

Zrobiło mi się wstyd, bo nie pomyślałam, żeby zapewnić Kubie pomoc psychologa. To Wojtek musiał wpaść na ten pomysł, Wojtek, którego zawsze uważałam co prawda za sympatycznego, ale jednak nieszczególnie wrażliwego gliniarza. Cóż, człowiek każdego dnia dowiaduje się czegoś nowego o sobie i innych.

– O czym rozmawiacie?

– O różnych rzeczach. Na przykład co będę robił, jak już wyjadę do Anglii. Moja mama chce mnie tam zabrać, wie pani? – W jego głosie zabrzmiało ożywienie. Kuba wyglądał odrobinę lepiej, na szarych policzkach pojawił się cień koloru, a w oczach coś, co przy pewnej dozie dobrej woli dało się uznać za błysk. Sprawiał

wrażenie kogoś, kto po raz pierwszy dostrzegł światełko w długim ciemnym tunelu, w jaki zamieniło się jego życie. Nie byłam pewna, czy chłopak nie zapłaci za tę chwilę, czy jeszcze dziś wieczorem nie będzie płakał w poduszkę, ponieważ na kilka minut pozwolił, żeby cienie jego rodziny wycofały się w mrok zapomnienia. Być może część ludzi mogłaby go za to obwiniać – w końcu od śmierci jego ojca, macochy i dwóch siostr minęło ledwo parę dni. Ja jednak wiedziałam, że nie sposób rozpaczać przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, że nawet najbardziej udręczony umysł szuka odrobiny wytchnienia. Tuż po pogrzebie Karlika uśmiechnęłam się odruchowo, słysząc dowcip w radiu. Czy mogłam zatem mieć pretensje do tego chłopaka?

– Domyślam się. – Chrząknęłam. – Za jakiś czas będziesz mógł wyjechać z mamą. Na razie jednak musisz zostać z nami.

– Ze względu na śledztwo, wiem. – Błysk i rumieniec zniknęły, a Kuba znowu był znękanym dzieckiem, tak bladym i chudym, że niemal ginął w pościeli. Od czasu morderstwa musiał stracić z pięć kilo.

– Ze względu na śledztwo, owszem. – Współczułam mu, ale i tak zamierzałam być suką, która przypomni chłopakowi o przeżytej tragedii. Na tym polegała moja praca.

– Ja niczego nie pamiętam. Tylko coś czerwonego.

– Coś czerwonego? – Zamrugalam, zaskoczona. – Masz na myśli krew?

– Nie, wydaje... wydaje mi się, że widziałem kogoś ubranego w coś czerwonego. I ten ktoś szedł w moją stronę.

– Co to było? Koszula, spodnie?

Przełknął ślinę. Jego twarz stała się niemal przezroczysta i bałam się, że chłopak lada moment zemdleje albo zwymiotuje.

– Nie pamiętam – szepnął głosem ledwie słyszalnym, jak powiew wiatru przeczesujący trawę w upalny dzień. – Tylko czerwone.

– Nie musimy o tym rozmawiać, jeśli nie chcesz. Właściwie chciałam cię zapytać o coś innego. Mówiłeś, że Stanisława Wajda pozwalała ci czasem wychodzić z piwnicy i wtedy oglądaliście razem telewizję, tak?

– Albo się uczyłem. – Skinął głową, już odrobinę mniej blady, a bardziej czujny. Ogarnęła mnie mieszanina litości i gniewu i sama już nie wiedziałam, czy bardziej chcę tego dzieciaka przytulić, czy może nim potrząsnąć.

– A graliście też czasem w karty?

– Tak.

– W co?

– Nie pamiętam dokładnie. Nic szczególnego. W wojnę, w tysiąca.

– W tysiąca kiepsko gra się w dwie osoby. Potrzeba co najmniej trzech, żeby gra miała sens.

Dłoń Kuby zacisnęła się kurczowo na brzegu kołdry.

– Tak? My graliśmy we dwójkę.

– Posłuchaj. – Pochyliłam się, wciąż nie do końca pewna, czy zamierzam tego chłopaka nastraszyć, czy może odwrotnie, sprawić, że atmosfera między nami stanie się bardziej intymna. – Wiem, że oprócz ciebie i Stanisławy ktoś jeszcze był w Podkowach. Bardzo byś nam pomógł, gdybyś powiedział kto.

– Nie było nikogo.

– Ktoś, kogo imię zaczyna się na M.

Błysk zdziwienia ześlizgujący się po twarzy, tak lekki, że wystarczyłoby mrugnąć, by go przegapić.

– Nie było nikogo – powtórzył Kuba.

– Jeśli ta osoba jest niewinna...

– Pan Damrocki przychodzi za pięć minut. On zawsze chce, żebym się uspokoił, zanim zaczniemy rozmawiać, pomyślał chwilę. Dlatego musi pani już iść. Proszę.

– W porządku – poddałam się. – Wrócę niedługo. A ty przy okazji tego myślenia możesz się zastanowić, czy nie warto być ze mną szczerym.

Zostawiłam go wciąż ściskającego w dłoni brzeg kołdry. Na korytarzu minął mnie przystojny czarnowłosy mężczyzna, prawdopodobnie doktor Damrocki. Chciałam go zagadnąć, jednak moją uwagę odwrócił dźwięk przychodzącego esemesa.

Są wyniki, wracaj! – przeczytałam, a kiedy podniosłam wzrok znad ekranu, ciemnowłosy mężczyzna zniknął już w pokoju Kuby.

*

Tym razem gapiących się na mnie par oczu było siedem – doszła ta należąca do Rafała Wrony, który usiadł w kącie, jakby nie do końca pewny, czy wolno mu tutaj

być. Powiodłam spojrzeniem od jego twarzy, poprzez twarze młodych mundurowych, aż do Wojtka. On jako jedyny patrzył na mnie bez wyczekiwania. Wiedział już, co zaraz powiem.

– Dostaliśmy wyniki badania krwi znalezionej na ubraniach Bartosza Kozierskiego i Szymona Borunia – oznajmiłam. – To krew ludzka, głównie grupy AB, ale jest też trochę A. Obaj podejrzani mają grupę 0, więc krew nie może należeć do nich.

– Jaką grupę mieli Aleksandrowiczowie? – Tamara Siesicka jak zwykle okazała się najszybsza.

– Kuba A, Krystian też A, Kalina B, obie dziewczynki AB.

– Czyli krew mogła należeć do Kuby, Reni albo Krystiana Aleksandrowicza, tak?

– Owszem. Chociaż będziemy potrzebować dokładniejszych badań, żeby to potwierdzić.

– A co z kamerą? W środku była kasetka, prawda? Co na niej jest?

– Jeszcze nie wiemy. Nasz technik próbuje odzyskać nagranie, ale to nie takie proste.

– Po cholere nam jakieś nagranie? – Sebastian Wojnas rozejrzał się wokół triumfalnym wzrokiem. – Przecież to jasne. Mamy ich, wystarczy tylko gości porządnie przycisnąć.

Pozostali mniej lub bardziej gorliwie pokiwali głowami. Widziałam po ich twarzach, że dalsze siedzenie w nagranej, dusznej sali uważają za stratę czasu. Byli zmęczeni, od kilku dni pracowali po osiemnaście godzin na dobę, swoje dzieci czy partnerów życiowych mijali w progu. Chcieli teraz świętować zwycięstwo, a potem wrócić do domów i porządnie się wyspać. Nie miałam im tego za złe.

– Nie rozpędzałabym się tak bardzo – powiedziałam. – Jest kilka pytań, na które nie znamy odpowiedzi. Po pierwsze, jakim cudem na ubraniach brakuje krwi Kaliny Aleksandrowicz. Jeśli Kozierski i Boruń zabili wszystkich, powinni mieć na sobie również krew grupy B. Poza tym jest kwestia śladów na schodach, tych pozostawionych przez gumowce. Obaj nasi podejrzani nosili adidas, znaleźliśmy je z resztą ubrań.

Mężczyźni nadal wyglądali, jakby myślami siedzieli już w najbliższej knajpie, ale kobiety chyba zdołałam zainteresować.

– Może jeden z nich założył gumowce, żeby wejść na górę? – zaproponowała Sabrina. – Wiedział, że zostawi ślady, i wolał, żeby to nie były odciski jego butów. Gumowce mogły leżeć w jakimś kącie w leśniczówce, zapomniane przez kogoś z poprzednich gości, a Koziarski i Boruń wykorzystali je i wyrzucili.

– Dlaczego w takim razie razem z nimi nie pozbyli się ubrań? Ani adidasów? Przeszkadzała im krew na gumowcach, chociaż nikt by ich z nimi nie powiązał, ale własne zakrwawione buty woleli schować w pobliżu domu? Jaki to ma sens?

– W takim razie co pani sądzi? Że Koziarski i Boruń zabili Renię i zaatakowali Kubę, a osoby w leśniczówce zamordował już ktoś inny?

– Na razie nic nie sądzę. Chciałabym tylko, żebyśmy nie zamykali oczu na pozostałe rozwiązania. Na przykład takie, które mogą być powiązane z porwaniem Jakuba Aleksandrowicza.

Jeśli wcześniej moje notowania były niskie, to teraz zaczęły szorować po podłodze. Niechęć zgromadzonych odczułam niemal fizycznie, jak gęstniejący wokół mnie opar. Trudno, dopóki słuchali, nie zamierzałam się tym przejmować.

– Starszy aspirant Wrona opowie wam więcej o tej sprawie – oznajmiłam, zachęcając Wronę, żeby wstał. On jako jedyny nie patrzył na mnie jak na stukniętą babę wymyślającą nieistniejące problemy tylko po to, żeby dłużej posiedzieć w pracy. Jako jedyny chyba mi wierzył – albo przynajmniej dopuszczał możliwość, że mogę mieć rację. Wiedziałam, że kieruje nim czysty lęk: wcale nie chciał, by te dwie sprawy okazały się ze sobą powiązane, bo to oznaczałoby, że jesienią zeszłego roku przegapił ważny trop, ale tego właśnie się bał. Fakt, że jest po mojej stronie, choćby z takiego powodu, odrobinę podnosił mnie na duchu.

Wrona streścił historię Stanisławy Wajdy i porwania Kuby, a potem przypiął do tablicy kolorowe zdjęcie.

– To fotografia Aleksandrowiczów i ich przyjaciół, zrobiona w Murowańcu dwudziestego szóstego lipca 1987 roku na dwanaście godzin przed tym, jak chłopiec zniknął. Dostałem ją od nieżyjącego już Jana Kulaka.

Podeszłam bliżej, by przyjrzeć się pozującej przed schroniskiem grupie. Trzech twarzy nie rozpoznałam, szybko jednak dopasowałam je do nazwisk. Puciołowaty blondynek z nadwagą musiał być Janem Kulakiem, z którego aparatu zostało zrobione zdjęcie, niska brunetka to pewnie Mariola Kowalska, a dziewczyna o figurze chłopaka, sądząc po jej podobieństwie do Kuby, niewątpliwie była

Lucyną Pietrzak. Młodsze wersje pozostałych przypominały mniej lub bardziej swoje trzydziestokilkuletnie odpowiedniki. Krystian Aleksandrowicz, Kalina, Róża, Leopold. Wszyscy bardzo młodzi, uśmiechnięci i niewinni. Wszyscy też nosili identyczne bluzy, pomarańczowe z błękitnym napisem „Klub Wysokogórski”, a ponieważ dzień nie wyglądał na chłodny, uznałam, że ubrali się tak tylko po to, by zademonstrować grupową solidarność. Kuba również tam był, to wyglądający zza ramienia ojca chłopczyk w czapeczce z daszkiem i niebieskiej koszulce z nazwą jakiejś drużyny sportowej.

Trzymałam kiedyś w ręku zdjęcie dzieci z Prypeci, zrobione w przeddzień wybuchu reaktora atomowego. Było w nim to samo kruche i złudne szczęście, które widziałam teraz na fotografii siedmiorga przyjaciół. Ta chwila wzlotu tuż przed upadkiem, cienka i jasna jak prześwietlona słońcem szyba. Nikt z nich nie miał w tamtej chwili pojęcia, że za kilkanaście godzin cały ich świat zostanie przewrócony do góry nogami. Przede wszystkim oczywiście zmieniło się życie Aleksandrowiczów, a w konsekwencji Kaliny; pozostali oberwali rykoszetem. Mogłam postawić duże pieniądze na to, że każde z tej siódemki już zawsze miało wspominać tamten dzień jako koniec pewnej epoki.

Dopilnowałam, by każdy członek grupy spojrział na zdjęcie – nie z uwagi na jego szczególne znaczenie dla śledztwa; bardziej liczyłam na to, że obejrzawszy je, będą przychylniej podchodzić do moich pomysłów. Potem rozdzieliłam zadania na następny dzień i podziękowałam wszystkim. Kiedy wychodzili, szepcząc między sobą, żadne z nich nie spojrzęło w moją stronę, a ja wiedziałam, że to zły znak. Tylko Wrona zawahał się w progu, jakby chciał się odwrócić i coś powiedzieć, ale w końcu i on umknął z głową schowaną w ramionach. Nie miałam pojęcia, czy zatrzymał się w jakimś hotelu, czy może wraca do Wilkowic, do pustego domu, by rozmyślać, co spieprzył w swoim życiu. Nie miałam nawet pojęcia, czy chciałabym to wiedzieć. Pomyślałam jednak, że miło byłoby z kimś pogadać, najlepiej w knajpie, nad kolorowym drinkiem z dziwną nazwą. Czasem jednak – w moim przypadku ostatnio całkiem często – człowiek po prostu nie dostaje tego, czego chce.

1 września 1999 roku

Bartosz Koziarski siedział w pokoju przesłuchań, patrząc spode łba, z miną, która miała świadczyć o tym, jaki z niego twardziel. Nie przejęłam się tym specjalnie.

– Wiesz, czemu tu jestem? – zapytałam, kiedy już mieliśmy formalności za sobą.

Wzruszył ramionami.

– Spróbuj zgadnąć – zachęciłam go.

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć?

Nie było sensu karcic Koziarskiego za używanie przekleństw, bo innego języka nie znał. Nie potrafiłby przestać mówić „kurwa”, tak jak nie umiałby przestać oddychać.

– Ponieważ twój kumpel poprosił mnie dzisiaj o rozmowę.

Gapił się na mnie nieruchomym wzrokiem: łysa głowa, wytatuowana nad uchem małeńka swastyka, prawie sto kilo żywej wagi, z czego sporą część stanowiły mięśnie. W jego oczach widziałam niechęć, ale nie jakąś szczególną – na liście znienawidzonych przez niego ludzi figurowałam prawdopodobnie gdzieś na dole, pod pedałami, czarnuchami i Żydami. Psom ten uroczy młodzieniec przynajmniej przyznawał pewne prawo do życia.

– No i?

– To znaczy, że twój kolega zamierza zacząć sypać.

Drgnęli obaj, siedzący obok mnie Wojtek i przesłuchiwany. Na szczęście Koziarski nie zauważył zdziwienia, które przemknęło przez twarz mojego partnera. Myślał teraz prawdopodobnie o tym, że Boruń faktycznie mógł pęknąć. Musiał przecież zdawać sobie sprawę, że kumpel jest znacznie mniejszym twardzielem niż on.

– Mogłabym teraz do niego pójść i za pół godziny miałabym zeznanie. Jednak zamiast tego przyszedłam do ciebie. Wiesz czemu?

Nie odpowiedział, ciągnęłam więc dalej:

– Nie będę udawać, że cię lubię. Nie lubię cię i doskonale o tym wiesz. Ale Borunia nie lubię bardziej, ponieważ zgwałcił dziecko, a tak się składa, że jestem wyjątkowo cięta na gwałcicieli dzieci. Dlatego uznałam, że dam ci szansę. Jeśli Szymek pierwszy opowie swoją wersję, będziesz miał przesrane, bo kumpel zwali wszystko na ciebie. Ale jeśli ty najpierw z nami pogadasz, to posłuchamy i może nawet ci uwierzemy.

Otworzył usta i zamknął je z powrotem. Myślał, a ja mu nie przeszkadzałam. Wiedziałam, że w przypadku Koziarskiego to niełatwy proces. Ostatecznie jednak musiał dojść do wniosku, że mówię prawdę – nie mówiłam, jednak moja niechęć do Borunia była autentyczna, co niewątpliwie dodawało tej historii wiarygodności – bo zostałam poczęstowana kolejnym wzruszeniem ramionami.

– To był pomysł Szymka, kurwa, nie?

– Żeby zabić tych ludzi? – zapytał Wojtek, a ja z trudem powstrzymałam się, by nie kopnąć go w kostkę.

Koziarski skrzywił się.

– Żeby zajebać tę kamerę. Leżała w trawie, to co, kurwa, mieliśmy zostawić?

– Gdzie leżała?

– Przy leśniczówce, kurwa, obok martwego dzieciaka. Dziewczynka, tak z pięć lat, może sześć. Myśmy jej nic nie zrobili, jak przyszliśmy, to już była zimna. Szymek mało się o trupa nie wyjebał.

– Wchodziliście do środka?

– Po chuj byśmy mieli wchodzić? Spierdoliliśmy stamtąd najszybciej, jak się dało.

– I niczego nie dotykaliście?

– Nie. – Był kiepskim kłamcą.

– Jeśli dotykaliście, muszę to wiedzieć.

– Tylko koszulki tego chłopaka. Szymek szturchnął go paluchem, żeby sprawdzić, czy też nie żyje. Cały był, kurwa, we krwi, jak zarżnięta świnia.

– Nie żył?

Koziarski wolno pokręcił głową. Oczy miał szkliste, jakby przebywał teraz dziesiątki kilometrów dalej. W swoim krótkim, pełnym przemocy życiu niejedno

widział, ale mimo wszystko scena w lesie zrobiła na nim wrażenie.

– Żył. Gówniara była pocięta prawie na kawałki, ale chłopak jeszcze dychał. A nawet gadał.

– Co powiedział?

– Coś w chuj dziwnego. Jakby „Bóg rozpozna swoich”.

– Nie przyszło wam do głowy, żeby wezwać pomoc?

– Nie, kurwa, nie przyszło, bo wiedzieliśmy, że od razu zaczniecie się do nas dopierdalać. Teraz też mi pewnie pani nie wierzy, co?

*

– Wierzysz mu, prawda? – zapytał Wojtek. – O kurwa, naprawdę mu wierzysz.

Szef wezwał nas do siebie i siedział teraz z marsową miną po drugiej stronie biurka, stukając knykциями w blat. Jeszcze nie zaczął się wydzierać, wiedziałam jednak, że to prawdopodobnie tylko kwestia czasu.

– To, co Koziarski mówił, pasuje do faktów, które znamy – powiedziałam, starając się, żeby mój głos brzmiał spokojnie. Postanowiłam, że jeśli komuś z naszej trójki puszcza nerwy, nie będę to ja. – Żadne dowody nie wskazują na to, że Koziarski i Boruń weszli do środka. Wręcz przeciwnie: brak krwi z grupy B na ich ubraniach przemawia za tym, że mieli kontakt tylko z Renią i Kubą, czyli ofiarami znalezionymi na zewnątrz. Poza tym na narzędziu zbrodni nie było odcisków ich palców. Tak, wiem, mogli je wytrzeć, nawet taka para pijanych jełopów by na to wpadła. Jednak gdyby faktycznie próbowali zacierać ślady, pomyśleliby też o tym, żeby wyrzucić nóż gdzieś dalej, gdzie tak łatwo byśmy go nie znaleźli.

Wojtek próbował coś powiedzieć, ale nie pozwoliłam mu dojść do słowa.

– Poza tym obaj mieli adidas, a na schodach były ślady gumowców. I to, co podobno powiedział Kuba: „Bóg rozpozna swoich”.

– Co to właściwie znaczy? – Zmarszczka między brwiami Gaduły pogłębiła się, knykcie stuknęły teraz w szybszym rytmie.

– Kiedy krzyżowcy zaatakowali Béziars na południu Francji, mieli problem, jak odróżnić katarów od katolików, bo w mieście mieszkali przedstawiciele obu wyznań. Tych pierwszych zamierzali w imię Boga wymordować, drugich

oszczędzić. Dlatego zapytali przewodzącego krucjacie opata, a ten odpowiedział: „Zabijcie wszystkich. Bóg rozpozna swoich”.

Wojtek zamrugął.

– Przyjemniaczek z faceta, co?

– To tylko taka anegdotka z trzynastego wieku. Nie wiadomo, czy to się zdarzyło naprawdę. Ludzie, którzy znają historię, słyszeli o niej, ale nie posądzałabym Koziarskiego o takie zainteresowania. Ten chłopak ledwo skończył podstawówkę.

– Może po prostu Kuba powiedział to zdanie tuż po tym, jak Koziarski i Boruń usiłowali go zabić – podsunął Gaduła.

– Po co robiliby to w tej konkretnej sytuacji? Jeśli Kuba naprawdę wypowiedział te słowa, a wydaje mi się, że tak, bo skąd Koziarski wzięłby ten pomysł, to miał dobry powód. Nie taki, że właśnie zaatakowała go para naprutyh w trzy dupy bandziorów. Wątpię, żeby Koziarski i Boruń skojarzyli się chłopakowi akurat z krzyżowcami.

– Co w takim razie proponujesz? – Gaduła przestał wreszcie bębnić w biurko, a ja odetchnęłam z ulgą, bo ten dźwięk zaczynał mnie irytować. Wołałabym już chyba, żeby szef zaczął na nas wrzeszczeć. – Dziennikarze nie dają nam spokoju, a my mamy powiedzieć im, że zamiast mordercy czteroosobowej rodziny zatrzymaliśmy patałachów, którzy przewrócili kobietę na rowerze?

– Niczego takiego nie musimy mówić. Spowodowanie wypadku z ciężkim uszkodzeniem ciała i ucieczka z miejsca zdarzenia w zupełności wystarczą, żeby Koziarskiego i Borunia tymczasowo aresztować. A możemy im jeszcze postawić zarzut nieudzielenia pomocy i niezawiadomienia o przestępstwie. Posiedzą trochę i przypomną sobie więcej szczegółów. Tymczasem my dyskretnie zasugerujemy prasie, że mamy już podejrzanych. Zasugerujemy, nie powiemy wprost, rozumiecie? Tak, żeby w razie czego łatwo to było potem sprostować. Zyskamy w ten sposób trochę czasu, aby spokojnie poszukać naszego sprawcy. A jeśli okaże się, że Koziarski i Boruń jednak zamordowali Aleksandrowiczów, tym lepiej.

Przemknęła mi przez głowę myśl, co będzie, jeśli nie znajdziemy prawdziwego mordercy, a Koziarski i Boruń wyjdą na wolność z wciąż ciężącym na nich podejrzeniem o zabójstwo. Zwyczajni ludzie w takiej sytuacji musieliby się przeprowadzić, może nawet zmienić nazwisko, bo sąsiedzi nie daliby im żyć. Ale ta dwójka obracała się w tak zdemoralizowanym środowisku, że podobne

podejrzenia raczej im nie zaszkodzą. Możliwe nawet, że dzięki nim zyskają większy szacunek. Dlatego odsunęłam od siebie poczucie winy. Zresztą swego czasu zdarzało nam się robić gorsze rzeczy.

Gaduła milczał przez chwilę. Sądziłam, że będzie się buntował – ostatecznie sporo wskazywało na Kozińskiego i Borunia, nie musieliśmy wcale szukać nikogo innego – on jednak skinął tylko głową, wyraźnie zbyt zmęczony, by się sprzeczać. Pomyślałam, że na niego ta sprawa też fatalnie wpływa: co prawda nie ganiał tam i z powrotem jak osoby bezpośrednio zaangażowane w śledztwo, ale za to bezustannie musiał odpowiadać na pytania prasy, tłumaczyć się i zapewniać, że robimy wszystko, by dopaść winnych. I przez cały czas czuł na sobie ciężar odpowiedzialności – gdyby nam się nie udało, to on oberwałby jako pierwszy. Nie zazdrościłam mu.

– Tak zrobmy – zgodził się. – Możecie wracać do pracy.

Już kiedy wychodziliśmy, zmienił zdanie i poprosił, żebym została. Tylko ja. Wojtek obrzucił mnie zaniepokojonym spojrzeniem i zamknął za sobą drzwi. Podeszłam do biurka Gaduły, ale tym razem nie usiadłam. Liczyłam, że cokolwiek ma mi do powiedzenia, nie będzie to trwało długo.

– Przekonałaś mnie, że zatrzymaliśmy niewłaściwych ludzi – odezwał się cicho. – I dla twojego dobra lepiej by było, żebyś się nie myliła.

Teraz dla odmiany ja poczułam ciężar odpowiedzialności, zupełnie jakby ktoś położył na mojej piersi kamień. Szlag.

– Wiesz, dlaczego dostałaś tę sprawę? – zapytał. Knykcie wróciły do wybijania rytmu tap-tap, słońce wpadało przez okno, malując złote refleksy na powierzchni biurka i podkreślając kółka pozostawione przez liczne szklanki z kawą czy herbatą. Gaduła nigdy nie przekonał się do używania podstawek. Unoszący się w pokoju zapach papierosów sprawił, że zachciało mi się palić.

– Nie wiem, dlaczego?

To pytanie też mnie intrygowało, choć ostatnio zginęło gdzieś przytłoczone innymi zagadkami. Przez dwa tygodnie po śmierci Karlika cały wydział obchodził się ze mną jak z jajkiem: niby pracowałam, ale tak naprawdę równie dobrze mogłabym leżeć brzuchem do góry i nikt nie powiedziałby złego słowa. Wszyscy odsuwali ode mnie problemy, a ja momentami czułam się jak wrażliwa pięciolatka, którą należy chronić przed światem. To, że w takim momencie dostałam jedną

z najbardziej skomplikowanych spraw, było co najmniej dziwne. Te prostsze zazwyczaj otrzymywała z rozdzielnika najbliższa wolna – albo przynajmniej w miarę wolna – osoba, w trudniejszych przypadkach decydował naczelnik. Nie myślałam o tym zbyt wiele, ale gdybym myślała, założyłabym chyba, że Aleksandrowiczowie trafili do mnie właśnie z rozdzielnika. To nie była prosta sprawa, niemniej potrafiłam sobie wyobrazić, dlaczego komuś mogła się taka wydawać. Hasło „cztery trupy w leśniczówce” w czyjejs głowie mogło uruchomić ciąg skojarzeń z imprezą, na której coś poszło nie tak i teraz wystarczy pojechać na miejsce zbrodni i aresztować mordercę siedzącego w kącie z nożem w jednej ręce i butelką wódki w drugiej. Większość naszych spraw mniej więcej tak wyglądała. A potem okazało się, że jest za późno, by mnie zmienić na kogoś bardziej odpowiedniego.

– Bo ja tak zdecydowałem. I do teraz nie jestem pewien, czy to był dobry pomysł. Wiem, że ostatnio... przechodzisz trudny okres. Gdyby sytuacja wyglądała inaczej... – Gaduła zakłopotał się. – Wolałbym, żeby wyglądała inaczej – dokończył niezręcznie. – Ale ja od początku przeczuwałem, że to porąbana sprawa i jeśli ktoś sobie z nią poradzi, to tylko ty.

Przez moment miałam absurdalne wrażenie, że przeprosi mnie za obarczenie czymś, co było moją pracą, na szczęście jednak nie przyszło mu to do głowy. Powinnam chyba czuć się mile połączona: zawsze podejrzewałam, że mimo swojej skłonności do cholerycznych wybuchów Gaduła mnie ceni, a może nawet zwyczajnie lubi. Teraz dostałam dowód, byłam jednak zbyt wykończona, by się tym ekscytować. W kościach wciąż czułam wycieczkę do Murowańca, w nocy spałam niecałe pięć godzin. A szef jeszcze nie przestał mówić.

– Masz dobre wycucie i zazwyczaj dobre pomysły. Dlatego jestem skłonny ci zaufać. Ale jeśli się okaże, że ganiasz za duchami, bo nie potrafisz zaakceptować, że tej zbrodni mogła dokonać para pijanych wyrostków, to sobie poważnie porozmawiamy. Jasne?

– Jak słońce.

– W porządku. – Przymknął na moment oczy, jakby poraziło go samo wspomnienie o słońcu. – Możesz iść.

*

Zeszłam na parking i zapaliłam papierosa. Wciąż panował upał, ale wyczuwało się już w nim zmęczenie biegacza na ostatniej prostej. Lato chwiała się niebezpiecznie na krawędzi września, gotowe w każdej chwili runąć w rozpląkaną jesień. Wiedziałam, że za kilka dni obudzi mnie dźwięk bębniącej w szybę ulewy, a za oknem zobaczę snującą się mgłę. Miałam nadzieję, że do tego czasu będę już wiedziała, kto zabił Aleksandrowiczów, jednak nadzieja to nie pewność i ta kwestia dokuczała mi coraz bardziej.

Ganiasz za duchami, powiedział Gaduła w przebłysku intuicji. Czy to była prawda? Przekonałam szefa, ale teraz zupełnie nagle dopadły mnie wątpliwości. Może rzeczywiście wymyślałam nieistniejące problemy tylko dlatego, że desperacko potrzebowałam skomplikowanej sprawy, na której mogłabym skupić uwagę, żeby odciągnąć myśli od Karlika i mojego brata. Może nawet byłam na tyle popieprzona, by żałować, że brutalne morderstwo ma banalne wyjaśnienie, by tęsknić za tajemnicą, za precyzyjną układanką wymagającą geniuszu dedukcyjnego na miarę książkowych detektywów. Czemu nie? Lekarze też potrafią się ekscytować odkryciem egzotycznej choroby i niekoniecznie myślą w tym momencie o samopoczuciu pacjenta. Nie zamierzałam mieć z tego powodu wyrzutów sumienia. Jeśli jednak ignorowałam prawdopodobne wyjaśnienie, by gonić za mrzonką, zaczynał to być problem – nie tylko mój, ale całego naszego wydziału.

Czy Kozierski i Boruń mogli zabić Aleksandrowiczów? Zadałam sobie to pytanie, patrząc, jak smużka białego dymu wspina się dzielnie w stronę płynących po niebie równie białych obłoków i nigdy do nich nie dociera wchłonięta po drodze przez jasne, ciepłe powietrze. A potem spróbowałam uczciwie odpowiedzieć.

Odpowiedź brzmiała: tak, mogli. Krew Kaliny mogła trysnąć akurat na te fragmenty ubrań, które potem zostały spalone – wiele równie dziwnych przypadków widziałam w trakcie swojej kariery. Jeden z morderców mógł uznać, że założenie gumowców, a potem rzucenie ich gdzieś w krzaki będzie świetnym kamuflażem, bo w pijanym widzie nie takie rzeczy ludzie robią. A wytarcie odcisków palców z noża i porzucenie narzędzia zbrodni na trawniku w gruncie rzeczy nie było głupie – może Kozierski i Boruń zwyczajnie doszli do wniosku, że lepiej zostawić broń przy leśniczówce zamiast biegać po lesie z czymś, co wygląda jak niewielki bagnet. Słowa Kuby o Bogu? Cóż, może chłopak bełkotał bez

większego składu, a Koziński zinterpretował to sobie, czystym przypadkiem, trafiając na historyczny cytat.

Pozostałe zagadki? Aleksandrowiczowie mogli wyjechać do leśniczówki z niewinnych powodów, pod wpływem impulsu albo założywszy, że takie wakacje świetnie zrobią Kubie. Sarna w lesie mogła zostać zabita przez kogokolwiek, a kwiatki zebrało spacerujące po lesie dziecko, które cisnęło je potem w krzaki. Miniaturowe groby przy leśniczówce? W dzieciństwie też się bawiłam w urządzenie pogrzebów – było to może odrobinę niepokojące dla moich rodziców, ale w sumie dość naturalne i z pewnością nie tajemnicze. Pozostawała kwestia trzeciej osoby bywającej w Podkowach: tu najsilniejszą poszlakę stanowiła tabelka z wynikami gry w tysiąca, bo reszta – liczba kubków czy podstawek – to bzdura. Ale notesik mógł tam leżeć od dawna, może nawet od czasów dziadka Stanisławy Wajdy. Albo kobieta przyniosła go pewnego dnia w kieszeni z jakiegoś towarzyskiego spotkania. A jeśli nawet ktoś bywał w tym domu – może drugi porywacz, może zwyczajnie miejscowy, który lubił karty i miał głęboko gdzieś, kim jest mieszkający u Wajdy chłopiec i jak ona go traktuje – nie oznaczało to w żaden sposób, że ta osoba zamordowała Aleksandrowiczów.

Na myśl, że mogłam się tak fatalnie pomylić, zrobiło mi się zimno. Nasza praca polega w dużej mierze na używaniu instynktu – musimy wiedzieć, którym dowodom przyjrzeć się bliżej, a które nie mają większego znaczenia, kiedy podejrzany kłamie i czy dziwne zachowanie świadka to naturalny efekt stresu, czy może chodzi o coś więcej. Jeśli straciłam ten instynkt, to kim byłam?

W torebce zapiszczała komórka, sięgnęłam więc po nią, by przeczytać esemesa.

Niedziela aktualna? – pisała Justyna.

Z trudem przypominałam sobie, że obiecałam córce rodzinne spotkanie. Obiad, potem wyprawa na Bolinę z Zuzą. Wspomnienie mojej małej wnuczki sprawiło, że uśmiechnęłam się do siebie.

Jasne – odpisałam z optymizmem, choć wcale go nie czułam. Do niedzieli zostało pięć dni, a ja wciąż nie byłam bliżej rozwiązania niż w momencie, kiedy się na ten obiad zgodziłam.

*

W drodze powrotnej zajrzałam do Jacka, naszego technika, który zajadał właśnie potężnego hamburgera.

– O, dobrze, że jesteś – powiedział z pełnymi ustami. – Chyba coś mam. Zaczekasz moment? Zaraz kończę.

Skinęłam głową. Jacek ma niecałe trzydzieści lat, z postury przypomina wielkiego pluszowego misia, a z charakteru – pełnego entuzjazmu przyjacielskiego psa. Wszyscy go lubią, zwłaszcza że mimo okropności, które każdego dnia ogląda na ekranach, udało mu się zachować jakąś pierwotną, dziecięcą niewinność. Czasem mnie to irytuje, częściej jestem zwyczajnie zazdrosna.

– Patrz. – Przełknął ostatni kęs bułki, wytarł ubrudzone musztardą rękę w papierową serwetkę i włączył stojący na biurku monitor.

Na ekranie pojawił się śnieżący obraz, w którym po chwili dopatrzyłam się zarysu drzew. Minęło jeszcze kilkanaście długich sekund, nim wyostrzył się na tyle, bym zauważyła trzy sylwetki – dwie mniejsze i jedną większą. Film rwał się, obraz to nabierał ostrości, to znów zmieniał się w plątaninę nic nieznaczących kropek. Tylko na jeden ulotny moment stał się wystarczająco wyraźny, bym dostrzegła twarze. Jacek z wprawą wcisnął pauzę i film zastygł w pojedynczej stop-klatce: roześmiane Basia i Renia biegnące leśną ścieżką i idący za nimi odprężony, szczęśliwy Kuba.

– To wszystko? – zapytałam, poruszając się niespokojnie i przelękając ślinę. Czasem naprawdę wolałabym, żeby zmarli pozostali zmarłymi, oszczędzając nam widoków swoich żywych, uśmiechniętych twarzy.

– Nie, jest coś jeszcze. Patrz – powtórzył.

Patrzyłam, choć instynkt podpowiadał, że jeśli chcę tej nocy zasnąć, powinnam odwrócić głowę, a najlepiej po prostu wyjść z pokoju.

Obraz zmienił się niespodziewanie: teraz zamiast lasu widziałam charakterystyczny budynek Pogańskiego Młyna. Dziecięca sylwetka na trawniku sprawiała wrażenie, jakby zrywała kwiatki, i dopiero po chwili zorientowałam się, że dziewczynka grzebie patykiem w ziemi. Sądząc po przebłyskach różowości, które od czasu do czasu wynurzały się z czarno-białego chaosu, zgadłam, że to Renia. Sama, bez siostry, co mogło oznaczać, że oglądam film z czasu, gdy Basia leżała już chora w łóżku. Być może nawet z ostatniego dnia życia dziewczynek. Czekałam, tym razem już bez żadnego ruchu, jakbym sama zastygła w stop-klatce.

– ...rozkaz świętym aniołkom wprowadzić tego pasikonika do niebieskiej ojczyzny, a ponieważ Tobie wierzył i ufał, niech nie ponosi kar piekielnych, lecz posiedzi szczęście wieczne, amen – rozległ się cienki dziecięcy głosik.

Posiedzi, nie posiedzi, pomyślałam odruchowo. Renia bawiła się w pogrzeb i odmawiała modlitwę za zmarłych.

Kilka sekund później obraz w kamerze – na moment nawet dość wyraźny – przekreślił się o sto osiemdziesiąt stopni, teraz zamiast leśniczówki widziałam błękitne niebo i płynące po nim chmury. Zmianie towarzyszył odgłos, jaki mógłby wydać upadający w trawę kamień. Tylko że to nie był kamień, to była upuszczona kamera.

Chciałam wstać, lecz Jacek zatrzymał mnie ruchem ręki, usiadłam więc z powrotem.

Niebo przesłonił cień, jakby ktoś przeszedł nad obiektywem, a po chwili powietrze przeciął wysoki dziecięcy krzyk, najpierw pełen zdumienia, potem bólu. Zamarłam, w środku cała zlodowaciała. Cały koszmar ostatnich kilku dni, ciała, krew, wykrzywiona płaczem twarz Kuby – wszystko skupiło się w tym jednym dźwięku. Wiedziałam, że słyszę głos umierającego dziecka.

Krzyk ucichł: albo Renia miała szczęście i szybko zmarła, albo mordercy udało się przeciąć jej struny głosowe. Wołałam wierzyć w to pierwsze. Film jednak trwał nadal, pokazując okrutne w swoim pięknie i spokoju białe obłoki płynące nad leśniczówką. Później rozległ się chrzęst miazdzonego metalu i zapadła ciemność.

– Niezłe, co? – zapytał Jacek z wypiekami na policzkach.

Niemal na niego wrzasnęłam. Dla tego chłopaka Aleksandrowiczowie nie byli żywymi ludźmi, tylko postaciami z filmu: nie żałował ich, tak jak nie żałuje się aktorów konających w scenicznych dekoracjach. Odetchnęłam, pozwalając, by złość odpłynęła niczym cofająca się fala. To nie była wina Jacka – on nie widział martwych ciał, nie rozmawiał z Kubą i od prawie tygodnia nie rozbierał życia Aleksandrowiczów na czynniki pierwsze. Mógł sobie pozwolić na luksus oglądania ich z bezpiecznej odległości i bez zaangażowania.

– Morderca stanął na kamerze i rozwalił obiektyw – dodał. – Poza tym urządzenie trochę zamokło w trawie i...

– Morderca albo ktoś inny – poprawiłam, zanim podał mi więcej szczegółów technicznych. – A wcześniej ktoś przeszedł przed obiektywem.

– Ten cień tuż przed tym, jak słycać krzyk? Tak, mnie też się wydaje, że to był człowiek.

– Dasz radę złapać ostrzejszy obraz tego kogoś?

– Nie bardzo. Sorry, próbowałem.

– Nie mówię o twarzy, bo twarzy z takiego kąta i tak nie będzie widać. Ale cokolwiek, fragment buta, materiał spodni...

Pokręcił głową z miną tak smętną, że dla odmiany zrobiło mi się go żal.

– W porządku, przegraj mi te dwa filmiki i próbuj dalej. Dobra robota.

Jacek ożywił się natychmiast jak pies, który usłyszał słowo „spacer”. Gdyby miał ogon, machałby nim na prawo i lewo, strącając przedmioty z półek. Nie pojmowałam już, jakim cudem mogłam kiedykolwiek się na tego chłopaka wściekać.

Przegrał oba filmy, a ja zostawiłam go jego technicznym problemom i poszłam szukać Wojtka. Wiedziałam, że jeszcze dziś będę musiała obejrzeć oba filmy – może nawet kilkukrotnie – i wcale mi się to nie podobało.

*

Za drugim razem było łatwiej – cóż, człowiek najwyraźniej potrafi przywyknąć do wszystkiego. Wojtek i Rafał Wrona wyglądali za to na nieźle wstrząśniętych: może myśleli w tym momencie o swoich dzieciach, o tym, że istnieją gorsze rzeczy niż strata córki podczas rozwodu. A może nie myśleli o niczym, tylko słuchali.

Gdy z ekranu zniknął obraz nieba i płynących po nim obłoków, żadne z nas nie chciało przerwać ciszy, zupełnie jakby słowa mogły w jakiś sposób zburzyć spokój od dawna martwej dziewczynki. To ja złamałam się pierwsza.

– I co o tym sądzicie? – zapytałam.

Stojący pod oknem Rafał Wrona chrząknął, zbierając się w garść.

– Ten film został nakręcony koło dziewiątej, dziesiątej rano, czyli znamy przybliżoną godzinę morderstwa.

– Skąd to wiesz?

– Z pozycji słońca na niebie. Znam się na takich rzeczach.

– W porządku. – Byłam dziewczyną z miasta, musiałam więc uwierzyć mu na słowo. – Coś jeszcze?

– To znaczy, że Kuba został zaatakowany jako pierwszy, tak? – zapytał Wojtek. – Morderca uderzył go nożem, chłopak upadł, upuszczając kamerę, a zabójca pobiegł w stronę Reni.

Spojrzałam na Wronę, który zrobił ruch, jakby chciał usiąść na parapecie, ale zrezygnował. W naszym pokoju znajdowały się tylko dwa biurka i dwa krzesła.

– Możliwe, chociaż wydaje mi się dziwne, że chłopak nie krzyczał. Dziewczynka tak, a on...

– Może akurat w tym miejscu taśma została uszkodzona i nie słyhać dźwięku. – Wojtek wzruszył ramionami.

– To ma sens, ale...

– Ale? – Podchwyciłam. Rafał Wrona może i nie był najbardziej utalentowanym śledczym, jakiego spotkałam, jednak miał wyobraźnię pozwalającą mu dostrzegać nietypowe rozwiązania. Liczyłam, że wpadnie na to, o czym ja też pomyślałam.

– Może to nie chłopak trzymał kamerę, tylko morderca.

– Filmował dziewczynkę, a potem się na nią rzucił? – Wojtek zmarszczył brwi. – Dla mnie to nie ma sensu.

– Może nabierze sensu, jeśli poznamy wreszcie motyw tej zbrodni – powiedziałam. – I wiecie, jakie pytanie mnie jeszcze męczy? – Żaden z nich się nie odezwał, odpowiedziałam więc sama sobie: – Kto nakręcił pierwszy filmik, ten w lesie.

Patrzyli bez zrozumienia, jakby usiłowali sobie przypomnieć, o czym, do licha, mówię. Podejrzewałam, że drugi film na moment zupełnie wyparł z ich świadomości pierwszy, ten niewinny. Dopiero po chwili Wojtek załapał.

– Pewnie matka albo ojciec, a co?

– Nie wydaje mi się. Ani Krystian, ani Kalina nie byli zainteresowani naturą. Co do tego akurat wszyscy są zgodni. Nawet Kuba twierdził, że kiedy chodził z dziewczynkami po lesie, to zawsze sam, bo rodzice woleli zostać w leśniczówce.

– No więc raz któreś z nich się złamało i poszło na spacer z dziećmi, wielkie mi rzeczy.

– Może. Ale chciałabym zapytać chłopaka, kto w tamtym momencie trzymał kamerę.

– Pewnie dziewczyna w czerwonej sukience – palnął Wojtek.

Spojrzelismy na niego oboje, ja i Wrona, równie zaskoczeni.

– To jakiś żart? – zapytałam.

Wojtek zakłopotał się.

– Ta mała od Ochockich twierdzi, że w dniu morderstwa widziała w lesie dziewczynę w czerwonej sukience. Miałem ci o tym powiedzieć, ale wtedy dostałem telefon, że chłopcy z Żywca dorwali Koziarskiego i Borunia i jakoś wyleciało mi to z głowy.

– Wyleciało ci z głowy? – Słyszac ton mojego głosu, Wojtek zaczerwienił się jeszcze bardziej. Nie znaczyło to jednak, że zamierzał uznać swoją winę.

– Daj spokój, jakie to ma znaczenie? Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent to była jakaś spacerująca po lesie panienka, która nie miała nic wspólnego z morderstwem. Sama mnie uczyłaś, że należy oddzielać rzeczy ważne od nieważnych.

– Uczylaś cię też, że należy się dzielić informacjami z partnerem. A od decydowania, co uznajemy za ważne, jestem jak na razie ja. Czego mi jeszcze nie powiedziałaś?

– Powtórzyłem ci prawie każde słowo rozmowy z Lucyną Pietrzak. Potem pojechaliśmy do szpitala i tam spotkaliśmy Sylwię. To też mówiłem. Pozwoliłem dziewczynie zobaczyć się z Kubą...

– Samej?

Rumieniec pogłębił się i Wojtek wyglądał teraz prawie zabawnie.

– Pomyślałem, że dziewczyna ma do niego słabość i nie zaszkodzi, jeśli dam im trochę prywatności.

– Jezu, Wojtek...

– To był błąd, niech będzie.

– Nie wiedziałam, że taki z ciebie romantyk. – Westchnęłam. – Dobra, miejmy nadzieję, że nic się nie stało. Ale na przyszłość powinieneś pamiętać o takich rzeczach. I nie robić nic za moimi plecami.

– Nie robiłem nic za twoimi plecami.

– A załatwienie Kubie spotkania z psychologiem?

– Co? – Wyglądał na tak zdziwionego, że momentalnie zrobiłam się czujna.

– To nie ty? Nie poprosiłeś Leszka Damrockiego, żeby odwiedził chłopaka w szpitalu?

– W życiu. Chociaż pewnie powinienem był o tym pomyśleć, fakt.

Powoli przeniosłam spojrzenie z Wojtka na Rafała Wronę, który bez słowa przyglądał się naszej wymianie zdań.

– Chyba powinniśmy porozmawiać z Damrockim – powiedziałam.

*

Telefon dzwonił już czwarty raz w ciągu ostatniej godziny. Róża Jaworska wyciągnęła rękę w stronę słuchawki i zaraz ją cofnęła. Wiedziała, kto dzwoni, i co więcej, doskonale wiedziała, jak będzie wyglądała ta rozmowa. Ostatnim razem, kiedy Leszek Kuleba zaprosił ją do kina, zgodziła się, bo niespecjalnie widziała inne wyjście. Nigdy nie potrafiła odmawiać, a ten mężczyzna naprawdę był miły. Albo przynajmniej starał się być miły. Zrobił jej herbatę, pocieszał, kiedy matka Róży została zabrana do szpitala, i przede wszystkim nikomu nie wspomniał o tamtych nieszczęsnych słowach, które wymknęły jej się przed Pogańskim Młynem.

To będzie nasz wspólny sekret, powiedział, a ona skinęła głową i od tego momentu – czy chciała tego czy nie – byli ze sobą w pewien sposób połączeni.

Wcale jej się to nie podobało. Na wyjście do kina specjalnie włożyła starą, spraną sukienkę – Kalina śmiała się, że siostra wygląda w niej jak w worku pokutnym – nie zrobiła makijażu i uczesała włosy w najmniej twarzową fryzurę. A kiedy po seansie poszli na spacer do parku, odpowiadała półsłówkami, mając cichą nadzieję, że Leszek się zniechęci i da jej spokój. On jednak okazał się zaskakująco uparty. Od tamtego spotkania dzwonił już kilka razy z różnymi propozycjami: wyjścia na kawę, znowu do kina czy na kolejny spacer. Jak dotąd Róży udawało się wykręcać, ale stopniowo kończyły jej się wymówki. A podczas ostatniej rozmowy oznajmił, że się o nią martwi, że Róża nie powinna się tak izolować i że jeśli nie zdecyduje się wreszcie wyjść z domu, on będzie musiał podjąć pewne kroki. Dla jej własnego dobra. Tak właśnie powiedział: dla jej dobra, a ona dopiero pięć minut po tym, jak odłożyła słuchawkę, zrozumiała, że była w tym zdaniu delikatna, lecz przecież wyraźna groźba.

Wspólny sekret.

Zagryzła wargę tak mocno, że poczuła w ustach smak krwi. Ból sprawiał przyjemność, jak pokuta, jak klęczenie w kościele na zimnej posadzce. Zasługiwała na niego.

Być może zasługiwała także na Leszka Kulebę.

Telefon znowu zadzwonił, ostro i natarczywie. Róża skuliła się i zaraz potem wyprostowała. Co jej właściwie dawało takie ukrywanie się? Przecież Kuleba i tak znał adres.

Zagryzła wargę jeszcze mocniej, a potem odebrała.

*

Pełniąca funkcję sekretarki starsza pani poinformowała nas uprzejmie, że niestety będziemy musieli zaczekać, ponieważ „doktor ma pacjenta”. Usiedliśmy więc w poczekalni urządzonej ładnie, choć dość banalnie – na ścianach w kolorze kremowej bieli wisały widoczki przedstawiające morze i żaglówki, na stoliku ze szklanym blatem leżała sterta czasopism: od „Claudii” poprzez bieżącą prasę aż po popularne brukowce, których nie spodziewałam się tu zobaczyć.

– Ten gość nie jest doktorem – powiedział Wojtek, od niechcienia biorąc do ręki „Detektywa”. Okładka przedstawiała rogatego koźlostwora kołyszącego na włochatym ogonie trzy roznegliżowane panienki. Czerwone tytuły zapowiadały liczne atrakcje: *Uczeń diabła*, *Dziki bestie*, *Za biedni na sprawiedliwość*. – Znaczący nie ma tytułu lekarza.

– Wiem. Zgodnie z prawem wcale nie musi mieć.

– Czyli co, każdy obywatel może strzelić sobie taki gabinecik z sekretarką i ogłosić, że jest terapeutą?

– Teoretycznie tak. W praktyce wymaga to znacznie więcej zachodu, trzeba zrobić podyplomówki i inne takie. Sprawdziłam Damrockiego na szybko i wygląda na to, że facet jest w porządku.

Wojtek odłożył pisemko.

– Naprawdę myślisz, że dziewczyna w czerwonej sukience ma coś wspólnego z morderstwem? – zmienił temat.

– Nie mam pojęcia.

– Bo wiesz, nad czym się zastanawiam? Sylwia Ochocka mówiła, że dziewczyna w czerwonej sukience stała nad potokiem, jakby na kogoś czekała...

– No i?

– A jeśli czekała nie na kogoś, tylko na coś? Miejsce, w którym Ochocka ją widziała, znajduje się kilometr od Pogańskiego Młyna, w dół strumienia. Czyli gdyby ktoś wrzucił coś do strumienia przy leśniczówce, to ten przedmiot mógłby dopłynąć do dziewczyny w czerwonej sukience.

– I co by twoim zdaniem to mogło być?

Zakłopotał się lekko.

– Cokolwiek. Chociażby te gumowce...

– A dziewczyna stała tam, żeby je złapać, tak jak się łapie świętojański wianek? Daj spokój. Ten strumień jest płytki i pełen kamieni, każdy cięższy przedmiot utknąłby na najbliższym zakręcie. Mnie zastanawia coś innego. Dzięki twojemu dobremu sercu Sylwia Ochocka rozmawiała z Kubą sam na sam. A zaraz potem chłopak zaczął mi sugerować, że morderca mógł być ubrany w coś czerwonego...

– I co z tego wynika?

– Powiedzmy, że Sylwia zupełnie niewinnie podzieliła się z Kubą historią o dziewczynie w czerwonej sukience, a chłopak postanowił wykorzystać ją, żeby zamącić nam w głowach.

– Czemu miałyby to robić?

– Bo wie, kto zabił Aleksandrowiczów, z jakiegoś powodu nie chce, żebyśmy tę osobę znaleźli, i dlatego kieruje nas na fałszywy trop. Liczy, że dopóki będziemy uganiać się za niewinną dziewczyną w czerwonej sukience, prawdziwy zabójca pozostanie bezpieczny.

– Przecież ten człowiek zamordował jego ojca, macochę i dwie przyrodnie siostry.

Potrząsnęłam głową.

– Krystian co prawda był biologicznym ojcem Kubę, ale nie on go wychowywał. Chłopak dopiero ostatnie pół roku spędził u Aleksandrowiczów, wcześniej przez jedenaście lat mieszkał w innym domu. Więż emocjonalna wytworzona przez te lata prawdopodobnie byłaby silniejsza niż więź z rodzicem, którego przez większość życia nie znał.

– Wajda jest martwa, z kim w takim razie miałyby tę więź jeszcze stworzyć? Z tajemniczym M, amatorem gry w tysiąca? Jakimś Michałem, Marcinem, Maćkiem...?

– Na przykład.

– To nie brzmi wcale dużo sensowniej niż teoria z gumowcami płynącymi strumieniem.

Tu mnie miał, przyznaję. Nie zamierzałam jednak poddać się bez walki i już chciałam odpowiedzieć, gdy drzwi naprzeciwko nas się otworzyły. Wyszła z nich jasnowłosa elegancka kobieta koło czterdziestki sprawiająca wrażenie zaskakująco radosnej jak na kogoś, kto potrzebuje pomocy psychoterapeuty.

Weszliśmy do gabinetu. Gdy pokazaliśmy nasze legitymacje, stojący przy oknie Leszek Damrocki drgnął lekko, szybko jednak się opanował. Był średniego wzrostu, szczupły i przystojny w lekko egzotyczny sposób: z ciemnymi włosami i czarnymi skośnymi oczami, sugerującymi tatarskich przodków.

– Proszę usiąść – powiedział. – Kawy, herbaty?

– Nie, dziękuję.

W pokoju stały tylko trzy głębokie fotele w kolorze zgaszonego różu, sprawiające wrażenie niemal zbyt wygodnych. Gdyby Damrocki usiadł w jednym z nich, a my w dwóch pozostałych, ustawionych naprzeciwko w odległości niecałych dwóch metrów, atmosfera zrobiłaby się przesadnie intymna jak na mój gust.

– Odwiedzał pan w szpitalu Kubę Aleksandrowicza, prawda? – zapytałam.

Damrocki przytaknął.

– Z czyjego polecenia?

– Nie rozumiem...

– Kto panu kazał pójść do szpitala i rozmawiać z chłopakiem?

– Nikt mi nie kazał. Kuba to mój pacjent. Kiedy pan – skinął głową w stronę Chodury – powiedział, co się wydarzyło, uznałem, że muszę temu dziecku pomóc.

O kurwa, pomyślałam.

– I tak po prostu pana wpuścili?

– Przedstawiłem się jako terapeuta Kuby i tak, owszem, ten policjant przed drzwiami mnie wpuścił.

– Który policjant?

– Młody, czytał książkę na temat zaburzeń. Porozmawialiśmy chwilę. Mówił mi, że chce pójść na studia.

Przymknęłam na moment oczy. Wszyscy jesteśmy ludźmi, reagujemy na oznaki autorytetu, na stanowczy ton, mundur albo legitymację. Policjanci, zwłaszcza ci młodzi, nie są pod tym względem wyjątkiem. A dla tego konkretnego policjanta największym autorytetem byłby właśnie ktoś związany z psychologią. Gdy Damrocki przedstawił się jako terapeuta, młodzieńkowi pewnie nawet nie przyszło do głowy, że mógłby zabronić mu wejść.

Kurwa mać, powtórzyłam w myślach bezradnie. Miałam wrażenie, że moje śledztwo pruje się w szwach jak zetlała tkanina.

– Następnym razem, kiedy będzie pan chciał rozmawiać z Kubą, proszę najpierw spytać o zgodę nas.

– Oczywiście. – Damrocki miał ten sztywny, neutralny wyraz twarzy, który przywykłam kojarzyć z ukrywaną niechęcią. – Liczę jednak, że nie zostawię państwo tego chłopca bez pomocy. Kuba dwa razy w swoim życiu przeszedł niewyobrażalną traumę, jego...

– Zobaczymy, co się da zrobić. Najpierw jednak chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

– Nie mogę...

– Na te pytania będzie pan mógł odpowiedzieć. – Miałam gdzieś, że jestem niegrzeczna. Bardzo chciałam zobaczyć w tym człowieku coś, co sugerowałoby złe intencje, skłonność do manipulacji czy przemocy, cokolwiek, co pozwoliłoby mi połączyć go z morderstwem. Widziałam jednak tylko sympatycznego faceta, gotowego nieść pomoc cierpiącemu dziecku, i to mnie irytowało. – Na przykład może nam pan powiedzieć, kto pana polecił Aleksandrowiczom.

– Nikt. Znam... znałem Krystiana. Niezbyt dobrze, po prostu spotykaliśmy się czasami przy różnych oficjalnych okazjach.

– Odwiedził go pan kiedyś w domu?

– Nie. On mnie też nie. To była bardzo luźna znajomość, zdecydowanie nie na przyjacielskiej stopie.

– I kiedy Krystian pana poprosił, żeby zajął się pan Kubą?

– W marcu.

– Czyli nie od razu po tym, jak chłopak trafił do domu Aleksandrowiczów?

– Nie, nie od razu.

– Trochę to dziwne, nie sądzi pan? Można by pomyśleć, że dziecko po tak traumatycznych przeżyciach rodzice od razu zapiszą na terapię.

Lekko, niemal niedostrzegalnie wzruszył ramionami.

– Cóż, ludzie rzadko myślą o takich rzeczach. Krystian i Kalina zakładali zapewne, że samo znalezienie się w domu pełnym ciepła i miłości wystarczy, żeby chłopiec doszedł do siebie.

Odkryłam wreszcie coś, do czego mogłam się w Damrockim przyczepić. Facet mówił zdaniami nieco zbyt gładkimi i okrągłymi, by brzmiały naturalnie. Drobiazg, który niespodziewanie mnie ucieszył.

– Ale nie wystarczyło, tak?

– Nie, nie wystarczyło.

– Kiedy dokładnie Aleksandrowiczowie zgłosili się do pana? Gdy się okazało, że Kuba moczy łóżko? Jest agresywny w stosunku do przyrodnych sióstr?

Damrockiemu z coraz większym trudem przychodziło utrzymanie neutralnego wyrazu twarzy.

– Kuba nigdy nie był agresywny w stosunku do nikogo.

– W takim razie co się stało? Bo ja mam bardzo bujną wyobraźnię. Jeśli mi pan nie powie, mogę sobie zacząć wyobrażać różne rzeczy. Na przykład że Kuba trzymał pod łóżkiem zestaw noży, bawił się zapalkami albo wspominał mimochodem, że miło byłoby pewnego dnia wszystkich wymordować.

Tym razem Damrocki nie zdołał ukryć niesmaku.

– Kuba miał problemy, jakich można by się spodziewać po dziecku w jego sytuacji. Na przykład odmawiał jedzenia razem z resztą rodziny. Był przyzwyczajony do bardzo prostej kuchni: kawałek mięsa, chleb, ziemniaki, czasem jakieś warzywo z ogródka. A Kalina gotowała skomplikowane zagraniczne potrawy, najczęściej francuskie albo włoskie. W Kubie takie jedzenie budziło nieufność i w rezultacie przez pierwszy miesiąc żywił się pizzą na wynos albo hamburgerami, które Krystian przywoził mu z McDonalda.

– I dlatego rodzice zapisali go na terapię? Bo wolał Big Maca od frutti di mare?

– Nie, nie tylko dlatego. Kuba z początku się upierał, że będzie spał w piwnicy, a tego Aleksandrowiczowie oczywiście nie mogli zaakceptować. Ostatecznie zgodził się spać w przygotowanym dla niego pokoju, ale zawsze zamykał się na klucz, co Krystiana i Kalinę mocno niepokoiło. Zwłaszcza że Kuba potrafił tak spędzać długie godziny. Wychodził tylko na posiłki, a nawet wtedy z trudem nawiązywał kontakt z resztą rodziny.

Pomyślałam o pokoju urządzonym surowo jak mnisia cela. Albo piwnica, ta pod domem Stanisławy Wajdy. Wciąż nie miałam pewności, czym to miejsce było dla Kubę: więzieniem czy bezpieczną przystanią chroniącą przed całym złem świata? Jednym i drugim?

– Stopniowo jednak udało mi się sprawić, że stosunki w rodzinie Aleksandrowiczów znacząco się poprawiły. Kuba bardzo polubił swoją macochę i dwie przyrodnie siostry. Zwłaszcza młodszą, Renię. Często się z nią bawił.

Chłopiec chwytający małą dziewczynkę za rękę i za nogę, dziecko wzlatujące w błękit nieba niczym ptak, złote włosy stapiające się w jedno z wielkim ciepłym słońcem. Obraz przemknął pod moimi powiekami jak jaszczurka umykająca spod nóg w letni dzień.

– A ojca? – zapytał Wojtek.

– Z ojcem też miał dobry kontakt. Jak na te okoliczności, oczywiście.

Co prawdopodobnie oznaczało, że Kuba nie był ukochanym syneczkiem tatusia, pomyślałam.

– W jakim stanie chłopak jest teraz?

– A jak pani sądzi? – W głosie Damrockiego zabrzmiało coś pomiędzy rozdrażnieniem a zmęczeniem. – Kuba jeszcze przez długi czas będzie potrzebował specjalistycznej pomocy. Może nawet do końca życia. Na szczęście ma matkę i to budzi moją nadzieję. Chłopiec jest do niej bardzo przywiązany i cieszy się, że wreszcie będą mogli zamieszkać razem. O ile oczywiście w takiej sytuacji można mówić o radości – zastrzegł, odrobinę speszony.

To nie zgadzało się z tym, co przekazał mi Wojtek – Lucyna Pietrzak twierdziła, że mimo usilnych prób nie udało jej się nawiązać kontaktu z synem. Rozumiałam jednak, że morderstwo czterech członków rodziny może zmienić stosunek do piątego. Poza tym co ja właściwie o Kubie wiedziałam? Może to, co kobieta brała

za emocjonalny dystans, było w gruncie rzeczy miłością, której chłopiec nie potrafił okazać?

Damrocki przeniósł wzrok ze mnie na Wojtka – spodziewał się chyba, że będziemy grać w dobrego i złego glinę, teraz więc dla odmiany mój partner powie coś miłego i uspokajającego. Wojtek jednak milczał. Damrocki poruszył się niespokojnie, zawahał i wreszcie zdecydował się postawić.

– Nie odpowiem już na żadne pytanie. I tak powiedziałem za dużo.

Sądził prawdopodobnie, że będę naciskać, jak przystało na złego gliniarza, ja jednak bez problemu odpuściłam.

– W porządku.

Przełknął ślinę. Moja zgoda wyraźnie dodała mu odwagi, bo ciągnął już z większą pewnością siebie:

– I mam nadzieję, że nie będziecie dręczyć Kuby. Po waszej ostatniej wizycie chłopiec był cały roztrzęsiony. To dobre dziecko, które zbyt wiele przeszło. Bądźcie delikatni, tylko o tyle proszę.

Tym razem nie mogłam odpowiedzieć „W porządku”. Jeszcze dziś zamierzałam odwiedzić Kubę. I wiedziałam, że jeśli chłopak nie zechce odpowiedzieć na moje pytania, zdecydowanie nie będę delikatna.

Po drodze wpadłam jeszcze do domu, zabrałam *Thorgala*, po czym pojechaliśmy do Kuby. Przez kilka ostatnich dni nieustannie krążyliśmy między Żywcem a Katowicami i drogę znałam już na pamięć. Wojtek siedział na fotelu pasażera i pisał esemesa. Myślałam, że skończy i pogada ze mną o śledztwie, ale on klepał wiadomość, nie odrywając wzroku od ekranu. Tuż przed Tychami zaczęło mnie to irytować.

– Coś ciekawego? – zapytałam.

Spojrzał zdziwiony, jakby dopiero teraz załapał, że w samochodzie jest jeszcze ktoś oprócz niego.

– Co? Ta wiadomość? A, nie, piszę do Rafała.

– Wrony? Jesteście już po imieniu?

Wzruszył ramionami i schował komórkę do kieszeni.

– Poszliśmy wczoraj na piwo i trochę pogadaliśmy.

Skinęłam głową. Wojtek niedawno się rozwiódł, a Wrona z dużym prawdopodobieństwem zmierzał dokładnie w tym samym kierunku. Mogli więc sobie pogadać od serca o paskudnych kobietach czy o czym tam mówią mężczyźni w takich sytuacjach. Miało to sens. Zaskoczyło mnie jednak lekkie ukłucie zazdrości. Gdyby wszystko szło jak trzeba, to ja siedziałabym wczoraj z Wojtkiem w knajpie nad kuflem piwa. W tej sprawie jednak od początku nic nie wyglądało tak, jak powinno. Od śmierci Karlika – bo nagle uświadomiłam sobie, że początkiem nie był tamten telefon, który nad ranem wyrwał mnie z płytkiego snu, tylko ten wcześniejszy, kiedy uprzejmy lekarz oznajmił, że mojego męża przyjęto właśnie na oddział intensywnej terapii. Rozległy zawał serca, powiedział, a potem dodał: „Powinna się pani pospieszyć”, tym pełnym oszczędnego współczucia tonem, którego sama używałam w stosunku do pogrążonych w żałobie krewnych. Wtedy już wiedziałam. Jadąc do szpitala, wiedziałam, że nie zobaczę Karlika

żywego. To wtedy całe moje życie przewróciło się do góry nogami i jakakolwiek normalność została daleko z tyłu.

Zerknęłam na Wojtka, spodziewając się, że zapyta, o czym chcę rozmawiać z Kubą, ale on milczał i patrzył w szybę. Zatem ja też milczałam i tak dojechalśmy do Żywca.

*

– Dziękuję – powiedział Kuba apatycznie, biorąc do ręki komiks i odkładając go od razu na stolik. Nawet nie spojrział na okładkę. Zirykowało mnie to, bo dziś każdy drobiazg urastał do rangi problemu. Może to była wina zmęczenia, bo nie licząc tej jednej nocy w Murowańcu, wciąż kiepsko sypiałam. Może wina tego, że moje śledztwo rozsypywało się jak zestaw źle dopasowanych puzzli. A może zwyczajnie miałam zły dzień.

– Chcielibyśmy ci zadać jeszcze kilka pytań – powiedziałam, już żałując, że nie poprosiłam Wojtka o prowadzenie tej rozmowy.

– Ja nic nie pamiętam. – Chłopiec uparcie patrzył w okno. Był bledszy niż poprzednio, ciemne kręgi pod jego oczami przypominały sińce. Gdy tak siedział na szpitalnym łóżku z kolanami podciągniętymi pod brodę, wydawał się kruchy niczym szklana rzeźba. Jeszcze przed chwilą nie miałabym oporów, żeby go przycisnąć, ale teraz zrobiło mi się go żal.

– Nie będziemy cię męczyć – zapewniłam, obiecując sobie w duchu, że spróbuję dotrzymać słowa. Przynajmniej tyle. – Dwa szybkie pytania i już sobie idziemy, jasne?

Skinął głową z tą samą apatią, z jaką wziął do ręki komiks.

– Znaleźliśmy waszą kamerę, a w niej kasetę. Są na niej nagrane dwie krótkie scenki. Pierwsza to ty i dziewczynki w lesie, pamiętasz?

Wzruszył ramionami.

– Nie bardzo. Często chodziliśmy do lasu.

– Tak, ale wtedy musiał być z wami ktoś jeszcze. Ktoś, kto trzymał kamerę. Kto to był?

– Nie pamiętam. Pewnie tata. Albo Kalina.

– Kiedy pierwszy raz rozmawialiśmy, mówiłeś, że twój ojciec i macocha nie chodzili z wami do lasu.

– Bo zwykle nie chodzili. Ale czasem tak.

– Nie sędzę. – Użyłam najłagodniejszego tonu, na jaki potrafiłam się zdobyć. Bądźcie delikatni, przypomniałam sobie słowa Damrockiego. Nie byłam z tego znana, ale hej, kto powiedział, że twarda komisarz Lesińska, mająca akurat jeden z paskudniejszych dni w życiu, nie będzie potrafiła zdobyć się na delikatność? – Widzisz, nasz technik próbował określić wzrost tej osoby na podstawie tego, na jakiej wysokości trzymała kamerę, i wyszło mu, że wasz towarzysz miał jakieś metr sześćdziesiąt. Twój ojciec mierzył ponad metr osiemdziesiąt, macocha była sześć centymetrów niższa. Czyli to nie mogło być żadne z nich.

Trochę naciągałam prawdę, bo Jacek, gdy do mnie zadzwonił, opatrzył swoją rewelację licznymi „prawdopodobnie”, „na dziewięćdziesiąt procent” i „materiału jest za mało, żebyśmy byli całkiem pewni”, uznałam jednak, że Kuba nie musi o tym wiedzieć.

– Co masz na ten temat do powiedzenia? – dodałam, gdy chłopak milczał. – Metr sześćdziesiąt to raczej wzrost kobiety, a nie mężczyzny. Czy to znaczy, że w lesie towarzyszyła wam kobieta? Albo dziewczyna? Na przykład ta w czerwonej sukience?

Drgnął lekko i zacisnął mocniej usta.

– Nikogo nie było.

– A film w kamerze nakręcił się sam?

Wojtek posłał mi potępiające spojrzenie. Odetchnęłam, starając się przepędzić z głosu agresję, która wkradła się tam podstępnie. Spróbowałam podejść chłopaka z innej strony.

– Czy słowa „Bóg rozpozna swoich” coś ci mówią?

Tym razem podskoczył, jakby ktoś ukłuł go szpilką.

– Co?

Z trudem przełknęłam odpowiedź „To, co słyszysz”.

– Podobno jesteś dobry z historii, powinienes w takim razie kojarzyć to zdanie.

– Kojarzę, co z tego? – burknął.

Szesnaście–siedemnaście lat to taki dziwny okres, kiedy człowiek w kilka sekund potrafi przeskoczyć od bycia dorosłym do bycia dzieckiem i odwrotnie. Wiem, bo widywałam podobne zmiany u Justyny i Adama, kiedy byli w wieku Kuby. Jeszcze przed chwilą patrzył na mnie zraniony chłopczyk – nieważne, że wykorzystujący swoje cierpienie jak tarczę – a teraz znalazłam się twarzą w twarz z naburmuszonym nastolatkiem.

– Co te słowa dla ciebie znaczą?

– Nic, to tylko taka historyczna opowieść.

– Ale ty powiedziałaś te słowa całkiem niedawno, prawda? Dwudziestego szóstego sierpnia rano, kiedy wykrwawiałaś się obok ciała Reni.

Prawdopodobnie istniał jakiś sposób, żeby powiedzieć to łagodniej – delikatniej, jak chciałby Damrocki – ale szczerze mówiąc, zaczęłam mieć dość.

Wojtek drgnął i wyczułam promieniującą od niego dezaprobatę. Kuba za to nawet się nie poruszył. Patrzył wciąż na mnie oczami skrzywdzonego dziecka, a ja wiedziałam już, że to skrzywdzone dziecko robi mnie w wała.

– Dlaczego miałbym coś takiego powiedzieć?

– Nie wiem, dlatego pytam.

– Nie zrobiłem tego.

– A pamiętasz Koziarskiego, ksywa Koza? Łysa czaszka, paskudna gęba, ogólnie nieprzyjemny typ. On i jego kumpel wpadli na ciebie rano, kiedy wracali z nocnej popijawy. Przypominasz sobie?

Chwila wahania.

– Tak, chyba tak.

– Chyba?

– To wszystko było jak sen. Bardzo zły sen. Budziłem się i traciłem przytomność. I tak, raz mi się wydawało, że pochyła się nade mną jakiś człowiek. Mogłem... mogłem wtedy coś do niego powiedzieć. Ale nie to, co pani mówi. Nic o Bogu. Poprosiłem o pomoc, tak mi się wydaje.

– Nie mam pojęcia, jakim cudem można pomylić zdanie „Pomóż mi, proszę” z „Bóg rozpozna swoich”. – Gdy tylko skończyłam mówić, wychwyciłam dobiegający z korytarza odgłos zbliżających się kroków. To mógł być ktokolwiek: lekarz, pielęgniarka, gość zmierzający do zupełnie innego pokoju. Wiedziałam

jednak, że mój czas właśnie się skończył. Niekiedy człowiek po prostu ma przecucie, a dziś od rana prześladował mnie pech.

– A to, co mówiłeś wcześniej, że morderca mógł nosić coś czerwonego? Co to mogło być?

– Nie pamiętam.

– Koszulka? A może raczej sukienka? Kuba, posłuchaj. – Pochyliłam się do przodu. – Jeśli wiesz...

Drzwi się otworzyły i w progu stanęła Lucyna Pietrzak. Niewiele się zmieniła od czasu, gdy zrobiono jej tamto zdjęcie w Murowańcu: twarz wciąż miała młodzieńczo gładką, a figurę szczupłą. Wtedy nosiła dłuższe włosy, które sprawiały, że wyglądała bardziej dziewczęco, teraz, z krótką fryzurą, w dżinsach i koszulce, można by ją wziąć za chłopaka. Zza jej ramienia wyjrzał pilnujący drzwi policjant, wzruszył ramionami w geście „No co mogłem poradzić?” i zniknął, szczęśliwy zapewne, że to my zajmiemy się problemem.

– Co tu robicie? – zapytała.

Wstałam z krzesła.

– Możemy zadać pani to samo pytanie.

Zacisnęła usta. Z opowieści Wojtka wynikało, że Lucyna Pietrzak to słaba, pogubiona w życiu kobieta, ja jednak widziałam przed sobą wojowniczkę śmiało patrzącą mi w oczy.

– Mam prawo tu być. Kuba to mój syn. – Chwila wahania, jakby Lucyna była cyrkowcem łapiącym równowagę na linie. Po tym wahaniu poznałam, że jej odwaga musiała być świeżo nabyta, że ta kobieta wciąż nie czuje się zbyt pewnie w nowej roli. – Sąd przyznał mi pełnię władzy rodzicielskiej nad Kubą. Nie możecie mnie izolować od mojego dziecka.

Miała rację. Wcześniej sąd rodzinny ustanowił opiekunką mieszkającą w Kątach babcię chłopca, która nawiasem mówiąc, ani razu się nie zainteresowała wnukiem. Po prostu podpisała papiery i tyle, co pod wieloma względami ułatwiało nam prowadzenie śledztwa. Teraz przeczuwałam nadciągające problemy.

– A jeśli zamierzacie przesłuchiwać mojego syna, możecie to zrobić oficjalnie – ciągnęła Lucyna, potwierdzając moje podejrzenia. – I wtedy Kuba będzie miał prawo do adwokata. Wiem, bo pytałam.

– Jest pani pewna, że tego właśnie chcecie? Oficjalnego przesłuchania w obecności adwokata? Pani syn jest ofiarą, nie podejrzanym.

– W takim razie dlaczego go prześladujecie? Przecież powiedział wam, że nic nie pamięta.

– Pytali mnie o dziwne rzeczy – poskarżył się chłopak. – O jakąś dziewczynę w czerwonej sukience i inne takie. Nie wiem, o co im chodzi. Nie widziałem żadnej dziewczyny i nie pamiętam, co mówiłem temu... temu Kozie. Ani czy w ogóle coś mówiłem. – Skrzywił się płaczliwie i ukrył twarz w dłoniach, a ja nie miałam pojęcia, czy naprawdę tak go wystraszyliśmy, czy tylko udaje.

– Już dobrze. Wszystko będzie dobrze. – Lucyna Pietrzak podeszła do łóżka i przytuliła chłopca. Był to dziwny, niezgrabny uścisk dwojga nieprzyzwyczajonych do okazywania uczuć osób. Uścisk nie tyle czuły, ile demonstrujący nam, policjantom, solidarność matki i syna. Takie przynajmniej odniosłam wrażenie, choć teraz niczego nie byłam już pewna. Zupełnie jakby mój instynkt ostatnio wziął sobie urlop.

– Chcemy zakończyć to śledztwo – spróbował jeszcze Wojtek. – Pani tego nie chce?

– Nie w ten sposób. Nie kosztem zdrowia mojego dziecka.

Z tym nie mogliśmy dyskutować. Gdy wychodziliśmy, Lucyna Pietrzak i Kuba wciąż się przytulali, a ja miałam paskudne uczucie, że właśnie przegrałam – jeśli nie całą wojnę, to przynajmniej ważną bitwę.

*

– Co teraz? – zapytał Wojtek, kiedy wychodziliśmy ze szpitala i zmierzaliśmy w stronę zaparkowanego niedaleko samochodu. – Wzywamy chłopaka na oficjalne przesłuchanie?

– To nic nie da. Będzie siedział naprzeciwko nas, płakał i powtarzał, że nie wie i nie pamięta. A prasa urwie nam głowę, jeśli się dowie, że dręczymy siedemnastoletniego chłopaka, który przeżył masakrę całej swojej rodziny.

– A jeśli on naprawdę nie pamięta? Bierzesz to pod uwagę?

– Biorę – przyznałam z niechęcią, przystając przy samochodzie. Ktoś włożył nam za wycieraczkę ulotkę reklamującą bar ze striptizem. Wyjęłam ją, zmiażdżyłam w kulkę i wrzuciłam do kosza na śmieci. – I to mnie martwi. Jeśli chłopak nie chce

mówić, bo kogoś chroni albo się boi, to prędzej czy później pójdzie po rozum do głowy i zdecyduje się z nami pogadać. Znajdziemy niezbity dowód, przekonamy go, że jesteśmy po jego stronie, cokolwiek. Ale jeśli naprawdę nie pamięta, to wszystkie dowody i przekonywania możemy wsadzić sobie w dupę, bo z amnezją nie wygramy.

Wojtek otworzył drzwi po stronie pasażera, jednak zamiast wsiąść, wyciągnął papierosa i zapalił. Minęła nas idąca chodnikiem grupa roześmianych dziewcząt w granatowych spódniczkach i białych bluzkach. Jeśli wracały z rozpoczęcia roku szkolnego, to w drodze powrotnej musiały gdzieś zabalować, bo dochodziła osiemnasta. Powietrze się ochłodziło, promienie słońca były teraz dłuższe i wpadały w purpurę zapowiadającą nadciągający zmierzch.

– To musiałyby być cholernie dziwna amnezja – powiedział Wojtek. – Kuba zapomniał nie tylko szczegóły dotyczące ataku, ale też inne rzeczy. Kto go filmował w lesie, kto grał z nim w karty u Wajdy... Jakby wyparł z pamięci wszystko, co się wiąże z tą jedną konkretną osobą. Zakładając oczywiście, że chodzi o jedną i tę samą osobę.

– O kogoś, kto bywał najpierw w Podkowach, a potem w Pogańskim Młynie, albo przynajmniej na tyle blisko leśniczówki, żeby chodzić z Kubą i dziewczynkami na spacer. I kto ostatecznie zabił Aleksandrowiczów.

Jak cień, dodałam już w myślach, podążający za chłopcem przez wszystkie etapy jego życia, od ciemnej piwnicy aż po ciemny las. Czy ktoś taki naprawdę istniał? Nie mogłam tego wykluczyć.

– Co teraz? – zapytał Wojtek.

– Dzisiaj wracamy wcześniej do domu – zdecydowałam. – Należy nam się przynajmniej jeden wolny wieczór. A jutro przejrzymy akta jeszcze raz, na wszelki wypadek, gdybyśmy coś przeoczyli.

*

Wojtek podrzucił mnie pod dom, a sam pojechał albo do żony, albo znowu pić z Rafałem Wroną. Nie pytałam. Nie obchodziło mnie to, a przynajmniej bardzo chciałam wierzyć, że mnie nie obchodzi.

Pod blokiem zauważyłam samochód, który wydał mi się znajomy, nie myślałam jednak o nim. Miałam na głowie ważniejsze sprawy. Dopiero kiedy wkładałam

klucz do zamka, tknęło mnie, że coś jest nie tak. Z głębi mieszkania dobiegał gardłowy śmiech, a gdy otworzyłam drzwi, uderzył mnie ciężki zapach jaśminowych perfum.

A więc dziś, zupełnym przypadkiem, miałam poznać tajemniczą dziewczynę mojego syna.

Śmiech umilkł, w pokoju Adama zapadła niepewna cisza, po czym wyjrzała z niego rozczochrana głowa.

– Wcześniej dziś wróciłaś – powiedział mój syn.

Nie skomentowałam, bo i nie było czego komentować.

W ślad za Adamem z pokoju wychynęła rudawa blondynka, bosa, w dzinsach i jedwabnej bluzce z głębokim dekoltem. Nie spodobała mi się. Nie sądzę zresztą, żeby w tych okolicznościach mogła mi się spodobać jakakolwiek kobieta.

– Mamo, poznaj Klarę.

– Dobry wieczór – powiedziała Klara głębokim, mrużącym głosem, dzięki któremu z miejsca znalazłaby pracę w każdym sekstelefonie. Była ładna, to musiałam jej przyznać. Była także z piętnaście lat starsza od mojego syna. Dlatego powiedział, że nie lubi dziewczyn, pomyślałam. Bo woli dojrzałe kobiety.

– Właśnie wychodziliśmy – oznajmił Adam. Wcale nie odniosłam takiego wrażenia, nie zamierzałam się jednak kłócić.

Gdy zatrzęsnęły się za nimi drzwi, z ulgą zdjęłam buty, przebrałam się w domowe ciuchy i zadzwoniłam do doktora Staszewskiego, psychiatry, który od czasu do czasu udzielał nam konsultacji. Oderwałam go od rodzinnego obiadu – albo raczej od kolacji – bo w tle słyszałam pobrzękiwanie talerzy i matkę strofującą dziecko, żeby nie bawiło się jedzeniem. Staszewski jak zwykle kręcił – natura amnezji wciąż nie do końca została zbadana, trudno wyrokować bez kontaktu z pacjentem i takie tam – ostatecznie jednak przyznał, że owszem, chłopak mógł wyprzeć z pamięci jedną konkretną osobę i wszystko, co się z nią wiązało. Podziękowałam i rozłączyłam się.

Byłam głodna, zajrzałam więc do lodówki. Znalazłam tam opakowanie mięsa mielonego, sos boloński, a w zamrażalniku lody czekoladowe. Może Adam i Klara planowali romantyczną kolację z deserem – nieszczęśliwie wyrefinowaną, jednak w kwestii jedzenia mój syn, podobnie jak ja, nie był wybredny.

Zrobiłam szybkie spaghetti i zjadłam je, oszczędzając lody. Napiłam się za to wina, które znalazłam zachomikowane w szafce. Pierwszy kieliszek odprężył mnie i sprawił, że świat przestał się wydawać tak paskudnym miejscem. Przy drugim odrobinę zakręciło mi się w głowie. Trzeciego nie powinnam pić – w każdej chwili ktoś mógł zadzwonić z ważną wiadomością, a ja musiałam być przynajmniej na tyle trzeźwa, by nie bełkotać w słuchawkę. Ale i tak wypiłam. Myślałam o moim synu i jego nowej dziewczynie. O tym, czy powinnam z nim porozmawiać, a jeśli tak, to w jaki sposób. Synu, jak sobie wyobrażasz wasz związek, kiedy ty będziesz miał czterdzieści parę lat, a ona sześćdziesiąt? Jak sobie wyobrażasz waszą rodzinę, wasze dzieci? I jak ja, u licha, miałabym zwracać się do synowej niewiele ode mnie młodszej?

Wszystko to były bzdury. Zawsze zostawiałam moim dzieciom dużo swobody – może nawet zbyt dużo, bo Justyna z pewnością wolałaby matkę bardziej tradycyjną i wymagającą. Jeśli czymś grzeszyłam, to raczej zaniedbaniem niż przesadną opiekuńczością. A teraz moje dzieci dorosły i miały prawo do swoich wyborów życiowych. Rozumiałam to i dwa razy ugryzłabym się w język, zanim bym wypowiedziała którekolwiek z tych zdań. A jednak zaskoczyła mnie atawistyczna niechęć do tej kobiety ze zmarszczkami wokół oczu sypiającej z moim młodym, pełnym sił synem. Trudno, przejdzie mi, uznałam, nalewając sobie czwarty kieliszek. Teraz ogarnął mnie łzawy nastrój. Od myśli o Adamie przeszłam do myśli o Karliku, o tym, jak zareagowałby mój mąż, gdyby zobaczył Adama i Klarę. Pewnie powiedziałby coś dowcipnego. Karlik miał dar osvajania problemów żartami.

Nie wiedziałam, czy płaczę z żalu za zmarłym mężem, bratem, czy może po prostu z tęsknoty za przeszłością, która odeszła i nigdy nie wróci, jak w taniej piosence. Pod koniec jednak, gdy w butelce pojawiło się dno, myślałam już tylko o Kubie – chłopcu, który pewnego dnia wyszedł z piwnicy na słońce, a za nim szło zło. Siedziałam przy kuchennym stole, patrzyłam w napierającą na okno ciemność, jeszcze nie do końca pijana, ale zdecydowanie też nie trzeźwa, i zaczynałam rozumieć, że jesteśmy do siebie podobni, ja i ten chłopiec. Oboje straciliśmy coś ważnego i nawet nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Kuba zapomniał, ponieważ to było coś tak strasznego, że jego umysł bronił się przed zaakceptowaniem prawdy. A dlaczego zapomniałam ja? I o czym zapomniałam?

Przez moment wydawało mi się, że odpowiedzi są tak blisko, że wystarczy wyciągnąć rękę, by je schwytać. Nawet nie drgnęłam, bojąc się spłoszyć tę chwilę. Siedziałam i patrzyłam, przygotowana na to, że mrok lada moment wedrze się do mojego jasnego, ciepłego domu, zgasi światło i zaleje mnie czernią, ale on tylko zapukał w szybę kroplami pierwszego jesiennego deszczu. Spływały po szkle, tworząc fantazyjne wzory, a ja widziałam w tych wzorach odpowiedzi na wszystkie pytania. Kto zabił Aleksandrowiczów, co wiedział Kuba, o czym i dlaczego zapomniałam. Wyciągnęłam rękę, wreszcie to zrobiłam i wtedy wszystko się rozplynęło; w oknie widziałam już tylko odbicie mojej własnej postarzałej twarzy o szklistym, nawiedzonym spojrzeniu.

2–4 września 1999 roku

Następnego dnia obudziłam się z lekkim bólem głowy i poczuciem nierzeczywistości, jakie zwykle towarzyszyło mi na kacu, poza tym jednak czułam się całkiem nieźle. Zawsze dobrze tolerowałam alkohol, co mogłam uznać za szczęście albo nieszczęście, zależy, z której strony patrzeć. Zajrzałam do pokoju Adama – mój syn nie wrócił na noc, z czego byłam zadowolona. Dzieci, nawet dorosłe, nie powinny oglądać swoich matek płaczących w kuchni nad butelką winą ani pochrapujących potem na tapczanie.

Wzięłam prysznic, połknęłam tabletkę przeciwbólową i wyszłam z domu. W drodze na parking wyrzuciłam do śmietnika pustą butelkę po winie.

Przez następne siedemdziesiąt dwie godziny zdarzyły się tylko dwie ważne rzeczy. Po pierwsze, po nocnym deszczu przyszła jesień. Dni wciąż były ciepłe, choć już nie upalne, za to poranki witały mnie chłodem i snującą się nad ziemią mgłą o zapachu opadłych wilgotnych liści. Po drugie, w piątek trzeciego września Jakub Aleksandrowicz na życzenia własne i matki został wypisany ze szpitala i wraz z Lucyną Pietrzak zamieszkał w Kątach, w domu babci. Byłam przy tym, jak wychodzili ze szpitala. Chłopiec szedł skulony, kryjąc twarz w kapturze obszernej bluzy, matka trzymała go za łokieć i prowadziła jak ślepcę. Jakiś dobrze poinformowany dziennikarz cyknął kilka fotek, które następnego dnia ukazały się w „Super Expressie”. Kupiłam ten numer. Nie dla Kuby, bo jego na tych zdjęciach właściwie nie widać, tylko dla Lucyny śmiało patrzącej w obiektyw aparatu. Pamiętam, że długo myślałam nad tym, jaki właściwie wyraz maluje się na jej twarzy. Determinacja, dobrze maskowany strach? Lucyna wyglądała jak ktoś, kto podjął decyzję, że będzie walczył do końca, i stoi teraz na barykadzie, wiedząc, że w każdej chwili może go trafić zabłąkana kula. Co nią kierowało? Miłość do syna, obudzona nagle po tragicznych wydarzeniach, czy wyrzuty sumienia, ponieważ osiem miesięcy temu nie chciała go wziąć do Anglii? A może zwyczajne poczucie obowiązku, świadomość, że teraz, gdy chłopcu została już tylko ona, nie może go

zawieść? I jak Lucyna sobie wyobrażała ich wspólne życie? Nie była naiwna, musiała zdawać sobie sprawę, że Kuba nie wyprowadzi się z domu, gdy tylko skończy osiemnaście lat, i nie znajdzie sobie pracy. Wiedziała, że chłopiec jeszcze przez długi czas będzie wymagał wsparcia. Jak zamierzała mu to wsparcie zapewnić, skoro w Cardiff mieszkała w wynajętym pokoju, a w Polsce z litości przyjęła ją mieszkająca na wsi stara matka? A może liczyła na połowę majątku Aleksandrowiczów, którą miał dostać chłopak? Wiedziała, jak wyglądały testamenty, czy zwyczajnie domyśliła się, że syn bogatego człowieka nie zostanie bez pieniędzy?

Zadawałam sobie te wszystkie pytania, patrząc na zdjęcie w gazecie. Gdybym zadała je Lucynie, na większość prawdopodobnie i tak by nie odpowiedziała. W jej oczach byłam teraz wrogiem. Jeśli chciałam przesłuchać Lucynę Pietrzak, powinnam dobrze się do tej rozmowy przygotować.

Podobnie jak do rozmowy z Kubą.

Przez całe czwartkowe popołudnie, sporą część piątku i kawałek soboty przeglądaliśmy we trójkę akta. Śledztwo utknęło w martwym punkcie i nie miałam innego pomysłu, jak je ruszyć, co z każdą godziną frustrowało mnie coraz bardziej. Przejrzeliśmy już wszystko: finanse Aleksandrowiczów, ich bliższe i dalsze kontakty, zeznania ludzi, którzy widywali rodzinę w Rudniku. Dawno temu mój ówczesny szef nauczył mnie niepisanej policyjnej – czy raczej wtedy jeszcze milicyjnej – zasady: sprawca w większości przypadków znajduje się na pierwszych trzech stronach akt. Przez wszystkie lata mojej służby wielokrotnie zdążyłam się przekonać, że to prawda, teraz jednak, jeśli nazwisko mordercy faktycznie tam było, nie potrafiłam go rozpoznać.

Wojtek palił papierosa za papierosem, Rafał Wrona siedział po drugiej stronie mojego biurka i patrzył na rozłożone przed sobą papiery z dziwną, posępną i jednocześnie wściekłą miną, jakby rozwiązanie tej sprawy stało się jego osobistą kruczajką, zadośćuczynieniem za to, co zaniedbał jesienią.

Justyna dzwoniła w tym czasie dwa razy, by zapytać, czy na pewno wpadnę w niedzielę na obiad. Zapewniłam ją, że tak, oczywiście wpadnę i przyniosę Zuzie ładny prezent do jej nowego pokoju. Odniosłam przy tym wrażenie, że moja córka nie tylko mi nie wierzy, ale wręcz liczy, że nie przyjdę. Nie miałam pojęcia czemu – bo dzięki temu zyskałaby dowód, że jestem wyrodną matką? Diabli wiedzą. Zresztą może tylko mi się wydawało. Ostatnio w każdym widziałam wroga,

a drobiazgi wciąż działały mi na nerwy. Miałam pięćdziesiąt cztery lata i zaczynałam myśleć o emeryturze. Wiedziałam, że to prawdopodobnie moja ostatnia tak duża sprawa. Jeśli śledztwo zostanie umorzone, zapamiętają mnie jako komisarz, której nie udało się wyjaśnić głośnego na całą Polskę morderstwa. To byłabym w stanie przeżyć, wiedziałam też jednak, że jeśli nie znajdę sprawcy, martwe twarze Aleksandrowiczów będą wracać do mnie nad ranem w tych godzinach, gdy człowiek gapi się w sufit i robi rachunek sumienia. Już zawsze będę się zastanawiać, czy mogłam zrobić coś więcej, co przegapiłam, jakie jeszcze pytanie powinnam zadać, by dowiedzieć się prawdy.

Pogrążona w myślach, ledwo zarejestrowałam Wojtka mówiącego, że idzie coś zjeść. Zostaliśmy z Wroną sami. Chciałam już wrócić do przeglądania akt, gdy siedzący naprzeciwko mnie mężczyzna poruszył się lekko.

– Mam taki pomysł, może głupi, ale w sumie co nam szkodzi...

– No?

– Może obejrzelibyśmy razem filmy Aleksandrowiczów? Gdzie one są? W ich domu?

– W domu, owszem. Naprawdę uważa pan, że na tych kasetach może być coś ciekawego? – Tamara, którą posadziliśmy do ich przejrzenia, sporządziła bardzo szczegółowy protokół z oględzin. Czytałam go, ziewając z nudów. Roilo się tam od opisów w stylu „rodzina przy stole je świątecznego karpia”, „dzieci rozpakowują prezenty” czy „dziewczynki bawią się na plaży”. Aleksandrowiczowie dokumentowali obrazki banalnego rodzinnego szczęścia, nic mrocznego czy choć trochę intrygującego. A Tamara była inteligentna i gdyby na kasetach znalazła się jakaś kłótnia, tajemnicza postać przemykająca w tle czy cokolwiek, co można by powiązać z morderstwem, z pewnością by o tym wspomniała. Wrona miał jednak rację – zamiast siedzieć w komendzie i gapić się bez sensu na te same akta, równie dobrze mogliśmy pojechać do willi Aleksandrowiczów i pooglądać życie codzienne naszych ofiar. A przy okazji zjeść obiad, bo dochodziła druga po południu, a ostatni posiłek jadłam o szóstej rano.

*

Kupiliśmy po drodze pizzę i niosąc wielkie, pachnące wilgotnym ciepłem pudło, wkroczyliśmy do willi Aleksandrowiczów. Od czasu, gdy byłam tu ostatni raz,

wydawała się bardziej opuszczona, jakby z każdą godziną cofała się głębiej w przeszłość, w przyspieszonym tempie przebywając drogę od pełnego życia domu aż do nawiedzanej ruiny, podobnej do tej, jaką stała się chata Stanisławy Wajdy. Nasze kroki rozbrzmiewały w korytarzu nienaturalnie głośno, wpadające przez okno promienie słońca podkreślały leżącą na blatach warstewkę kurzu. Zastanowiłam się przelotnie, kto odziedziczy ten dom. Róża i jej matka czy Lucyna wraz z synem? Czy którekolwiek z nich chciałoby go zatrzymać? Aleksandrowiczwie zginęli wiele kilometrów stąd, ale to mieszkanie zdawało się w jakiś sposób pamiętać, że jego właściciele zmarli gwałtowną śmiercią, że pewnego dnia zamknęli za sobą drzwi i nigdy nie wrócili. Nie byłam pewna, czy ktokolwiek mógłby się tu dobrze czuć.

Zjedliśmy pizzę, napiliśmy się herbaty, którą znaleźliśmy w szafce, i usiedliśmy w salonie przed telewizorem. Rafał obrzucił wzrokiem kilkadziesiąt kaset stojących w równym rzędzie pod magnetowidem i trochę zrzędała mu mina.

– Zaczynamy od początku? – zapytał.

Pokręciłam głową.

– Od momentu, gdy Kuba wrócił do domu. Jeśli na tych kasetach jest coś, co nam pomoże, to prawie na pewno będzie to wydarzenie z ostatnich sześciu miesięcy.

– W porządku.

Pierwszy filmik z Kubą, ten zatytułowany „Witaj w domu”, już znałam, sięgnęłam więc po kolejny, z napisem „Zoo, marzec 1999”. Dwie jasnowłose dziewczynki biegły ścieżką wzdłuż wybiegu dla słoń, karmiły z ręki żyrafę i śmiały się z czegoś przed klatką z małpami. Za córkami podążała Kalina Aleksandrowicz w eleganckim zielonym płaszczu i butach na wysokich obcasach, a zaraz za nią Kuba, trzymający się z tyłu cień. Chłopiec przekonał się chyba do ciemnych obszernych bluz, bo wyglądało na to, że teraz czuje się w takim stroju zdecydowanie swobodniej. Kolejny filmik nosił tytuł „Zabawy, wiosna 1999” – w ogóle nie było na nim Kuby, tylko Basia i Renia bawiące się na trawniku piłką. Na trzecim, nakręconym, gdy wszyscy siedzieli przy obiedzie, chłopiec wykazał przynajmniej minimum zainteresowania rozmową, ponieważ wymruczał coś w odpowiedzi, gdy Basia spytała, dlaczego nie chce jeść paelli. Przewinięłam ten fragment i spróbowałam wyłapać słowa chłopca, ale zagłuszył je śmiech Reni i dźwięk widelca uderzającego o brzeg talerza. Na czwartym filmiku

Aleksandrowiczowie jedli śniadanie wielkanocne. Na stole królowały pisanki, wędliny i butelka francuskiego wina. Tym razem Kalina zrezygnowała z eksperymentów kulinarnych, a Kuba nalał sobie trochę żurku. Wszyscy ubrali się elegancko, tylko chłopiec znowu nosił czarną bluzę, w której zdawał się chować. Po śniadaniu, gdy dziewczynki odpakowały przyniesione przez zajączka prezenty, Kuba przez chwilę bawił się z Renią jej nową lalką. Był to pierwszy wyraźny sygnał, że stosunki w rodzinie Aleksandrowiczów zaczynają się poprawiać.

Kolejny filmik zatytułowany enigmatycznie „Wspominamy” przedstawiał przyjęcie na świeżym powietrzu: przekąski, których nazw nie potrafiłabym nawet podać, znowu wino i dziewczynki biegające boso po trawie. Przy stole jednak siedziało więcej osób: nie tylko Aleksandrowiczowie, ale też Leopold Rataj, Mariola Kowalska, Lucyna Pietrzak, Róża Jaworska... Stara gwardia, pomyślałam i dopiero po chwili zrozumiałam, dlaczego zebrali się wszyscy razem. To nie było zwykłe przyjęcie, tylko stypa, niewielka prywatna uroczystość, podczas której żegnali zmarłego kolegę. „Za Janka”, Rataj uniósł kieliszek. „Niech mu ziemia lekką będzie”. Zdyszane dziewczynki zatrzymały się przy krześle Lucyny Pietrzak i Renia zapytała, co się dzieje z człowiekiem po śmierci. Idzie do nieba, odpowiedziała Lucyna, ale niektórzy wierzą w inne rzeczy. Do rozmowy wtrącili się Róża i odpowiadający zza kamery Krystian, padały przykłady rytuałów pogrzebowych w różnych kulturach. Potem rozmowa zdryfowała w kierunku modlitw za zmarłych. Wzdrygnęłam się, słysząc, jak Róża prosi dziewczynki, by powtórzyły za nią „...rozkaż świętym aniołom wprowadzić go do niebieskiej ojczyzny, a ponieważ Tobie wierzył i ufał, niech nie ponosi kar piekielnych, lecz posiedzie szczęście wieczne, amen”. „To moja ulubiona modlitwa”, przyznała z uśmiechem tak kruchym, jakby w każdej chwili mógł się rozpaść.

Przesunęłam wzrok w lewo. Nie patrzyłam teraz na Kubę, który radośniejszy niż zwykle i opalony pierwszym wiosennym słońcem chodził tam i z powrotem, donosząc na stół kolejne przysmaki, na wyraźnie już pijanego Rataja ani na Kalinę, która maskując dezaprobatę pogodną miną, oznajmiła w pewnej chwili, że „takie tematy są chyba zbyt ciężkie dla dziewczynek”.

Nie patrzyłam na żadną z tych osób, tylko na Lucynę Pietrzak, roześmianą, z błyszczącymi oczami. Tak bardzo niepodobną do tej postarzałej i zdesperowanej kobiety, którą widziałam wczoraj na schodach szpitala. Na Lucynę Pietrzak, która

tamtego wiosennego dnia na nieoficjalną stypę ubrała się w czerwoną jak krew sukienkę.

*

– To przypadek – powiedział niepewnie Rafał Wrona, gdy zatrzymałam film. – Mnóstwo kobiet ma czerwone sukienki. A to nawet nie była prawdziwa stypa. Nikt tam nie jest ubrany na czarno.

Miał rację. Mężczyźni na filmie nosili koszule z krótkimi rękawami, Kalina włożyła zieloną suknię w kwiatowy wzorek, a Róża niebieską spódnice i kremową bluzkę – jedno i drugie, choć zdecydowanie bardziej stonowane niż czerwień Lucyny, trudno uznać za strój żałobny.

– To przypadek – powtórzył uparcie Wrona. – Zresztą Lucyny Pietrzak nie było nawet w Polsce, kiedy Sylwia Ochocka widziała w lesie tę dziewczynę.

– Nie jestem tego taka pewna... – Popełniliśmy już tyle błędów, że i ten by mnie nie zdziwił. – Zaczekaj.

Skorzystałam z telefonu Aleksandrowiczów i zadzwoniłam do Wojtka Chodury.

– Cześć, gdzie jesteś? – odezwał się. – Wróciłem z obiadu, a ty zniknęłaś.

– Pojechaliśmy do willi Aleksandrowiczów przejrzeć raz jeszcze filmiki na wideo. Nieważne. Mam pytanie. Oglądałeś paszport Lucyny Pietrzak?

– Oglądałem, a co?

– Zwróciłeś uwagę na datę jej przyjazdu do Polski?

– No, wróciła dwudziestego dziewiątego sierpnia.

– Jesteś pewny?

– Chyba tak.

– Chyba czy pewny?

– Pieczętka trochę się zamazała, ale to przecież musiał być dwudziesty dziewiąty, nie?

– Nie, wcale nie musiał. Rozmazana trójka może przypominać dziewiątkę.

– Nie rozumiem. Sugerujesz, że Lucyna Pietrzak przyjechała do Polski jeszcze przed morderstwem? Po co właściwie?

– Może po to, żeby postać sobie w lesie nad potokiem. W czerwonej sukience. Ma taką jedną, całkiem ładną. Gdybym była dziesięć lat młodsza, pewnie sama

bym sobie podobną kupiła.

– Żartujesz, prawda? Sylwia mówiła o dziewczynie, nie o kobiecie.

– Lucyna wygląda bardzo młodo, a przynajmniej jeszcze do niedawna wyglądała. Łatwo ją pomylić z dwudziestokilkulatką, zwłaszcza z daleka. Zresztą Sylwia nawet nie widziała jej twarzy, tylko sylwetkę.

– Myślisz, że to ona? – W głosie Wojtka zabrzmiała niepewność. – Kryśka, kurwa, przecież to nie ma sensu. Dlaczego... Nie rozumiem. To nie ma sensu – powtórzył bezradnie.

– Niepotrzebnie wypuściliśmy chłopaka ze szpitala – powiedziałam. – To był błąd.

Lucyna schodząca po schodach z uniesionym podbródkiem i syn u jej boku, z pochyloną głową, szurający stopami jak dziecko. Czy już wtedy podejrzewałam, że źle się to skończy? A może jeszcze wcześniej, gdy obserwowałam Lucynę i Kubę przytulających się na łóżku, ten dziwny uścisk, jakby oboje znaleźli się daleko poza granicą, gdzie mogłam ich dosięgnąć.

– Nic nie mogliśmy zrobić – przypomniał mi Wojtek. – Lekarz powiedział, że Kuba może wyjść. On sam tego chciał. I jego matka.

– Wiem. – Potarłam czoło dłonią. – Ale mogliśmy przynajmniej dać im ochronę.

– Jak to sobie wyobrażasz? – W głosie mojego partnera zabrzmiała irytacja. – Samochód stojący przez dwadzieścia cztery godziny na dobę gdzieś w polu przed wiejską chałupą? A może ktoś z naszych miałby zamieszkać w tej chałupie razem z Lucyną i jej dzieciakiem? Zresztą pytaliśmy ją, czy chce ochronę. Odmówiła. Przestań się, do cholery, katować z dupy wziętymi wyrzutami sumienia i powiedz wreszcie, o co chodzi.

– Nie jestem pewna – przyznałam. – Może tylko niepotrzebnie panikuję. Ale chciałabym, żeby ktoś sprawdził, czy z Lucyną i Kubą wszystko w porządku. I najlepiej, żeby został u nich do czasu, aż przyjedziemy. Myślę, że najwyższa pora pogadać poważnie z tą dwójką.

*

Dom stał na skraju wsi pod lasem, niewielki, murowany, z popękany od starości tynkiem i czerwonym dachem, na którym w słoneczne dni lubił wygrzewać się kot. Wszyscy w Kątach wiedzieli, że w domu mieszka stara Pietrzakowa – sama, bo

córkę ma w Anglii, a wnuk zaginął dawno temu. Sporo ludzi wiedziało też, że chłopak w końcu się odnalazł, część zaś, że rodzina Kuby została zamordowana. We wsi plotkowano, ale wcale nie tak intensywnie, jak można by się spodziewać. Mieszkańcy Kątów mieli ważniejsze tematy do omawiania niż los kobiety, która wyjechała stąd piętnaście lat temu, i chłopca, którego nigdy nie widzieli na oczy. Jednym z takich tematów był ciągnący się od kilku tygodni spór pomiędzy wójtem gminy a dyrektorem miejscowej podstawówki. Panowie, do tej pory bardzo zaprzyjaźnieni, nagle zaczęli skakać sobie do oczu i nikt nie wiedział, o co chodzi. Raz nawet doszło do rękoczynów: wójt złamał dyrektorowi nos, a dyrektor w odwecie puścił w stronę wójta wiązaną barwnych przekleństw. Krewkich panów rozdzielił wówczas posterunkowy Jan Matyszczyk, lat dwadzieścia siedem. Ten sam, który w sobotę czwartego września o godzinie siedemnastej dziesięć odebrał przez radio polecenie, by udać się do domu Janiny Pietrzak i sprawdzić, „czy wszystko jest w porządku”.

Jan doskonale orientował się w historii Kuby. Śledził ją na bieżąco, odkąd po raz pierwszy skojarzył, że Aleksandrowicz to przecież nazwisko męża Lucynki Pietrzakówny. W dawnych czasach, gdy on chodził do podstawówki, a ona miała kilkanaście lat, trochę się w niej podkochiwał, choć już wtedy wiedział, że to beznadziejne uczucie. Janek był rozsądnym dzieckiem i wyrósł na rozsądnego mężczyznę. Inny policjant na jego miejscu, słysząc podobne polecenie, zacząłby sobie wyobrażać Bóg wie co, ale jemu nie przyszło to do głowy. Od dziecka mieszkał w Kątach i zamierzał tu zostać przez resztę życia. A we wsi, owszem, działały się ciekawe rzeczy – Jan wciąż się zastanawiał, co poróżniło wójta i dyrektora – jednak żadna z nich nie przypominała fabuły amerykańskich filmów, które po pracy oglądał z matką i dwiema młodszymi siostrami.

Dlatego kiedy zostawił samochód na skraju pola i zaczął wspinać się pod górę wąską kamienistą ścieżką, myślał przede wszystkim o tym, co powie Lucynie, gdy wreszcie po tylu latach się spotkają. Zapyta ją o życie w Anglii, pochwali się, że od tygodnia ma narzeczoną? Ta ostatnia myśl szczególnie mu się spodobała. Kasia była najładniejszą dziewczyną w całej wsi i Jan nie mógł się powstrzymać, by nie opowiadać o niej każdemu, kto tylko chciał słuchać – a czasem nawet tym, którzy nieszczególnie chcieli.

Na powitanie wyszła mu bura kotka, znana w Kątach z wyjątkowo paskudnego usposobienia. Birma uwielbiała łąsić się do nóg, a gdy zwiedziony fałszywą

puchatą łagodnością człowiek wyciągał rękę, rzucała się na niego z pazurami. Niejeden gość wyszedł już od starej Pietrzakowej z podrapanymi ramionami, dlatego Jan, choć koty bardzo lubił, stłumił w sobie odruch pogłaskania zwierzaka – odsunął go tylko delikatnie nogą.

– No już, idź sobie, sio.

Birma spojrzała na niego urażona, po czym odmaszerowała z uniesionym ogonem i zniknęła w krzakach.

Posterunkowy minął kręcące się przed domem kury i starego psa. Kundel leniwie otworzył jedno oko, ale nawet nie chciało mu się wyjść z budy. Wszystko wyglądało niemal tak samo jak kilkanaście lat temu, gdy odwiedził Lucynę po raz ostatni. Ogród może był odrobinę bardziej zdziczały, pajęczyna pęknięć na białym tynku rozrosła się z czasem, a pod oknami zamiast róż rosły słoneczniki, poza tym jednak nic się nie zmieniło. Wchodząc na schody, Jan niemal się spodziewał, że na powitanie wyjdzie mu młodziutka Lucynka w krótkiej czerwonej sukience.

– Halo, jest tu ktoś? – zapytał, naciskając klamkę. To, że dom okazał się otwarty, nieszczerólnie go zdziwiło. Jego matka też nigdy nie zamykała drzwi. – Lucyna?

W środku pachniało smażoną rybą i mokrym, ciepłym jeszcze praniem. Z dużego pokoju dobiegał odgłos włączonego telewizora z dźwiękiem podkreślonym do maksimum. Pietrzakowa jak na swoje lata była bardzo sprawna, ale niestety z wiekiem niemal całkiem straciła słuch.

– Halo? – powtórzył Jan. Nie miało to wiele sensu, bo nawet gdyby zaczął krzyczeć, telewizor i tak by go zagłuszył. Dla przyzwoitości jednak zapukał i wszedł dopiero po chwili.

Janina Pietrzak spała w fotelu z przekrzywioną głową, okulary zsunęły jej się na wydatne piersi. W telewizji właśnie zaczynał się odcinek *Klanu*.

Posterunkowy sięgnął po leżącego przy fotelu pilota i ściszył dźwięk. Teraz przynajmniej mógł słyszeć własne myśli. Śpiąca kobieta poruszyła się, ale nie otworzyła oczu. Zawahał się: obudzić ją czy nie? Z jednej strony nie powinna się wystraszyć, w końcu znała go od czasów, gdy biegał jeszcze w krótkich spodenkach. Z drugiej bycie wyrwaną ze snu we własnym domu przez policjanta w mundurze, choćby i znajomego, nie należy do przyjemności. Ostatecznie więc wycofał się cicho w stronę drzwi, sprawdził pozostałe pomieszczenia i wyszedł z powrotem do ogrodu. Lucyna i Jakub Aleksandrowicz mieli przykazane, by bez

ważnego powodu nie ruszać się poza obejście domu, jeśli więc nie poszli akurat do sklepu czy urzędu gminy, powinni być gdzieś w pobliżu.

Skręcił za róg, odprowadzany przez Birmę, która skradała się przez krzaki, niemal szorując brzuchem po ziemi. Lśniące oczy patrzyły z chłodną uwagą, jakby kotka rozważała, czy to już ten moment, gdy można dobrać się ofierze do łydek, czy warto jeszcze chwilę poczekać.

Z tyłu domu znajdowała się niewielka altanka, którą Jan również pamiętał z dawnych czasów. Pił w tej altance sok pomarańczowy, podczas gdy Lucyna opalała się na kocu, słuchając radiowej Trójki. Dawne dobre czasy. Janek westchnął. A przynajmniej nabrał powietrza w płuca, by westchnąć – wypuścić go już nie zdążył, bo za altanką dostrzegł wystające z krzaków malin bosc stopy.

Na moment cały świat zamarł. Posterunkowy teoretycznie był przygotowany na taką chwilę: że znajdzie kiedyś trupa albo będzie musiał udzielić pierwszej pomocy umierającemu. I wierzył, że zadziała szybko i sprawnie. Teoria to jednak nie praktyka i teraz poczuł absolutną pustkę w głowie – nie było tam nic, ani śladu tego, czego się nauczył. Dopiero po kilku sekundach wypuścił wstrzymywane powietrze i rzucił się rozgarniać kolczaste gałęzie. Ciało leżało twarzą do ziemi: zlepione krwią krótkie blond włosy, opalone ręce i nogi, koszulka i szorty. Nic, co pozwalałoby zidentyfikować ofiarę, ale to musiał być syn Lucyny, Kuba. Jan dotknął szyi i wyczuł delikatne bicie pulsu. Odwrócił się, by wezwać pogotowie, i dopiero teraz uświadomił sobie, że skądś dobiega cichy odgłos przypominający ni to szloch, ni pełne cierpienia pojękiwania. Zawahał się. Człowiek w krzakach niewątpliwie potrzebował pomocy, ale ten pojękujący mógł potrzebować jej bardziej. Posterunkowy nie miał pojęcia, co teraz, żadne szkolenie nie przygotowało go na taką okoliczność. W końcu ruszył w stronę źródła dźwięku. Każda decyzja była lepsza od stania w bezruchu.

Szlochanie zaprowadziło go do stojącej w rogu ogrodu szopy na narzędzia, gdzie pod ścianą siedziały dwie osoby. Ciemnowłosa dziewczyna i jasnowłosy chłopak o znajomych rysach twarzy. To on pojękiwał z głową opartą na jej ramieniu. Oboje wydawali się bardzo młodzi, jak para zagubionych w lesie dzieci.

Posterunkowy przełknął nerwowo ślinę.

– Coś wam się stało? – zapytał. Chłopak miał krew na ubraniu, ale nie wyglądał na rannego.

Dziewczyna pokręciła głową.

– My tylko ją znaleźliśmy. – W jej oczach pojawił się nagły błysk strachu, który zaraz zmienił się w wyzwanie. – To nie on, rozumie pan? Kuba nic jej nie zrobił!

*

Rafał Wrona prowadził, ja siedziałam obok i liczyłam kilometry. Gdy mineliśmy Tychy, zadzwonił telefon. Odebrałam, mając jeszcze nadzieję, że to tylko Wojtek chce mnie zapewnić, że wszystko jest w porządku.

To był Wojtek, ale nic nie było w porządku.

– Miałaś rację – powiedział. – Kurwa mać.

– Wojtek...

– Nie cierpię, kiedy masz rację.

– Które z nich? – zapytałam. – Lucyna, prawda? Nie Kuba. Lucyna nie żyje.

– Żyje, ale jest w ciężkim stanie. Posterunkowy z Kątów znalazł ją w ogrodzie i wezwał pogotowie. Wiozą ją właśnie do szpitala w Żywcu.

– A gdzie Kuba?

– Podobno na miejscu. Z jakąś dziewczyną, która z opisu posterunkowego wygląda mi na Sylwię.

– Coś mówili?

– Nie mam pojęcia.

– To jedź tam i się dowiedz. Ja pojedę do szpitala. Jeśli Lucyna jest przytomna, może będzie mogła nam powiedzieć, kto ją zaatakował.

*

Kolejny telefon odebrałam, siedząc już w poczekalni na ostrym dyżurze. Lucyna Pietrzak prosto z karetki trafiła na salę operacyjną, a nam pozostawało tylko czekanie. Rafał Wrona przyniósł dwa kubki herbaty z automatu – była paskudna, choć nie aż tak jak kawa. Piłam ją, gapiąc się na mężczyznę, który dzwonił z wiszącego na ścianie telefonu i krzyczał do słuchawki, że musi koniecznie natychmiast rozmawiać z Jolką. Kobieta w rejestracji obserwowała go z obojętną miną kogoś, kto codziennie widuje ludzkie tragedie. Ja patrzyłam ze świadomością,

że oto kolejny kawałek układanki gładko wskakuje na swoje miejsce. Szkoda tylko, że tak późno.

Gdy odezwała się moja komórka, wyszłam na zewnątrz, by spokojnie porozmawiać.

– Jestem na miejscu – powiedział Wojtek. – Razem z Matyszczakiem czekamy na ekipę z Żywca.

– Kto jest jeszcze w domu?

– Matka Lucyny, Janina Pietrzak, Kuba i Sylwia Ochocka.

– Rozmawiałeś z nimi?

– O tyle, o ile. Stara Pietrzakowa twierdzi, że zjedli obiad, a potem oglądała telewizję i nic nie wie, niczego nie widziała ani nie słyszała. Kobieta jest przygłucha, jeśli więc Lucyna krzyczała w ogrodzie, to faktycznie mogła jej nie słyszeć. Sylwia Ochocka za to zeznała, że przyjechała rowerem z Rudnika koło piętnastej i poszli z Kubą na spacer do lasu. Do domu nawet nie wchodziła. Dopiero jak wracali, chłopak zaproponował, żeby wstąpiła na kawałek ciasta. Weszli, zastali Pietrzakową śpiącą przed telewizorem i poszli szukać Lucyny, żeby zapytać, czy Sylwia może zostać na podwieczorku. Znaleźli ją w ogrodzie, całą zakrwawioną. Chłopak zaczął krzyczeć i potrząsać ciałem, a kiedy dziewczyna go odciągnęła, dostał histerii i to nim trzeba było się zająć. Sylwia twierdzi, że nie wezwała pomocy, bo uznała, że Lucyna już nie żyje. Może, chociaż mnie się wydaje, że ta mała ma gdzieś, czy matka jej chłopaka jest martwa czy nie. Ją obchodzi tylko Kuba. W kółko powtarzała: „On tego nie zrobił, przez cały czas był ze mną”.

– Mamy narzędzie zbrodni?

– Chyba tak. Tym razem to siekiera: też miejscowa, zazwyczaj leżała z tyłu domu obok zapasu drewna. Znaleźliśmy ją w trawie. O ile zakład, że nie będzie na niej odcisków palców?

– A chłopak? Mówi coś?

Wojtek się zawahał.

– Nie. Odkąd przyjechałem, nie odezwał się ani słowem. Wcześniej zresztą też nie mówił, tylko szlochał, przynajmniej tak twierdzi Matyszczak. Pewnie wpadł w jakiś szok albo coś w tym rodzaju. Nie wiem, cholera... Dziewczynę zabiorę na komendę na przesłuchanie, ale co z Kubą? Ma zostać z babcią?

- Wezwij kogoś z opieki społecznej, niech go zabierze do izby dziecka.
 - Poważnie? Myślisz, że chłopakowi grozi niebezpieczeństwo? A Lucyna...
 - Po prostu to zrób.
 - W porządku. Dowiedziałaś się czegoś w szpitalu?
 - Nie, dalej czekamy.
 - To daj znać, jak się dowiesz.
 - Jasne. Mam jeszcze jedno pytanie.
 - Strzelaj.
 - Co matka mówiła o Róży Jaworskiej? Pamiętasz może?
 - Nie rozmawiałem nigdy z matką Róży.
 - Ale rozmawiałeś z jej lekarzem i on ci powtórzył, co starsza Jaworska wygaduje o swojej córce. Przypomnisz mi, co to było?
- Po drugiej stronie słuchawki usłyszałam znużone westchnienie.
- Że Róża to nasienie diabła i takie tam. I że jest wszystkiemu winna. Ta kobieta ma nierówno pod sufitem. Nie myślisz chyba...
 - Pogadamy później. – W moją stronę szedł jeden z lekarzy, machając ręką, pospiesznie zakończyłam więc rozmowę i schowałam komórkę do torebki.
 - To pani czeka na wiadomość o tej rannej kobiecie, tak? Widziałem panią już wcześniej, przychodziła pani do tego chłopaka... Doktor Krzysztofiak – przedstawił się, przeczesując rzedniejące włosy. Był w średnim wieku, brodaty, z twarzą zmęczonego Judyma. – Wygląda na to, że wasza ofiara będzie żyła. Dostała trzy ciosy, jeden w ramię, dwa w głowę. Na szczęście udało nam się otworzyć czaszkę, usunąć tworzący się krwiak i ustabilizować jej stan.
 - Jest przytomna?
 - Nie. Ale była przez chwilę, kiedy kładliśmy ją na stole. Spojrzała w moją stronę i... Moment. – Pociągnął mnie w bok, odsuwając z drogi nadjeżdżającej karetki. Staliśmy teraz pod ścianą szpitala i patrzyliśmy, jak sanitariusze wyładowują nosze z otyłym mężczyzną. Przypomniał mi się Karlik, ale odepchnęłam od siebie tę myśl.
 - I co? – zapytałam, gdy sanitariusze, pokrzykując do siebie, wtaczali wózek do środka.

– Zapytałem, kto jej to zrobił – przyznał niechętnie. – Nie powinienem, bo sala operacyjna to nie miejsce na takie pogawędki. Powinienem ratować jej życie, a nie bawić się w policję. Ale zapytałem, bo od razu się domyśliłem, że to nie wypadek, tylko ktoś tę babkę tak urządził. A ona patrzyła całkiem przytomnie, jakby chciała coś powiedzieć.

– Odpowiedziała panu?

– Tak, ale... – Zawahał się. Gęstniejąca ciemność zacierała jego rysy, biały fartuch odcinał się od tła jak płynąca przez szarość wieczoru samotna zjawia. – To nie ma sensu.

– Mimo wszystko chciałabym usłyszeć, co mówiła.

– Myślałem, że powie „mąż” albo „ojciec”, albo po prostu wymieni jakieś imię. Ale ona powiedziała: „Dziewczyna w czerwonej sukience”. Wyraźnie i całkiem głośno. Nie wiem, może po prostu nie rozumiała pytania? Umysł człowieka w takiej sytuacji...

– Myślę, że rozumiała doskonale. – Moje słowa zapadły w mrok miękko jak ćmy.

– Tak, hmm... Możliwe. Ten policjant w poczekalni to ochrona? Ma być tak jak poprzednio z chłopakiem? Mamy dać tę kobietę do izolatki, a on będzie siedział przed drzwiami?

– Policjant w poczekalni jest na emeryturze i tylko nieoficjalnie pomaga mi w śledztwie. A kobieta nie potrzebuje ochrony.

Nie widziałam zdziwienia na twarzy lekarza, ale bez problemu mogłam je sobie wyobrazić.

Pod blok Róży Jaworskiej dotarłam, kiedy było już zupełnie ciemno. Zaparkowałam przy placu zabaw. Na ławce siedziała grupka młodzieży – widziałam połyskujące w mroku ogniki papierosów i słyszałam śmiechy. Z otwartego okna jednego z mieszkań płynęła tęskna piosenka w języku, którego nie potrafiłam rozpoznać. Brzmiała dziwnie, jak głos z zaświatów, jakby tamtego wieczoru śpiewały duchy zmarłych.

Zanim wysiadłam z samochodu, znalazłam w notesie numer telefonu Leopolda Rataja i zadzwoniłam.

– Myślałem, że złapaliście tych skurwysynów – oznajmił z lekką pretensją, kiedy poprosiłam go, by odpowiedział na jedno pytanie. – Prasa pisała...

– Nieważne, co prasa pisała. Podczas przesłuchania mówił pan, że Aleksandrowiczowie mieli nadzieję, że ich syn zainteresuje się czymś normalnym, pamięta pan?

– Tak, chyba faktycznie coś takiego powiedziałem. Ale nie rozumiem...

– Jestem ciekawa, czym nienormalnym interesował się Kuba. Bo skoro rodzice chcieli, żeby miał zwyczajne hobby, to musiało być też jakieś niezwykłe, tak? Coś jeszcze poza oglądaniem z ojcem koszykówki?

– Poniekąd, ale... – W jego głosie brzmiała coraz większa niepewność. Wyglądało na to, że ostatnio wpędzam wszystkich moich rozmówców w konfuzję. Trudno, mogłam z tym żyć.

– Co to było?

Odpowiedział, a ja mu podziękowałam i rozłączyłam się. „Nie cierpię, kiedy masz rację”, usłyszałam od Wojtka. Ja też tego nie cierpiałam. Teraz ta racja paliła mnie mieszanką gniewu i żalu, jakbym patrzyła na płonący ogród albo roztrzaskane dzieło sztuki – coś pięknego, co nieodwołalnie zostało zniszczone. Nie ma nic smutniejszego niż zmarnowane ludzkie życie. Płynący z okna nieziemski głos wciąż śpiewał. Może o czymś banalnym jak utracona miłość, a może o tym, że

istnieją rzeczy zbyt straszne, by w nie uwierzyć; o możliwościach wypełzających na światło dzienne z ciemnych miejsc, w których próbujemy je trzymać. Bo czasem ze wszystkich rozwiązań zagadki prawdziwa jest ta, która najbardziej nas przeraża.

*

Stałam długo przed drzwiami Róży z palcem na przycisku dzwonka. W mieszkaniu panowała cisza, ale nie dałam się nabrać. Wiedziałam, że Jaworska jest w środku. Róża nie wyglądała na amatorkę nocnego życia. Mogłam się założyć, że większość wieczorów spędza w domu przed telewizorem albo czytając pouczające książki.

Uchyliła wreszcie drzwi.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia – oznajmiła i chciała zamknąć je z powrotem. Nie pozwoliłam na to. Byłam kilkanaście lat starsza od tej kobiety, ale zdecydowanie silniejsza. Róża wyglądała jak rekonwalescentka po ciężkiej chorobie: cerę miała szarą, ubrania wisiały na wychudzonym ciele jak na wieszaku, a niemyte od dłuższego czasu włosy zwisały w strąkach wokół twarzy. Odsunęła się i spuściła głowę, zdążyłam jednak zauważyć zacięty wyraz ust. Róża może i była wyczerpana, jednak nie zamierzała poddać się bez walki.

Usiadłyśmy w pierwszym pokoju, do którego trafiłam. Na stole stały brudne kubki i talerze z resztkami zaschniętych potraw, plamy na obrusie tworzyły kolorową abstrakcję w stylu Kandinskiego. Z tą kobietą niewątpliwie działo się coś złego, a ja właśnie zamierzałam to wykorzystać. I nie czułam z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia.

– Nie mam nic do powiedzenia – powtórzyła, wciąż na mnie nie patrząc. – Poza tym myślałam...

– Że złapaliśmy tych skurwysynów? – Odruchowo użyłam słów Rataja.

– Tak, czytałam o tym gdzieś, nie pamiętam już...

– Owszem, zatrzymaliśmy dwóch podejrzanych, ale pani doskonale wie, że to nie są mordercy pani siostry i jej rodziny. Pytanie, co zamierza pani z tym teraz zrobić. Pozwoli pani, żeby do więzienia poszły dwie niewinne osoby, czy wreszcie zacznie pani mówić prawdę?

Jej ręka odruchowo powędrowała do wiszącego na szyi krzyżyka, jakby szukała w nim pociechy albo rady. Miałam szczerą nadzieję, że Bóg poleci tej kobiecie wreszcie się odezwać – dla jej własnego dobra.

– Ta sprawa od początku stała na głowie – powiedziałam. – Wie pani czemu? Bo okłamywały nas najważniejsze dla śledztwa osoby: pani i Kuba. Dwie osoby, którym najbardziej powinno zależeć na złapaniu mordercy. Wiem już, czemu kłamał Kuba, i wiem, czemu pani kłamała.

Otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Oczy miała puste, jakby uciekła w głąb siebie, by nie słyszeć tego, co do niej mówię. Ale słyszała, byłam tego pewna. Każde słowo.

– Wiem, czemu pani matka nazywa panią diabelskim nasieniem – ciągnęłam bezlitośnie. Róża drgnęła.

– Moja matka jest chora.

– Nie wątpię, że pani matka ma problemy. Jednak z tego, co wiem, nie jest chora psychicznie. Nie w takim stopniu, żeby ją uważać za oderwaną od rzeczywistości. Dlatego zakładam, że to, co mówi, jest przesadą, ale jednocześnie ma swoje źródło w czymś, co naprawdę się wydarzyło. Zrobiła pani coś złego, prawda? I pani matka w taki czy inny sposób się tego domyśliła. Matki czasem po prostu wiedzą, bo trudno oszukać kogoś, kto zna nas od najwcześniejszego dzieciństwa. Zwłaszcza jeśli mieszka się z tą osobą pod jednym dachem.

Róża milczała, a ja widziałam w jej oczach, że cofnęła się jeszcze dalej w głąb swego umysłu, w ostatni kąt, w którym czuła się bezpieczna. Niemal mogłam ją tam dostrzec: bladą, chudą dziewczynę, skuloną na końcu długiego, ciemnego tunelu, do którego nigdy nie dociera światło. I nawet w takim miejscu miałam ją dopaść.

– Czy słowa „Bóg rozpozna swoich” coś pani mówią?

To był ryzykowany strzał, ale reakcja Róży powiedziała mi wszystko. Zupełnie jakbym podeszła i uderzyła ją w twarz: szarpnęła głową, źrenice rozszerzyły się, na policzkach wykwitły purpurowe plamy.

– Wie pani, o czym mówię, prawda?

Miała jeszcze ułamek sekundy, żeby zaprzeczyć, zrobić zdziwioną minę. Mogła przynajmniej próbować, choć i tak bym jej nie uwierzyła. Ale jej przerażenie było zbyt jaskrawe, zbyt wymowne. Róża wiedziała już, że przegrała.

– Naprawdę zadzwoniłam do Kaliny tamtego dnia rano – powiedziała wreszcie cicho. – Umówiliśmy się, nie na grilla, tylko na zwyczajny wieczór przy plotkach. Nie wiem, skąd mi ten grill przyszedł do głowy, z nerwów gadałam głupoty.

Zadzwoiłam, żeby zapytać, czy to wciąż aktualne, bo w telewizji zapowiadali burzę, ale nikt nie odbierał. Dopiero po chwili ktoś podniósł słuchawkę i usłyszałam... te słowa. Wtedy już wiedziałam. Znam tę historię. Rozmawiałam o niej z Kubą i wiedziałam... Już wcześniej się bałam, że to się stanie. Bałam się przez cały czas. Dlatego kiedy to usłyszałam... Powinnam wtedy zadzwonić na policję, pogotowie, cokolwiek. Powinnam kogoś zawiadomić. Wiem o tym. Ale stchórzyłam. – Przełknęła ślinę, po policzkach potoczyły się łzy. – Całe życie byłam tchórzem. Bo przecież gdybym zadzwoniła na policję, to oni by pytali, skąd wiem, że dzieje się coś złego, a ja nie potrafiłabym odpowiedzieć. Dlatego wmówiłam sobie, że już po wszystkim, że cokolwiek się stało, nikomu nie zdołam pomóc. Że nie mogę tam pojechać i zostawić matki samej... Wszystkie te tchórzliwe wymówki, których używałam każdego dnia, żeby nie zrobić tego, co powinnam zrobić już dawno temu. Oni umarli przeze mnie, wie pani?

Skinęłam głowę. Róża skrzywiła się.

– Wiem, że pani mną gardzi. Ja też sobą gardzę, bardziej, niż mogłaby pani sobie wyobrazić.

Powstrzymałam się, by po raz drugi nie skinąć głową. Nigdy wcześniej nie słyszałam w niczyim głosie tyle wstrętu do samego siebie. Ta kobieta była chora, a ten wstręt, to obrzydzenie od dawna już musiały ją zatruwać. Jakim cudem tego nie zauważyłam?

– Przez całe rano chodziłam jak we śnie. Wszystko wydawało się takie nierealne. Wiedziałam, że moja siostra i jej dzieci leżą tam martwi, a jednocześnie tego nie wiedziałam. Może byłam w szoku, ale nie chcę... nie mogę szukać usprawiedliwień. Nie zasługuję na nie. Zasługuję na karę.

– Jednak w końcu pojechała pani do Pogańskiego Młyna, prawda? – podsunęłam, bo ta bicząca się każdym słowem kobieta zaczynała budzić moją litość. Nie spodobało mi się to uczucie. Jeśli miałam zakończyć wreszcie to śledztwo, nie mogłam sobie pozwolić na sentymenty.

– Tak. Koło pierwszej poszłam do kościoła się pomodlić i... Bóg dał mi siłę, żebym stawiała temu czoła. Dlatego wsiadłam w samochód i pojechałam. Resztę tej historii pani zna. Potem też kłamałam, bo jestem tchórzem, bo wmawiałam sobie, że to już nie ma znaczenia. Cały czas kłamałam.

– Ale teraz powie pani prawdę?

– Tak. – Odetchnęła i przez moment wyglądała lepiej, jak zmęczony, ale pełen nadziei człowiek, który z całych sił biegnie w stronę światła. – Teraz powiem prawdę.

*

Usiadłam na ławce, na której wcześniej siedziała grupa młodzieży. Wszystko wokół mnie było puste i ciche, pogrążone w wieczornej ciemności. Płynący z okna głos umilkł, a ja poczułam ukłucie tęsknoty, jakby twarz dawno niewidzianego przyjaciela mignęła mi w tłumie i zaraz zniknęła.

Zadzwoiłam do Wojtka. Odebrał od razu, a w jego głosie brzmiał niepokój.

– Gdzie jesteś? Podobno wyszłaś ze szpitala, bo musiałaś z kimś porozmawiać. Rafał ciągle tam siedzi i martwi się o ciebie.

– Jestem dorosła, nie trzeba się o mnie martwić. Dalej jesteś w Kątach?

– Nie, teraz siedzę na komendzie w Żywcu. Przesłuchuję właśnie Sylwię. Możesz zadzwonić na stacjonarny, jeśli chcesz.

– Nie trzeba. – Odsunęłam od siebie myśl o rachunku telefonicznym, który przyjdzie mi zapłacić. – Ochocka powiedziała coś ciekawego?

– Tylko to, co wcześniej. Poszła z Kubą do lasu, a kiedy wrócili, matka chłopaka leżała ranna w ogrodzie.

– Przekaż ją chłopakom z Żywca i przyjedź do Katowic.

– Dokąd? Na komendę?

– Nie, do mnie. – Miałam mieszkanie tylko dla siebie, bo Adam przysłał esemesa, że nocuje u Klary.

– Po co? Jeśli wiesz, kto ich zabił, to może po prostu go aresztujemy zamiast bawić się w Herkulesa Poirota?

– Morderca nigdzie nie ucieknie.

– Krysia...

– Po prostu przyjedź, jeśli dasz radę. Chyba że Ilona koniecznie chce cię mieć dzisiaj w domu.

– Ilona wie, gdzie pracuję, i godzi się z tym, że czasem późno wracam. Mogę przyjechać, ale...

– To przyjedź. Rafała możesz zgarnąć po drodze.

– Niech ci będzie. – Wojtek westchnął jak rodzic ustępujący wyjątkowo upartemu dziecku. Rozłączyłam się, schowałam komórkę do torebki i ruszyłam w stronę samochodu.

Półtorej godziny później siedzieliśmy w moim mieszkaniu, zebrani wokół stołu, na którym obok kubków z herbatą leżały dwa zdjęcia. Jedno przedstawiające Stanisławę Wajdę, a drugie siedmioro przyjaciół na wycieczce do Murowańca. Wojtek sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie wzruszył tylko ramionami. Byłam mu za to wdzięczna. Rafał Wrona patrzył na mnie w milczeniu i za to też byłam wdzięczna. Potrzebowałam tej chwili dla siebie, żeby poukładać myśli. Żeby zacząć od początku i rozplątać wreszcie cały ten tragiczny węzeł.

– Stanisława Wajda – powiedziałam, dotykając lekko pierwszego zdjęcia. – Od niej wszystko się zaczęło. Od inteligentnej, wrażliwej dziewczynki, krzywdzonej przez rodziców, która wielokrotnie zwracała się o pomoc do dorosłych i za każdym razem została odrzucona. Mała Stasia dorastała więc w przekonaniu, że świat jest wrogi, a kiedy zachorowała, to przekonanie zamieniło się w obsesję. Nie ufała od tej pory nikomu, a zwłaszcza „ludziom przy władzy”: urzędnikom, lekarzom czy policjantom. Wszystkim tym, którzy zawiedli ją, kiedy była dzieckiem.

– Wiemy, że Wajda chorowała psychicznie – przerwał mi zirytowany Wojtek. – Dlatego porwała Kubę. Nie rozumiem, co to ma do...

– Jesteś pewny, że taki właśnie był jej motyw?

– I dlatego, że sama nie mogła mieć dzieci, oczywiście. To się zdarza.

– Wiem, że się zdarza, ale tego typu kobiety zazwyczaj zabierają niemowlęta, nie pięciolatków. Niemowlę można wychować jako swoje dziecko, a ktoś wystarczająco sprytny może nawet załatwić fałszywy akt urodzenia. Z kilkulatkiem już jest problem, bo taki maluch pamięta przecież swoich prawdziwych rodziców, wie, jak naprawdę się nazywa, i może o tym głośno mówić. Jasne, po jakimś czasie przywyknie do nowych opiekunów i prawdopodobnie nawet zacznie uważać ich za mamę i tatę, ale do tego czasu dzieciak to prawdziwa tykająca bomba.

– Jeśli od początku zamierzała trzymać Kubę w piwnicy, to nie miało znaczenia – odezwał się Wrona. – Tam i tak nikt by chłopaka nie oglądał ani nie słuchał.

– To dalej nie ma dla mnie sensu. Jeśli Wajda po prostu pragnęła dziecka, dlaczego nie porwała niemowlaka? Z kolei jeśli była psychopatką, którą cieszyłoby zamknięcie w piwnicy małego chłopca, dlaczego wcześniej nie świadczyły o tym żadne sygnały? Pracowała przecież jako pomoc przy koloniach i nigdy nie skrzywdziła żadnego podopiecznego. Nawet w czasie nawrotów choroby nie bywała agresywna. Oczywiście można założyć, że porwanie Kuby to przypadek, że Wajda wyszła wcześniej rano z Murowańca na spacer, gdzieś po drodze do Czarnego Stawu Gąsienicowego spotkała samotnego chłopca i zwyczajnie nie potrafiła się oprzeć takiej okazji. Możliwe, ale mimo wszystko... Porwanie dziecka w takim miejscu jest, prawdę mówiąc, wyjątkowo idiotycznym pomysłem. Musiała albo znieść Kubę na dół, albo go sprowadzić, trzymając za rękę. Jeśli chłopiec był w tym czasie nieprzytomny, to niesienie bezwładnego ciała wymagało sporego wysiłku, nawet od silnej i sprawnej fizycznie kobiety. Jeśli z kolei dziecko szło na własnych nogach, w każdej chwili mogło zacząć się wrywać i wołać mamę. W każdym z tych przypadków jakiś turysta, który wcześniej wyruszył na szlak, mógł zwrócić na nią uwagę i zainteresować się, co jest grane. To oznaczało duże ryzyko. Wiem, Wajda jako osoba chorująca psychicznie mogła o tym nie myśleć, ale taki argument mnie nie przekonuje. Ta kobieta pracowała wcześniej przy dzieciach i musiała mieć mnóstwo okazji, żeby któreś z nich porwać. Czemu więc nie zrobiła tego w bardziej sprzyjających okolicznościach?

– Do czego właściwie zmierzasz? – Wojtek zmarszczył brwi.

– Do tego, że jeśli zabrała akurat to konkretne dziecko, akurat z tego konkretnego miejsca, musiała mieć dobry powód. Zrobiłam takie założenie, a potem zaczęłam się zastanawiać nad obrażeniami, jakie Kuba odniósł w dzieciństwie. Kiedy po śmierci Wajdy trafił do szpitala, podczas prześwietlenia lekarze odkryli na jego żebrach ślady starych złamań. Z tego wszyscy wywnioskowali, że porywaczka biła chłopca, kiedy nie był posłuszny. Problem w tym, że maltretowanie dziecka rzadko kończy się tylko na połamanych żebrach, w takiej sytuacji można by się spodziewać starych złamań na kościach rąk czy nóg albo pęknięcia czaszki. U Kuby niczego takiego nie stwierdzono. Miał co prawda trochę świeżych obrażeń, ale to zupełnie inna historia i do nich jeszcze wrócę. Albo więc Wajda uderzyła małego Kubę raz, przypadkiem nie powodując żadnych innych uszkodzeń, albo te złamania powstały w odmienny sposób. A wiecie, w jakiej sytuacji można łatwo połamać człowiekowi żebra? Udzielając mu

pierwszej pomocy. To często się zdarza podczas intensywnego masażu serca. A Stanisława, jak większość osób pracujących z małymi dziećmi, prawdopodobnie przeszła odpowiednie szkolenie.

– Sugerujesz, że Kubie po porwaniu zatrzymało się z jakiegoś powodu serce?

– Sugeruję, że Wajda nie porwała Kuby. Ona uratowała mu życie. Wyobraźmy sobie taką sytuację: pewnego dnia Wajda wychodzi ze schroniska i idzie nad Czarny Staw Gąsienicowy. Jest wczesnie rano, dookoła jeszcze nie ma turystów. Kobieta liczy, że posiedzi sobie nad wodą, odpocznie i wróci gotowa na cały dzień ciężkiej pracy. Tymczasem na miejscu czeka niespodzianka: gdy otwiera się widok na staw, Wajda widzi leżące w przybrzeżnej wodzie dziecko i oddalającą się od niego postać w charakterystycznej bluzie z kapturem. Rozpoznaje tę bluzę, jednak nie przygląda się uciekającemu, bo w tej chwili znacznie bardziej interesuje ją dziecko. Rzuca się na ratunek, wyciąga chłopca z wody i reanimuje, przy okazji łamiąc mu parę żeber. Udaje jej się i mały zaczyna znowu oddychać. Normalny człowiek w takiej sytuacji zawiadomiłby pogotowie i policję, ale Wajda nie jest normalna. Nie pod tym względem. Ona zakłada, że cudem ocalone dziecko natychmiast wróci do rodziny, a przecież to właśnie ktoś bliski próbował je przed chwilą zabić. Nie może na to pozwolić, więc ma tylko jedno wyjście: postanawia zabrać chłopca. Na rękach znosi go do Zakopanego, pakuje w samochód i zawozi do Podków. Ma szczęście, bo dziecko dochodzi do siebie, połamane żebra zrastają się bez problemu.

– A Wajda trzyma chłopca w piwnicy? – tym razem wtrącił się Wrona.

Potrząsnęłam głową.

– Kuba nigdy nie był więźniem. Prawdopodobnie mieszkał w pokoju na strychu i czasem nawet wychodził na zewnątrz, zwłaszcza kiedy zmarła jedyna sąsiadka. Wajda opiekowała się Kubą, jak umiała, chroniąc go jednocześnie przed światem. Wierzyła, że jeśli chłopiec kiedykolwiek wróci do domu, niedoszły morderca dokończy to, co zaczął nad Czarnym Stawem, i go zabije. Zarazony tym lękiem Kuba przez większość swojego życia uważał, że tylko w chacie swojej porywaczki jest bezpieczny, a na zewnątrz czyhają na niego potwory.

– Lalka na trawniku... – mruknął Wojtek.

– Tak, lalka. Kuba bawił się z siostrami w to, co zapamiętał. Zakładaliśmy, że chłopak nienawidził domu Wajdy, a świat na zewnątrz oznaczał dla niego

upragnioną wolność. W rzeczywistości było na odwrót: Kuba bał się tego świata i wcale wolności nie pragnął. A Wajda ciągle w nim ten lęk podsycala. Nie ukrywała nigdy, że nie jest prawdziwą matką chłopca, wręcz przeciwnie: opowiadała mu o tym, że zabrała go od rodziców, ponieważ ktoś z jego najbliższych próbował go zabić.

– Nie mogła wiedzieć, że to ktoś z rodziny chłopca. Teraz to już zmyślasz – zawyrokował Wojtek.

– Nie zmyślam, bo tylko wtedy wszystko ma sens. Wajda interesowała się rodziną Kuby i zbierała wycinki z gazet. Wiedziała, że Krystian był w Murowańcu z żoną i z koleżanką: z tą pierwszą wkrótce potem się rozstał, a druga została kolejną żoną, więc krąg podejrzanych szybko się zawęził. Wajda wychowała chłopca w przekonaniu, że próbowała go zabić jedna z tych trzech osób: matka, ojciec albo macocha.

– Dlaczego tylko tych trzech? Dlaczego nie zakładasz, że Wajda widziała twarz napastnika? A jeśli nie widziała, to mogła podejrzewać kogokolwiek z siódemki, która nocowała w Murowańcu.

– Trochę zgaduję – przyznałam. – Ale już mówiłam: wtedy wszystko nabiera sensu. „Zabijcie wszystkich, Bóg rozpozna swoich”, pamiętacie? To zdanie świadczy o tym, że w grupie osób część jest winna, a część nie, i nie wiadomo, jak je odróżnić. A skądinąd wiem, że Wajda widziała nad stawem tylko jednego człowieka. To nie mógł być Jan Kulak, tęgi mężczyzna na granicy otyłości, ani niska, drobna Mariola Kowalska. Rataj też się wyróżniał, chociaż w inny sposób: na szlaku skręcił kostkę i wyraźnie utykał. Gdyby więc Wajda zobaczyła kogoś z tej trójki w pewnej odległości, z kapturem nasuniętym na czoło, tak że nie widać twarzy, to z pewnością by go rozpoznała, bo przecież widziała członków grupy wieczorem w Murowańcu. Ta siódemka młodych ludzi ubranych w identyczne bluzy musiała rzucać się w oczy. Inaczej sprawa wygląda w przypadku pozostałej czwórki, podobnej do siebie pod względem wzrostu czy wagi. Krystiana, Lucynę i siostry Jaworskie w pewnych okolicznościach faktycznie można było ze sobą pomylić

– Dlaczego w takim razie Wajda nie podejrzewała Róży?

Westchnęłam.

– Bo statystyki mówią, że w przypadku zabójstwa dziecka winny jest najczęściej ktoś najbliższy: ojciec, matka, czasem kochanek albo kochanka jednego z rodziców, a skoro Kalina tak szybko z koleżanki stała się żoną, można było podejrzewać, że już w Murowańcu coś ją łączyło z Krystianem. Wajda nawet nie musiała tych statystyk znać, ona wiedziała to instynktownie, z własnego doświadczenia. Krzywdzą najbliżsi członkowie rodziny, nie ciotki.

– Naprawdę myślisz, że ktoś z tej trójki mógłby chcieć zabić chłopca? Dziecko, które tak bardzo kochali?

– Na to, że kochali Kubę, mamy tylko słowa Lucyny i przyjaciół Aleksandrowiczów, czyli niezbyt obiektywnych świadków, poza tym Krystian potrafił robić dobre wrażenie. A we wszystkich zeznaniach między zapewnieniami o miłości do Kuby przewija się coś zupełnie innego. Krystian i Lucyna nie byli gotowi na rodzicielstwo: chłopca praktycznie wychowywała babcia, a kiedy starsza pani zmarła, małżeństwo Aleksandrowiczów zaczęło się rozpadać. Krystian nie mógł się rozwieść, bo nie pozwalała mu na to jego wiara, Lucyna marzyła o wyjeździe za granicę, ale też nie mogła tego zrobić, bo w naszej kulturze matka nie porzuca dziecka. Dla każdej z tych trzech osób śmierć Kuby rozwiązywała pewien problem: Krystian łatwiej mógł otrzymać unieważnienie małżeństwa, Lucyna mogła wyjechać do Anglii, a Kalina wyjść wreszcie za ukochanego mężczyznę. Takie rzeczy zdarzają się każdego dnia. W porządnym rodzinach też.

– Tak, wiem. – Wojtek przełknął ślinę. – Ale mimo wszystko...

– Do człowieka, którego Wajda widziała tamtego ranka na brzegu Czarnego Stawu, jeszcze wrócę. Na razie chcę się skupić na Kubie, chłopcu dorastającym ze świadomością, że jedna z najbliższych osób próbowała go zabić. Chłopcu, który spędzał długie godziny, próbując przypomnieć sobie moment ataku i twarz napastnika. Żyjącym w koszmarnej strachu przed powrotem do biologicznej rodziny i przekonany, że dom Stanisławy Wajdy to jedyne bezpieczne miejsce. A to bezpieczeństwo pewnego dnia się skończyło.

Odetchnęłam i napiłam się herbaty. Wojtek i Rafał Wrona patrzyli na mnie jak zahipnotyzowani. Prowadziłam ich coraz głębiej w tę opowieść, a oni mi wierzyli. Nie chcieli tego, widziałam wyraźnie na ich twarzach opór, ale wierzyli.

– Wajda dowiedziała się, że umiera wczesną jesienią 1998 roku, gdy Kubie brakowało niecałych dwóch lat do osiągnięcia pełnoletniości. Doskonale wiedziała, że po jej śmierci bezradny, nieznający życia na zewnątrz chłopiec trafi z powrotem

do biologicznej rodziny, czyli w ostatnie miejsce, w które powinien trafić. Dlatego wymyślili sposób, jak tego uniknąć. Nie wiem, kto z nich na to wpadł, zakładam jednak, że Wajda, co swoją drogą całkiem nieźle świadczy o jej inteligencji. Ta kobieta popełniła kilka błędów, ale zdecydowanie nie była głupia. Pamiętam, że kiedy zeszłam do piwnicy w Podkowach, odniosłam dziwne wrażenie, że tam się coś kryje, że to pomieszczenie z jakiegoś powodu nie chce mi zdradzić swoich sekretów. I miałam rację. Ostateczną, ukrytą przed wszystkimi tajemnicą okazało się to, że nie istniała żadna tajemnica, nie było uwięzionego chłopca i znęcającej się nad nim porywaczki. Łańcuch z obrozą oraz wzmocnione drzwi to tylko mistyfikacja, teatralne dekoracje na użytek policji.

– Chcesz powiedzieć, że Wajda razem z Kubą zaplanowała własną śmierć? – Wojtek uniósł lekko brwi.

– Dlaczego nie? Teoretycznie to rozwiązywało wszystkie ich problemy. Wajda bała się lekarzy i na pewno nie chciała umierać w szpitalu. Ani w domu, męcząc się całymi dniami. Woląла szybką śmierć z ręki swojego podopiecznego. A Kuba jako młodociany zabójca nie wróciłby do rodziny, tylko zostałby umieszczony w domu poprawczym, gdzie spokojnie doczekałby osiemnastych urodzin.

– Mógł ją zabić bez całego tego cudowania. Tych łańcuchów i innych takich.

– Mógł – przyznałam. – Ale Wajda prawdopodobnie się bała, że wtedy będzie sądzony jak dorosły. Nie mówiąc już o tym, że pewnie chciała mu oszczędzić wchodzenia w życie z piętnem mordercy, bo zabicie porywaczki to zupełnie co innego niż zabicie niewinnej osoby. Jednak kiedy przyszło co do czego, Kuba nie potrafił skrzywdzić kobiety, którą uważał za matkę. Wściekła Wajda zaatakowała chłopaka, chcąc go zmusić, żeby zaczął się bronić. Osiągnęła swój cel, bo ostatecznie Kuba ją odepchnął, zrzucił ze schodów i zabił. Problem w tym, że dowody na obronę własną były tak mocne, że prokurator umorzył śledztwo i Kuba wrócił do rodziny.

Urwałam. Na stole stał pusty dzbanek po herbacie, ale żadne z nas nie wstało, żeby ponownie go napełnić. Miałam wrażenie, że w pokoju gęstnieje ciemność, noc wsuwała się przez uchylone okno jak złodziej, zabierając światło. Zbliżaliśmy się do najmroczniejszej części historii, tej, o której tak bardzo nie chciałam mówić. Wojtek i Rafał Wrona musieli to wyczuć, bo na ich twarzach napięcie wyczekiwania mieszało się z lękiem przed tym, co za chwilę mieli usłyszeć.

– Kuba mówił, że nie chce wracać do domu – powiedziałam, sama zaskoczona tym, jak miękko, niemal z czułością zabrzmiał mój głos. – Mówił, że jeśli wróci, stanie się coś złego. Ale nikt nie zamierzał go słuchać. Pod tym jednym względem Wajda miała całkowitą rację: zdania dzieci nie bierze się pod uwagę. Wychowała Kubę w takim przekonaniu, dlatego kiedy chłopak został zignorowany, nawet nie próbował wyjaśniać, o co mu chodzi. Po prostu pogodził się z nieuniknionym. Gdyby ktoś poświęcił wtedy chwilę, żeby z nim porozmawiać, wszystko mogłoby wyglądać inaczej. A tak Kuba trafił do domu, gdzie z dużym prawdopodobieństwem mieszkał człowiek, który próbował go zabić. Zamykanie się w pokoju, jedzenie posiłków z McDonalda, czyli to, co Damrocki interpretował jako oznaki traumy, było zwyczajną ostrożnością. Chłopak się bał, że niedoszły zabójca dokończy to, co zaczął nad stawem w Tatrach. Dlatego też cały czas trzymał się wersji, że został porwany i nic nie pamięta, bo dzięki temu mógł się czuć bezpieczniejszy. W ten sposób potencjalnemu mordercy odpadał przynajmniej jeden motyw, jakim mogłoby być usunięcie niewygodnego świadka.

– Ale to nie Kuba został zamordowany, prawda? – zirytował się Wojtek. – Chłopak cały i zdrowy siedzi w izbie dziecka, a reszta jego rodziny nie żyje. To kto, do cholery, zabił tych wszystkich ludzi, skoro on nie mógł tego zrobić?

Westchnęłam. Tej właśnie części najbardziej się bałam. Zeszliśmy już najgłębiej, jak się dało, dalej nie było nic oprócz czekającej na nas ciemności.

– Mógł i moim zdaniem to zrobić.

W ciszy mogłam słyszeć uderzenia własnego serca. Rafał Wrona poruszył się pierwszy.

– Sądzi pani, że Kuba zaplanował morderstwo swojej rodziny?

– Tak i nie. Jest sporo poszlak przemawiających za tym, że myślał o takim właśnie rozwiązaniu. W rozmowie z Różą przywołał starą anegdotkę o krzyżowcach w Béziers i pół żartem, pół serio twierdził, że jeśli nie wiesz, kto jest winny, możesz po prostu na wszelki wypadek zabić wszystkich. Czytywał książki psychologiczne, żeby łatwiej udawać ofiarę. Zaczął już w domu Wajdy, a u Aleksandrowiczów czytał tego więcej, co mogło świadczyć o tym, że przygotowywał się do odgrywania roli ofiary kolejnej traumy – tym razem chłopca, który stracił oboje rodziców.

– Skąd wiesz o tych książkach?

– Na jednym z filmików Kuba siedzi na plaży i czyta coś grubego, co nijak nie wygląda na beletrystykę. A w szpitalu nakryłam go na lekturze Psychiatrii klinicznej. Twierdził, że nic nie rozumie, i w pierwszej chwili mu uwierzyłam, ale potem przypomniałam sobie o tym filmiku, o książkach w domu Wajdy i coś mnie tknęło. Dzisiaj zadzwoniłam do Rataja i zapytałam, jakie nietypowe hobby miał Kuba. Otóż Kalina zapisała go do miejscowej biblioteki, a on wypożyczał stamtąd tylko jeden rodzaj książek: właśnie pozycje dotyczące psychologii, zwłaszcza PTSD i traumy. Aleksandrowiczowie sądzili, że chłopak próbuje sobie w ten sposób poradzić z własnymi doświadczeniami, dlatego nie protestowali, chociaż wydawało im się to dziwaczne. A Kuba jest bardzo inteligentny; tak twierdzi jego korepetytor i ja mu wierzę. Wystarczająco inteligentny, żeby oszukać wszystkich, włącznie z terapeutą. Było mu tym łatwiej, że nie do końca oszukiwał: ten chłopak naprawdę sporo przeżył. Kłamstwo jest najlepsze wtedy, gdy trzyma się blisko prawdy, a Kuba dzięki swoim lekturom wiedział, jak wymieszać jedno i drugie tak, żeby brzmieć wiarygodnie. Nie wiem, czy serio myślał o zabiciu ojca i macochy, może traktował to jako... ćwiczenie intelektualne. Coś w rodzaju wentyla bezpieczeństwa: nastolatek, który na co dzień żyje w koszmarnym strachu, bawi się myślą, że sam mógłby zostać mordercą, bo to mu daje poczucie sprawczości, i przynajmniej na jakiś czas przestaje się czuć ofiarą. Chciałabym wierzyć, że tylko o to chodziło. Ale istnieje szansa, że Kuba planował zabójstwo zupełnie na serio. Pewnie nigdy się nie dowiemy. W każdym razie nawet jeśli tak było, to myślę, że przestał w czerwcu tego roku.

Wojtek zamrugął.

– Nie rozumiem.

– Film nakręcony na plaży w Egipcie, ten, na którym Kuba bawi się z dziewczynkami w samolot. Wyglądał wtedy na szczęśliwego i zupełnie odprężonego. Nie sądzę... Nie wydaje mi się, żeby udawał. Poza tym po tych wakacjach skończyło się wypożyczanie z biblioteki książek o psychologii. Dlatego myślę, że ostatecznie Kalinie udało się zdobyć zaufanie chłopca. Ona naprawdę bardzo się starała. Popełniała błędy, ale bardzo się starała. I w końcu dopięła swego. Może Kuba postanowił uznać, że Wajda się pomyliła i nad stawem zaatakował go obcy człowiek, może w ogóle nie chciał o tym myśleć, bo był już zbyt wyczerpany życiem w ciągłym strachu. Nie wiem. Ale jestem przekonana, że Aleksandrowiczowie na dwa miesiące stali się prawdziwą rodziną.

– W takim razie co się wydarzyło w Pogańskim Młynie? – Wojtek wyjął z kieszeni paczkę marlboro i zapalił. Mnie też poczęstował. Powinnam odmówić, bo Adam nie lubił, kiedy paliłam w mieszkaniu, ale przyjąłam papierosa. Rafał Wrona pokręcił głową. Wyglądał, jakby przydał mu się kieliszek czegoś mocniejszego, jednak dzisiejszego wieczoru nie miałam już w domu ani kropli alkoholu.

– Zanim do tego dojdziemy, chciałam się zastanowić nad problemem, który męczył mnie od samego początku, a mianowicie kto wpadł na pomysł tego wyjazdu. Nikt nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Ani Krystian, ani Kalina nie lubili spędzać czasu na łonie natury, a dziewczynki były chyba trochę za małe, żeby brać pod uwagę ich zdanie. Zresztą nic nie świadczyło o tym, że jakoś szczególnie kochały las. Zostawał Kuba, ale on stanowczo zaprzeczył. Byłam w kropce, ostatecznie jednak przekonał mnie Leopold Rataj. Najbliższy przyjaciel rodziny, który twierdził, że to Kuba chciał jechać do Pogańskiego Młyna. Nikt mu tego nie powiedział, po prostu założył, że tak właśnie jest. Czasem intuicja sprawdza się lepiej niż twarde dowody. Rataj znał Aleksandrowiczów od dawna i spędzał w ich domu sporo czasu. Jeśli wydawało mu się, że coś dotyczącego tej rodziny jest prawdą, to z dużym prawdopodobieństwem faktycznie tak było. Postanowiłam mu zaufać i dalej już poszło gładko. To Kuba chciał pojechać do leśniczówki, a jeśli okłamał nas w tej kwestii, mógł kłamać i w innych.

– Chciał tam jechać, żeby zabić swoją rodzinę? – W głosie Rafała Wrony brzmiała niepewność.

Pokręciłam głową. Papieros żarzył się w moich palcach, jego czerwone oko zdawało się wpatrywać we mnie oskarżycielsko. Tyle oczywistych wskazówek przegapiłam po drodze... Gdybym myślała szybciej, przynajmniej ostatniej tragedii udałooby się uniknąć.

– Nie, jego powody w tamtym momencie były zupełnie niewinne. Pamiętacie, jak spekulowaliśmy, że Kalina mogła chcieć jechać do leśniczówki po to, żeby się tam spotykać z kochankiem? Cóż, ten sam motyw miał Kuba, chociaż w jego przypadku chodziło o dziewczynę.

– W czerwonej sukience? – wypalił Wojtek.

Uśmiechnęłam się smutno.

– Nie sądzę, żeby ta konkretna dziewczyna lubiła jakiekolwiek sukienki. Raczej woli spodnie. Pamiętacie tę tabelkę w domu Wajdy? Inicjały w rubryczkach?

– M, S i P. – Wojtek milczał, odrobinę nachmurzony, za to Rafał Wrona nie miał nic przeciwko, żeby odegrać przy mnie rolę wiernego Watsona. – Jeśli zakładamy, że P to Piotrek, a S oznacza Stanisławę, to tajemnicza dziewczyna musiałaby mieć imię zaczynające się na M.

– Owszem, pod warunkiem że tabelkę zrobiła Stanisława albo jej gość. Ale Kuba nie podpisałby Wajdy imieniem. Ta kobieta była dla niego matką i tak ją nazywał. To mogło być równie dobrze P jak Piotrek, M jak mama i S. Jak Sylwia.

– Ochocka?

– Oczywiście, że tak. Nie wiem, czemu wcześniej nie zwróciłam na to uwagi. Dziewczyna sama mi powiedziała o swojej niechęci do Aleksandrowiczów i sympatii do Kuby. Rzecz jasna nie przyznawała się wtedy, że zna go od dawna, ale cała reszta była prawdziwa. Jak mówiłam, kłamstwo jest najlepsze wtedy, kiedy trzyma się blisko prawdy. Ojciec Sylwii już przy pierwszym spotkaniu pochwalił się, że córka chodzi po beskidzkich lasach od piętnastego roku życia. Spojrzałam na mapę: od Rudnika do Podków jest jakieś dziesięć kilometrów, jeśli idzie się nie drogą, tylko na przełaj. Półtorej godziny marszu, dla młodej, zdrowej dziewczyny pewnie nawet mniej. Sylwia podczas swoich wędrówek mogła trafić do Podków i spotkać tam Kubę, który akurat wyszedł na zewnątrz. Zakładam, że Wajda zachowała się wtedy całkiem sensownie, nie spanikowała, tylko zaprosiła dziewczynę do środka i wyjaśniła całą sytuację: dlaczego absolutnie nikt nie może się dowiedzieć, że mieszka u niej chłopak. Nastolatki uwielbiają tajemnice i Sylwii musiało bardzo się podobać, że zna taki sekret. Od tamtej pory bywała w Podkowach, kiedy tylko mogła, a Wajda nie miała nic przeciwko, bo wiedziała, że Kubie przyda się towarzystwo osoby w jego wieku. I w końcu stało się to, co musiało się stać w takich okolicznościach, czyli młodzi zakochali się w sobie. Przyzwyczajaliśmy się uważać Kubę za nieszczęśliwe dziecko, a Sylwię za dojrzałą kobietę, już studentkę, ale tak naprawdę między nimi są tylko dwa lata różnicy. To niedużo, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że Kuba wcale nie jest taki dziecinny, jak próbuje udawać, a Sylwia nie jest taka znów dorosła. Jeśli mój syn może się umawiać z czterdziestolatką, to zakładam, że osiemnastolatka może się zainteresować szesnastolatkiem. Kuba i Sylwia spotykali się w Podkowach, a kiedy chłopak wrócił do Aleksandrowiczów, odnowił kontakt, oczywiście w tajemnicy

przed ojcem i macochą. Nie mógł się przyznać, że w Podkowach miał dziewczynę, bo wtedy w łeb wzięłaby historia trzymanego w piwnicy dziecka. A Kuba może i zaczął ufać Aleksandrowiczom, ale trudno się pozbyć starych nawyków i ktoś, kto przywykł do ukrywania pewnych rzeczy, nie przyzna się do nich tak łatwo. Dlatego zamiast powiedzieć ojcu i macosze, że chce się zobaczyć z przyjaciółką, namówił ich na wyjazd do Pogańskiego Młyna. Nie mam pojęcia, skąd wiedział o tym miejscu, może wspomniał o nim Krystian, który znał prezesa lokalnego kółka łowieckiego, albo Kalina, która jeździła tam w dzieciństwie. W leśniczówce Kuba przedstawił Sylwię rodzicom, udając, że właśnie ją poznał. Od tej pory Ochocka bywała w Pogańskim Młynie często, chodziła nawet na spacer do lasu z Kubą i z dziewczynkami. To ona nakręciła filmik, ten pierwszy. Tak sędzę. W każdym razie jest jedyną osobą z kręgu podejrzanym, która pasuje wzrostem.

Zgasiłam papierosa. Wojtek i Rafał Wrona patrzyli na mnie z rozwiewających się powoli kłębow dymu. Wstałam i otworzyłam szerzej okno. Nagły przypływ świeżego powietrza przypominał chłasknięcie w twarz i poczułam się jak wyrwana z długiego koszmaru snu.

– Jeśli wszystko wyglądało tak pięknie, Kuba ufał swoim rodzicom i miał nawet dziewczynę, to skąd, do cholery, w leśniczówce znalazły się cztery trupy? – zapytał Wojtek. Nie musiałam się odwracać, by widzieć złość na jego twarzy. Chciał, żebym zmyślała, żeby wszystko to, o czym mówię, okazało się tylko konfabulacjami pogrążonej w żałobie kobiety. Tak byłoby łatwiej, prościej.

Odetchnęłam, a potem wróciłam do stołu, by ponownie zanurzyć się w ten koszmar. I zostać w nim aż do końca.

– Z powodu sarny – powiedziałam. – I zwierzęcych grobów oraz mało popularnej modlitwy za zmarłych. Pewnego dnia Sylwia, Kuba i dziewczynki znaleźli w lesie ranną sarnę. Została postrzelona przez myśliwego, ale uciekła. Zwierzę się męczyło i trzeba było je dobić, dlatego jedno z nich, Kuba albo Sylwia, skoczyło do leśniczówki po nóż do grilla i poderżnęło sarnie gardło. Gdybym miała zgadywać, stawiałabym, że zrobiła to Sylwia: jest w końcu córką myśliwego i sporo czasu spędza w lesie. Sama zresztą przyznała, że mogłaby zabić żywą istotę, gdyby to miało wyzwolić ją od cierpienia. Sylwia i Kuba pewnie nie pozwolili dziewczynkom na to patrzeć, ale Basia i Renia i tak zdawały sobie sprawę, co się dzieje. Zetknęły się już wcześniej z koncepcją umierania i pochówku. Jedną z dziewczynek, prawdopodobnie Renia, zebrała potem kilka

leśnych kwiatków i zostawiła bukiet na ciele sarny. To miało nieoczekiwane konsekwencje, bo obudziło w Reni zainteresowanie śmiercią. Myślę, że to był rodzaj odreagowania, a może zupełnie zwyczajny etap rozwoju, nie mam pojęcia. Tak czy inaczej, dziewczynka zaczęła urządzać pogrzeby znalezionym w lesie owadom i zwierzętom. Dzieci czasem reagują w dziwny sposób. Na miniaturowych grobach kładła miniaturowe wiązanki, robiła maleńkie krzyżyki i wygłaszała modlitwy. To było zupełnie niewinne zachowanie, ale właśnie ono doprowadziło Aleksandrowiczów do zguby.

Odetchnąłam, odruchowo sięgając po herbatę, jednak dzbanek stojący na stole był już pusty. Wojtek podsunął mi własny kubek. Podziękowałam i napiłam się, zwilżając zaschnięte gardło.

– Dwudziestego szóstego sierpnia rano chora Basia spała albo czytała w łóżku na piętrze, Krystian i Kalina zajmowali się swoimi sprawami na parterze, a Renia i Kuba spędzali czas na zewnątrz. Dziewczynka bawiła się w swoją ulubioną ostatnio zabawę, czyli urządzenie pogrzebu, a chłopak filmował ją kamerą. Na taśmie utrwaliły się ostatnie chwile życia Reni, moment, gdy kładzie na jednym z miniaturowych grobów kwiaty i mówi słowa modlitwy, których nauczyła się kilka miesięcy wcześniej. Wtedy właśnie w Kubie coś pękło, ponieważ, widzicie, dokładnie te słowa padły, kiedy leżał w płytkiej wodzie Czarnego Stawu Gąsienicowego i umierał. Jedyne, co pamiętał z chwili, która na zawsze zmieniła jego życie. I myślę, że paradoksalnie, gdyby usłyszał tę modlitwę kilka miesięcy wcześniej, gdy wciąż głęboko wierzył, że któreś z Aleksandrowiczów próbowało go zabić, efekt nie byłby tak druzgoczący. Ale tamtego dnia Kuba był szczęśliwy, odsłonięty, pełen zaufania. W żaden sposób nieprzygotowany na taki szok. Słowa modlitwy, może szum strumienia, który kojarzył się z pluskaniem potoku wypływającego z Czarnego Stawu – wszystko to nagle cofnęło go w przeszłość o dwanaście lat. Jakby ktoś pstryknął włącznik, w jego umyśle zapadła ciemność, a kiedy się obudził, było za późno. Psychiatrzy pewnie mają na to jakieś naukowe określenie. W takich chwilach znikają rozsądek i rozum, jest tylko czysta wściekłość pochłaniająca człowieka tak, że nie zostaje miejsce na nic innego. Kuba nie mógłby zabić Reni z premedytacją, ale mógł ją zabić w ataku szału. A potem... Mogę tylko zgadywać. Krystiana i Kalinę zamordował, prawdopodobnie już doskonale zdając sobie sprawę z tego, co robi: wiedział, że kiedy znajdą ciało dziewczynki, od razu wszystkiego się domyślą. Poza tym Renia przecież była

niewinna, ona tylko powtarzała słowa dorosłych. Nie wiem, czy w tej chwili Kuba przypomniał sobie tamtą rozmowę, po pogrzebie Jana Kulaka, czy stało się to dopiero później, ale na pewno już wtedy wiedział, kto tak naprawdę zawinił: Krystian albo Kalina.

– Przecież to Róża nauczyła dziewczynki tej modlitwy – zaprotestował Wrona.

– Tak, ale Kuby nie było w tym momencie przy stole. Na filmie widać, że ciągle biegał między domem a ogrodem, donosząc kolejne potrawy. Wiedział więc, że rozmawiano o rytuałach pogrzebowych, i mógł się domyślić, że jeśli dziewczynki nauczyły się gdzieś modlitwy, to pewnie właśnie wtedy, ale samą naukę przegapił. A Róży nawet nie brał pod uwagę, dla niego od zawsze istniała tylko trójka podejrzanych: jego ojciec, matka i macocha. Dlatego zabił Krystiana i Kalinę, a kiedy zadzwonił telefon, podniósł słuchawkę i powiedział do Róży: „Zabijcie wszystkich, Bóg rozpozna swoich”, bo to właśnie się stało. Potem wyszedł na trawnik, usiadł tam, cały zakrwawiony, i... No cóż, po prostu czekał, zbyt zagubiony, żeby podjąć jakąkolwiek sensowną decyzję. W międzyczasie przez teren leśniczówki przechodzili Koziński i Boruń, którzy widząc martwą dziewczynkę i siedzącego obok oszołomionego chłopaka w zakrwawionym ubraniu, wzięli go za drugą ofiarę. Jednak, co charakterystyczne, żaden z tej dwójki nie wspomniał, że Kuba był ranny. Nie mogli tego zrobić, bo w tamtej chwili Kuba wciąż był cały i zdrowy, podobnie zresztą jak leżąca w pokoju na piętrze druga córka Aleksandrowiczów.

– Basia? – Wrona uniósł brwi.

Przytaknęłam.

– Gdyby Kuba wszedł na piętro w ubraniu, w którym zaszlachtował trzy osoby, na łóżku dziewczynki na pewno znalazłyby się ślady krwi. Nie było ich tam, stąd wnioskuję, że Basia zginęła później, już po przybyciu Sylwii. Ochocka przyjechała terenówką jej ojca i zastała krwawą rzeźnię, a także swojego chłopaka siedzącego na trawniku w ubraniu przesiąkniętym krwią. Nie wiem, czy Kuba w jakikolwiek sposób wyjaśnił jej, co się stało, ale tak czy inaczej dziewczyna nie straciła głowy. Pomogła mu się umyć, pewnie w strumieniu, bo w łazience było czysto, a gdy się przebrał, spakowała zakrwawione ubranie, schowała je w samochodzie i wyrzuciła później. W tym aucie jest tyle rzeczy, że dodatkowy pakunek nie zwróciłby niczyjej uwagi. Potem jedno z nich założyło stare gumowce Ochockiego, które nawiasem mówiąc, też były w bagażniku, bo ojciec Sylwii to straszny bałaganiarz, weszło na

piętro i zajęło się Basią. Chciałabym wierzyć, że zrobił to Kuba, on nie miał już przecież nic do stracenia, ale nie możemy wykluczyć Sylwii.

– Moment – przerwał Wojtek. – Coś mi się nie zgadza. Na schodach znaleźliśmy odciski butów w rozmiarze czterdzieści sześć. Czy Ochocki przypadkiem nie nosi mniejszego numeru?

– Owszem, czterdzieści pięć, ale rozmiarówki różnych firm różnią się nieco między sobą. Zresztą gumowce często się zakłada do grubych skarpetek, więc mogą być trochę luźniejsze niż zwykłe buty. Dalej zostały już tylko dwie rzeczy do zrobienia: Sylwia wytarła odciski palców z telefonu i z narzędzia zbrodni, wcześniej jednak dźgnęła chłopaka dwa razy w brzuch. Niezbyt poważnie, ot, na tyle, żeby Kuba, kiedy znajdziemy już ciała, nie stał się pierwszym podejrzanym. Chodziła do liceum medycznego i zanim zdecydowała się na weterynarię, chciała zostać lekarzem, dlatego wiedziała, gdzie uderzyć, żeby nie naruszyć żadnego ważnego organu.

– Uważasz, że Sylwia tak po prostu zostawiła swojego chłopaka, żeby się wykrwawił?

Pokręciłam głową.

– Koło kawiarni jest budka telefoniczna, dziewczyna mogła pod nią podjechać i zadzwonić anonimowo na policję albo pogotowie. Wtedy pomoc dotarłaby do leśniczówki w ciągu pół godziny i Kubie nic strasznego by się nie stało, miałyby za to całkiem niezłe alibi. Pech jednak chciał, że po drodze Sylwia przejeżdżała obok domu, a tam czekał na nią ojciec z wieścią o wypadku matki. Nie było mowy, żeby dziewczyna jechała dalej w stronę kawiarni: teraz musiała zabrać ranną i jak najszybciej zawieźć ją na ostry dyżur. Zgodziła się, bo jakie miała wyjście? Wyobrażam sobie jej rozpacz: z jednej strony wykrwawiający się w Pogańskim Młynie chłopak, z drugiej wymagająca natychmiastowej pomocy matka. A na ostrym dyżurze przez kilka godzin siedziały w poczekalni. Ochocka mówiła, że córka ciągle biegała do telefonu, żeby zadzwonić do taty. W rzeczywistości Sylwia nie chciała dzwonić do ojca, tylko z anonimowym zgłoszeniem na policję, problem jednak polegał na tym, że jedyne publiczny telefon na ostrym dyżurze znajduje się tuż koło rejestracji, tak że pracująca tam kobieta może słyszeć każde słowo. Sylwia próbowała wyczekać moment, kiedy rejestratorka wyjdzie w jakiejś sprawie, i coraz bardziej spanikowana kursowała między ranną matką a telefonem. Nie doczekała się: Ochocka została przyjęta na oddział, a Sylwia z ojcem, który

dojechał w międzyczasie, wróciła do domu. Po drodze zobaczyli jadącą w stronę leśniczówki karetkę i dziewczyna zdała sobie sprawę, że jest po wszystkim, nie musi nigdzie dzwonić. Potem się dowiedziała, że Kuba jednak przeżył. Pamiętam wyraz autentycznej głębokiej ulgi, jaki pojawił się na jej twarzy, kiedy powiedziałam, że ranny czuje się lepiej. Przy pierwszej możliwej okazji postarała się dostać do leżącego w szpitalu chłopaka, przeprosić go za to, że zawiodła, a jednocześnie opowiedzieć o dziewczynie w czerwonej sukience. Która oczywiście nigdy nie istniała.

– Lucyna mówiła...

– Lucyna chroni swoje dziecko. Wiedziała, że maglowaliśmy Kubę o dziewczynę w czerwonej sukience, dlatego kiedy lekarz zapytał, kto ją zaatakował, odpowiedź od razu przyszła jej do głowy. Dziewczyna w czerwonej sukience to fałszywy trop podrzucony przez Sylwię, żeby odwrócić naszą uwagę od Kubę. Matka chłopaka zrobiła dokładnie to samo. Swoją drogą Lucyna wróciła do Polski dwudziestego dziewiątego sierpnia, tak jak twierdziła.

– Nie masz żadnych dowodów, że cokolwiek z tego jest prawdziwe – powiedział cicho Wojtek.

– Nie – przyznałam. – Mam poszlaki, ale to nie wystarczy. Musimy sprawdzić odciski palców na siekierze, którą uderzono Lucynę; może Sylwia nie zdążyła ich zetrzeć. Ale pewnie jej się udało, to nie zajmuje dużo czasu. A obecność krwi na ubraniu Kubę już całkiem przekonująco wyjaśniła. Jeśli pójdziemy z tym do sądu, przegramy. Zwłaszcza jeśli Lucyna przeżyje i będzie się upierać, że zaatakowała ją anonimowa dziewczyna.

– To co chcesz zrobić?

– Porozmawiać jeszcze raz z Sylwią, może da się ją przekonać, żeby zeznawała przeciwko Kubie. Chociaż wątpię, miłość jest ślepa. Druga opcja to rozmowa z chłopakiem.

– I co zamierzasz mu powiedzieć?

– Prawdę – oznajmiłam, wstając od stołu. – O tym, co się wydarzyło dwanaście lat temu nad Czarnym Stawem.

5–10 września 1999 roku

Następnego dnia rano Wojtek pojechał pogadać z Sylwią, a ja udałam się do policyjnej izby dziecka, gdzie przebywał Kuba. Usiedliśmy w pokoju z porysowanym drewnianym stołem i dwoma plastikowymi krzesłami o barwie nieco już spłowiałej jesiennej czerwieni. Kuba w dziwny sposób pasował do tego pomieszczenia: wychudzony nastolatek w zbyt obszernej dresowej bluzie, blady, z zaciśniętymi ustami, jednocześnie brzydki i nijaki. Widziałam wcześniej tę brzydotę, ale wtedy nie miała ona znaczenia – dopiero teraz naprawdę dotarło do mnie, jak mało chłopak odziedziczył po przystojnym ojcu. Może mordercy zawsze wydają nam się brzydki, nie wiem. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam.

– Chciałam z tobą porozmawiać – powiedziałam. – To ważne. Wiem, że zabiłeś swojego ojca, macochę i Renię. – O Basi postanowiłam na razie nie wspominać. – I wiem, że wczoraj próbowałeś też zabić matkę.

Czekałam, aż Kuba zapyta, co z Lucyną, czy będzie żyła. Nie zapytał. W powietrzu unosiły się drobinki kurzu, które sprawiały, że wszystko tu wydawało się stare, pokryte patyną czasu – nawet wpadające przez okno światło, nawet siedzący przede mną chłopak. Czułam się, jakbym rozmawiała z kimś, kogo już dawno nie ma.

– Domyślałam się też, czemu to zrobiłeś. „Zabijcie wszystkich, Bóg rozpozna swoich”. Skoro zginęli Krystian i Kalina, to musiała też umrzeć twoja matka. Trzy osoby, z których każda mogła cię zaatakować dawno temu nad Czarnym Stawem Gąsienicowym. Trzy osoby biorące udział w rozmowie o rytuałach pogrzebowych. Słyszałeś tę rozmowę, chociaż tylko jej fragmenty. Widziałam na filmie. Na tych waszych nagraniach jest wszystko: twój strach, kiedy po raz pierwszy wchodziłeś do salonu Aleksandrowiczów, to, jak powoli zaczynałeś im ufać, twoja miłość do Basi i Reni. I moment, w którym zabiłeś Renię. Wszystko.

Nawet nie drgnął. Kiedy mówiłam do milczącej Róży, czułam, że potrafię do niej dotrzeć. Teraz nie. Teraz odnosiłam wrażenie, że dobijam się do drzwi od dawna pustego domu. W zakurzonym świetle słońca wpatrujące się we mnie oczy miały szarozłoty kolor, jak oczy kota. Nie wiedziałam, czy Kuba udaje, czy naprawdę jest w głębokim szoku, i to budziło moją złość. Przywykłam, że rozumiem moich podejrzanych, wiem, kim są, dlaczego zrobili to, co zrobili. Kuba był chłopcem, który na plaży bawił się z dziewczynkami w samolot, był samotnym, nieszczęśliwym dzieckiem na szpitalnym łóżku. Był też mordercą, który zabił trzy lub cztery osoby i próbował zabić kolejną. Wiedziałam, że to on – nic innego nie miało sensu. Potrafiłam nawet podać motyw, ale na najgłębszym poziomie zrozumienia wciąż mi się wymykał. Mimo to próbowałam dalej, jakby moje słowa mogły przełamać czar.

– Nie ma tylko jednego: odpowiedzi na dręczące cię przez te wszystkie lata pytanie. Które z nich? Kto próbował cię zabić? Chciałbyś to sobie przypomnieć, prawda? Chciałbyś wiedzieć.

Wydawało mi się, że w kocich oczach dostrzegłam błysk zainteresowania, ale równie dobrze mógł to być odbity refleks światła.

– Mogę ci powiedzieć, jeśli chcesz.

Dalej żadnej odpowiedzi. Ale błysk zainteresowania tam był, teraz już nie miałam wątpliwości.

– Pomyliłeś się – powiedziałam. – Na tym polega największa tragedia. Oboje się pomyliliście: ty i Stanisława Wajda. Nigdy nie chodziło o trzy osoby, tylko o cztery. Róża też miała motyw, żeby cię zabić, dokładnie taki sam jak Kalina. Twój ojciec był bardzo przyzwoitym człowiekiem i dopóki żył w związku z twoją matką, nie wziął sobie kochanki, tylko niezobowiązująco flirtował z różnymi dziewczynami, w tym z Różą i Kaliną. Dlatego zakochana Róża mogła mieć nadzieję, że kiedy małżeństwo Aleksandrowiczów się rozpadnie, to ona zostanie jego drugą żoną. Wczoraj mi się przyznała. Wtedy, nad stawem, to Róża próbowała cię utopić. Kiedy umierałeś, wyszeptała słowa swojej ulubionej modlitwy za zmarłych. Zabiłeś dwie niewinne osoby i próbowałeś zabić trzecią, podczas gdy winna żyje i ma się świetnie. Pomyśl o tym i zastanów się, czy nie chciałbyś z nami jednak porozmawiać.

Czekałam chwilę, a kiedy chłopak się nie odezwał, wstałam i poszłam w stronę drzwi. Obejrzałam się jeszcze w proggu. Kuba siedział w tej samej pozycji,

nieruchomy jak posąg, ze wzrokiem wbitym gdzieś w dal. Nie widziałam jego oczu, ale wiedziałam, że błysk zainteresowania wciąż w nich jest, jak złoty pieniążek odbijający słoneczne refleksy na dnie głębokiej, ciemnej studni.

*

Jeszcze z policyjnej izby dziecka zadzwoniłam do Wojtka. Kiedy czekałam na połączenie, niebo zasnuło się chmurami i o okno zadzwoniły pierwsze krople deszczu. Patrzyłam na nie, licząc sygnały. Wojtek odebrał po piątym.

– Rozmawiałeś z Sylwią? – zapytałam bez niepotrzebnych wstępów.

– Tak.

– I co? – Wiatr przygnał mokry żółty liść i przykleił go do szyby, a chodnikiem przebiegła skulona pod parasolem kobieta w cienkiej, letniej jeszcze sukience. Odprowadziłam ją wzrokiem. Sukienka była czerwona, ale teraz nie miało to już znaczenia.

– Dziewczyna idzie w zaparte i powtarza w kółko to, co mówiła wczoraj na przesłuchaniu. A ty rozmawiałaś z Kubą?

– Tak. Nie odzywał się, ale chyba do niego dotarłam. Dajmy mu parę godzin.

– W porządku. Co teraz?

– Teraz – oznajmiłam uroczyście – pojedę na obiad do mojej córki. A potem się zobaczy. Mieliśmy iść na Bolinę, ale w tym deszczu pewnie nic z tego.

– Jasne, daj znać, jak będzie coś nowego.

– Ty też.

Pożegnaliśmy się, po czym wsiadłam do samochodu i ruszyłam wolno w strugach wrześnie ulewy. Do spotkania u Justyny brakowało dwóch godzin, a musiałam jeszcze kupić prezent, który obiecałam Zuzie.

*

W dziale dziecięcym Skarbka długo myślałam nad tym, co wybrać. Lalkę? Nie, Zuzia nie przepadała za typowo dziewczyńskimi zabawkami. Nie lubiła też tych typowo chłopięcych: samochodzików, dinozaurów czy robotów. Wolała klocki, układanki, książeczki, kolorowe pisaki i maskotki w kształcie zwierząt. Kupiłam więc zestaw farb i pluszowego zezowatego psa. Wada wzroku nadawała mu wygląd

sympatycznego łajdaka, który mi się spodobał. Uznałam, że Zuzie też powinien przypaść do gustu.

Dokupiłam jeszcze kolorową papierową torbę i ruszyłam w stronę Nikiszowca. Gdy parkowałam na ulicy Świętej Anny, deszcz zelżał na tyle, że nie myślałam nawet o wyjmowaniu parasolki. Wypakowałam prezent i trzymając go obiema rękami, stopą pchnęłam drzwi klatki schodowej. Wewnątrz unosiły się ozłoczone słońcem drobinki kurzu, ażurowe podstopnice schodów przepuszczały światło jak witrażowe okna. Stare budynki mają w sobie powagę, która zawsze odrobinę kojarzy mi się z kościołem. Pachniało drewnem, ale już na półpiętrze spłynęła do mnie zupełnie inna woń: zawieszisty zapach pieczonego mięsa w tłustym sosie. Położyłam torbę z prezentem pod drzwiami, zza których dobiegał odgłos stawianych na stole talerzy i dziecięcy śmiech. Byli tam wszyscy moi bliscy: Justyna, Adam, zięć Antoni i oczywiście Zuza. Dotykałam już dzwonka, kiedy w mojej torebce odezwała się komórka.

Wyjęłam ją, przeczytałam esemesa, a potem wzięłam prezent i zeszłam z powrotem do samochodu. Jadąc w stronę centrum, zadzwoniłam do Justyny. Na szczęście nie odebrała, mogłam więc zostawić wiadomość na poczcie głosowej. Była krótka: tylko tyle, że nie mogę jednak wpaść, ale dam znać, kiedy w pracy mi się poluzuje, a wtedy umówimy się na któryś dzień w tygodniu.

Gdy zajechałam pod izbę dziecka, znowu zaczęło padać.

Kilka minut po moim wyjściu Kuba oznajmił, że boli go brzuch i musi pójść do ubikacji, na co dyżurujący policjant skinął głową i wrócił do lektury *Pani Jeziora*. Nie martwił się o chłopaka, w gruncie rzeczy był zadowolony, że ten zaczął się wreszcie odzywać zamiast udawać niemowę. Ból brzucha wziął za zwyczajny objaw stresu – w końcu mało kto lubi rozmawiać z policją. Dopiero pół godziny później, gdy w książce skończył się rozdział opisujący bitwę pod Brenną, dyżurny pomyślał, że pora sprawdzić, czy chłopak wrócił do sali.

Nie wrócił, a w toalecie dla chłopców jedna z kabin okazała się zamknięta na głucho. Policjant zapukał, wciąż przekonany, że młodego złapała sraczka albo jest mu niedobrze. Odzewu nie było, zapukał więc mocniej, a potem załomotał. Teraz już zaczął się niepokoić, przygody Geralta zupełnie wywietrzały mu z głowy. Chwilę później zdecydował się wyważyć drzwi.

Kuba siedział skulony obok muszli klozetowej z rękami luźno zwisającymi wzdłuż tułowia i przekrzywioną głową. Strużki krwi spływały mu po przedramionach i wsiąkały w materiał spodni. Podczas śledztwa wyszło na jaw, że zabrał kawałek szkła z rozbitego okna – jakiś czas temu pewien nadpobudliwy chłopiec rozbił szybę w męskiej toalecie, a kiedy wstawiano nową, jeden z ostrych i długich odłamków został przeoczony i leżał sobie w kącie za rurą doprowadzającą wodę, zbierając kurz, dopóki nie zauważył go Kuba i nie wykorzystał. Nikt nie wiedział, kto właściwie jest odpowiedzialny za to niedopatrzenie, i ostatecznie odpowiedzialność się rozmyła, jak to często bywa.

Kuba żył, kiedy wzywano pogotowie, zmarł jednak, nim karetka zdążyła przyjechać. Gdyby dyżurny oderwał się od książki pięć minut wcześniej, chłopca prawdopodobnie udałoby się uratować. Do dziś nie wiem, czy Kuba na to właśnie liczył. Może naprawdę chciał umrzeć, a może to miała być tylko demonstracja dla policji i sądu, na wypadek gdybyśmy zebrali wystarczająco dużo dowodów, by oskarżyć go o morderstwo. Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiem. Kubie raz jeszcze udało się nam wymknąć.

Tego samego dnia ja i Wojtek odbyliśmy rozmowę z naczelnikiem. Szef miotał się i krzyczał, ale nic nie mógł zrobić i wszyscy troje o tym wiedzieliśmy. Sprawa morderstwa Aleksandrowiczów oficjalnie miała pozostać nierozwiązana i jedyne, co musieliśmy teraz ustalić, to jak poradzić sobie z zainteresowaniem prasy, które na szczęście osłabło nieco w ostatnich dniach.

Kubę pochowano dziesiątego września. Dzień był upalny, przyczajona za rogiem jesień szeleściła wiatrem w brązowiejących liściach, ale przez te kilkanaście godzin na cmentarzu królowało lato. Żar lał się z nieba, żałobnicy w czarnych strojach przestępowali z nogi na nogę i ukradkiem ocierali pot. Lucyna wciąż leżała w szpitalu, ale poza nią stawili się wszyscy: Janina Pietrzak, stojąca z boku, jakby nawet teraz niechętnie przyznawała się do wnuka, postarzała o dziesięć lat Róża, wychudzony i pobladły Rataj, chlipiąca w chusteczkę Mariola Kowalska i Sylwia Ochocka. Dziewczyna wyglądała najlepiej z nich wszystkich, jakby nawet rozpacz nie potrafiła pokonać siły młodości. Gdy ksiądz mówił, że wszyscy odpowiemy przed Bogiem za nasze uczynki, spojrzałam jej w oczy, a ona nie odwróciła wzroku.

Po raz kolejny zastanowiłam się, kto tamtego dnia wszedł na piętro i udusił Basię. Sylwia czy Kuba? Postawiłabym niewielkie pieniądze na chłopaka, ale oczywiście mogła to zrobić dziewczyna. Żeby chronić ukochanego, a może po prostu z litości. Może zabiła dziecko tak jak sarnę, żeby oszczędzić mu cierpienia, bo w końcu jaką przyszłość miała przed sobą sześciolatka, której cała rodzina została zmasakrowana? Nie chciałam o tym myśleć. Lubiłam Sylwię i wiedziałam, że rozwiązania tej tajemnicy również nigdy nie poznam.

Gdy żałobnicy zaczęli się rozchodzić, poczekałam na Różę.

– Może tak jest najlepiej – powiedziała, podchodząc do mnie. – Sądzi pani, że Kuba... że kiedykolwiek jeszcze mógłby normalnie żyć?

Milczałam. Odpowiedź była oczywista i Róża też o tym wiedziała.

– Gdybym się oficjalnie przyznała... – ciągnęła uparcie, szukając w sobie winy – toby coś zmieniło?

– Nie. Wciąż mielibyśmy za mało dowodów, żeby go oskarżyć.

– Mówiła pani, że powinnam powiedzieć prawdę.

– Owszem, dla pani własnego dobra.

Zacisnęła usta.

– I co pani zamierza z tym zrobić?

– Z pani przyznaniem? Nic. Przeciwno pani też nie mamy dowodów.

Patrzyłam na pokryty kwiatami kopczyk. Nie było tam żadnych wstępów z napisami, żadnych pożegnań od bliskich, bo tych, z wyjątkiem matki, Kuba już nie miał. Żadnych słów, tylko wieńce białych róż kupione prawdopodobnie przez przyjaciół rodziny. Kuba, dziecko, o którym przez jedenaście lat nikt nie pamiętał, odchodził w pachnącej kwiatami ciszy.

Róża zawahała się i zaczęła mówić.

– Tamtego dnia w schronisku... Obudziłam się i zobaczyłam, że chłopca nie ma. Próbowałam zbudzić Krystiana albo Lucynę, ale oboje wypili do kolacji sporo piwa i nie dałam rady. Dlatego sama zaczęłam go szukać. Nietrudno było się domyślić, dokąd mógł pójść. Dogoniłam go w połowie drogi do Czarnego Stawu i zaczęłam przekonywać, żeby ze mną wrócił. Oczywiście nie chciał, cały czas tylko powtarzał, że musi znaleźć króliczka. Powinnam wtedy wziąć go na ręce i zanieść do schroniska. Każdy na moim miejscu by tak zrobił. Ale wiedziałam, że Kuba będzie się wyrywać i wrzeszczeć, a kiedy wejdę do pokoju z wyjąłym wniebogłosem dzieckiem, wszyscy pomyślą, że to moja wina, że w jakiś sposób go skrzywdziłam. Przez całe moje życie zawsze czułam się winna, nawet jeśli niczego złego nie zrobiłam. Może pani w to uwierzyć?

– Tak, mogę.

– Dlatego szłam za nim jak idiotka i powtarzałam: „Kubusiu, proszę cię, musimy wracać, twoi rodzice bardzo się o ciebie martwią”. A potem pomyślałam: trudno, dojdziemy do tego stawu, chłopiec przekona się, że nie ma tam króliczka, i przy odrobinie szczęścia wrócimy, zanim pozostali się zbudzą. Ale kiedy dotarliśmy na miejsce... Tam było tak pusto, tak bardzo cicho. Skały odbijały się w wodzie, wszystko wydawało się szare, nawet trawa na zboczach gór, nawet niebo. Jakby cały świat zbudowany był z kamienia, piękny i jednocześnie straszny. Czułam, że te góry patrzą na mnie, zupełnie obojętne, że jestem tu całkiem sama i mogę zrobić wszystko. Czasem sobie tłumaczę, że wtedy opętał mnie diabeł, w takim miejscu łatwo uwierzyć w jego istnienie. Ale to nie on, tylko ja. Próbowałam zabić dziecko i nic tego nie zmieni.

Skinęłam głową, bo trudno było zaprzeczyć.

Róża przygryzła dolną wargę tak mocno, że pojawiła się na niej kropla krwi.

– Fantazjowałam wcześniej o śmierci Kuby – przyznała. – Nie chciałam, te myśli same się pojawiały. Wyobrażałam sobie, że mógłby zachorować albo ulec wypadkowi... Tyle się przecież słyszy o dzieciach, które wybiegły na ulicę i wpadły pod samochód albo coś w tym rodzaju. Nie życzyłam mu źle, nie chciałam, żeby cierpiał. Chciałam tylko... żeby go nie było. Ale nigdy, przenigdy nie przyszło mi do głowy, że to ja mogłabym mu zrobić krzywdę. Dopiero tam, nad stawem...

Przez chwilę milczaliśmy obie, a potem Róża nagle zmieniła temat:

– Wie pani, że Leszek Kuleba poprosił mnie wczoraj o rękę? Wyznałam mu, co zrobiłam, a on odpowiedział, że nadal mnie kocha, że zaopiekuje się mną i razem będziemy się modlić o wybaczenie. Co pani o tym myśli?

– Myślę, że najlepiej byłoby, gdyby wyrzuciła pani tego Kulebę razem z jego wybaczeniem za drzwi, wyprowadziła się od matki i zaczęła nowe życie.

Przytaknęła, nieszczerze przekonana. Wiedziała, że mnie nie posłucha.

Zostawiłam ją przy świeżym grobie i ruszyłam do Wojtka, który czekał, oparty o zaparkowany przy bramie samochód. Palił papierosa i patrzył na mnie ponuro.

– Wiedziałaś – powiedział oskarżycielsko, gdy stanęłam obok. – Kiedy poszłaś porozmawiać z Kubą, zdawałaś sobie sprawę, że chłopak tak zareaguje.

– Myślałam, że się przyzna.

– Naprawdę nie przyszło ci do głowy, że zamiast tego może podciąć sobie żyły?

– Nie przyszło – mruknęłam. – Za kogo ty mnie masz? Poważnie uważasz, że zostawiłabym go tak, gdybym wiedziała, co zamierza?

Wojtek patrzył oczami twardymi i chłodnymi jak kamyki w strumieniu, a ja wytrzymałam jego wzrok. Po dłuższej chwili odwrócił się w stronę samochodu.

– Wsiadaj – burknął. – Podrzucę cię do domu.

Rozmawialiśmy po drodze, oboje starannie udając, że nie zauważamy unoszącego się między nami napięcia. Dowiedziałam się wówczas, że Lucyna przyjęła śmierć syna dość spokojnie i kiedy tylko dojdzie do siebie, zamierza wrócić do Anglii. A żona Rafała Wrony postanowiła dać mężowi ostatnią szansę. Dwie dobre wiadomości, które powinny poprawić mi humor, z jakiegoś powodu jednak zawiodły.

Gdy zaparkowaliśmy przed blokiem, pożegnałam Wojtka krótko i ruszyłam w stronę klatki schodowej. Nie odwróciłam się, ale i tak czułam na plecach jego wzrok, wciąż chłodny i oskarżycielski.

EPILOG

Nazajutrz po pogrzebie pojechałam do Zakopanego. Zostawiłam samochód przy dworcu kolejowym i złapałam busik do Kuźnic. Tym razem nie zamierzałam wspinać się aż do Murowańca – poszłam tylko kawałek doliną Jaworzynką, do łąki, na której rozmawiałam przez telefon z Wojtkiem. Wtedy było lato; teraz wróciła jesień, w powietrzu wisiała mżawka, wiatr strząsał z drzew zimne krople, a pod moimi stopami chlupotały błotniste kałuże.

Nie zwracając uwagi na przesączającą się do butów wilgoć, spróbowałam przywołać tamto wrażenie, że dawno temu w takim właśnie miejscu ktoś powiedział coś bardzo ważnego. Nie potrafiłam. Wrażenie zniknęło, zdawało mi się, że nigdy nie istniało. Czułam się tak, jakby ktoś na tej łące chciał oddać mi kawałek przeszłości, a kiedy nie zrozumiałam, odszedł i zniknął na zawsze. Zostałam sama, jeśli nie liczyć patrzących z niechęcią zmokłych owiec.

Mżawka zmieniała się w deszcz, a ja przymknęłam oczy, odpychając niechciane myśli, które zalewały mnie jak fale wzmagającej się ulewy. Broniałam się przed nimi przez cały wczorajszy dzień i całą noc, a teraz wreszcie mnie dopadły.

Zdawałaś sobie sprawę z tego, że chłopak może tak zareagować, powiedział Wojtek, a ja skłamałam, bo co właściwie miałam zrobić? Podświadomie wiedziałam, że Kuba może się zabić. Wiedziałam i godziłam się na to, ponieważ chłopak budził we mnie złość, a Róża trafiła w sedno: Jakub Aleksandrowicz już nigdy nie mógłby żyć normalnie. Jakąkolwiek miał przed sobą przyszłość, zniszczył ją nieodwołalnie tamtego dnia w Pogańskim Młynie.

Ale nie to było moim największym grzechem. Tak naprawdę zawiodłam już w momencie, gdy zgodziłam się wziąć tę sprawę. Nasz szef, Wojtek, koledzy z wydziału – wszyscy mieli rację: powinnam iść na urlop, bo nie nadawałam się do prowadzenia tak skomplikowanego śledztwa. Krystyna sprzed śmierci Karlika już dawno odgadłaby, że Kuba jest mordercą, bo tylko takie rozwiązanie wchodziło w grę. Gdybym myślała i działała tak sprawnie jak zwykle, Lucyna nie leżałaby teraz w szpitalu, a chłopak na cmentarzu. Kuby nie potrafiłam żałować, ale jego

matka... Mało brakowało, a by zginęła, przez mój ośli upór, ponieważ uparłam się udawać, że wszystko jest w porządku.

Oficjalnie w komendzie nikt nie miał do mnie pretensji, nieoficjalnie wiedziałam, że tym razem naprawdę spieprzyłam. I co gorsza, wiedział o tym Wojtek, widziałam to wyraźnie w jego oczach.

Zacisnęłam powieki, czując jak po policzkach spływają krople coraz mocniejszego deszczu. Myśl o emeryturze z każdą chwilą wydawała się bardziej kusząca. Odejść teraz, kiedy jeszcze mogłam to zrobić z podniesionym czołem, zostawiając za sobą wspomnienie Krystyny Lesińskiej, specjalistki od najbardziej pokręconych spraw. Dlaczego nie? Mogłam mieć nadzieję, że Wojtek za jakiś czas przestanie się boczyć i znowu będziemy przyjaciółmi – ludzie są nieźli w zapominaniu i jeszcze lepsi w wierzeniu w to, w co pragną wierzyć, problem w tym, że ja jeszcze długo będę pamiętać, jak bardzo zawiodłam. Może nie do końca życia, ale długo. Dlatego zamiast wracać do pracy, powinnam pójść na emeryturę, zająć się wnuczką, opłakać mojego zmarłego męża tak, jak na to zasługiwał.

Zaczęłam już teraz. Deszcz mieszał się na mojej twarzy z łzami, a z ust wydobywał się szloch brzmiący jak pojękiwanie samotnego, zziębniętego zwierzęcia. Nie wiem, jak długo tak stałam. Pięć minut, dziesięć, pół godziny? Od czasu do czasu czułam ocierające się o moje nogi wełniste ciała owiec i bywały chwile, gdy tylko ten przelotny ciepły dotyk przypominał mi, że nie unoszę się w pełnej rozpaczy mokrej pustce, tylko wciąż żyję, wciąż istnieję.

– Proszę pani, dobrze się pani czuje?

Wynurzałam się z mojego smutku niechętnie, z trudem. Otworzyłam oczy. Przede mną stał mężczyzna w średnim wieku i przez krótką absurdalną chwilę pomyślałam, że to Romek wrócił z gór, by pomóc mi w chwili, gdy najbardziej go potrzebowałam. Ale oczywiście to nie był on, nieznajomy nawet nie przypominał mojego brata.

– Dobrze się pani czuje? – powtórzył, wyraźnie zaniepokojony. Dziewczynka, którą trzymał za rękę, patrzyła na mnie z wyraźną ciekawością. Była mniej więcej w wieku Zuzy i na jej widok coś zakłuło mnie w sercu: miłość, a może kolejne poczucie winy.

– Tak, dziękuję – chrząknęłam, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu chusteczki.

– Możemy odprowadzić panią do Zakopanego, jeśli pani chce – zaproponował mężczyzna, a dziewczynka rzuciła zadziorne spojrzenie spod ociekającego deszczem kaptura.

Chciałam odmówić, jednak w ostatniej chwili zmieniłam zdanie. Potrzebowałam teraz towarzystwa ludzi, choćby to miała być dwójka nieznajomych, spotkanych przypadkowo na szlaku.

Ruszyliśmy do Kuźnic, w stronę ciepła, światła i zwyczajnego życia, a gdy tam dotarliśmy, zadzwoniłam do Justyny. Oczywiście była zła, ale kiedy wspomniałam, że poważnie rozważam przejście na emeryturę, złagodniała i zgodziła się zawołać do telefonu Zużę.

– Cześć – powiedziałam. – Bardzo przepraszam, że nie byłam w niedzielę.

– W porządku. – Zuza pociągnęła nosem. – Ale przyjdiesz niedługo?

– Przyjdę i przyniosę ci bardzo ładny prezent.

– Co takiego?

– To będzie niespodzianka.

– Fajnie. A pójdziemy na lody?

– Jasne.

– Mama mówi, że nie można jeść lodów, jak jest zimno.

– Możemy zjeść w kawiarni, tam jest ciepło.

– Super.

Pogadałyśmy jeszcze chwilę, a potem rozłączyłam się i schowałam telefon do torebki. Świat był paskudnym miejscem, w którym działały się złe rzeczy: mężowie umierali, dzieci i dorośli zabijali się nawzajem, a policjanci czasem zawodzili, lecz dopóki ja i moja wnuczka byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami, wciąż istniała dla mnie nadzieja.

Intrygująca bohaterka, wielowątkowe wciągające śledztwo, tajemnica z przeszłości – w najnowszej książce Kańtoch jest wszystko, co powinien mieć dobry kryminał. Nie byłem w stanie go odłożyć, a teraz nie mogę się doczekać kolejnej części.

WOJCIECH CHMIELARZ

Emerytowana policjantka, niewyjaśniona rodzinna tragedia sprzed lat i tajemniczy człowiek. Brzmi jak wyzwanie. Anna Kańtoch konstruuje kryminalną fabułę, naginając schematy literatury gatunkowej. I świetnie! Dzięki temu jest powieść, która zaskakuje na każdej niemal stronie. Czekam na kontynuację.

ANNA KRÓL

Odnoszę nieodparte wrażenie, że tam, gdzie inni spierają się o koronę polskiego kryminału, Kańtoch, jak kiedyś Agata Christie, kryje się w cieniu zwyczajności, wymyślając intrygi podczas prozaicznych czynności domowych. Siłą jej prozy jest bowiem ta doskonała znajomość szarej, zwyczajnej codzienności, na której tle kreśli precyzyjne, bardzo przemyślane fabuły.

JAKUB CWIEK

W świetnej kryminalnej powieści Anny Kańtoch jest co najmniej dwójka bohaterów, obok których nie można przejść obojętnie. Po pierwsze – Katowice, z całą swoją nieznaną resztką polskiej tajemniczością, po drugie – stara policjantka, której nijak nie można zaklasyfikować wedle stereotypów. Lubię to!

ANNA DZIEWIT-MELLER

Nie boję się powiedzieć, że Kańtoch otwiera nowy rozdział polskiego kryminału. Jeszcze nikt taki jak Krystyna Lesińska nie prowadził tak nieoczywistego śledztwa, w którym tajemnica goni tajemnicę. Rewelacyjna nowość!

LESZEK KOŹMIŃSKI, blog Kryminalna Piła

POZNAJ DALSZE LOSY KOMISARZ LESIŃSKIEJ

